

Wampir z mgieł

Golden Christie



calibre 0.9.43



Ravenloft

W obitej atlasem trumnie leżał Strahd Von Zarovich, wampirzy władca krainy, z zamkniętymi oczami, z bladą, przypominającą woskową

maskę kościstą twarzą. Ręce miał skrzyżowane na piersi; emanował spokojem. Wyglądał, zresztą zgodnie ze stanem faktycznym, na martwego.

- Dzięki niech będą Panu Poranka, że wciąż mamy dzień - mruknął kapłan. Jander przytaknął i odsunął ręce Strahda na boki, ułatwiając

Saszy przyłożenie zaostzonego kołka dokładnie nad sercem hrabiego. Kapłan zamierzył się młotkiem.

„Teraz cię mamy, draniu” pomyślał z satysfakcją Jander w nagłym przypiływie nienawiści.

Ravenloft to mroczne piekło, do którego można trafić z każdego normalnego świata - ale wydostać się stąd, o, to już zupełnie co innego.

Pechowcy, którzy znajdą się w Domenie Ciemności, przekonują się, że zamieszkują ją wampiry, wilkołaki, zombi i inne, gorsze jeszcze stwory.

Christie Golden

Wampir z mgieł

Książkę tę dedykuję z miłością (i wdzięcznością) moim rodzicom, Jamesowi R. Goldenowi i Elizabeth C. Golden, którzy nie mogą uwierzyć w

wampiry i elfy, ale zawsze wierzyli we mnie. Podziękowania należą się również Veldzie i Robertowi za to, że zawsze wszystko czytali i zwykle

większość z tego podobała im się. Na koniec dziękuję TSR, że pozwolili nowicjuszcze rzucić własne, mroczne cienie na Ravenloft oraz memu

wydawcy, Jimowi Lowderowi, za cierpliwość, wskazówki i wsparcie.

Ten, który śmierci śmieje się w twarz, któremu nie zaszkodzą zarazy, zdolne uśmiercić całe narody; ach, gdyby istota taka służyła Dobru,

miast od diabła pochodzić, ileż dobra mogłaby uczynić w tym naszym świecie.

Bram Stoker *Dracula*



PROLOG

Ostatnie promienie gasnącego słońca, przefiltrowane przez witrażowe okna zamkowej kaplicy, kładły się na kamiennej podłodze

plamami blednących barw. Jedyne dodatkowe światło pochodziło z niewielkiego kosza z żarzącymi się węglami na ołtarzu. Najwyższy z

Wysokich Kapłanów Barovii nie przerywał pracy aż do chwili, kiedy przestał wyraźnie widzieć, wreszcie poirytowany niepotrzebną przerwą

odłożył amulet i zapalił tyle świec, by móc kontynuować zajęcie.

Większość kaplicy pozostała w cieniu i kiedy ciepły blask stożkowatych płomyków oświetlił niski drewniany ołtarz, nie było to już

miejsce odpowiednie dla świętych symboli i odprawiania rytualnych obrzędów - raczej warsztat wypełniony narzędziami. do precyzyjnej roboty

w metalu: małe młoteczki, szczypce, gładkie, jubilerskie kowadełko, bryłki wosku na formy. Siwowłosy kapłan zapalił ostatnią świecę i

pośpiesznie zajął się amuletem. Czuł w mózgu pulsujący, płaczący zew przedmiotu, nakazujący ukończyć pracę nad nim.

Najwyższy z Wysokich Kapłanów poświęcił mu już wiele tygodni, pracując z gorączkowym natężeniem, które nie pozwalało mu spocząć

i teraz, gdy był bliski ukończenia dzieła. Nie czuł jednak zmęczenia. Energia zdawała się poruszać

krw w jego żyłach, kierując ruchami niezgrabnych,

ciele nie można się niczego więcej spodziewać. Opadł na ziemię w

niewyszkolonych dłoni. Amulet sam się tworzył, powykrzywiane

środku koła, tuż obok dużego, płaskiego głazu, na którym z czcią

palce kapłana były zaledwie narzędziem.

złożył klejnot.

Gdzieś, w jakiejś części swojej istoty, czuł się winny -

Ostatnie błogosławieństwo, pomyślał, i wszystko skończone...

zaniedbywał obowiązki kapłana lecz widok amuletu zapewniał go, że

Młody nowicjusz znalazł go następnego ranka w tym samym
jest to poważniejsze zadanie, że wykuje coś więcej niż zwykle
miejscu. Po śmierci twarz Najwyższego z Wysokich Kapłanów była
świecidełko. Klejnot miał stać się bronią, jakiej jeszcze ten marny
spokojna i osobliwie wygładzona, a poszarzałe usta ułożyły się w
świat nie widział, wróg zaś, przeciw któremu go szykowano, był
niepewny, słodki uśmiech. W jednej dłoni trzymał wisior w kształcie
znacznie gorszy od goblinów - jego przybycie miało dopiero pograć
rozbłyskującego słońca, w drugiej - list. Młodzieniec, z oczyma
Barowię w ciemności.

pełnymi łez, musiał kilkakrotnie zamrużyć, zanim zdołał przeczytać
Najwyższy z Wysokich Kapłanów przerwał, czując drżenie
ostatnie słowa, jakie nakreślił kapłan.

dłoni z wysiłku, przetarł przekrwione oczy i wrócił do pracy.
Oto boski dar dla utrudzonej krainy. Używajcie go dobrze i ze
Postępując zgodnie z płynącymi z głowy wskazówkami połączył dwie
części, ale niech tajemnica przechodzi tylko z kapłana na kapłana.
stare rzeczy tworząc jedno nowe dzieło. Kryształ kwarcu był darem
Narodzi się krucze plemię, a to ma być święty symbol tej rodziny.
ziemi. Platynę, w której go osadził, równie starożytną, jak sam
Moc jego jest podobna mocy słońca: niesie ciepło i światło. W nim
kamień, jego ręce poznały runami miłości, zamiast gwałtu. Cały
ostatnia nadzieja na powstrzymanie Cienia, który padnie na to
wisior ukształtowany został na podobieństwo słońca z rozchodzącymi

posępne królestwo.

się promieniami i kiedy kryształ znalazł się w jego środku, rzeczywiście przypominał miniaturowe słońce.

Stary kapłan starannie wyciął ostatni run. Zamrugnął oczami, by usunąć spływający do nich pot i przyjrzał się swemu dziełu.

Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Zawiesił wisior na szyi, skrywając pod szatą, żeby nie było go widać. Klepnął sakiewkę, upewniając się, że napisany przed kilkoma dniami list wciąż jeszcze się tam znajduje i uśmiechnął się lekko. Czując, jak wypełnia go tajemnicza energia, spieszonym krokiem oddalił się od ołtarza i ruszył przez długie, rozjaśnione pochodniami korytarze zamku z szybkością i pewnością ruchów właściwą komuś o wiele młodszemu.

Jeden ze służących usłyszał go, kiedy wychodził przez podwójne drzwi kaplicy. Z trudem nadążając za jego krokami, zapytał:

- Co teraz, Wasza Błogosławienność?

- Konia - rzucił Najwyższy z Wysokich Kapłanów, nie zadając sobie nawet trudu, by spojrzeć na mężczyznę, który bez słowa pobiegł wypełnić polecenie. Zanim pan zamczyska wyruszył na wojnę, przykazał swym sługom być posłusznym we wszystkim Jego Błogosławienności. Chociaż służący uwijał się zwawo, kapłan spędził parę minut przechadzając się nerwowo pod pięknie rzeźbioną bramą zamku, zanim stajenny przyprowadził wierzchowca. Najwyższy z Wysokich Kapłanów właściwie wskoczył na siodło, szarpnął wodze

kierując konia w odwrotnym kierunku i przy stukocie kopyt opuścił podwórzec. Zmierzał do kręgu, by dopełnić boskiej misji.

Nocne mgły gęstniały, a kapłan galopował drogą do lasu Svalich. Bryzgające spod kopyt kawałki błota oblepiały i jego, i zwierzę, ale niepomny na to popędzał rumaka, jak nakazywał amulet.

Niecierpliwie zjechał z drogi, kierując się ku lasowi Svalich; nie znał skrótu, ale prowadził go amulet. Wreszcie dotarł do celu - kręgu ogromnych głazów, znajdującego się tuż za Barovią.

Próbował jednocześnie zeskoczyć z konia, wydobyć amulet i pobiec do środka kręgu, ale nogi zaplątały mu się w powłóczyste szaty i ciężko upadł. Podnosząc się pomyślał ponuro: po tym starym



głębiej, by skryć właściciela przed wścibskimi spojrzeniami.

JEDEN

Nie mogąc dłużej znieść tego widoku, odwrócił się i cicho odszedł, opuszczając dok; udał się do centrum miasta, przez ludzi zwanego Waterdeep. To miejsce również jakiś czas było jego „Duma Królowej” z Evermeet kołysała się domem, dopóki żądza wędrówki nie ściągnęła nań jego łagodnie na atramentowych wodach portu Waterdeep. przeznaczenia.

Swawolna nocna bryza poruszała olinowaniem Teraz Jander już rzadko zapuszczał się do miasta; jak na katamaranu sprawiając, że uderzało o łódź, hałasując jego gust stawało się zbyt zatłoczone. Mieszkał w małej jaskini we względnej ciszy o późnej porze. Wiatr się nasilił i bandera poza jego granicami, gdzie wciąż można było odnaleźć ciszę i z heraldycznym wizerunkiem złotego drzewa na tle drzewa. Tam dawał upust wrodzonemu elfom umiłowaniu piękna i ciemnoniebieskiego, wygwieżdzonego nieba wydęła się i natury, pielęgnując niewielki ogród kwitnących nocą kwiatów. Tej załopotana gwałtowniej. W oddali pławy wydzwaniały nocy jednak wielka potrzeba przygnała go do dzielnicy Doków. przyjazne ostrzeżenia, a woń ryb i soli unosiła się ciężko w Przemierzał ją w całkowitej ciszy w morderczych zamiarach, a chłodnym, wilgotnym powietrzu. szare skórzane buty nie wydawały dźwięku. Ignorował tawerny,

Samotna postać bezpiecznie ukryta w alejce tęsknie
sklepy i magazyny, kierując się ku najgorszemu miejscu w mieście,
spoglądała na katamaran. Światło Selune nadawało skórze i
gdzie najbardziej umęczone dusze Torii w nędzy i bólu
włosom złotego elfa perłowo białą barwę, a jego znoszona,
wypłakiwały beznadziejność swego istnienia. Łopocząc płaszczem
niebieska tunika zdawała się szara, upodobniając się do
skręcił za róg. Głód podkreślał ostrość jego rysów.
płaszcz i spodni; w jej wyblakłym, srebrnym wykończeniu
W Waterdeep za pieniądze można było kupić lekarstwo
nadal lśnił mleczny odblask księżycowego światła.
niemal na wszystko. Znalazłby się kleryk leczący rany, znalazłby
Jander Sunstar był smukły i, jak na elfa, wysoki - miał
się i mag, którego czary zapewnią szczęście. Ale czasami bogowie
bez mała sześć stóp wzrostu. Wyraźne, ostre rysy twarzy
nie wysłuchują modłów swych kapłanów, kiedy indziej zaś czary
czasem tylko łagodniały w przyływie nostalgii. Elfie uszy
działają źle, przerażająco źle.
związały się w zgrabne koniuszki, prawie ginąc w złotej
Kiedyś nieszczęśliwców, których choroby umysłowej nie
powodzi włosów. Buty z szarej, miękkiej skóry, nie czyniące
dało się uleczyć za pomocą magii, zamykano w piwnicach bądź
żadnego hałasu na nasiąkłych wodą deskach doku, sięgały do
wypędzano na ulice. Wyjątkowo bezwzględni ludzie dokładali

pół uda. Lewe biodro zdołał prosty sztylet w pochwie.

nawet starań, by ich niewygodni, szaleni krewni „zniknęli”. Teraz

Srebrne oczy Jandera wypełniał smutek. Ileż to już

jednak, w cywilizowanym roku 1072, znalazło się miejsce dla

dziesięcioleci minęło od chwili, kiedy widział statek ze swej

nieuleczalnie obłąkanych.

ojczyzny, wspaniałego Evermeet, krainy piękna i harmonii,

Zbliżając się do dużej budowli z drewna i kamienia Jander

której nigdy już nie dane mu będzie ujrzeć? Szczupłe, długie

skrzywił się, nawet tu, na zewnątrz, jego wrażliwe uszy cierpiały z

palce zacisnęły się kurczowo na płaszczu i naciągnęły go

powodu dobiegającej ze środka kakofonii. Przy

szło mu na myśl, że domy wariatów są miejscami bardziej

zajmowała bezkształtna mgła, stanęła postać, którą można by było

przerazającymi od nawiedzonych zamczysk - tu naprawdę rozlegał

wziąć za anioła.

się płacz potępieńców. Poszukiwanie pożywienia w takim miejscu

Pochodnie, umieszczone w uchwytach dostatecznie

nie sprawiało mu przyjemności, toteż czynił to tylko raz na kilka

wysoko, by pensjonariuszki nie mogły ich dosięgnąć, dawały dość

lat, kiedy straszliwego pragnienia nie dawało się już ugasić krwią

światła. Zbyt wielu obłąkanych obawiało się ciemności, żeby takie

zwierząt Przygotowując się w duchu na to, co go czekało

miejsce pozostawało nie oświetlone. Słoma i gnijące sienniki

wewnątrz, Jander podszedł do drzwi.

zaścielały podłogę, w pomieszczeniu znajdowało się kilka

W przytułku były dwa główne duże pomieszczenia: dla

nocników, ale niewiele pacjentek z nich korzystało. Co kilka

mężczyzn i dla kobiet, w innych, mniejszych, przetrzymywano

tygodni wyznaczeni przez władze miejskie strażnicy opróżniali

tych, którzy zachowywali się zbyt gwałtownie, by trzymać ich

cele i zmywali je wodą przynieszoną w wiadrach, co w niewielkim

razem z innymi oraz nieliczne godne pożałowania istoty, tak

stopniu wpływało na utrzymanie higieny.

zdeformowane, że ich płci nie sposób już było rozpoznać. Jander z

Z kocią gracją Jander przesuwiał się wśród leżących na

zasady nie wchodził do pojedynczych cel. Mógł być wampirem,

podłódze wariatek, poruszając jasnowłosą głową na obie strony,

ale nie potrafił znieść takiego bólu i brzydoty.

ogarniając miejsce spojrzeniem srebrzystych oczu. Niektóre z

Z początku nie był niczym więcej, jak pasemkami mgły,

kobiet odsuwały się na jego widok, kryjąc się po kątach i jęcząc,

przeciskającymi się przez szczeliny drewnianych drzwi celi

inne nie zwracały na niego uwagi, jeszcze inne wręcz łąsiły się do

kobiet. Opar nabrał koloru błękitu, srebra i złota i w miejscu, które

niego - od tych ostatnich delikatnie się uwalniał.

Minęło niemal pół wieku od jego ostatniej bytności i te raz

pewnością nie spodziewał się znaleźć jej tutaj. Urzeczony

nie rozpoznawał żadnej z obłąkanych. Część z nich wyglądała podszedł bliżej i klęknął przy kobiecie, która nie spuszczała z całkiem zwyczajnie, jak stare kobiety, których umysł osłabł, by niego spojrzenia błyszczących, brązowych oczu.

potem spokojnie rozmyć się do końca, ale zdarzały się i chodzące

- Bądź pozdrowiona - rzekł słodkim, melodyjnym głosem.

potworności - ofiary nieszczęśliwych wypadków, zaklęć, które

Dziewczyna nie odpowiedziała, przyglądając mu się tylko

zadziały na opak, lub złej woli, kulące się i wyjące w udreće po ogromnymi oczyma.

kątach. Najsmutniejszy był widok tych prawie zdrowych, które

- Mam na imię Jander - dodał delikatnie. - a ty? Skąd

przy niewielkiej pomocy mogłyby funkcjonować w normalnym jesteś?

świecie, ale ich krewni nie zadali sobie trudu, by się nimi

Wtedy jej usta poruszyły się. Jander nasłuchiwał, w zaopiekować.

napięciu i z nadzieją, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Wzrost zaludnienia w Waterdeep spowodował, że

Rozczarowany wstał z klęczek. Dziewczyna wciąż spoglądała nań zwiększyła się też liczba chorych na przeróżne schorzenia - w

ufnie. Bogowie, jakaż ona śliczna... Kto mógł ją tu zamknąć?

większości ludzi, choć tu i ówdzie udało się Janderowi rozpoznać

- Chciałbym cię stąd zabrać - powiedział smutno. - Ale nie

przykucnięte sylwetki krasnoludów; bogom niech będą dzięki, że mógłbym się tobą zająć w ciągu dnia. - Odwrócił się, a nie było żadnego elfa. \$ rogu wilgotnej, zimnej komnaty jedna z dziewczyna zaczerpnęła gwałtownie powietrza i wyciągnęła do kobiet pokrytą łuskami dłonią metodycznie szarpała krwawiący niego ręce, znów z oczyma pełnymi łez.

kikut ramienia. Miała również gadzie nogi, zakończone pazurami, - Panie! - zaszlochała, wznosząc ramiona. Jander nie jak u jaszczuroludzi, za to jej nic nie wyrażająca twarz była wiedział, co robić. Minęło już całe pięć wieków, odkąd jakieś całkowicie ludzka. Inna znów leżała niemal u stóp wampira, piękne stworzenie raczyło go dotknąć, a teraz ta promieniejąca, osłaniając głowę ramionami, a kiedy Jander przestąpił ją, zmieniła prześliczna dziewczyna wyciąga do niego ręce. Zawahał się, a pozycję. Elf aż się cofnął o krok: twarz, którą ujrzał, była zupełnie potem usiadł przy niej i niepewnie przytulił.

pozbawiona rysów, jeśli nie liczyć czerwonego rozcięcia ust.

- Óóó... - uspokajał ją jak dziecko. Nie wypuszczał jej z

- Oni nadchodzą, wiesz? - rozległ się jej wrzask. - Te oczy

objąć, aż płacząc zasnęła, a wówczas położył ją z powrotem na

na szypułkach, wymachujące w twoją stronę i usta, usta... -

sienniku. Potem wstał, uważając, by jej nie obudzić Głód

Wariatka zaczęła niezrozumiale bełkotać i ssać palce. Jander

zaspokoił w innej części komnaty.

zamknął oczy. Nienawidził tego miejsca; chciał teraz tylko szybko

Czuł na sercu lekkość, jakiej nie pamiętał od wielu

pożywić się i odejść.

długich, pustych lat. Udało mu się znaleźć coś pięknego w piekle i

Żywiąc się krwią przetrzymywanych tu istot nie wyrządzał

to coś się go nie obawiało. Musiał się nią zaopiekować. Wiedział

im zbytniej szkody. Potrafił zmaterializować się we wnętrzu celi,

już, że wróci następnej nocy.

uszczknąć dość płynu, by starczyło mu do następnego razu kiedy

Tak też zrobił, przynosząc prawdziwe jedzenie - mięso z

będzie spragniony ludzkiej krwi, i zniknąć. Rzadko wysysał tyle,

ogniska jakiegoś podróznego oraz chleb i owoce skradzione

żeby ofiara czuła się rankiem choćby osłabiona, a strażnicy nie

nieostrożnemu sklepikarzowi. Jander przekonał się, że wampiry

mieli powodu, by bacznie oglądać szyje pacjentów. Dzięki temu

mogą być znakomitymi złodziejami, aczkolwiek niewiele z nich

nikt nie zauważał drobnych, nieznaczących śladów.

musiało uprawiać tego rodzaju zajęcia.

Z tyłu kamiennego pomieszczenia, na brudnym sienniku

- Witaj ponownie - pozdrowił dziewczynę. Podniosła

leżała bezwładnie jeszcze jedna kobieta. Na pierwszy rzut oka

wzrok, a jej wargi wykrzywił ostrożny, przelotny uśmiech. Serce

niewiele różniła się od stałych mieszkańców przybytku - jej

podskoczyło w elfie, w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, usiadł

długie, ciemne włosy były skudłone, a blade ręce i nogi brudne.

przy niej i podał jej jadło.

Miała na sobie brzydką, brązową koszulę - ot, zaledwie kawałek

- To jedzenie - wyjaśnił. - Zjedz to. - Uczynił gest, jakby

materiału, standardowe odzienie w tym piekielnym miejscu, które

wkładał chleb do ust. Dziewczyna nadal nie rozumiała. Jander

dawało niewielką osłonę przed wilgotnym chłodem, wcale zaś nie

byłby sam ugryzł kawałek, tylko po to, żeby jej pokazać jak to się

chroniło

przed

obmacywaniem

przez

obłąkanych

robi, ale jego organizm nie trawił już niczego prócz krwi.

współtowarzyszy. Nagle kobieta, być może czując na sobie wzrok

Szuranie nóg, które usłyszał za plecami, podsunęło mu

Jandera, spojrzała na niego.

inną myśl. Stara kobieta wygłodzonym wzrokiem spoglądała na

Była tak niesamowicie piękna, że z ust elfa wyrwał się jęk

chleb.

bólu i zachwytu. Włosy, teraz skołtunione i brudne, kiedyś

- Patrz - rzekł do dziewczyny i oderwał kęs. Staruszka

musiały mieć wspaniały, kasztanowy odcień. Wielkie oczy lśniły

łapczywie chwyciła kawałek i zaczęła żuć. Ciemnowłosa kobieta

od łez, które nawet teraz, gdy się jej przyglądał, spływały po uśmiechnęła się i przytaknęła ze zrozumieniem. Wstała policzkach, złościąc ślady w pokrywającym je brudzie. Lekko zdecydowanie i zaczęła rozdawać przyniesioną przez niego drżące usta przypominały idealną, różową różę w porcelanowej żywność innym więźniom, spoglądając na niego przez ramię z twarzy. Od dawna już wampir nie widział tak pięknej istoty; z promiennym uśmiechem.

Jander musiał się roześmiać, chociaż był na nią zły -

Coś zamigotało tam niczym płomień świecy. Trwało to tak potrzebowała jedzenia, była wycieńczona, nie powinna rozdawać krótką chwilę, iż z trudem uwierzył, że coś dostrzegł, ale jednak tego, co jej przyniósł...

tak było. Przebłysk normalności, jasny jak słońce na wodzie,

Poderwał się na równe nogi. Śliczna obłąkana poruszała pojawił się i zniknął.

się z wdziękiem wśród pacjentów, jakby dobrze wiedziała, co robi,

- Och, maleńka moja - rzekł łamiącym się głosem. - Co ci

dzieląc się z nimi jedzeniem. Zupełnie, jakby już kiedyś

się stało?

pielęgnowała ludzi, pomyślał Jander. Szybko podszedł do niej i

Wtedy był świadkiem tajemniczego wybuchu jej szału po

odwrócił ją tak, by spojrzała mu w twarz.

raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni. Najboleśniej odczuwał

- Na bogów - wyszeptał. - Nie urodziłaś się taka, prawda?

sprzeczność między jej żalnym stanem a pogodą ducha, jaką

Uśmiechnęła się doń pogodnie, nie przerywając swojego

okazywała przez większość czasu. Potrafiła mieć się dobrze przez

zajęcia. Był wstrząśnięty, czuł, jak nagle wypełnia go szalona

kilka dni, czasem nawet tygodni czy miesięcy, gdy nagle, bez

nadzieja. Jeśli kiedyś była zdrowa, może znów ozdrowieje? Czy

ostrzeżenia, jej wewnętrzny spokój pryskał i ponownie chciała

byłby w stanie zawrócić ją z krawędzi obłądu?

wydrapać sobie przejście w gołej skale, desperacko próbując uciec

Jedno wiedział na pewno: musi spróbować.

przed istniejącym wyłącznie w jej obłąkanym umyśle

Zanim napotkał ten „kwiatusek”, Jander zwyczajnie

zagrożeniem.

egzystował, od nocy do nocy, odżywiając się krwią zwierząt.

Jander robił co mógł, aby chronić dziewczynę przed

Pielęgnował swój nocny ogród, czerpiąc pociechę z pracy w ziemi

bólem, który sama sobie zadawała, przytrzymując jej ramiona z

i przyglądając się, jak rośliny rosną. Odkąd stał się wampirem, żył

tyłu lub przyciskając je do boków, a czasem chwytając ją w

z dala od wszystkiego, co za życia kochał najbardziej.

uścisku tak ciasnym, że w ogóle nie mogła się poruszyć. Zawsze

Ale dziewczynie z przytułku nie przeszkadzała jego

wreszcie uspokajała się i na powrót przemieniała w spokojny

wampirza natura. Widząc go, cieszyła się za każdym razem tak kwiat. Po jednym z takich wybuchów Jander trzymał ją w samo, chociaż wypowiadała zaledwie fragmenty słów, których nie objęciach, czując odpływające z jej ciała napięcie. Pozwolił sobie rozpoznawał. Minęły tygodnie, ale wreszcie nauczył ją jeść to, co oprzeć głowę na włosach kobiety, ciesząc się, że przestała przynosił i nawet zaczęła przybierać na wadze.

walczyć, a ona odchyliła się nieco i spojrzała w górę, na jego Miało się już ku jesieni, kiedy którejś nocy, gdy siedzieli twarz. Jej usta poruszyły się bezgłośnie. Jander napiął mięśnie, razem, kobieta nagle spięła się w sobie i wysunęła z objęć elfa. kiedy położyła dłoń na sercu i wyrzuciła z siebie dziwną Grymas zmartwienia wykrzywił jej usta.

kombinację dźwięków. Potrząsnął głową na znak, że nie - Co się stało? - zagadnął Jander.

zrozumiał, ona zaś powtórnie wybełkotała coś niezrozumiale, po Zdawała się go nie słyszeć. Gwałtownie zerwała się na czym nagle wyraźnie rzekła:

nogi, cały czas skupiona. Zaniepokojony pociągnął ją lekko za Anna. Elf osłupiał. ubranie.

- To twoje imię? Anna? Przytaknęła, czujnie mu się Dziewczyna wrzasnęła, co wywołało podobne, hałaśliwe przyglądając.

odpowiedzi jej towarzyszy niedoli, łączące się w piekielne
- Jestem Jander - odparł, i sam się zdziwił, jak bardzo
crescendo. Zaczęła ścisnąć i załamywać ręce, a każdy mięsień w
chciał usłyszeć swoje imię wypowiedziane przez te słodkie,
wychudzonym ciele zdawał się być napięty pod wpływem
różowe usta. Ale myśli Anny znów skierowały się do wewnątrz, a
najczystsze strachu. Popatrzyła obłąkanym wzrokiem dookoła,
cudowne oczy powlekła pozbawiona wyrazu szklistość. Tej nocy
jakby szukając drogi ucieczki, wydała z siebie niski jęk, jak
już się więcej nie odezwała.

schwytnie w pułapkę zwierzę, i rzuciła się na ścianę, drapiąc
Mieszkańcy przytułku ciężko przeżyli zimę. Jander ukradł
szorstki kamień paznokciami i desperacko wałąc w nieustępliwą
kilka koców i starał się zapewnić Annie tyle ciepła, ile mógł.
powierzchnię.

Najchętniej zostawiłby jej ciepłe okrycie, ale strażnicy,
- Nie! - krzyknął Jander. Błyskawicznie znalazł się przy
zauważywszy je, mogliby nabrać podejrzeń co do ich
niej i odciągnął ją od ściany. Silnymi dłońmi ciasno oplótł
pochodzenia. Dopiero wiosną mógł świętować kolejne
nadgarstki dziewczyny, a ona jeszcze przez chwilę walczyła z
zwycięstwo.

nim, zawodząc żałośnie, po czym osunęła mu się w ramiona.
Ledwie zmierzch poczerńiał, wampir zmaterializował się

Krwawe odciski dłoni znaczyły mur; czuł, jak ciepła wilgoć ścieka w celi. w jego ogrodzie rozkwitały już kwiaty i zbierał mały mu wzdłuż palców - porządnie poraniła sobie ręce i teraz dłonie i bukiet dla Anny. Może dzięki nim zdobędzie jeszcze jeden przedramiona miała lepkie od krwi.

promienny uśmiech, jaki już kilkakroć dostrzegł. Ledwie mgła z oczami utkwionymi w odbite od czerwieni światło zgęstniała, przybierając jego smukły kształt, dziewczyna pochodni Jander oblizał wargi, czując budzący się głód. Oderwał rozpoznała go i obdarowała na powitanie uśmiechem, który wzrok i spojrzał dziewczynie w oczy - to, co ujrzał w ich głębi, rozjaśnił jej twarz i sprawił, że znów wyglądała na zdrową. mocno go poruszyło.

Wyciągnęła do niego ręce, niczym dziecko do ukochanego rodzica, którego nazbyt długo nie widziało.

- My tam myślím, że czar jakiś, panie. Nikt tak długo nie

Złożył jej w ramionach pachnący upominek.

może tak wyglądać bez jakowejś magii.

- To dla ciebie, najdroższa - rzekł jedwabistym, pełnym

Jander spał się cały, odruchowo zaciskając dłonie w

delikatności głosem.

pięści. Magia! To by wiele wyjaśniało. Poczł narastający gniew

Anna zanurzyła twarz w kwiatach, a potem podniosła na

na wspomnienie tajemnej sztuki, ale próbował go stłumić.

niego swe wielkie, łagodne oczy.

Elf-wampir nienawidził magii. Kiedyś była jego drugą

- Sir! - krzyknęła uszczęśliwiona i rozsypała kwiaty po

naturą i do tej pory władał odrobiną elfiej sztuki - zupełnie błahym

podłodze rzucając mu się na szyję.

tego dowodem były umiejętności związane z hodowlą roślin.

Z radością odwzajemnił uścisk. Kiedy tak czule tulił ją do

Jednak przez lata magia wielokroć go zawodziła w naprawdę

siebie, zdał sobie sprawę, że jego uczucie do niej uległo zmianie.

ważnych sprawach, toteż teraz nie ufał jej, nawet jeśli pochodziła

Aż do tej chwili myślał o niej jak o zranionym leśnym zwierzątku,

z dobrego źródła. Pomysł, że Anna padła ofiarą jakiegoś

które potrzebuje delikatności i opieki. Tak też się o nią troszczył,

złośliwego zaklęcia, rozwścieczył go. Zmusił się do opanowania i

przecząc prawdzie, której ujawnienia teraz nic nie mogło

słuchał dalej.

powstrzymać. Czy tego chciał, czy nie - Jander był zakochany.

- Czy ktoś próbował zdjąć zaklęcie?

Anna, jakby wyczuwając w elfie zmianę, objęła go jeszcze

- Ni. Ona jest bez rodziny, nikt by nie zapłacił. Jander

ciaśniej, jedną dłonią bawiąc się jego złotymi włosami na karku.

przygryzł nerwowo dolną wargę. Jeśli kapłan Lathandera spróbuje

Uczucia, dotąd martwe tak jak ciało Jandera, nagle rozbłysły

uwolnić Annę spod mocy czaru, który tyle lat trzymał ją przy

nowym płomieniem; namiętność mieszała się z pragnieniem

życiu, równie dobrze może ją to zabić. Najwyraźniej kleryk

wampira, woń jej krwi była obezwładniająca. Elf poddał się

pomyślał tak samo:

szalejącym w nim emocjom i z jękiem złożył pocałunek na szyi

- Spróbowałbym, ale boję się. To mogłoby być

dziewczyny. Kły wysunęły się szybko i zdecydowanie, ale

niebezpieczne.

delikatnie przebiły białą skórę: to miał być uścisk kochanka, nie

Strażnik zaśmiał się krótko, nosowo, chrapliwie.

drapieżnika, i choć przy pierwszym ukłuciu bólu Annie zapało

- A co to za życie ma dziewczucha? Może lepiej, coby

dech w piersi, nie odsunęła się od niego.

umarła.

Oczy elfa zwęziły się w gniewie.

Jander miał się właśnie zmaterializować w domu

- Może - doszedł go głos kapłana, teraz już po prostu

obłąkanych, kiedy do jego uszu dotarły głosy. Rozpłaszczyl się

lodowaty - gdybyście lepiej doglądali tego miejsca, nie byłoby

przy drzwiach, przypominając szaroniebieski cień, i z wyteżoną

takim ściekiem jak teraz. Pomówię o tym z twoim przełożonym.

uwagą nasłuchiwał dochodzącej ze środka rozmowy.

Wampir usłyszał dźwięk otwieranych drzwi celi i na

- Taka śliczna - ten głos był ciepły i delikatny.

powrót wtopił się w cień. Stamtąd przyglądał się, jak kleryk

- Taaa, faktycznie - zgodził się z nim drugi, w którym

Lathandera wynurzył się z pomieszczenia, z ulgą wdychając

Jander rozpoznał jednego ze strażników. - Wygląda tak samo już

świeże powietrze. Był młody, miał jakieś trzydzieści kilka lat i

od więcej niż setki lat. Mój dziadek też tu pracował. Wcale się od

poruszał się ze spokojnym wdziękiem. Miał długie, brązowe

tego czasu nie zmieniła.

włosy, a jego szata, choć w pięknych odcieniach złota i różu, była

- Naprawdę? Biedne dziecko. Patrz! Chyba mnie

prosta. Dumna postawa i to, co mówił, stawiały go wysoko w

zrozumiała!

oczach Jandera; poza tym elfowi, zanim nie spadła na niego

- Eeee tam, robi z ciebie głupiego. Nic nie rozumie. Tak

wielka ciemność, na zawsze odbierając jego oczom widok świtu,

już sto lat.

zawsze podobały się nauki Lathandera, Pana Poranka,

- Tak, już mi to mówiłeś - głos brzmiał znacznie chłodniej

złotoskórego boga świtu i początków.

niż poprzednio. Jander uśmiechnął się; każdy, kto bronił Anny, był

Kiedy tylko wartownik ponownie zajął swe stanowisko na

jego przyjacielem. Przesunął się i przyłożył szpiczaste ucho do

zewnątrz żeńskiej celi, Jander zmienił się w mgłę i przeniknął do

kamiennej ściany.

wewnątrz. Od razu podszedł do Anny, objął ją i mocno przytulił.

Poruszyło go to, co powiedział strażnik. Czyżby

- Magia. Tb magia ci to uczyniła. Och, Anno! - Nagle

rzeczywiście przebywała tu uwięziona, niezmienna, od ponad

ogarnęło go bezgraniczne współczucie dla jej losu. Ujął twarz

wieku? Odliczył w myśli pory roku. Czas nic nie znaczył dla

dziewczyny w dłonie, pocałował głęboko - gdy nagle zaskoczyło

wampira, ale był zszokowany, gdy uprzytomnił sobie, że już od z

go ukłucie bólu. Odsunął się gwałtownie, unosząc złotą dłoń do

górną dziesięciu lat odwiedza Annę.

szczypiącej ranki po ugryzieniu.

Miły głos mówił dalej:

Anna w kolejnym napadzie szału krzyczała i biła rękami w

- Lathander jest bogiem nadziei, a ta przychodzi każdego

ściany. Jander jak zwykle zaczął ją uspokajać, a kiedy po chwili

dnia na nowo, wraz ze świtem. Nie zapominaj o tym, mój synu.

wszystko minęło i spojrzała na niego, jej oczy wyrażały skrucę.

Co przysporzyło cierpień tej kobiecie?

Elf objął ją niepewnie, z ulgą, z wolna zasypując dzielącą ich



szczelinę, którą mimowolnie otworzył.

Jego miłość nie wystarczy, żeby ją wyleczyć; musi znaleźć

Nie próbował jej więcej pocałować. Najwyraźniej ten kogoś, kto się na tym zna. Ludzie opiekujący się tym miejscem z dowód uczucia wyzwolił coś w jej oszalałym umyśle. pewnością nie przejmowali się jedną chorą wariatką. Miał jednak - Kto ci to zrobił, kochanie? - wyszeptał, tuląc ją delikatnie nadzieję, że wie, kto się przejmie. i nie oczekując odpowiedzi.

Kiedy szedł opustoszałymi uliczkami Waterdeep, nawet - Barovia - odparła, całkiem wyraźnie. Nie powiedziała nic nie próbował kryć się w cieniu. Przeszedł przez nędzną dzielnicę więcej.

portową i dotarł do bardziej zadbanej dzielnicy Zamkowej. Ludzi Barovia. Dziwnie brzmiało to słowo, kiedy wampir je przybywało i miasto znacznie rozrosło się od czasu, kiedy Jander powtarzał. Czy to czyjeś imię, czy nazwa miejsca, a może w jej był tu ostatnio. Wśród nowych budynków poczuł się przez chwilę dziwnym języku słowo to oznacza jakieś działanie lub ideę? Nie zagubiony, ale w końcu znalazł to, czego szukał.

miął skąd się tego dowiedzieć. Rozumiał tylko, że ktoś lub coś Igllice Poranka wciąż przyciągały uwagę. Kiedy Jander związane ze słowem „Barovia” było odpowiedzialne za obecny oglądał je jakieś sto lat temu, budynek był całkiem nowy, teraz zaś stan Anny.

nosił tylko niewielkie ślady działania pogody i czasu. Gmach był

Zamierzał dowiedzieć się, o kogo chodzi.

kamienny, tylko drzwi z pieczołowicie wyrzeźbioną postacią

Lathandera, Pana Poranka, zrobiono z drewna. Bóg został

przedstawiony jako młody człowiek, odziany w powłóczyste

szaty, na tle wschodzącego słońca. Jander zawahał się, po czym

DWA

zapukał natarczywie.

Nikt mu nie odpowiedział, więc zniecierpliwiony

ponownie uderzył w drewniane odrzwia. Gdzieś u góry ktoś

W Waterdeep dni i noce płynęły normalnym

otworzył okiennice i spojrzął na niego. Jander nie widział

rytmem. Minął kolejny rok, później jeszcze jeden, ale czas

mówiącego, ale w głosie pobrzmiewało senne rozbawienie.

nie

miał znaczenia dla nieumarłej istoty i zaklętej,

- Nie musisz wyważać drzwi, stoją otworem dla każdego,

obląkanej kobiety. Niewiele udało się Janderowi osiągnąć, ale z

kto chciałby wejść. Wejdz i ty!

cierpliwością godną umarłego nie ustawał w wysiłkach i cieszył

Jander nie mógł w żadnym wypadku wejść do świętego

się każdym, choćby najmniejszym zwycięstwem.

miejsca, nawet jeśli został zaproszony.

W samym środku zimy, niemal trzydzieści lat po poznaniu

- Nie mogę - odkrzyknął więc. - Tb zbyt pilne. W

Anny, czas nagle zaczął odgrywać rolę.

prztyłku dla obląkanych jest ktoś chory. Czy przyjdiesz tam?

Gdy tylko noc spowiła ziemię, Jander pojawił się w celi

Kapłan się nie wahał.

przynosząc żywność i koce. Anna leżała bezwładnie w kącie, nie

- Oczywiście. Jedną chwili... - Jander zniknął już, biegnąc z

powitała go swoim normalnym, ciepłym uśmiechem.

powrotem. Kleryk przybył w pół godziny później, przynosząc

- Anna? - Nie poruszyła się na dźwięk jego głosu.

rozmaite zioła i święte symbole. Elf rozpoznał w nim młodego

Przestraszony Jander podbiegł do dziewczyny i delikatnie

kapłana, którego rozmowę ze strażnikiem podsłuchał przed

pogłaskał ją po włosach. - Anno, kochanie, co się stało?

trzydziestu laty - teraz miał sześćdziesiąt parę lat, ale wciąż

Ostrożnie obrócił ją i serce w nim zamarło.

dobrze wyglądał. Włosy, dziś już siwe, były równie długie i gęste,

- Na bogów - wyrwało mu się z piersi. Twarz kobiety,

jak wówczas. Pobrużdżona twarz wyrażała dobroć i troskę.

zwykle tak bladą z braku słońca, pokrywały rumieńce, a kiedy

Jander wpuścił go do celi.

dotknął jej czoła, z przerażeniem stwierdził, że jest rozpalone i

- Tam, w rogu - powiedział ubranemu w różową szatę

suche. Oddychała szybko, płytko, oczy zaś błyszczały

mężczyźnie. - Ma gorączkę.

nienaturalnie.

Siwowłosy kapłan uklęknął przy dziewczynie i zaczął ją

Elf poczuł, jak panika ściska mu wnętrzności lodowatą

delikatnie badać. Zmarszczki wokół brązowych oczu pogłębiły

dłonią. Od tak dawna nie musiał walczyć z żadną chorobą że

się, kiedy spytał:

prawie zapomniał, co robić. Gorączka. Jak się leczy gorączkę?

- Jak długo jest w takim stanie?

Zaczął drzeć na całym ciele i ze złością zmusił się do opanowania.

- Będzie już cztery dni.

Zawinął ukochaną w koc i tulił przez całą noc do siebie, drżącą i

- Czemu nie wezwano mnie wcześniej?

pojękującą. Gorączka nie ustąpiła.

- Nie wiem.

Zajmował się nią tak przez następne cztery dni, dając jej

Kleryk posłał mu srogie spojrzenie.

wodę do picia i przemawiając do niej cały czas, aż zasychało mu

- Jesteś jednym ze strażników, powinieneś być... - zaczął.

w gardle. Straciła na wadze tyle, ile przedtem zyskała pod jego

- Nie, jestem tylko... przyjacielem. Czy możesz jej pomóc?

opieką. Kiedy gorączka nadal nie chciała się zmniejszyć, Jander

Kapłan wyglądał, jakby miał zamiar coś dodać, ale

podjął decyzję.

powstrzymał się na widok malującego się na twarzy Jandera

zmartwienia.

innego wyjścia: Anna była umierająca, a on nie mógł znieść myśli

- Spróbuję, synu.

o rozstaniu.

Godziny wlokły się śmiertelnie powoli; kapłan modlił się,

- Anno, kochanie - odezwał się cicho. - Gdybyśmy mogli

śpiewał psalmy, przyrządzał zioła, obmywał nieprzytomną

jakoś inaczej być razem...

dziewczynę wodą święconą - wszystko bez skutku. Wreszcie,

Smukłą dłonią pogładził jej twarz, gorącą, suchą i

zmęczony i wymizerowany, potrząsnął głową i zaczął pakować

zaczerwienioną od płynącej wewnątrz krwi. Nie mogąc się już

swoje rzeczy.

dłużej powstrzymywać, pocałował ją. Przesunął trupio zimne usta

- Naprawdę, przykro mi. Zrobiłem, co mogłem, teraz jest

na szyję dziewczyny i przycisnął do pulsującej żyły. Gdyby

w rękach bogów.

wierzył, że którykolwiek z bogów przywiązuje do tego wagę,

Jander pokręcił głową, nie mogąc pojąć.

pomodliłby się o powodzenie nocnego przedsięwzięcia: to, czego

- Nie. Jesteś kapłanem. Musisz umieć coś z tym zrobić.

chciał spróbować, niosło obietnicę, ale i groźbę. W tej samej

- Nie jestem Panem Poranka - odparł kleryk ze smutnym

chwili poczuł znajome, słodkawo - gorzkie bolesne ukłucie w

uśmiechem. - Choć ty mógłbyś nim być. Zawsze, gdy widzę

ustach, kiedy wysunęły się kły, gotowe przebić gładką biel skóry,

słonecznego elfa, zapiera mi dech w piersi. Zastanawiam się, czy

aby mógł pić. Błyskawicznie, zanim zdążyła go opuścić odwaga,

to możliwe, żeby twój lud bliższy był bogom niż my, śmiertelni -

Jander wgrzył się w szyję dziewczyny głębiej niż kiedykolwiek

tak jesteś do niego podobny.

przedtem. Przez krótką chwilę skóra była napięta, po czym pękła i

- Mówiono mi to już - warknął wampir - ale czy sądzisz, że

popłynął strumień gorącego płynu.

gdybym nim był, to pozwoliłbym jej umrzeć?

Anna wciągnęła powietrze i czując ból próbowała walczyć,

Kapłan nie poczuł się urażony, tylko przyjrzał mu się ze

nie mogła jednak wyrwać się z jego uścisku, gdyż siła wampira

współczuciem.

znacznie przewyższała siłę zwykłego śmiertelnika. Stopniowo

- Uleczenie tej choroby nie leży w mej mocy. Myślę, że

uspokajała się, by w końcu zwisnąć bezwładnie w ramionach elfa.

została wywołana magicznie. Może ma to coś wspólnego z tym, że

Jander łączywie pił ciepłą ciecz o metalicznym posmaku,

się nie starzeje. Jeśli spróbowałbym czegoś więcej, mógłbym ją

spluwającą mu do gardła. Zawarta w niej siła życiowa powoli

zabić.

przywracała mu moc i wyostrzała zmysły. Dawno już nie pozwolił

- Nigdy dotąd Jander nie czuł się tak bezradny. Wpatrywał

sobie na taką ucztę; zdążył niemal zapomnieć o uniesieniu i

się w Annę rozszerzonymi z bólu oczyma.

rozpaleniu, jakich dostarczał prawdziwy pokarm. Poczuł, że daje

- Magia - wyszeptał. - Niech będzie przeklęta wszelka

się ponieść rozkoszy i tylko niejasno zdał sobie sprawę, że płyn
magia.

zmienił smak - smakował teraz popiołem i pustką.

- Chodź, synu - łagodnie rzekł kapłan, kładąc mu dłoń na

Nagle przerwał. Niewiele brakowało, żeby posunął się za

ramieniu i próbując poprowadzić ku drzwiom. - Niewiele brakuje,

daleko i pod wpływem głodu wyssał z Anny całą krew. Nie

żebyś i ty zachorował; już masz zimną skórę.

wypuszczając jej z potężnego uścisku jednego ramienia szybkim

Złotoskóry wampir strząsnął jego rękę.

ruchem szponiastego paznokcia rozciął sobie gardło. Z głębokiego

- Nie - odparł. - Ja zostaję.

rozcięcia trysnęła świeża krew - jej krew. Jander przytulił ją bliżej,

- Ale...

niczym lalkę i przysunął jej usta do swej szyi.

Elf skierował spojrzenie srebrzystych oczu wprost na

- Pij, ukochana - rzekł chrapliwie. - Pij i bądź jednym ze

niego.

mną!

- Może i masz rację - ustąpił kapłan. - Pewien jestem, że

Nie poruszyła się. Pod wpływem nagłego strachu

trochę czułości dobrze jej zrobi.

przycisnął jej twarz mocniej do rany.

Podszedł do drewnianych drzwi celi i otworzył je

- Anno, pij!

szarpnięciem.

Słabo próbowała go odepchnąć. Rzucił oszalałe spojrzenie

- Panie...

w dół, na jej twarz i zobaczył, że uśmiecha się pogodnie,

Kapłan zatrzymał się. - Tak, synu?

promiennie, spod krwawej, karminowej maski. Teraz, gdy

- Dziękuję.

umęczoną dziewczynę dzieliło od śmierci ledwie kilka uderzeń

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

serca, niczym błogosławieństwo wróciła jej jakaś część zmysłów.

- Będę się za nią modlił. Za ciebie też - dorzucił i zniknął.

Oczywiste było, że w tej chwili panuje nad własnym umysłem - i

Jander usiadł przy kobiecie, którą opiekował się przez

dokonała wyboru. Odrzuciła stan wiecznego życia w śmierci,

ostatnie trzydzieści lat. Wciąż - miała gorączkę, a choć przytomna,

który próbował jej narzucić. Siły opuszczały ją, ale zachowała

najwyraźniej nie była w stanie go rozpoznać. Elf oparł policzek na

dość energii, by unieść drobną dłoń, dotykając jego złocistej

głowie dziewczyny i zacisnął mocniej lodowatą dłoń na jej

twarzy, zadowolona, a nawet szczęśliwa z powodu podjętej

ramieniu.

decyzji.

Bez zastanowienia podjął śmiertelną decyzję. Nie miał

Panie - wyszeptała, a po jej bladym policzku spłynęła jedna łza. Ostatni raz zamknęła wspaniałe oczy, po czym głowa zaledwie słabym, służalczym wampirem, jego niewolnicą. Nigdy opadła bezwładnie na drżące ramię Jandera.

nie stanie się niczym więcej, przez całą wieczność, bo niewolnicy Anno? - Jander wiedział, rzecz jasna, że dziewczyna nie nie mogą przeistoczyć się w niezależne stworzenia, dopóki istnieje żyje, ale powtarzał nieprzytomnie: - Anna? Anna?

ich władca.

Oprzytomniał na krótko przed świtem.

- Anno, nigdy nie chciałem ci tego zrobić - rzekł łamiącym

Kiedy na powrót zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje,

się głosem. - Już śmierć byłaby lepsza.

oczy miał zamknięte. Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, była

Ze znużeniem, powoli wstał z klęczek i rozejrzał się po

cisza. Ani jeden jęk czy skomlenie nie docierały do jego uszu.

leżących wszędzie ciałach, aż dostrzegł to, co pozostało ze

Żadnych oddechów, szelestów, nic. Później poczuł zapach -

strażnika. Przeszukał zakrwawione zwłoki, znalazł kółko z

gorący, metaliczny, znajomy mu równie dobrze, jak własne imię.

kluczami, po czym otworzył ciężkie, drewniane drzwi i podszedł

Leżał na zimnej, kamiennej podłodze. Dopiero próbując

do drugiego głównego pomieszczenia. Przez króciutką chwilę

się podnieść stwierdził, że przed paru godzinami przybrał wilczą

zastanawiał się, czy słusznie czyni, ale odsunął wątpliwości.
postać. Wciąż nie otwierając srebrzystych oczu oblizał szczęki,
Włożył w zamek duży wytrych, dwukrotnie przekręcił i pchnął
poznając smak płynu o zapachu miedzi. Co zrobił? Nie chciał
odrzwia. Większość znajdujących się wewnątrz obłąkanych w
wiedzieć, ale musiał stawić czoło temu, czego dokonał. Wilk o
ogóle nie zwróciła na niego uwagi, ale kilku podpełzło niepewnie
złotej sierści powoli otworzył oczy.

do progu i wyjrzało na zewnątrz. Elf przebiegł po całej celi,
Żadnej z godnych pożałowania, nieszczęsnych kobiet nie
krzycząc i wymachując rękoma, aby wypędzić uwięzionych na
pozostawił przy życiu. Widok rzezi sprawiał wrażenie obrazka z
swobodę. Kiedy ostatni z nich zniknął, Jander, przewycięzając
jakiegoś odrażającego karnawału. Pacjentki przytułku leżały
obrzydzenie, otworzył również wszystkie izolatki.

porozrzucone na podłodze jak zapomniane dziecięce zabawki,
Przytułek opustoszał, jeśli nie liczyć martwych. Wampir
niektóre na siennikach, inne znów ma posadzce. Wszystkie miały
wrócił co żeńskiej celi i jeszcze raz uklęknął przy Annie. Pozwolił
rozszarpane gardła, otwarte na podobieństwo drugich ust.

sobie na ostatni pocałunek - dar, którego przerażona odmawiała
Gdzieś walały się okaleczone ciała strażników, którzy
mu za życia, następnie wyjął z uchwytu na ścianie pochodnię i
nierozważnie próbowali powstrzymać jatkę. Zamiast zwykłej

rzucił na leżącą na podłodze słomę. Ogień rozgorzał szybko i szarości kamienia w obrazie dominowała czerwień, jakby to samo Jander jeszcze przez kilka minut wahał się.

dziecko, które niedbale rozrzuciło wokoło ciała, porozlewało Poczł pokusę zakończenia w tym miejscu swej nędznej wszędzie kubły szkarłatu.

egzystencji, spalenia się na popiół wraz z Anną. W ciągu kilku Jęk wyrwał się z ust Jandera - nie mógł sobie nawet ostatnich stuleci myśl ta parokrotnie przychodziła mu do głowy, przypomnieć, jak ich zaatakował! Zabijał już przedtem, wiele ale za każdym razem odrzucał samobójstwo. Istniały rzeczy razy. Czasem sprawiało mu to przyjemność. Nie zdawał sobie gorsze od wampirów i gdyby zginął, stałby się jedną z nich.

jednak sprawy, że jest zdolny do takiej totalnej rzezi. Ludzie, Dym poczerniał i zgęstniał, zanim Jander wybiegł na którzy teraz leżeli dookoła w upiornych kałużach posoki, nie byli chłodne, świeże powietrze nocy. Nie chciał patrzeć, jak ciało jego wrogami; nie byli nawet pokarmem, mającym zaspokoić jego Anny się pali, ale zdawał sobie sprawę, iż jest to jedyny sposób, przeklęty, nadnaturalny głód.

Dokonał bezsensownego

aby jej umęczona dusza zaznała ostatecznego spoczynku.

morderstwa i elfia część jego natury, ta część, która wciąż kochała

Bezszelestnie ruszył na zachód, szczelniej otulając

światło, muzykę i piękno, była wstrząśnięta.

plaszczem smukłe ciało. Mroźne powietrze zimowej nocy nie

Pełnia grozy tego, co uczynił, przygniotła go, jak kamień

przeszkadzało mu; wprawdzie dotyk wampira jest zimny, jeśli nie

na grobie. Zabici przez wampira skazani byli na powstanie z

pożywi się wcześniej, ale sami nieumarli nie odczuwają chłodu.

martwych, również jako wampiry. Nie jestem pewien, czy ci

Dążąc pustymi ulicami ku obrzeżom miasta słyszał dobiegające

nieszczęśni będą w stanie powstać, pomyślał ponuro - dosłownie

zza pleców dźwięki, świadczące o tym, że ludzie się budzą. Miał

rozdarł ich na strzępy, a nie wyssał krew. Nadal jednak była to

nadzieję, że pomoc nadejdzie zbyt późno, by zapobiec zniszczeniu

myśl zdolna każdego przyprawić o dreszcze: setka szalonych

ciała dziewczyny.

wampirów, włóczących się nocą po Wybrzeżu Mieczy.

Wampir opuścił Waterdeep i ruszył ku dającym

Jander skierował swoje obłąkane spojrzenie ku Annie.

schronienie lasom. Trawę pod jego stopami pokrywał szron, ale

Przeszedł przemianę: smukłe, złociste wilcze członki rozplynęły

kiedy szedł po niej w szarych butach nie słychać było żadnego

się w mgłę i zmaterializowały ponownie w kształcie elfa. Podniósł

dźwięku. Masywne, ciche sylwetki nagich drzew nie wyglądały

delikatne ciało dziewczyny i przez moment tulił w ramionach.

przyjaźnie. Elf oparł się o pień i podniósł wzrok na niebo.

Później ostrożnie złożył zwłoki na sienniku i najlepiej, jak mógł,

Księżyc, w pół drogi do pełni, bladł właśnie w lawendowych i

otarł jej twarz z krwi.

różowych odcieniach nadchodzącego poranka, jednak Jander miał

Próbował uczynić z niej swoją partnerkę, ale nie chciała

jeszcze dobre pół godziny, zanim będzie musiał schronić się w

pić jego krwi. Kiedy za kilka nocy wstanie jako nieumarła, będzie

jaskini.

Piękno przedświtu bardziej przerażało wstrząśniętego

nadeszła po nim. Kiedy mgła pojawiła się mieście, otuliła go

wampira, niż dodawało mu sił. Był nieumarłym; znikąd nie mógł

całkowicie. Rozpalone myśli o zemście wypełniały jego umysł

oczekiwać akceptacji. Nawet Anna odrzuciła dar, który jej

tak, jak mgła wypełniła las, ale zachował dość przytomności, aby

ofiarował - życie w śmierci. Od trzydziestu lat była jedynym

pamiętać, że ma niewiele czasu na powrót do jaskini.

światełkiem nadziei, które sprawiało, że jego istnienie stawało się

Przeistoczył się w nietoperza i pomknął w stronę

znośne. A teraz nie było nic, nikogo. Któż ulitowałby się nad

wilgotnej, podziemnej kryjówki, którą zwał teraz domem. Z

losem wampira?

powodu mgły nic nie było widać, ale nietoperze orientują się w

- Nie wybrałem tego życia! - wykrzyknął wściekle w

przestrzeni wydając wysokie dźwięki, które odbijając się od

stronę pustego nieba. - Nie uczyniłem niczego, żeby na nie

obiektów wracają do wrażliwych uszu. Jander jednak ze

zasłużyć! Nie dość się wycierpiałem w tym stanie? Czy dla takich,

zdumieniem stwierdził, że przeszywające piski, które dobywał z

jak ja, nie ma miłosierdzia?

siebie, nie docierały doń z powrotem. Z determinacją leciał dalej,

W niezmaconej nocy nie znalazł żadnej odpowiedzi.

machając błoniastymi skrzydłami i ponuro tłumiąc myśl, że

Zacisnął pięści.

mógłby zgubić się w tej gęstej, szarej mgle.

- Anno! - jęknął, jego głos był przeszywający. Elf upadł na

Uplętnęło zatrważająco wiele czasu, nim wreszcie usłyszał

kolana. - Anno... - Zabił to, co najgoręcej ukochał. Nie miał

echo. Sfrunął na ziemię i ponownie przybrał elfią postać. Mgła

takiego zamiaru, ale teraz było to bez znaczenia.

podnosiła się i rozpraszała równie szybko, jak przedtem się

A może uwolniłeś ją?! Niczym szept nadleciała

pojawiła, odsłaniając krajobraz tak odmieniony, że Jander nie

nieoczekiwana myśl. Wampir uczepił się tej nadziei. Zmusił się,

mógł uwierzyć własnym oczom.

by przypomnieć sobie jej senny obłąd. Złość, którą kierował do

Przede wszystkim próbował przecież umknąć przed siebie samego i swojej nieumarłej natury, zaczęła koncentrować nadejściem świtu; tymczasem, sądząc z położenia księżyca na się gdzie indziej. Anna była czymś pięknym, co przemknęło przez niebie, było jeszcze przed północą. Elf zmarszczył brwi. Z samym jego życie i nadało sens dalszemu istnieniu. Teraz też miał powód: księżycem też działo się coś nie tak - kiedy spoglądał nań zemsta. Już czuł pewność, że ktoś uczynił dziewczynie coś poprzednio, dopiero zbliżał się do pełni, teraz zaś była pełnia. przerażającego, co sprawiło, że straciła zmysły.

Nawet gwiazdy nie przypominały konstelacji, których układ To był większy grzech niż jego. Przepelniony tym nowym poznał w ciągu stuleci obserwacji. Wszystko wyglądało obco. postanowieniem, wznosił ramiona ku blednącemu niebu.

Co się działo? Przez chwilę Jander myślał, że zbyt wiele - Usłyszcie mnie, bogowie! Usłyszcie mnie, moce nocy spędził wśród obłąkanych; może teraz i on oszalał? Nie ciemności i bólu! Jeśli jest ktoś, kto ją skrzywdził, znajdę go i umiał tego wyjaśnić, ale zgodnie z tym, co mówiły mu zmysły, nie zniszczę. Ukarzcie mnie, jeśli taka wasza wola, bo moje ręce nie znajdował się już w Waterdeep. Sądzą po nieznanym gwiazdach są czyste. Ale nie odmawiajcie mi zemsty! nie znajdował się nawet na Torii.

Nigdy dotąd, ani przez pięćset lat życia w śmierci, ani

Przeszedł go dreszcz, choć powietrze było łagodne i pełne przedtem, w ciągu dwustu lat śmiertelnego żywota, Jander nie aromatów wiosny. Magia.

przemawiał z taką boleścią. Nienawiść zatrzała jego słowa i dobra, Księżyc chował się i wyłaniał zza kłębow chmur, na czysta ziemia Torii aż wzdrygnęła się od jadu, jaki z nich płynął.

przemian odsłaniając i kryjąc przed Janderem okolicę, w której się Ale były i inne moce, o wiele bardziej zdeprawowane niż znalazł. Zamiast skrytej pod skorupą szronu trawy stał na drodze, wszystko, co zamieszkiwało Torii, które spijały klątwę Jandera nieźle utrzymanej, acz nieczęsto używanej. Poboczami, niczym nektar.

pochylając się nad elfem, ciągnęły się wysokie sylwetki drzew - w W Waterdeep, jak na port przystało, mgły nie należały do pełni rozkwitłych jabłoni; płatki kwiatów osypywały się na rzadkości, ale jeszcze w wiele lat później mieszkańcy dzielnicy ziemię, gdy wietrzyk poruszał ich koronami. Nieco dalej droga Portowej ściszały głos, wspominając paskudną mgłę, która wijąc się wspinała się na przełęcz, po czym stromo opadała w dół.

niespodziewanie spowiała port akurat tego ranka. Nadciągnęła znad Jander wspinał się na przełęcz i spojrzał w dolinę.

morza, niczym statek widmo, jak zawsze zimna i wilgotna, ale Zobaczył leżącą w dole wioskę, otoczoną olbrzymim tym razem było w niej coś niezwykłego. Ci spośród mieszkańców,

pierścieniem gęstej mgły, a na północ od drogi posępne
którzy nie spali, schronili się w domach lub skulili w łodziach,
zamczysko, niczym sęp przycupnięte nad miasteczkiem.
dopóki nie ustąpiła. Mars pojawił się na czołach śpiących, gdyż
Noc rozdarł ponury skowyt, wkrótce potem następne,
ich sny zmieniły się w koszmary. Opar przetaczał się ulicami ku
łącząc się w pełnej grozy harmonii. Źródło dźwięku przybliżało
zachodowi, niby wiedziony w tym kierunku. Szybko rozwiązał się
się z każdą chwilą, ale Jander nie przejmował się wilczą sforą. Nie
nad dokami, pozostawiając mglisty ranek, a południowe słońce
był likantropem, ale wiedział, co to znaczy biec na czterech łapach
rozproszyło ostatnie jego ślady. Zachód słońca tego dnia był
przez wzgórza, czując w nozdrzach palącą woń zwierzyny. Nie
oszałamiający.

spotkał jeszcze stworzenia, które nie byłoby posłuszne jego
Jander nie ujrzał ani tego zachodu, ani czystej nocy, która
rozkazom.



Wycie przybierało na sile. Elf odrzucił głowę do tyłu i
niespodzianek noc. Odzienie miał zupełnie czyste. Ktokolwiek
wciągnął powietrze w nozdrza; wyczuł zapach dzikiego
(lub cokolwiek) go tu sprowadził, zadbał o to, żeby bez kłopotów

zwierzęcia, zapach piżma. Sfora wbiegła na szczyt niewielkiego
mógł się wmieszać między mieszkańców.

wzniesienia i księżyc błysnął w ślepiach wilków. Były ogromne -
Elf uśmiechnął się niewesoło. Miał dziwne wrażenie, że
wielkie, włochate kształty wśród cieni i ciemności. Jander spojrział
ktoś go obserwuje. W takim razie pokażę temu, co mi się
wprost w oczy przewodnika stada. Przez chwilę mierzyli się
przygląda, że nie dam się zastraszyć, postanowił. Ściągnął kaptur i
wzrokiem. Wilk obejrzał się na swych towarzyszy, po czym znów
potrzęsnał głową, pozwalając włosom rozsypać się. Poprzysiągł
spojrzał na wampira, zadarł głowę i badawczo strzygł uszami.
zemstę, a jeśli szukając jej dotarł tutaj, niech i tak będzie.

Elf był nieco zaskoczony. Dotychczas istoty tego rodzaju

Kiedy wydłużonym, pewnym krokiem skierował się drogą
zawsze natychmiast wykonywały wydawane im w myśli rozkazy.

do otoczonej mgłą wioski, jego umysł wypełniło wspomnienie

Zmrużył oczy i skoncentrował się jeszcze mocniej. Odejdźcie,

Anny.

rozkazał im bez słów. Czuł siłę ich woli, przebiegłości, ich groźbę,

ale nie wykonały najmniejszego ruchu oznaczającego

posłuszeństwo. Odejdźcie!

TRZY

Wreszcie potężne bestie umknęły, a noc zamknęła się wokół nich.

- Żegnajcie, bracia - rzucił elf. Znów był sam.

Wieczność, zda się, upłynęła, zanim w domu

Chmura skryła księżyc i w nocnym mroku zaszła

zapanowała cisza. Anastazja podciągnęła haftowane

natychmiast subtelna zmiana; kwiecie jabłoni przypominało

pr

zykrycie pod samą brodę, udając, że śpi i próbowała

żałobny całun, bita droga wiła się niczym wąż. Mimo tęsknoty za

uspokoić walące jak młotem serce.

słońcem, Jander był stworzeniem ciemności i wiedział, że nie

Księżycowa poświata przedarła się przez szpary w

musi się jej obawiać, ale po plecach przebiegł mu dreszcz, jak pod

okiennicach do przestronnej, bogato umeblowanej komnaty,

dotknięciem lodowatych palców.

kładąc się plamami mlecznego światła na twarzyczce drzemiącej

Dawno temu, kiedy jeszcze w jego elfich żyłach płynęła

siostry. Figlarna buzia Ludmiły była spokojna; jej ciemne włosy

gorąca krew, znał to uczucie grozy, budzące się w mroku, ale i

rozsypały się na poduszce. Miała ledwie dziesięć lat i wspólne

wówczas bał się nie samej ciemności, lecz tego, co kryła przed

mieszkanie z nią znacznie utrudniało siedemnastoletniej Anastazji

wzrokiem. Teraz sam był jedną z tych przerażających,
to, co robiła przez ostatnich kilka tygodni.
czyhających w ukryciu rzeczy, jednak w tej dziwnej krainie
Anastazja odwróciła się, a szelest delikatnej pościeli
obawiał się nocy. Nawet ziemia pod jego stopami zdawała się być
zabrzmiał ogłuszająco w ciszy pokoju. Czekwała dalej. Kiedy
nie taka, jak powinna. Nazwał wilki „braćmi”, ale tylko z
wreszcie przestała słyszeć szmery zarówno z komnaty rodziców,
przyzwyczajenia - nie czuł, żeby były mu bliskie. Nie istniała
jak i pomieszczeń służby na dole, wysliznęła się z łóżka,
między nimi żadna więź. Wiedział, że gdyby nie starczyło mu siły
całkowicie odziana, w najzwyczajniejszym ubraniu: płóciennej bluzce
woli, by zmusić je do odwrotu, skoczyłyby na niego i rozszarpały
i prostej spódnicy. Ze stojącego przy łóżku stolika wzięła wstążkę
dla czystej przyjemności. Wilki z Faerun, poza nielicznymi
i związała nią włosy, po czym nałożyła buty.

wyjątkami,
były
zwyczajnymi
dzikimi
zwierzętami,

Spoconymi dłońmi wyszukała pod materacem schowany
przemierzającymi ziemię pod ciemnym niebem w poszukiwaniu
uprzednio kawałek liny. Nagle Ludmiła jęknęła przez sen.

pożywienia - niczym więcej. Natomiast te ogromne, kudłate bestie

Anastazja zamarła, ale dziecko nie obudziło się, więc tylko z ulgą

wypełniało zło, kiedy przyglądały mu się złowrogo.

przymknęła oczy. Przywiązawszy solidnie jeden koniec liny do

Ponownie skierował swą uwagę ku jedynym oznakom

nogi łoża, najciszej, jak tylko potrafiła, otworzyła okiennice i okno

cywilizacji, jakie dawało się dostrzec, ale wcale nie poczuł się

i wyrzuciła sznur na zewnątrz, popuszczając powoli. Wzięła

pewniej. Leżące w dole miasteczko wyglądało jak uwięzione w

głęboki oddech, szybko zmówiła modlitwę, po czym zebrała się

pierścieniu niezwyklej mgły. Zawieszony ponad nim zamek

na odwagę i zaczęła schodzić.

spowijała złowróźbna aura.

Miała nadzieję, że Pietia będzie na nią czekał, ale z

Jander westchnął; nie miał pojęcia. gdzie jest, ani jak się tu

rozczarowaniem stwierdziła, że jego zgrabna sylwetka nie

znalazł. Jedyne istoty, które mogły mu coś wyjaśnić, mieszkały w

wynurzyła się z cienia. Przeklinała półszepem, chodząc w tę i z

wiosce i w zamczysku. Wybrał wieś, licząc na to, że łatwiej

powrotem z bladą, napiętą twarzą. Oczekiwanie tak blisko domu

przemknęło się tam niezauważony. Nagle przypomniał sobie, że

było niebezpieczne. Ojcu mogło przyjść do głowy, żeby

ubranie ma przesiąknięte krwią niewinnych ofiar z przytułku. Nie

zaczerpnąć świeżego powietrza, a gdyby ją tu przyłapał, żywcem

mógł się w nim pokazać wśród ludzi.

by obdarł ze skóry. W wyobraźni widziała lśniące krople potu na

Spojrzał na opończę, żeby przekonać się, czy plamy są

bezwłosej czaszce i obwisłe policzki trzęsące się z gniewu:

bardzo widoczne i doznał kolejnego wstrząsu w tę pełną

- Pamiętaj, kim jesteś! Jesteś córką burmistrza, nie jakąś

zwykłą dziewczynką!

nadejścia wiosny, urządzonej przez jej ojca. Strach był wysoki i

Nie, zostać tu znaczyłoby dopraszać się o nieszczęście.

smukły, miał czarne, starannie uczesane włosy i głęboko osadzone

Postanowiła nie czekać dłużej i pomknęła ciemnymi uliczkami

ciemne oczy. Przywdział nieskazitelny czarny ubiór, rozjaśniony

wioski. Otuliła się ciasniej czarnym płaszczem, by jej nie

drobnymi, czerwonymi zdobieniami, przypominającymi krople

rozpoznano, gdyby kogoś napotkała, choć było to mało

krwi. Uśmiechnął się dziwnie, kiedy burmistrz przedstawił mu

prawdopodobne. Teraz już prawie nikt nie wychodził po zmroku z

swoją najstarszą córkę i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, pod

domu. Córka burmistrza spieszyła się. Wiedziała, że światło

którym poczuła się bardzo nieswojo. Kiedy hrabia ucałował jej

księżycyca może ją zdradzić, ale cieszyła się, że przynajmniej widzi,

dłoń, musiała zebrać całą siłę woli, by się opanować i nie

gdzie idzie. Potykając się zeszła z drogi na zarośniętą ścieżkę,

krzyknąć; dotknięcie jego warg przypominało lód.

prowadzącą do kamiennego kręgu na wzgórzu, gdzie poprzednio

Niektórzy mówili, że hrabia parał się magią. Inni znów, że

spotykała się z Pietią.

kobiety, które mu się spodobały, miały zwyczaj znikać w nocnej

W nocy wszystko zdawało się większe. Każde z drzew

ciszy rozległ się dźwięk, który sprawił, że Anastazji zamarł dech

przemieniało się w gniewnego olbrzyma, każdy większy kamień

w piersi. Zaciskając drżącą dłoń na płaszczu, próbowała wtopić

stawał się pozbawioną kształtu groźbą. Starsi mieszkańcy

się w kamień.

miasteczka wspominali czasy, kiedy Barovia nocą była niemal

Znów usłyszała powolne i zdecydowane kroki. Zmierzały

równie bezpiecznym miejscem, jak w środku dnia. Gosposia Elena

wprost ku niej i strzegącemu ją kręgowi. Wbrew woli

powiadała:

przypomniała sobie ostrzeżenia ojca o pozbawionych krwi

- Najstraszniejszą rzeczą w nocy była kupa gnoju, której po

trupach.

ciemku można było nie zauważyć.

Jakaś dłoń zamknęła jej usta.

Mimo lęku Anastazja uśmiechnęła się, podchodząc do

Serce dziewczyny podskoczyło z przerażenia, zaczęła

kręgu i siadając w cieniu jednego z głazów. Przypomniała sobie,

walczyć z napastnikiem, kopać i drapać. Strach dodawał jej sił.

jak jej matka gniewała się na Elenę i odganiała córkę, ale ta tylko

Nagle księżyc wynurzył się zza chmury i zorientowała się, że to

śmiała się ze słów gosposi. Nostalgiczny uśmiech zaczął znikać z

tylko Pietia, uśmiechnięty jeszcze szerzej niż zwykle. Śniada

jej ust. Dobre czasy, o których opowiadała Elena, minęły jeszcze

twarz zdawała się biała w poświacie, ścierającej kolory również z

zanim kobieta się urodziła. W dzisiejszych czasach noc skrywała

jego obszywanej kamizelki i obszernych, czerwonych spodni.

okropności, o których Anastazja nie chciała nawet myśleć.

- Ty... - zaszlochała Anastazja, łapiąc oddech, kiedy Pietia

Znajdowano ludzi dosłownie rozszarpanych na strzępy przez

parsknął śmiechem. Rzuciła się na niego, bijąc małymi piąstkami

wilcze sfory, mówiło się o zwłokach pozbawionych krwi. Ludzi

w pierś. Razem upadli na ziemię. Wciąż jeszcze walczyła, z

szemrali nawet przeciwko hrabiemu Strahdowi.

rozpaloną ze wstydu twarzą, gdy Pietia przycisnął ją do podłoża

Hrabia Strahd. Wiatr zdawał się unosić to imię tak, że

własnym ciałem.

odbijało się tu i ówdzie wśród gałęzi drzew. Deszcz płatków

Popatrzyła na niego do góry, ale gniew szybko prysnął.

kwiatów jabłoni opadał na ziemię jak duszki. Anastazja

- Ty zwariowany cygański diable! - wysyczała, tym razem

wzdrygnęła się i mocniej opatulila płaszczem. Oparła się

już kuszącym tonem. Pietia poruszył brwiami, kpiarsko naśladowując

Owielki głaz, w jakiś sposób czerpiąc pociechę z twardej

złą postać z aktorskiej sztuki i pochylił się, całując ją.

podpory. Wedle plotek kiedyś było to święte miejsce, ale teraz

Oddając mu pocałunek, Anastazja zdała sobie sprawę, że

pozostał tylko kamienny krąg.

noc nie jest już taka zimna.

Dziewczyna próbowała skierować myśli ku swemu

cygańskiemu

kochankowi.

Ich

zakazany

romans

był

Godzinę później Pietia niechętnie pożegnał się z

niebezpieczny i - ekscytujący. Vistanich otaczała tajemnicza aura

dziewczyną, patrząc, jak wspina się po linie do sypialni równie

I to ona przyciągała Anastazję do młodego, zuchowatego

zwinnie, jak nadmiernie obciążony juczny koń. Westchnął i

Pietii. W jego oczach błyszczała magia, a dotyk był pewny i

pokręcił głową.

wprawny. Miał w sobie poczucie wolności, które Anastazja,

Nie można powiedzieć, żeby kochał córkę burmistrza. Z

zastraszona postawą ojca i wszystkich mieszkańców wsi, piła

pewnością pociągała go i będzie za nią tęsknił, gdy jego plemię

niczym wino. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zakochała się opuści tę okolicę, ale nie lepiej pasowała do jego świata, niż on do bardziej w stylu życia Pietii, aniżeli w nim samym.

jej. Burmistrz nawet nie chciałby słyszeć o małżeństwie córki z

Zawył wilk, rozpraszając jej przyjemne myśli. Serce

Cyganem, a przywiązany do tradycji klan Vistanich nie zaczęło jej bić szybciej.

pozwoliłby Pietii sprowadzić giorgio do obozu.

- Pietia, pospiesz się - wyszeptwała.

Cóż, takie jest życie. Wciągnął wonne powietrze i

Mówiono, że wilki są stworzeniami Strahda. Anastazja

otrząsnął się z melancholii, jak pies otrzepuje się z wody. Była

spotkała władcę Barovii kilka nocy temu i ten jeden raz na pewno

wiosna i oprócz kobiet można się było cieszyć mnóstwem innych

jej wystarczy. Wziął udział w dorocznej ceremonii z okazji

rzeczy. Pietia, silny jak na swój niepozorny wygląd, zarzucił sobie

na ramię ciężki jutowy worek i żwawym krokiem ruszył do

klienteli.

„Wilczego Leża”. W karczmie powinno być pełno klientów

- Musisz przybywać z daleka - odezwał się Pietia. - Czy

czekających na jego sztuczki.

mogę postawić ci drinka? Tuikka, specjalność Barovii.

„Wilcze Leże” nawet w lepszych czasach nie było

- Barovia. Jander z trudem ukrył podniecenie. Więc to jest

najweselszym lokalem. Okap pobielonego, dwupiętrowego

ta dziwna kraina, z której pochodziła Anna.

budynku zdobiły roślinne wzory, ale pogodny wygląd zewnętrzny

- Nie, dziękuję - odrzekł grzecznie. - Ciekaw jestem, czy w

tylko uwypuklał kontrast z ponurym wnętrzem. Nigdy nie było tu

gospodzie znalazłby się pokój na noc?

dość lamp, toteż szynk tonął w mroku. Ogień, słabo płonący w

- W takim razie powinieneś porozmawiać ze mną, nie z

kominku, w niewielkim stopniu przyczyniał się do oświetlenia

tych przybłędą Vistanim - mruknął karczmarz, obrzucając Pietię

pomieszczenia, a w jeszcze mniejszym do ogrzania. Karczma

wyraźnie złym spojrzeniem. - Idź, zapracuj na swoje napitki,

niewiele zarabiała na tych nielicznych, którzy nadal odważali się

Pietia, albo wracaj do obozu.

wychodzić po zmroku, co nadawało jej smutny wygląd zbyt

Pietia nachylił się i szepnął Janderowi do ucha:

rzadko odwiedzanego miejsca. Sam właściciel, z natury

- Jeśli zmienisz zdanie co do drinka, propozycja jest

gburowaty, wyróżniał się wzrostem i smukłą posturą w tej wiosce

aktualna. Wiem jak to jest być obcym w tej miejscinie.

niskich, krępych ludzi. Dla tych, których znał, był dość miły; na

Z udawanym ukłonem w stronę karczmarza, Pietia

nowych klientów patrzył podejrzliwie, ale przyjmował od nich

zeskoczył ze stołka i żywo podszedł do rogu karczmy. Pogrzebał

pieniądze, jeśli tylko rozpoznał oferowane monety.

w swoim worku i wynurzył się z mroku rozpromieniony. W

Gdyby Pietia miał trochę więcej doświadczenia, wyczuł by

rękach trzymał mnóstwo rozmaitych kul, maczug i pochodni.

delikatną zmianę, która nastąpiła wśród klientów gospody, kiedy

Zapalił pochodnie od tych, które umieszczono w uchwytach

niespiesznie, pogwizdując wszedł do środka. Gdyby był chociaż

wzdłuż ścian, i zaczął zręcznie żonglować przedmiotami.

parę lat starszy, nie miał siedemnastu lat, posiedziałyby tyle, ile

- Chłopak ma talent - zauważył elf. - Mam na imię Jander.

wypadało, i wrócił do bezpiecznego schronienia wśród swoich.

Gospodarz spojrzał groźnie na przybysza.

Ale Pietia był młody i głęboko przekonany, że wszystko wie.

- Przykro mi, nie mam dziś dla ciebie pokoju - rzekł.

Vistani odcinał się wyraźnie od reszty towarzystwa, w

- Wszystko zajęte?

ubrani o krzykliwych barwach, z błyskiem w oku, był jak lis

- Och, jest mnóstwo wolnych miejsc, ale nie przyjmujemy

brykający wśród stada ciemnych, pogrążonych w myślach

gości po zmroku.

wilczurów. Klepnął jednego z mężczyzn w plecy, z innym

- Karczma, w której odmawia się gościny gotowym

wymienił słowa powitania i rzucił monetę na blat przed

zapłacić podróżnym? - Jander uniósł brew, wykrzywiając usta w

nachmurzonym karczmarzem.

pogardliwym uśmiechu.

- Pintę najlepszego, ku czci wiosny, dobrze? Gospodarz

- Przyjdź jutro rano, to porozmawiamy. Nie przyjmujemy

bez słowa postawił przed nim kufel.

gości po zmroku.

Wasze zdrowie, panowie! - Podochocony przyjemnościami

Jander zmierzył go wzrokiem. Szorstka mowa i

ostatniej godziny Pietia pociągnął długi łyk i spojrzał nagle ku

nieprzyjazna powierzchowność człowieka skrywały strach,

drzwiom, gdzie właśnie jakaś postać zdawała się wahać, czy

którego metaliczną woń wyczuwał. Nie mylił się co do tej krainy:

przekroczyć próg.

ktoś terroryzował tę wioskę. Usiadł w skrytym w cieniu rogu

Wejdziesz, przyjacielu! - zaprosił mężczyznę, swą

pomieszczenia i naciągnął kaptur na błyszczące blond włosy.

wylewnością obejmując nawet obcego w tę noc swoich podbojów.

Natężając wszystkie zmysły dyskretnie wsłuchiwał się w ściszone

- Żaden człowiek nie powinien pozostawać bez towarzystwa

gwar. Dolatywały go rozmaite strzępki rozmów:

przyjaciół, kiedy można się napić!

- Diabeł... nie wychodzić... Strahd.

- Rzeczywiście, młody panie - odparł nieznajomy,

To imię pojawiało się w różnych dyskusjach i za każdym

wchodząc i siadając obok Pietii.

razem, kiedy Jander je słyszał, wyczuwał cień strachu. Najpierw

Panujący w karczmie przyciszony gwar zamarł zupełnie.

przysłuchiwał się kilku rozmowom, w końcu skupił się na

Klienci z na wpół otwartymi ustami spoglądali na złotoskórego

prowadzonej najbliższej.

przybysza. Kilku z nich wykonało znak chroniący przed urokiem i

Jeden z mężczyzn, dość młody, z czarną, gęstą brodą,

pośpiesznie wyszło, inni przyglądali się, jeszcze inni okazywali

pociągnął łyk ale. Jego towarzysz, o siwiejących włosach i ze

intruzowi jawną wrogość.

szczeciną dwudniowego zarostu na twarzy, patrzył nieobecny

Jander wzdrygnął się wewnętrznie. Jego plan, polegający

wzrokiem na swój nietknięty kufel.

na dyskretnym zebraniu informacji, najwyraźniej może się nie

- Nie powinienem był wychodzić - powiedział spokojnym,

powieść. Nie spotkał się z tak nieprzyjaznym przyjęciem od czasu,

pełnym bólu głosem.

gdy opuścił Daggerdale. Na całe szczęście rozgadany cygański

Młodszy człowiek położył mu dłoń na ramieniu.

chłopak, siedzący obok, nie wykazywał oznak rezerwy, jak reszta

- Kiedy przychodzi gorączka, lepiej się mieć na baczności

- rzekł łagodnie. - Wiesz to równie dobrze, jak ja, tato. A poza tym

przypadł energicznie. Kartov zwrócił wściekle spojrzenie na

to może być zaraźliwe.

wyraźnie przestraszonego chłopca. Pietia mimo to zacisnął szczęki

Starszy przytaknął, patrząc wciąż nieobecny wzrokiem.

i spojrzął mu w twarz.

- Była taka młoda, taka śliczna - głos mu się załamał. W

- Ten człowiek kłamie - powiedział opanowanym głosem,

smutnych oczach pojawił się błysk. - Moja mała Ola, moje biedne

w którym nie było ani śladu przerażenia, wypełniającego nozdrza

dziecko.

Jandera. - Żonglowałem, żeby zarobić parę groszy i zostałem

Na twarzy syna malował się ból, współczucie i gniew,

niesłusznie oskarżony. Poza tym, gdybym ukradł sakiewkę,

który Janderowi wydawał się zupełnie nie na miejscu.

zrobiłbym to tak, że on nic by nie zauważył - dodał drwiąco.

- Czy ktoś już mu to powiedział? - zapytał. Pograżony w

Kartov uderzył potężną dłoń. Pod wpływem siły ciosu

smutku ojciec potarł oczy serdelkowatymi palcami.

głowa Pietii odskoczyła na bok; z kącika ust popłynęła strużka

- Nie. Nikt się nie odważył zanieść takiej wieści na zamek.

krwi.

- Idę o zakład, że niedługo się dowie. Hrabia ma swoje

Ostry krzyk rozdarł powietrze i od progu rzuciła się na

sposoby, żeby dowiedzieć się tego, czego chce.

burmistrza dziewczyna.

Wyraz twarzy starszego z mężczyzn uległ nagłej zmianie,

- Nie, papo! Przestań!

smutek zastąpiła nienawiść.

Jander zauważył obojętnie, że na jej twarzy też znać było

- Cieszę się, że nie żyje - rzucił. - Cieszę się, że nie żyje,

ślady bicia. Ojciec odepchnął ją gwałtownie. Cała jego rozpalona

bo on jej nie dostanie i nie będzie jej mógł dotykać tymi zimnymi

do białości wściekłość skupiała się na Vistanim.

łapskami...

- Moi ludzie będą wam mieli za złe, jeśli mnie skrzywdzisz

- Tato! - syknął chłopak, próbując go uciszyć. Ojciec

- spokojnym głosem ostrzegł Pietia. Widać było, że nie blefuje.

zaczął szlochać chrapliwie i dwóch mężczyzn podniosło się od

Jander spostrzegł, że niektórzy ludzie poczuli się nieswojo.

sąsiedniego stolika, by pomóc synowi go wyprowadzić. Reszta

Najwyraźniej należało się liczyć z zemstą Vistanich.

przyglądała się temu w milczeniu.

Kartov jednak wyraźnie nie posługiwał się rozsądkiem.

Pietia przestał zonglować. Znikła gdzieś cała jego

- To my mamy za złe okradanie uczciwych ludzi - ryknął,

swawolność, spojrzenie stało się czujne i uważne. Nie jest takim

w odpowiedzi.

klownem, jakiego udaje, pomyślał Jander. Przyglądając się, jak

- Powiesić bękarta! - dobiegł głos z tłumu. Elfowi nie

ojciec z synem wychodzą, chłopak odsunął się od swojego worka.

udało się dostrzec, kto był pierwszy, ale tłum szybko podchwycił

Wampir zauważył, iż jeden z klientów przeszedł obok i wrzucił do okrzyk.

środką małą sakiewkę. Wąsaty mężczyzna o małych, świńskich

Kartov pochylił się nad Pietią. To, co rozwścieczony

oczkach i okrutnym wyrazie ust zamówił kolejne ale i wrócił z

rodzic wysyczał, usłyszał tylko Vistani i Jander.

kuflem na miejsce.

- Zanim z tobą skończymy będziesz żałował, że nie jesteś

Jander już miał zamiar się wtrącić, ale zawahał się. Lepiej

w zamku Ravenloft. Wiem, co zrobiłeś mojej córce!

nie zwracać już na siebie uwagi. Poczekaj na rozwój sytuacji.

Śniada skóra Pietii pobladła.

Klienci znowu usiedli na swych miejscach i powrócił stłumiony

A więc to tak, pomyślał Jander, nagle rozumiejąc.

pomruk rozmów.

- Papo, nie! - krzyczała dziewczyna. - To nie jego wina!

Pietia ponownie zapalił pochodnie i zaczął żonglować.

Kartov rzucił na nią wściekłe spojrzenie.

Chwilę później rozległ się krzyk:

- Nie masz dość? - warknął. Jander patrzył z odrazą;

- Złodziej!

pogardzał ludźmi, którzy znęcają się nad słabszymi, a w tym

Z szybkością, o jaką Jander nawet by ich nie podejrzewał, miasteczku najwyraźniej rządził ich typowy przedstawiciel.

kilku mężczyzn złapało zaskoczzonego chłopaka, wykręcając mu

Zastanawiał się, czy ten porywczy człowiek był owym

ręce na plecy i mocno bijąc w brzuch. Pochodnie poleciały na tajemniczym „nim”, którego obawiał się załamany ojciec.

wszystkie strony i ludzie rzucili się, żeby je zgasić, zanim

Anastazjo, tobą zajmę się później - mówił dalej Kartom - powstanie pożar.

Na razie będziesz miała okazję oglądać śmierć swojego kochanka.

Drzwi rozwarły się szeroko. Do środka wpadł potężny,

- Nie! Pietia! - rozszlochała się dziewczyna.

muskularny mężczyzna o grubych policzkach i sumiastych

Jeden z towarzyszących Kartowowi mężczyzn chwycił ją i wążach. Jego ubiór znacznie przewyższał klasą zwykłe koszule i mocno przytrzymał.

kamizelki pozostałych klientów karczmy. Dawało się wyczuć, że Jander był pełen podziwu dla postawy chłopca.

człowiek ten przywykł do tego, że go słuchano.

- Kartov - zaczął Pietia śpiewnym głosem. - Będiesz

- Burmistrzu Kartov! - wykrzyknął mały człowieczek

żałował tego, co uczyniłeś dzisiaj nocy. Borysie Fiedorowiczu służalczo. - Złapaliśmy jednego z Vistanich, jak dobierał się do

Kartov, przeklinam c... - zakrztusił się, bo ktoś wtłoczył mu w usta

kieszeni Andreja.

brudną szmatę. Mimo, iż klątwa nie została dokończona, niektórzy

Andrej, człowiek o okrutnej twarzy i świńskich oczkach,

ludzie zawahali się, czy pomóc burmistrzowi. Innych jednak



ucieszyła możliwość wyładowania własnego wiecznego strachu w

uchyliły się odrobinę, pozwalając ciekawskim, choć ostrożnym

działaniu.

mieszkańcom wyjrzeć na zewnątrz.

Wykręcili chłopcu ręce do tyłu i związali jego własną,

Podniecony tłum wytoczył się w noc kipiącym

barwną przepaską, po czym szydząc zeń i przeklinając

strumieniem, na wpół popychając, na wpół niosąc bezradnego

wyprowadzili za drzwi. Potknął się na progu i ciężko upadł na

Vistianego ku szubienicy na końcu placu. Człowiek o świńskich

bruk, nie mogąc złagodzić upadku związanymi rękoma. Tłum

oczkach pobiegł przodem, by przygotować pętlę dla skazańca, a

wybuchnął ochrypłym śmiechem, a Kartov szarpnął za jedwabistą,

teraz czekał z podłym uśmiechem na twarzy na zbliżającą się

czarną czuprynę i poderwał Pietię na nogi. Chłopak skrzywił się z

tluszczę. Pietię wciągnięto po kilku stopniach na szafot Nadal

bólu.

walczył, gdy mężczyzna zarzucił mu pętlę na szyję.

Ostry, żółty blask z otwartych drzwi karczmy rozlało się

Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy nieznajomy elf odłączył się

po placu, kontrastując z łagodną księżycową poświatą. We

od ciżby i niczym cień przepadł w nocy. Wszyscy jednak usłyszeli

wszystkich domach wokół placu rozbłysły światła, a okiennice

odgłosy nadbiegającej sfory wilków.

CZTERY

Wilczy zaśpiew niósł się przed watahą jak brzmienie rogu poprzedzające myśliwych. Przenikliwa, radosna pieśń, mrożąca krew w żyłach

rozległa się w nocnej ciszy. Nigdy dotąd wilki nie przybywały wprost do wioski, ale przecież w Barovii działo się wiele rzeczy, nad którymi

lepiej było zanadto się nie zastanawiać.

Mieszkańcy rozbiegli się przed nadciągającymi zwierzętami, równie jednomyślni w ucieczce, jak przedtem połączeni żądzą krwi. Tłum

rozproszył się, wrzeszcząc z przerażenia, potykając się i zmierzając ku schronieniu, jakie mogły im zapewnić niewielkie domostwa. Dźwięk był

jednak coraz bliżej.

Anastazja wykorzystała moment, kiedy uścisk trzymającego ją mężczyzny osłabł, wyrwała się i wbiegła na szafot Nie bacząc na własny

strach zmusiła drżące palce do rozplatania więzów Pietii. I ten, który związał mu ręce, wykonał solidną robotę. Przepaska wżarła się w ciało i teraz

trzeba było ją niemal wygrzebywać. Anastazji prawie udało się rozluźnić ją na tyle, by chłopak dał radę sam się uwolnić, gdy na jej ramię opadła

dłoń ojca.

- Chodź, Anastazjo! Pośpiesz się!

W tej samej chwili olbrzymi kudłaty kształt wynurzył się z cienia i wskoczył na drewnianą platformę, rzucając się na Kartova. Nie

otworzył szczęk, ale uderzenie ciężkiego cielska wystarczyło, by i burmistrz, i wilk spadli z podwyższenia na kamienie. Wilk równie szybko, jak

przedtem skoczył, teraz pogonił za Kartovem, kłusując go w pięty i pędząc wzdłuż alei Burmistrzowskiej w kierunku domu. Kartova nie trzeba

było poganiać - mógł kochać córkę, ale bardziej jeszcze kochał samego siebie.

Osiem wilków biegało po placu, ścigając umykających wieśniaków, wściekle drapiąc w zamknięte drzwi, z prawdziwie zwierzęcą

żywołowością skacząc do zatrzaśniętych okiennic. Ich wycie mieszało się z krzykami niedoszłych ofiar. Jedna z bestii złapała w gigantyczne

szczęki drewniany parapet. Deska pękła w drzazgi z głośnym trzaskiem i zaskoczony wilk zaskowyczał z bólu.

Żadne z ogromnych zwierząt nie zaatakowało Pietii i Anastazji.

Dziewczyna dalej borykała się z rozwiązaniem opaski, aż wreszcie Pietia uwolnił się, złapał ją za rękę i hałaśliwie zbiegli po stopniach.

Poruszenie przyciągnęło uwagę wielkiej szarej wilczycy, która warcząc zwróciła ku nim swój kosmaty łeb. Pietia podniósł sękatą gałąź, po czym

zasłonił sobą Anastazję. Zaciśnął zęby i wzniosł kij. Wilczyca zbliżała się powoli, najeżona, na sztywnych nogach. Oczy lśniły jej bursztynowym

blaskiem.

- Nie trzeba, Pietia! - odezwał się ktoś z przyganą w głosie. Chłopcu zaparło dech w piersi. Staął przed nim Jander, z nieznacznym

uśmiechem na twarzy.

- Sfora jest mi posłuszna.

Odwrócił się do zwierzęcia. Spokojnie, siostrzo, uspokój się... Najwyraźniej z tego niezadowolona samica usiadła, nie przestając jednak

powarkiwac, z uszami nadal przylegającym do głowy.

Jander rozejrzał się dookoła, nawiązując wzrokowy kontakt z resztą sfory i bez słów wydając zwierzętom polecenie, których niechętnie

usłuchały. Dziękuję wam, bracia. Możecie już odejść. Jak na komendę wilki zerwały się na nogi i pomknęły w mrok, potrząsając głowami, żeby

pozbyć się z delikatnych nozdrzy wstrętnej ludzkiej woni. W kilka sekund nie było po nich śladu.

Pietia i Anastazja wpatrywali się w elfa. Nagle dziewczyna zaczęła cicho płakać, dając ujście nagromadzonemu przez cały wieczór

napięciu. Cygański chłopak objął ją opiekuńczo, ale nie spuszczał oczu z Jandera.

- Czym jesteś? - zapytał głosem, w którym nie słychać było strachu, jaki wyczuwał Jander.

Elf uniósł brwi, udając urażonego.

- Jestem tylko podróżnym z innego kraju. Uratowałem ci dzisiaj życie, Pietia. Cóż więcej musi uczynić obcy, by zaskarbić sobie twoje

zaufanie? Mówiłeś, że wiesz jak to jest być tutaj obcym. Zapomniałeś?

Chłopiec zarumienił się.

- Nigdy dotąd nie widziałem kogoś takiego, jak ty. Wybacz, jeśli wciąż ci nie ufam. Ale - przyznał - jesteśmy twoimi dłużnikami. Jak

możemy ci się odwdzięczyć?

Zabierając się stąd zanim reszta wieśniaków zacznie coś podejrzewać. Anastazjo - dodał łagodnie - lepiej będzie, jak pożegnasz się z

Pietią. On już nie odwiedzi wioski, wiedząc jakiego przyjęcia może oczekiwać.

Anastazja, której udało się powstrzymać łzy, posłała ukochanemu pełne udręki spojrzenie.

- Nasz wybawca - rzekł Pietia, nadal podejrzliwie zerkając na Jandera - ma rację, kochanie. To pożegnanie. Sądzę, że moi ludzie wyruszą

w drogę szybciej, niż planowaliśmy.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Mój papa wleje mi jeszcze zanim nadejdzie ranek, za pieniądze, które w ten sposób przepadną.

Z nieudawanym uczuciem wziął dziewczynę w ramiona, po raz ostatni uścisnął i przytulił szlochającą do piersi. Pocałował ją delikatnie w

czoło. Wreszcie Anastazja odsunęła się od niego i przesunęła dłonią po mokrej od łez twarzy. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Dobry panie, nie znając twojego imienia nie mogę ci stosownie podziękować - jej głos lekko drżał.

Jander rozejrzał się po placu, obawiając się, że mieszkańcy wioski zaczną wylazić ze swoich nor. Wszystko wskazywało na to, że jego

drobna sztuczka podziałała niezwykle skutecznie; wszystkie okna i drzwi wciąż były solidnie zamknięte.

- Jestem Jander Sunstar.

- W takim razie - Janderze Sunstar, ślubuję ci przyjaźń. Nigdy nie zapomnę tego, co uczyniłeś dla nas dzisiejszej nocy.

Niewiele brakowało, by łzy okazały się silniejsze. Anastazja zagryzła dolną wargę i nie chcąc ponownie się rozkleić pobiegła w kierunku

domu ojca. Pietia śledził ją spojrzeniem czarnych, niezwykle smutnych oczu.

- Prawdziwa miłość? - Jander nie chciał, by w jego głosie zabrzmiało tyle sarkazmu, ale słowa same tak zabrzmiały.

Pietia jednak, nieświadom kpiny, potrząsnął tylko głową.

- Nie, ale lubię tę dziewczynę i nie chciałbym, żeby cierpiała. Ma w sobie ducha a to rzadkość w tej wiosce. - Odwrócił się do Jandera,

opierając dłonie na biodrach. Jak na tak niepozorną figurę, był bardzo pewny siebie. Twarz miał posiniaczoną i zakrwawioną, ale nie zwracał

uwagi na ból.

- Zawdzięczam ci życie. Vistani traktują takie zobowiązania bardzo poważnie. Janderze Sunstar, czymkolwiek jesteś, dziś w nocy

okazałeś mi przyjaźń - przerwał i oblizwał wargi. - Zapraszam cię, byś poszedł ze mną do naszego obozowiska, gdzie będziemy mogli podjąć cię z

szacunkiem, na jaki zasługujesz. - Skłonił się głęboko.

Jander uśmiechnął się w duchu. Jego plan zdobycia zaufania chłopca zadziałał.

- Pietia z rodu Vistanich, będzie dla mnie zaszczytem odwiedzić wasz obóz.

Chłopca ucieszyła dworna odpowiedź.

- Chodźmy więc - uśmiechnął się. - Tędy - dodał, kierując się drogą na zachód. Jander ruszył za nim.

Światła wioski bladły, aż Vistianiego i wampira otuliła noc. Większość domostw znajdowała się w granicach miasteczka, ale idąc bitą

drogą Jander dostrzegł kilka samotnych gospodarstw. Małe stadko owiec wyglądało jak widma, odcinając się od ciemnej zieleni trawy.

- Opowiedz mi o sobie, Janderze Sunstar. Wydaje mi się, że nie jesteś stąd.

Jander popatrzył na swego towarzysza.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wszyscy, którzy tu mieszkają, wyglądają tak samo, jak ci z wioski.

- Twoi ludzie też tu mieszkają a ty się różnisz od mieszkańców Barovii - zwrócił uwagę Jander.

- Jesteśmy podróżnikami.

- Cóż, ja też.

Pietia uśmiechnął się, błyskając białymi zębami w świetle księżyca.

- Może i tak. Jak nazywa się twoja rasa?

- Jestem elfem - odparł Jander. Odpowiedź wywołała nieoczekiwany zachwyt chłopca.

- Jakże się cieszę, że cię spotkałem! Nigdy nie widziałem elfa. Chociaż słyszałem różne opowieści - dodał z odrobiną zarozumiałości.

Jander nie mógł powstrzymać uśmiechu. Dałby wiele, żeby się dokładnie dowiedzieć, jakie historie słyszał chłopak. - W takim razie mgły

musiały cię sprowadzić.

Wampir był zaskoczony; doskonale pamiętał gęstą mgłę, która go otoczyła, ale nie sądził, że może być odpowiedzialna za jego przybycie

do Barovii.

- Często się to zdarza?

- Nie, ale już tak bywało. My też podróżujemy przez mgły. Moje plemię jest tu dopiero od niedawna.

Zatrzymał się i wyciągnął rękę. Przed nimi przetaczały się kłęby tajemniczej mgły, przez którą Jander przeszedł przybywając do wioski.

Tworzyła szarą, gęstą barierę, ruchomą i pulsującą, jakby obdarzoną własnym, wrogim życiem. Jander nie uważał przejścia przez nią parę godzin

temu za szczególnie miłe, ale nie uczyniła mu żadnej krzywdy.

Pietia zagłębił śniadą dłoń w jednej z przepastnych kieszeni czerwonych spodni i wyjął stamtąd dwie fiołki purpurowej cieczy.

- Dobrze, że wsadziłem je tutaj, a nie do worka, co? - Rzucił Janderowi jedną z buteleczek, otworzył swoją z cichym „plop” i wysączył

zawartość. Elf obejrzał fiołkę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Na pewno nie mógł tego wypić.

- Dalej, chodź! - popędzał Pietia. - Ta mikstura pozwoli ci bezpiecznie przejść przez mgłę.

- Czy ona jest niebezpieczna?

Pietia spojrział na niego i wzruszył ramionami.

- Mgły cię przyniosły, to nie wiesz. To zabójczy, trujący opar. A to - uniósł swoją pustą fiolkę - uodporni cię na jego działanie.

Jander zawahał się, po czym udał, że wypija płyn, wypluwając go, gdy tylko zanurzyli się we mgle i Pietia nie mógł tego zobaczyć.

Opary nie zaszkodzą mu, skoro nie oddycha. Trucizna nie była groźna dla kogoś, kto był już martwy. Mgła przyjęła ich, objęła wilgotnymi

ramionami, owijając pasemkami twarze i przesuwając się wzdłuż ich pleców. Gdyby nie infrawizja, Jander w kilka minut straciłby Pietię z oczu.

Skoncentrował się na czerwonym odbłasku ciepła ciała chłopca przed nim i po kilku minutach mgła zaczęła rzednąć, by zaraz rozwiać się

zupełnie.

- Tb... niesamowite - rzekł wampir.

- Wiele jest niesamowitych rzeczy w Barovii - odparł poważnie Vistani.

- Tak, opowiedz mi o Barovii. Ja... - Jander przerwał w pół zdania. Trująca mgła oddzieliła ich całkowicie od otoczenia, tłumiąc nawet

wszelkie dochodzące z zewnątrz dźwięki. Teraz do uszu elfa dobiegał odgłos przepływającej gdzieś niedaleko wody. Spojrzał przed siebie i

dostrzegł, że ścieżka prowadzi do niedużego mostka, przerzuconego nad bystrą rzeczką o ciemnych wodach szerokości jakichś pięćdziesięciu

stóp. Dróżka po przeciwnej stronie znikwała w lesie. Jander zachwiał się, ale jego umysł pracował gorączkowo. Jako wampir nie mógł

przekroczyć bieżącej wody. Pietia nadal wierzył, że jest żywą istotą - elfem, czyli obcym, ale żywym. Muzyka płynącej wody brzmiała jak

szydery śmiech.

- Coś nie tak? Podeszli bliżej.

- Muszę... muszę ci coś wyznać. Kiedy byłem młody, zdarzyło mi się prawie utonąć w rzece i od tej pory śmiertelnie się boję wody. Nie

ma innej drogi do twojego obozu?

Petia nie wyglądał na przekonanego.

- Most jest bezpieczny; patrz - wbiegł do połowy drewnianego mostka i zbiegł z powrotem, jak żrebak. - Przeprowadzę cię bezpiecznie na

drugą stronę.

Na jego wargach pojawił się chytry uśmieszek.

- Chciałeś, żebym ci zaufał i wyruszyłem z nieznajomym w panującą w Barovii noc! Teraz czas, żebyś ty mi zaufał.

Elf spojrział w dół na wodne wiry, zwracając baczna uwagę, by Pietia nie zauważył, że nie widać jego odbicia. Pod mostem kłębiła się

woda, nieświadoma dylematu, przed jakim go stawiała. Nawet, gdyby mógł przemienić się w wilka, rzeczka była zbyt szeroka, by ją

przeskoczyć. Nie, nie da rady tędy przejść. Kiedyś, kilkaset lat temu, spróbował przejść przez rzekę, ale tylko zgiął się w pół z nieznośnego bólu.

Teraz znów musiał podjąć próbę, chociażby po to, żeby przekonać Pietię, że jego fobia była kalectwem.

Wolno wyciągnął rękę, chwycił dłoń, którą podał mu chłopak, i pozwolił objąć się w pasie licząc na dodatkowe oparcie. Razem

spróbowali wejść na mostek. Jander jęknął z bólu i natychmiast cofnął się na brzeg. Nie mógł tego zrobić. Zanim się zorientował, co się dzieje,

Pietia wziął go na plecy.

- Pietia...

- Dług to dług, giorgio!

Drobny młodzieniec był zadziwiająco silny. Szybko, pewnym krokiem przeszedł przez most, z łatwością niosąc Jandera. Elf spojrział w

dół i dostrzegł srebrzysty odblask księżyca na wodzie.

Pietia dotarł na brzeg i Jander zsunął się na ziemię.

- To miło z twojej strony - rzekł do chłopca. Pietia wzruszył ramionami na ten komplement.

- Dobrze, że na mnie trafiłeś - powiedział, kiedy ruszyli dalej. Las zgęstniał wokół nich; Jander zauważył, że Pietia porusza się niemal

równie cicho, jak on sam.

- Już dawno byś przeraził mieszkańców wioski. Jesteś czarownikiem, jak sądzę?

Jander skrzywił się w duchu, ale było to wygodne wytłumaczenie jego kontroli nad wilczą sforą.

- Można tak powiedzieć.

- Znam się na tych rzeczach. Ci wieśniacy są zbyt przerażeni. Takim rodzajem magii, jak ty, najczęściej posługują się akara.

Słowo było dla Jandera obce, toteż uniósł brwi w zaciekawieniu.

- Akara? - powtórzył.

- Nosferatu - wyjaśnił Pietia. - Wampiry. Nieumarłe istoty, odżywiające się krwią żywych. - Wykonał szybki gest ochronny w okolicy

serca. Ruch, chociaż równie obcy jak słowo, którego użył chłopiec, sprawił, że Jander instynktownie skrzywił się. Na szczęście Pietia nic nie

zauważył.

- Rozumiem - odparł elf. - Masz rację, rzeczywiście mam szczęście, że się spotkaliśmy. Opowiedz mi coś więcej o tym świecie. Czy

Barovia to nazwa tego miasteczka?

- Tak, ale i całej krainy. - Przeszli pod zwisającymi gałęziami przygarbionych jabłoni, których śliczne kwiecie wyraźnie nie pasowało do

powykrzywianych kształtów konarów. Pietia zatrzymał się na chwilę, podskoczył i chwycił obsypaną kwiatami gałąź. W nocnej ciszy rozległ się

głośny trzask, Pietia szarpnął i gałąź została mu w ręce, obsypując go deszczem płatków. Głęboko zaciągnął się ich aromatem i uśmiechnął się.

- To dla mojej siostry - wyjaśnił. - Kwiaty łagodzą ich złość, nie? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, mrugając porozumiewawczo do

Jandera.

- Masz swoją panią, Jander? Potrafią być wspaniałymi towarzyszkami, ale czasem za dużo mówią.

Jander niecierpliwił się. Chłopiec bawił go, to prawda, już od tak dawna nie czuł się rozbawiony. Ale uratował go od stryczka nie dla

rozrywki, lecz dla informacji.

- W karczmie parokrotnie słyszałem imię „Strahd” i wzmianki o miejscu zwanym zamkiem Ravenloft.

Na żywej twarzy Cygana odmalowała się prawdziwa powaga, a Jander wyczuł też strach.

- Nie mówmy o takich rzeczach po ciemku - odrzekł szybko. - Możemy wrócić do tego jutro.

- Teraz, w nocy - nalegał Jander.

Coś w tonie głosu elfa kazało Pietii spojrzeć na niego uważnie.

- Dobrze więc - odparł powoli. - Chociaż o takich mrocznych sprawach lepiej w ogóle nie mówić. Hrabia Strahd von Zarovich jest

władcą tej krainy. Mieszka w zamku Ravenloft. Kiedyś był potężnym wojownikiem, ale teraz podobno zajmuje się magią.

Magia. Czy już nigdy nie zdoła się od niej uwolnić? Jander walczył z pokusą pogardliwego splunięcia. To naprawdę pech, że pan tego

ponurego miejsca jest magiem.

- Myślisz, że to prawda z tą magią?

- Na pewno. Rządzi tu znacznie dłużej, niż mógłby jakikolwiek śmiertelnik.

- To znaczy jak długo? Pietia wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie pochodzimy z Barovii i nie znamy tak dobrze jej historii.

Jander przez chwilę rozglądał się dookoła.

- Mgła jest mu posłuszna, prawda?

- Ta, która otacza wioskę - owszem; kontroluje ją. Ale mgły, które cię tu sprowadziły, nie słuchają nikogo.

- Kim jest Ola?

Pietia spojrział na niego z podejrzliwym błyskiem w oku.

- To dziewczyna, która nie żyje, jak już najwyraźniej słyszałeś. Nie może cię to interesować.

Ostry świergot zwrócił uwagę Jandera. Spojrział w górę i ujrzał małego, białoszarego ptaszka, który wyrwany ze snu przez chwilę

mierzył go spojrzeniem, zanim ponownie ułożył się na spoczynek.

- Zapamiętaj tego ptaka, Jander. To vista chiri. Kiedy takiego ujrzysz, wiesz, że Vistani są w pobliżu.

Nasi mali przyjaciele... zawsze

podążają za nami. Mówi się, że to duchy naszych przodków, które mają nas pilnować. Chodź, zejdziemy ze ścieżki. Znam drogę na skróty.

Pietia skręcił w las, a elf podążył za nim. Zrobiło się dość ciemno, gdyż tworzące sklepienie gęste konary drzew odcinały większość

księżycowego światła. Ogromne korzenie przecinały ziemię we wszystkich kierunkach, ale Pietia pewnie poruszał się po zdradzieckim podłożu.

- Wieśniacy chyba boją się nocy - ciągnął Jander - a ty idziesz sobie jak jakiś bohater, Pietia. W tym królestwie są wilki. Nie boisz się?

- Jander, ty umiesz rozmawiać z wilkami, a żaden szanujący się bandyta nie zaatakowałby jednego z Vistanich - uśmiechnął się przez

ramię. - Wszyscy Vistani umieją rzucać uroki, no nie? Jeśli chodzi o mniej poważne zagrożenia, to moce tej krainy nie mają na mnie wpływu. To

dlatego Strahd... - przerwał i szeptem zaklął. - Robię się przy tobie gadatliwy, elfie, a to niekoniecznie musi oznaczać coś dobrego. Dość już

powiedziałem, może nawet zbyt wiele. Teraz ty powiedz mi coś o swoim kraju.

- Urodziłem się w miejscu zwanym Evermeet, gdzie mieszkają tylko moi rodacy. Nie jestem w stanie opisać, jak piękny to kraj. Grałem

na flecie, śpiewałem, latem tańczyliśmy w zagajnikach. Od tamtego czasu nigdy nie widziałem czegoś podobnego - głos Jandera zabrzmiał

twardo. - A wierz mi, Pietia, widziałem wiele.

Pietia obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Wierzę ci, elfie - odparł łagodnie, poważnie. - Może tej nocy znajdziesz coś, co ukoji twoją duszę.



Jander wraz ze swym niezwykłym sprzymierzeńcem przedzierali się przez pogrążone w ciemności lasy Barovii. Elf opowiadał o

Evermeet, a Pietia słuchał w milczeniu i z szacunkiem, może pod wpływem głębokiej, smutnej nuty w muzycznym głosie towarzysza. Przez

dłuższy czas mieli rzekę po prawej ręce, choć czasami szum wody słabł, kiedy zagłębiali się w las. Wreszcie doszło do nich rzenie koni,

poszczekiwania psów i gwar ludzkich głosów.

Wynurzyli się z cienia drzew i Jander w oddali dostrzegł blask ognia. Doskonały elfi wzrok, dodatkowo wzmocniony dzięki wampirzej

naturze, pozwolił mu rozróżnić kilkadziesiąt jaskrawo pomalowanych wozów, wesoło udekorowanych fantastycznymi rzeźbami. Konie, kozy i

kury, stanowiące żywy inwentarz Vistanich kłębiły się na skraju obozowiska, wokół ognia zaś poruszały się niewyraźne sylwetki.

Tylko przez moment elf przyglądał się tej miłej scenie. Na północ od obozu strzelała do nieba skalna iglica. Niebo było czarne,

poznaczone drobnymi, zimnymi punkcikami światła, ale widoczny na jego tle kształt zdawał się jeszcze czarniejszy. Ostrogę wieńczyło posępne

zameczysko, w którym Jander rozpoznał budowlę widzianą z drogi, kiedy zmierzał do Barovii. Wtedy go zaciekała; teraz wiedział, co to jest.

Pietia podążył za jego wzrokiem.

- Tak - rzekł cicho. - To zamek Ravenloft. Tam mieszka hrabia Strahd.

PIĘĆ

Maruszka nie lubiła dzieci. Kiedy Lara poprosiła ją o zaopiekowanie się synkiem, żeby móc zatańczyć, młoda kobieta nie mogła

grzecznie odmówić. Teraz Maruszka siedziała na prostym, drewnianym stołku, trzymając nieszczęśliwego dzieciaka, nasrożona niczym

burz

a z piorunami, podczas gdy Lara z wdziękiem tańczyła z mężem. Migotliwe światło ogniska wystarczało, żeby dostrzegła, że

chłopczyk właśnie wypluł cały barszcz, jaki zdołała wlać mu do gardła. Jednak kiedy niespokojny bachor spróbował włożyć sobie do buzi jej

czarną wstążkę, stwierdziła, że przyjaźń nie sięga aż tak daleko.

Z błyskiem ciemnych oczu wstała i mijając tańczące pary podeszła do Lary. Wepchnęła jej dziecko w ramiona.

- Weź go - rzuciła krótko w języku Vistanich. - Nie będzie dziś na mnie więcej pluł.

Lara z mężem wybuchnęli śmiechem, przytulając dzieciaka.

- Ech, bogowie uczyniliby błąd obdarzając kogoś takie go dzieckiem - zachichotała Lara patrząc z pożałowaniem na odchodzącą

Maruszkę.

- Taa - zgodził się mąż, podnosząc syna i całując go w policzek. - Lepiej niech idzie w ślady babki.

Dziecko pogaworzyło chwilę i prędko zasnęło w ojcowskich objęciach.

Złość poniosła Maruszkę aż do krawędzi obozowiska, gdzie ledwie sięgał blask ognia. Odgarnęła z twarzy grube pasmo połyskliwych,

czarnych włosów. Spojrzała najpierw na ścieżkę przed sobą, potem podniosła wzrok ku gwiazdom. Minęły cztery godziny, odkąd jej młodszy

brat Pietia, jak zwykle zuchwały i zadziorny, opuścił obóz. Cztery godziny to dla niego wystarczająco dużo czasu, by wplątać się w poważne

kłopoty.

Maruszka przeczuwała, że stało się coś niedobrego. Miała zwyczaj wierzyć w to, co mówił jej wewnętrzny zmysł, jako że zwykle jej

przecucia się sprawdzały. Wielu Vistanich było obdarzonych częściowym widzeniem: Lara potrafiła czytać z kart, Keva czasem słyszała głosy,

które dokładnie przepowiadały przyszłość. Maruszka była jedyną ze swojego pokolenia, której widzenie udzieliło się w pełni, je dyną żyjącą z

tym błogosławieństwem lub przekleństwem.

Potrafiła wróżyć z każdej szklistej powierzchni - z dzbanka wody, kryształowej kuli, lusterka; karty zawsze ujawniały jej przyszłość

pytającego, podobnie jak fusy z herbaty. Umiała również czytać z dłoni i twarzy, a czasami doświadczała nieoczekiwanych olśnień,

odkrywających przed nią tajemnice. Ze względu na tę moc cieszyła się poważaniem szczepu, ale zdarzało się, że wysoka, zgrabna

dwudziestolatka marzyła, by być zwyczajną Vistani. Na razie widzenie podpowiadało jej, że Pietia ma kłopoty.

- Niedługo wróci, dziecko, nie trap się - usłyszała dochodzący z boku oschły głos. Podskoczyła, ale zaraz uśmiechnęła się i skłoniła przed

madame Eva. Starsza kobieta miała niepokojący zwyczaj pojawiać się niespodziewanie. Lepiej było nie rozmawiać za jej plecami, a byli i tacy,

którzy mówili, że lepiej nawet nie myśleć za jej plecami. Maruszka zgadzała się z nimi.

Nikt dokładnie nie wiedział, ile lat ma madame Eva; ona sama nigdy o tym nie mówiła. Nadal trzymała się prosto, choć jej ciało

wyglądało delikatnie i krucho, a twarz miała pobrużdżoną jak barovianskie śliwki zbyt długo trzymane na słońcu. Długie, siwe włosy nosiła

rozpuszczone, spływały w dół jej pleców na podobieństwo smugi księżycowego światła. Oczy miała jasne i bystre, a widzenie nie opuściło jej do

tej pory. Mimo iż straciła większość zębów i jej główne pożywienie stanowiła owsianka, pozostała najpotężniejszą osobą w szczepie. Nikt nie

odważył się jej narazić. Maruszka doskonaliła swoje talenty wróżbiarskie pod jej surowym okiem nauczycielki i zdawała sobie sprawę, że

zostanie Prorokinią, kiedy stara Cyganka straci dar widzenia.

Niepokój Maruszki zelżał nieco - wiedziała, że jeśli Eva mówi, że Pietia bezpiecznie wróci do domu, chłopcu nic złego się nie stanie.

Prawda to, że bogowie Pietii sprzyjają. W połowie z miast, które odwiedziliśmy, ludzie zasadziliby jego głowę na palu, gdyby tylko

mogli - rzekła do Ewy. Starowinka zaśmiała się chrapliwie. - Ale nie potrafię przestać się martwić - dodała dziewczyna. - On zwabia kłopoty

równie skutecznie, jak dziewczyny. Tak głupio ryzykuje.

Niektórzy mogliby to samo powiedzieć o mnie, dziecino - przypomniała jej Eva. - Przypominam sobie dziewczynkę, która była

przekonana, że nie opuszczę żywa zamku Ravenloft.

Teraz Maruszka parsknęła śmiechem.

- Ależ babciu, Strahd jest wcielonym diabłem.

- Może tak, może nie, ale dla Ludu jest dobry. Lepiej, żebyś o tym pamiętała, gdyby zdarzyło się, że zawahasz się, komu być wierną. Tb,

że w tej krainie możemy spokojnie spocząć w łóżu, zawdzięczamy wielkoduszności Strahda.

Maruszka poczuła ogarniającą ją nagłą falę miłości do starej, dumnej kobiety i przytuliła babkę do siebie.

- I mądrości mojej babci! Eva uśmiechnęła się bezzębnymi ustami.

- To też - zgodziła się, ale nagle zmarszczyła brwi.

- Pietia idzie - rzekła. - I ktoś jeszcze.

- Przeprowadził następną dziewczynę - prychnęła Maruszka spoglądając na ścieżkę. Z pewnością do obozu zbliżały się dwie osoby, ale

towarzyszem Pietii nie była jakaś młoda piękność. Cyganka nigdy dotąd nie widziała istoty przypominającej tego obcego.

Usłyszała, jak zaskoczona Eva gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jeden z Ludzi - szepnęła, ale Maruszka nie zrozumiała, dlaczego użyła tego słowa. Zanim jednak zdążyła zapytać, Pietia już pędził w

ich stronę najszybciej, jak tylko mógł. Siostrze zapało dech w piersi, gdy ujrzała jego posiniaczoną twarz. Chłopak zahamował gwałtownie,

rozpoznając Evę.

- Witaj, babciu - przywitał się grzecznie, z głębokim ukłonem. Eva nawet nie spojrzała na niego, nie spuszczając przenikliwego

spojrzenia ze stojącego trochę dalej przybysza.

- Dlaczego elf nie podszedł razem z tobą? - spytała ostro.

- Pietia, co ci się stało? - wykrzyknęła Maruszka. Chłopak zignorował je obie.

- Zaraz. Babciu, pamiętasz, jak kazałaś mi mieć oko na Olę Iwanownę? Dziś w nocy umarła w gorączce.

Błyszczące oczy Evy zwięziły się, gdy zwróciła wzrok ku wnukowi.

- Jesteś pewien?

- Jej ojciec i brat byli w gospodzie. Stary Iwan prawie zwariował z bólu.

Nagle twarz kobiety wydała się zmęczona. Pietia zauważył nagłą zmianę w jej wyglądzie.

- Tb dobrze, że ci powiedziałem? - spytał zmartwiony. Eva skinęła głową: - Tak, dziecko. Trudno nazwać to dobrą nowiną, ale warto o

tym wiedzieć. Ale - wzięła się w garść - odpowiedz mi na moje pytanie o giorgio.

- Mówi, że u jego rodaków niegrzecznie jest podchodzić bez zaproszenia.

- Nigdy nie słyszałam o takim zwyczaju Tèl'Quessirów - odparła Eva. - W każdym razie to giorgio i nie jest tu mile widziany.

- Babciu, proszę, on mi dziś uratował życie! - bronił go Pietia.

- Pietia, coś ty zrobił? - zapytała Maruszka, marszcząc brwi.

Szybko, z zakłopotaniem, Pietia zrelacjonował im wypadki tej nocy. Kiedy opisywał, jaką mocą włada Jander, Eva uniosła brwi, a w

kąciku ust zatańczył jej nikły uśmiezek.

- Dobrze więc - odezwała się niespodziewanie. - Może się zbliżyć.

Pietia uśmiechnął się mimo opuchlizny na twarzy i wrócił po swego towarzysza.

- Chyba znasz rasę tego giorgio - rzekła Maruszka.

- To jeden ze złotych elfów, zwanych też słonecznymi; jego świat nazywa się Torii. Elfi ród należy traktować z szacunkiem i honorem.

Zastanawiam się tylko, co on tu robi. W każdym razie Pietia ma rację. Uratował jednego z nas, więc przyjmijmy go - ale tylko dzisiejszej nocy.

Owinęła chude ramiona jaskrawym szalem.

- Późno już. Dobranoc, dziecino.

- Nie chcesz przywitać tego przybysza?

Eva potrząsnęła siwą głową.

- Nie. Muszę złożyć w łóżku stare kości. Powiedz mu o jaskini koło wodospadu - dodała.

Maruszka kiwnęła głową, chociaż była kompletnie zdezorientowana. Ponownie skierowała uwagę na dziwnego znajomego Pietii, który

zbliżał się do niej, cicho i miękko niczym kot.

Był średniego wzrostu, bardzo szczupły, o wyrazistych, ale delikatnych rysach i niezwykłych, srebrzystych, natarczywie patrzących

oczach. Barwy jego ciała zafascynowały dziewczynę, która zdała sobie sprawę, że wpatruje się w obcego. Nic nie mogła na to poradzić - giorgio

był najpiękniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziała.

- Janderze Sunstar, to moja siostra Maruszka - rzekł Pietia. Jander uklonił się grzecznie.

- Pani, to dla mnie zaszczyt.

Maruszka zarumieniła się, co rzadko się jej zdarzało. Ta obca istota całkowicie skupiła swą uwagę na niej, sprawiając, że czuła się, jakby

była środkiem wszechświata. Niewiele miała dotąd do czynienia z innymi giorgio, a przywykła do okazywanej przez Vistanich mieszaniny

szorstkiego afektu i ledwo uchwytnego szacunku. Maniery elfa były czymś nowym i przypadły jej do gustu.

Od strony ogniska dobiegł okrzyk, brutalnie przerywając zadumę. Zanim się obejrzała, za jej plecami zgromadził się spory tłum.

- Kim jest ten giorgio? - zapytał jej ojciec językiem Vistanich.

- Elfem, papo. Dziś w nocy wyratował Pietię od stryczka. Babcia powiedziała, że mamy go ugościć.

Rozległy się oburzone pomrukiwania, ale słów Ewy zawsze słuchano i tłum rozstąpił się niechętnie, przepuszczając Jandera.

Wampir zastanawiał się, jak zostanie przyjęty. Zauważył, że śniade oblicza Vistanich są pełne rezerwy, ale nie wrogie, jak u

mieszkańców Barowi. Pietia mówił coś do nich gwałtownie po vistańsku, Jander zaś obserwował, jak na twarzach pojawia się najpierw

zaskoczenie, potem zadowolenie. Wyciągnęły się do niego ręce, a podejrzliwe spojrzenia zamieniły w przyjazne uśmiechy. Elf ostrożnie

uśmiechnął się w odpowiedzi i wśród ożywionego gwaru i wybuchów śmiechu ramiona Vistanich porwały go ku honorowemu miejscu przy

ognisku.

Jander znalazł się w centrum uwagi. Wokół jego nóg zebrała się gromada dzieciaków, które, bez śladu zawstydzienia, chwyciły go za

szary płaszcz, zanurzały małe, brudne ręce w powodzi złotych włosów i pociągały za szpiczaste uszy. Jander instynktownie cofnął się przed tą

niespodziewaną napaścią, odpychając na bok chłopców i dziewczynki.

Maruszka upomniała dzieci, które rozbiegły się i tylko kilkoro najbardziej nieustraszonych podkradło się kawałek, by przyglądać się

złocistemu giorgio.

- Nie chciałem ich wystraszyć - tłumaczył się elf. - Przez ostatnie lata niewiele przebywałem wśród ludzi, zwłaszcza dzieci.

Maruszka przysiadła obok niego na drewnianej ławce i wzruszyła ramionami. Bluzka zsunęła się jej z jednego ramienia.

- Dla mnie to też prawdziwa plaga - przyznała, śmiejąc się cicho. - Już wolę zwierzęta, przynajmniej dają się tresować.

Usłyszawszy chrząknięcie Jander podniósł głowę i napotkał wzrok starszego człowieka. Po mężczyźnie znać było, że czuje się nieswojo.

- Panie, dziękuję ci za uratowanie życia mojemu synowi - rzekł sztywno - choć tylko bogowie wiedzą, jak bardzo sam mam czasem

ochotę go zatłuc.

Uklonił się i podszedł do miejsca, gdzie Pietia zabawiał grupę słuchaczy relacjonując swoją ucieczkę.

Janderowi zrobiło się przykro, gdy ojciec jedną ręką złapał chłopca za ucho, drugą odpinając szeroki, skórzany pas. Pietia wrzasnął,

wyrwał się z uchwytu i popędził w kierunku lasu. Ojciec jednak był szybszy i po chwili rozgorzał zaciekły spór. Najwyraźniej Pietia miał rację,

mówiąc o czekającej go karze.

- Czy ojciec naprawdę zamierza spuścić mu lanie?

- Patrz - odparła z konspiracyjnym uśmiechem. Ojciec i syn kłócili się nadal, gestykulując z rosnącym ożywieniem. W pewnym

momencie mężczyzna chwycił chłopca i przytulił go mocno, a Pietia odpowiedział uściskiem. Kiedy odstąpili od siebie i ojciec zaczął oglądać

siniaki chłopca, w oczach obydwu lśniły łzy.

- Bić nasze dzieci? - uśmiechnęła się znów Maruszka.

- Jander, dla naszych ludzi dzieci są najcenniejszą rzeczą na świecie. No, dla mnie może mniej - przyznała, wybuchając śmiechem. -

Widzisz, nas jest tak mało. A Pietia i tak lada dzień będzie dorosły - westchnęła.

- Lepiej, żeby ten dzień nie nadszedł zbyt prędko - miękko rzekł Jander. Przez siedem stuleci widział aż nazbyt wiele kwiatów, które

zdażyły rozkwitnąć i zwiędnąć. Posmutniał na myśl o postarzałym, zmęczonym urwisie.

Maruszka dostrzegła tę zmianę i przez chwilę bacznie mu się przyglądała, po czym odezwała się ponuro: - Chcesz, żebym ci powróżyła?

Jander jeszcze bardziej spoważniał.

- Sam sobie potrafię powróżyć - odrzekł ostro. - Dla mnie nie ma niespodzianek, a nie sprawiłoby mi przyjemności, gdybyś zmyśliła mi

fałszywą przyszłość.

Gdyby nie oczywiste przygnębienie elfa, Maruszka poczułaby się ogromnie urażona lekceważeniem jej talentu.

- Jestem prawdziwą Prorokinią - oświadczyła z dumą - i być może mogłabym udzielić ci odpowiedzi, których szukasz.

Odwrócił się w jej stronę z badawczym spojrzeniem srebrnych oczu.

- Może potrafiłabym powiedzieć ci, co cię tu sprowadza, słoneczny elfie z Torii.

- Skąd wiesz? - oczy Jandera zwięzły się na podobieństwo kocich źrenic.

- Moja babka wie. Madame Eva, która jest Prorokinią i przewodzi naszemu szczepowi, odwiedziła kiedyś twój kraj. To dzięki niej

zostałeś tu mile przyjęty; powiedziała mi również, że mam ci przekazać, iż niedaleko stąd znajduje się jaskinia. Chociaż nie mam pojęcia,

dlaczego mógłbyś chcieć o tym wiedzieć.

Jander poczuł zakłopotanie. Czy to możliwe, żeby ta madame Eva wiedziała, że jest wampirem? W przeciwnym wypadku po co

potrzebna by mu była jaskinia? Może po prostu jako schronienie, jak i dla śmiertelnika. Ale i tak zaciekało go, że wiedziała o Torii.

- Mógłbym się z nią zobaczyć? Jeśli była w mojej ojczyźnie, moglibyśmy miło pogawędzić.

- Poszła spać. Jest bardzo stara i łatwo się męczy. Odęła kpiąco wargi. - Dlaczego miałbyś spędzać czas z jakąś starą kobietą, kiedy masz

mnie do towarzystwa? Dalej, Janderze Sunstar, pozwól, żebym ci powróżyła. Zwykle sporo sobie liczę za taką usługę, ale to będzie prezent w

podziękę za życie mojego brata. Chyba nie obrazisz mnie odmawiając? - spytała z udaną nieśmiałością, drażniąc się z nim.

Spojrzała na niego przez zasłone rzęs. W Janderze obudziło to tęsknotę za subtelną sztuką flirtu - tego też brakowało mu już od wieków,

nieszkodliwej kokieterii i miłego przekomarzania się osób dwojga płci. Wszystko to minęło, jak prawie cała przeszłość...

- Dobrze więc, zgadzam się.

- Chodź do naszego wozu; mam tam karty. Jander musiał się uśmiechnąć.

- Czy to bezpiecznie zapraszać obcego do domu, gdy jesteś sama?

Roześmiała się, odrzucając do tyłu falę czarnych włosów i błyskając białymi, równymi zębami.

- Ej, giorgio, my, Vistani, umiemy o sobie zadbać! - klepnęła dłonią szeroki, czarny pasek ze skóry, opasujący jej wąską talię i Jander

dostrzegł zatknięty zań nieduży, ale praktyczny sztylecik. Nadal uśmiechając się machnęła zapraszająco ręką w kierunku wozów zajmowanych

przez jej rodzinę.

Jak przystało na rodzinę Madame Evy, ich varda wyróżniały się zdobieniami. To, do którego prowadziła go Maruszka, było śliczne, choć

niewielkie. W słabym poblasku ognia kolory zacierały się, ale na ścianie dało się dostrzec leśny obrazek, przedstawiający jelenie i zające. Z tyłu

wozu stał uwiązany łąciaty kucyk, spokojnie przysypiając.

Kiedy Jander z Maruszką podeszli bliżej, zwierzę ocknęło się i nastawiło czujnie uszy. Nozdrza rozszerzyły się, chwytając woń

nieumarłego i kuc zaczął rzeć opętańczo, szarpać rzemień i wierzgać. Dziewczyna podeszła do niego, próbując go uspokoić, ale zwierzę oszalało

z przerażenia.

Jander skupił się, po czym posłał zdenerwowanemu konikowi milczące polecenie, nakazując mu, by się uspokoił. Ćśśś... spokojnie,

przyjacielu... Srokacz usłuchał go, choć wciąż przewracał szeroko otwartymi oczami, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Maruszka zmarszczyła

brwi i obejrzała się na elfa, poklepując zwierzę po szyi. Wampir uśmiechnął się, mając nadzieję, że jego uśmiech był pełen otuchy.

- Pietia mówił ci o wilkach. Pewnie kuc wyczuł na mnie ich zapach.

- Tak, pewnie o to chodzi - zgodziła się, cedząc słowa. Po kilku drewnianych schodkach podeszli do drzwi vardo. Maruszka otworzyła je

i weszła do środka, by zapalić lampy. Jander czekał na zewnątrz, nie mogąc wejść, dopóki go nie zaprosi. Po paru chwilach Prorokini wystawiła

głowę:

- Na co czekasz? Chodź!

Tak też zrobił, pochylając się w niskim wejściu. Vardo nie było zbyt obszerne, a mnóstwo przedmiotów, które zgromadziła tu Maruszka,

sprawiło, że wewnątrz wydawało się jeszcze mniejsze. Na podłodze leżało pięć dużych, kolorowo wyszywanych poduszek, ułożonych wokół

kryształowej kuli, spoczywającej na wymyślnie rzeźbionym, metalowym postumencie. Na drewnianych półkach dostrzegł mnóstwo kamieni,

koralików, kości i innych atrybutów cygańskiej wróżki. W drugim końcu vardo stało łóżko Maruszki, nieduży, solidny siennik, przykryty

wilczymi skórąmi i wełnianym kocem. Z haków w zakrzywionym suficie zwieszały się trzy lampy, zapewniając wystarczające oświetlenie.

Usiądź i poczekaj, aż znajdę karty - zapraszająco rzekła Maruszka. Jander siadał właśnie na jednej z zadziwiająco wygodnych poduszek,

gdy nagle rozległo się głośnie krakanie. Kiedy zaskoczony elf zadarł głowę, dostrzegł wciśniętą w róg wozu sporą klatkę, a w niej ogromne,

czarne ptaszysko, wpatrujące się w niego czujnymi, czarnymi oczyma. Zanim ptak zdążył odezwać się ponownie, Jander rzucił w myślach jeden

ze swych cichych rozkazów i zwierzę zapadło w drzemkę.

- To Pika, co po naszymu znaczy „psota”. Od czasu do czasu wypuszczam go, a on przynosi do domu najdziwniejsze rzeczy. No, są -

wygrzebała się spod łóżka z talią dużych kart w dłoni. Jander spojrzął na nią ponownie.

Pietia zrobił je dla mnie parę miesięcy temu, na urodziny - rzekła. - Myślę, że ci się spodobają.

Wręczyła talię elfowi.

- Potasuj.

- Ile razy?

- Aż uznasz, że dobrze je czujesz.

Jander przewrócił w myśli oczami i zaczął tasować karty długimi, smukłymi dłońmi. Tracił czas, ale może uda mu się dziewczynę

namówić, żeby powiedziała coś o Strahdzie. Instynktownie wyczuwał, że Maruszka wie znacznie więcej o tej krainie i jej władcy, aniżeli

beztroski Pietia. Podejrzewał również, że wyciągnięcie od niej odpowiedzi będzie trudniejsze.

Dziewczyna usiadła na poduszce naprzeciw wampira, miękkiem ruchem odsuwając na bok szklaną kulę. Nie spuszczała czarnych oczu z

jego twarzy.

Nagle zrozumiał, co miała na myśli. „Czuł” karty, trochę tak, jakby przesyłały mu wiadomość Już wystarczy, odłóż nas. Był zaskoczony.

Zawsze uważał Cyganów za sztukmistrzów i nabieraczy, pozbawionych lub prawie pozbawionych jakiegokolwiek rzeczywistej znajomości magii.

Widocznie jednak Vistani byli inni. Położył karty na stole.

- Rozłóż je - poleciła Maruszka. Jej głos brzmiał teraz inaczej, głębiej, dojrzej; wydawała się starsza. Jander zrobił, co chciała. - Teraz

wybierz sześć kart.

Wzięła te, które jej podał, i starannie odłożyła na bok pozostałe. Odwróciła pierwszą z trzymanyh w dłoni - przedstawiała piękną

spadającą gwiazdę we wszystkich kolorach tęczy, trzymaną przez równię uroczą kobietę. Jandę ra

zdumiało, że sprawiający wrażenie

lekkoducha Pietia miał tak subtelne poczucie piękna.

- Ta karta to twoja najdawniejsza przeszłość - uśmiechnęła się dziewczyna. - Najlepsza karta w talii, pełna łagodności, nadziei i obietnic.

Jakąż piękną duszą byłeś wówczas, Janderze Sunstar.

Elf nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Maruszka odwróciła drugą kartę i twarz jej posmutniała. Karta wyglądała na dobrą - widać na niej

było parę kochanków idących przez zielony las i trzymających się za ręce; mężczyzna podejrzanie przypominał Pietię.

- Nie jest tak źle - zaryzykował Jander. Maruszka pokręciła głową.

- Zazwyczaj nie, to Kochankowie. Ale spójrz, jest odwrócona do góry nogami. To znaczy, że nastąpiło rozstanie. W nieodległej

przeszłości - kochałeś i straciłeś ją.

Jander zaczął poważnie rozważać możliwość, że ta kobieta rzeczywiście potrafi przepowiadać przyszłość.

Maruszka obróciła kolejną, trzecią kartę - przedstawiała ślepą kobietę, niosącą wagę.

- Szukasz sprawiedliwości - zmarszczyła się, lekko dotknęła wizerunku i spojrzała w dal. - Szukasz zemsty - poprawiła się łagodnym

głosem.

Następna karta nieco ją zaskoczyła - szkielet z kosą wyszczerzał do niej zęby w uśmiechu. Spojrzała na Jandera i wstrząśnięta spostrzegła

na jego wargach sarkastyczny uśmieszek.

- Tb ty - rzekła gwałtownie - Tb znaczy twoja teraźniejszość. Tak naprawdę ta karta oznacza zmianę, nie śmierć.

Uśmiech Jandera nie zniknął.

- Myślę, moja droga, że w tym przypadku znaczy dokładnie to, na co wygląda.

Coś z nim jest nie tak, pomyślała Maruszka.

- Więc jesteś wojownikiem?

- Byłem. Kiedyś, dawno temu. W pewien sposób nadal jestem. Ale mów dalej, proszę. To interesujące.

Dziewczynie nie podobał się jego, gorzki, ironiczny, a jednak niebezpieczny uśmiech. Jander lepiej się prezentował w aurze melancholii,

kiedy tajemnicze, srebrzyste oczy wypełniał smutek. Uświadomiła sobie, że uładowana powłoka giorgio kryje groźbę. Był drobnej postury i z

pewnością dałaby mu radę w walce, ale i tak jej prawa dłoń z wolna powędrowała ku zatkniętemu za pas nożowi. Lewą ręką odwróciła następną

kartę zamykając na jej widok oczy.

Karta przedstawiająca Śmierć przeraża większość ludzi, ale tę, która się pojawiła, każda wróżka niechętnie ogląda. Przedstawiała Wieżę.

Pietia pod wpływem kaprysu narysował budowlę przypominającą zamek Ravenloft, gwałtownie walącą się w gruzy, pod którymi ginęli ludzie.

- Zła karta - wymruczała dziewczyna. - Bardzo zła... - Jej dłoń mocniej ujęła rękojeść sztyletu.

- Tym bardziej powinienem uwierzyć w prawdziwość twojej wróżby - odparł spokojnie Jander. - Maruszka - ciągnął łagodnie - zdejmij

dłoń ze sztyletu. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Zaskoczona podniosła wzrok i napotkała srebrne oczy, ponownie przepełnione smutkiem. Prorokini zawstydzila się. Już otworzyła usta,

by przeprosić, ale on machnął ręką.

- Co też ta złowrózba karta z Wieżą może mi powie dzieć?

- Wieża to chaos, zniszczenie. Taka będzie twoja przyszłość.

- Cudownie.

Maruszka szybkim ruchem odsłoniła ostatnią kartę i uśmiechnęła się z ulgą. To było Słońce, jej ulubiona karta w talii - małe dziecko,

mające jakieś trzy lata, wyciągało tłuściutkie rączki w stronę lśniącej kuli, wiszącej tuż poza zasięgiem jego ramion.

Słońce oznacza powodzenie i zwycięstwo, ma też sporo wspólnego z dziećmi. Jeśli odnajdziesz swoją sprawiedliwość, stanie się to za

sprawą słońca i dzieci. - Przeniosła wzrok na Jandera, przekonana, że tą ostatnią kartą sprawiła mu trochę przyjemności. Zamiast tego jednak

ujrzała twarz smutniejszą niż dotąd, steraną, zrezygnowaną. - Słońce to bardzo dobra karta - powtórzyła.

Dla większości ludzi chyba tak. Ale nie dla mnie. Dziękuję, że poświęciłaś mi czas, Maruszko. To było... jak oświecenie. Teraz muszę

już iść - wstał zwinnie. - Coś mówiłaś o jakiejś jaskini?

Maruszka nie mogła pozwolić mu tak po prostu odejść, pozbawionemu nadziei. W końcu to ona nalegała na wróżenie, nie on, a to

właśnie mroczna przepowiednia tak go przygnębiła.

- Zostań jeszcze trochę z nami i zobacz tańce. Rzadko zdarza się, byśmy pozwalali giorgio je obejrzeć i pewnie nigdy więcej nie będziesz

miał takiej okazji, choćbyś był obdarzony wyjątkową długowiecznością.

Jander nie mógł powstrzymać śmiechu, słysząc, jakiego słowa użyła. „Długowieczność”, faktycznie. Nic by jednak nie zyskał będąc



niegrzecznym; ci ludzie cieszyli się wolnością, jakiej doświadczało niewielu mieszkańców Barovii, a któż mógł wiedzieć, kiedy znów będzie

potrzebował ich wiedzy i zdolności.

- Jak sobie życzysz, pani. Dawno już nie oglądałem tak pełnego wdzięku przedstawienia, jakim jest taniec.

Dał się przeprowadzić obok wciąż przerażonego kucyka, z powrotem ku ognisku. W powietrzu rozlegał się ostry dźwięk skrzypiec,

nakładając się na dźwięki tamburynów i przypominające bicie serca uderzenia bębna. Zwinne sylwetki poruszających się ludzi odcinały się na tle

ognia. Wraz z kłębamii dymu w atramentowo czarne niebo wznosiły się śmiechy, klaskanie, a od czasu do czasu czysty, słodki śpiew.

Jander łapczywie i z zazdrością chłonał całą scenę; tak bardzo chciałby być częścią tego wszystkiego! Lubił Pietię, podobała mu się jego

czcza gadanina i jego przenikliwość, jego lubieżne, pożądlive, pełne życia uwagi na temat kobiet, dobrego wina i stylu życia rodaków. Podobała

mu się śliczna Prorokini i przenikające go, a zarazem wesołe brzmienie muzyki, dolatującej od ogniska.

Ze smutkiem uświadomił sobie, że karmi się żywą, ognistą naturą tych ludzi, zupełnie jakby był to jakiś rodzaj krwi. Drgnął zaskoczony i

próbował się uśmiechnąć, kiedy poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie dłoni Maruszki. Spoglądała uwodzicielsko ciemnymi oczami, a uwolnione

ze wstążki długie, czarne włosy spływały hebanową falą po śniadych ramionach. Z kusicielskim uśmiechem podeszła do reszty zgromadzonych

przy ogniu. Rozstąpili się, robiąc jej miejsce, ona zaś z łatwością włączyła się w grupę tancerzy.

Kiedy Jander naprawdę zaczął obserwować widowisko, pierwotne piękno tańca Vistanich przyprawiło go o ukłucie bólu. Młode kobiety

miały na sobie proste, cienkie bawełniane bluzy, białe lub kremowe, i długie kolorowe spódnice, które okręcały się wokół nich w tańcu,

odslaniając kształtne nogi. Długie włosy opadały im na plecy. Co chwila śmiały się naturalnie i niewymuszenie, a ich śmiech przypominał szmer

strumyka.

Elf przymknął srebrne oczy, odczuwając ból przemieszany z radością. Od blisko siedmiuset lat nie widział niczego podobnego - od

czasów, gdy przyglądał się płąsom współbraci w zaczarowanych lasach Evermeet. Jego umysł wrócił do tamtych dni, przepęlnionych

niewinnością, kiedy w najmniejszej nawet części jego ograniczonego, łagodnego wszechświata nie było miejsca dla brzydoty, a wampiryzm był

niczym więcej, jak rzadko wspominaną legendą, którą straszono dzieci.;

Maruszka stanęła przed nim i lekko pociągnęła jego złotoskórą dłoń swoją ciemną ręką. Zapraszała, by wstał i podszedł do ognia jako

partner. Przez chwilę Jander wahał się, ale przyłączył się do tańca, jakby zwabiony pomarańczowym płomieniem.

Jego ciało, nieumarłe już od pięciu wieków, nadal pamiętało jak reagować na muzykę. Wirowali więc w tańcu oboje, wampir i Cyganka,

patrząc sobie w oczy, przytuleni. Jander poddał się urokowi chwili i nagle wydało mu się, że to nie Maruszka z nim tańczy, lecz Anna. Anna,

zdrowa, uśmiechnięta, z miłością w oczach...

Nie wytrzymał dłużej. Piękna muzyka, oszołomienie wywołane ponownym przebywaniem wśród ludzi i wspomnienie nieżyjącej

ukochanej okazało się nie do zniesienia. Ku swemu przerażeniu Jander poczuł wzbierające w oczach łzy. Wymruczał jakieś usprawiedliwienie i

usunął się pod osłonę cienia rzucanego przez najbliższe vardo. Maruszka podążyła za nim.

- Jander, co się stało?

- Nic, ja tylko... Po prostu zostaw mnie na chwilę samego, proszę. Nic mi nie będzie - rzekł, odwrócony do niej plecami.

Dziewczyna niechętnie odeszła i Jander, znów sam, otarł krwawe łzy z oczu. Jedna z nich zdążyła spłynąć mu po twarzy, zostawiając na

niej czerwony ślad. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył w rdzawym, migotliwym świetle ogniska.

U jego stóp na ziemię upadła zmoczona szmatka. Rozległ się szorstki głos:

- Otrzyj twarz, wampirze.

SZEŚĆ

Jander gwałtownie podniósł wzrok. Wszyscy tańczyli i starsza kobieta była chyba jedyną osobą, która zwróciła uwagę na jego łzy. Nie

spuszczając z niej wzroku uczynił tak, jak mu poleciła.

- Masz nade mną przewagę, pani. Co zamierzasz zrobić? Lekko wzruszyła ramionami. Jander wyczuwał w niej iście żelazną wolę.

- Na razie nic. Jesteś naszym gościem i nie zlekceważylibyśmy w taki sposób tradycji naszych przodków. A poza tym zdradziły cię łzy,

co w tej krainie niezwykle rzadkie, zwłaszcza dla nieumarłego. Przez pamięć na to, kimś niegdyś byłeś, Janderze Sunstar, możesz odejść

bezpiecznie. Dzień możesz przespać w pobliskiej jaskini, niedaleko jeziora Tser. Nie będziemy cię niepokoić, jednak - dodała, a głos jej

zabrział mocniej, donośniej - od tej pory jesteś naszym wrogiem. Nie ma dla ciebie miejsca pośród żywych - odejść już, szybko.

Jander uklonił się dwornie.

- Jak mniemam jesteś, pani, madame Eva. Chciałbym cię prosić o przysługę - proszę nie mówić Pietii i Maruszce, kim jestem.

Eva zmarszczyła brwi i w jej spojrzeniu wampir dostrzegł ognik przypominający płomień w oczach Maruszki.

- Muszę ich ostrzec, to moje wnuki.

Jander obejrzał się przez ramię na bawiących się Vistanich, wśród których Maruszka znów wirowała wesoło w ognistym tańcu. Pietia z

uśmiechem na ustach stał w środku grupki młodych kobiet i opowiadał coś, żywo gestykulując.

- Gdybym chciał, miałem już wystarczająco wiele okazji, by ich skrzywdzić. Nic im z mojej strony nie grozi.

Eva badawczo, z namysłem przyjrzała mu się małymi, czarnymi oczyma. Z jej twarzy ustąpiła częściowo surowość i łagodnie odrzekła:

- Powiem im tylko wówczas, jeśli uznam to za konie czne. Teraz jednak odejść już - zawahała się, po czym dorzuciła: - Słodkiej wody i

jasnego śmiechu.

Jander skłonił się jej głęboko, odpowiadając na tradycyjne elfie pożegnanie i szybko przepadł w nocnym mroku. Eva patrzyła za nim, ale

zaraz znów poświęciła uwagę swoim wnukom. Maruszka przerwała taniec, łapiąc oddech i teraz z wyraźnym rozczerowaniem patrzyła na

odchodzącego elfa. W tym samym momencie Pietia podbiegł do babki.

- Babciu! Czyba nie kazałaś mu odejść?! - spytał pełnym wyrzutu głosem, patrząc na nią oskarżycielsko. Eva westchnęła.

- Idź po siostrę - rozkazała. Zwlekał przez chwilę, patrząc w ślad za Janderem, po czym zrobił, co mu kazała. Eva przysiadła na

najbliższej ławce. Za stara jesteś, pomyślała, chichocząc niewesoło. Za stara na takie rzeczy.

- Chciałaś nas widzieć, babciu? - Staruszka podniosła wzrok na wnuki; dwójka ładnych, młodych ludzi, z której ona sama i całe plemię

mogą być dumni. Poklepała ławkę i oboje posłusznie usiedli obok.

Jeszcze chwilę milczała.

- To nie jest szczęśliwa kraina - zaczęła. - Mieszkamy tu dzięki paktowi, jaki zawarłam z władcą Barovii, paktowi, który jest dla nas

korzystny.

Przerwała, szukając właściwych słów. Pietia wiercił się, spieszno mu było wrócić do grona wielbicielek; Maruszka siedziała cierpliwie.

- Ale nie znaczy to, że nie istnieją dla nas niebezpieczeństwa - ciągnęła Eva. - Czasem trudno je rozpoznać. Czasem pojawiają się ukryte

pod pozorami piękna.

Pierwsza zrozumiała Maruszka, choć wolałaby nie rozumieć.

- Jander jest niebezpieczny?

- Tak, dziecko. Bardzo - Eva przykryła dłoń Maruszki swoją, pomarszczoną.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Nie - odrzekła raptownie. - Nie mogę w to uwierzyć. Wróżyłam mu, on nie jest zły.

- Nie mówiłam, że on tego chciał, ale zdarza się, że nie człowiekowi nie jest dane wybierać między dobrem a złem.

- Babciu, on przecież uratował mi życie! - Pietia też już się na nią rozżłościł. Eva wolałaby im nie mówić, ale chłopak podziwiał elfa,

Maruszka zaś była nim wprost oczarowana.

- Tak, uratował, ale już nigdy, nigdy go nie ujrzysz. Ty również - zwróciła się do wnuczki, która obdarzyła ją piorunującym spojrzeniem

ciemnych, posępnych oczu. Eva rozwinęła wilgotną chusteczkę.

Otarł nią twarz.

Pietia wyrwał jej szmatkę z rąk i spojrzał oskarżycielsko.

- Był ranny, a ty pozwoliłaś mu odejść?

- Nie, wnuczku - odparła łagodnie. - Tb łyzy, którymi zapłakał.

Maruszka gwałtownie nabrała tchu w piersi.

- Nie... - sapnęła. - On nie jest... niemożliwe...

- Akara - dokończył Pietia i zerwał się na nogi. - Przepraszam, babciu, ale muszę wrócić do wioski.

Eva przybrała srogi wyraz twarzy.

- Nie chcę nawet słyszeć o takim głupstwie, nie po tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy.

Po Pietii widać było, jak walczy z emocjami: - Ale babciu...

- Nie. I to jest moje ostatnie słowo - wstała niezadowolona. Mimo, iż bardzo kochała oboje, podzielała zdanie Maruszki na temat dzieci i

kłótnie z nimi szybko wyczerpywały jej cierpliwość. - Przekazałam wam to, co uznałam za stosowne. Chcę, żebyście byli mi posłuszni - i

odeszła w stronę swojego vardo.

- Maruszka, potrzebuję twojej pomocy - rzekł Pietia, kiedy kobieta oddaliła się wystarczająco.

- O, nie, nie zamierzam się mieszać...

- Moja... przyjaciółka w wiosce... Ona też ufa Janderowi, oboje przysięgaliśmy mu przyjaźń. Musi się dowiedzieć, czym on jest!

Twarz Pietii odzwierciedlała jego silne wzburzenie. Siostra nigdy nie widziała go tak poważnego, toteż była nieco zaskoczona.

- Dobra, ale gdyby cię złapali, wszystkiego się wyprę - ostrzegła go.

Chłopak rozpromienił się.

- Mogę wziąć twojego konia?

* * * * *

Anastazja leżała na brzuchu, nie zważając na wsiąkające w poduszkę łyzy. Czerwone pręgi na plecach płonęły, ból nie ustawał ani na

chwilę. Prawe ramię zdrętwiało jej kompletnie, ale nie odważyła się nim poruszyć, by nie zwiększać męczarni.

Ludmiła przespała wszystkie nocne zdarzenia, czego Anastazja szczerze jej zazdrościła. Na bogów, gdybyż tylko ojciec pozwolił matce

posmarować jej plecy jakąś kojącą maścią.

Garść kamyków zagrzehotała, odbijając się od szyby w oknie. Anastazja poderwała się, na jej twarzy pojawił się grymas cierpienia, ale

zaciśnęła zęby i z trudem, powoli, wstała z łóżka i pokuśtykała do okna. Prawie zemdląła z wysiłku podnosząc rękę i otwierając okiennice.

Zamrugła parę razy oczami, próbując nie stracić przytomności i ciężko dysząc, z wolna uchyliła okno.

Na dole stał Pietia, widoczny zaledwie jako ożywiony cień w księżycowym świetle. Nie odezwał się, tylko pomachał na nią, żeby zeszła

na dół. Anastazja chciała tak zrobić, jednak zdawało jej się, że umęczone ciało temu nie podoła.

W tej samej chwili rozległ się ryk wściekłości, druzgocząc ciszę nocnej pory i przerażona Anastazja ujrzała wylewającą się z domu

czereďę słuźących jej ojca. Dwóch z nich chwyciło Pietię pod ramiona, reszta zaś dobyła mieczy.

- Anastazja, co... - usłyszała dochodzący zza pleców senny głos Ludmiły. Anastazja nie miała teraz czasu dla siostry; pobiegła do drzwi i

dalej po schodach tak szybko, jak tylko pozwalało jej zmaltretowane ciało. Potykając się zeszła na dół i otworzyła ciężkie wrota, wychodzące na

brukowany dziedziniec. Ciężko łapała oddech z wyczerpania. Czuła, że zerwał się wiatr i zrobiło się chłodniej; uderzyła w nią fala wilgotnego,

zimnego powietrza.

Pietia nie trzymał się już na nogach. Byłby się rozciągnął bezwładnie na kamieniach, gdyby nie podtrzymujący go mocno za ramiona

słudzy Kartova. Sam burmistrz trzymał w dłoni szpicrutę, którą wcześniej obił córkę. Pochrząkiwał przy każdym ciosie. Mimo chłodu w

powietrzu po twarzy spływał mu pot. Zdażył już kilkakrotnie uderzyć bezradnego Vistaniego i plecy chłopaka powoli zaczynały przypominać

czerwoną miazgę. Rytmiczny trzask szpicruty ostro wyróżniał się na tle odgłosów nadciągającej burzy.

Anastazji całkowicie zaschło w gardle i przez moment wszystko zafalowało jej przed oczami. Zebrała całą energię, jaka jeszcze jej

pozostała, i głosem, który wydawał się zbyt głośny, by mogła go z siebie wydać, wrzasnęła:

- Nie!

Kartov przerwał i rzucił jej mordercze spojrzenie, ale nie udało mu się zastraszyć córki. W miarę, jak w jej piersi wzbierał powoli gniew,

przestawała odczuwać ból.

- Powiedziałam: nie! - powtórzyła, tym razem miękko, tonem mającym w sobie coś z niskiego pomruku wilka.

- Iwan - zwróciła się do jednego ze służących ojca. - Puść go.

Iwan zawahał się, przenosząc wzrok z ojca na córkę. Siwowłosey lokaj nigdy dotąd nie sprzeciwił się swemu panu, ale coś w postawie

Anastazji go niepokoiło. Stała wyprostowana, z bladą twarzą, o którą uderzały czarne kosmyki włosów.

- Panie? - zapytał. Burmistrz nawet na niego nie spojrzał.

Anastazja odważnie podeszła do ojca, pewnym, wolnym krokiem zmniejszając dzielący ich dystans. Kartov wznosił szpicrutę, gotów

uderzyć w jej zadartą do góry, posiniaczoną twarz.

- Aaaaauuuuuu! - zawyła dziewczyna, naśladując wilka. Twarz Kartova pobladła. Ponownie rozległ się grzmot, tym razem głośniejszy.

- Czemu nie powiesz Iwanowi, jak dziś wieczór uciekałeś przed wilkami? - ciągnęła Anastazja. Przepelniona zimną nienawiścią, pewna

siebie wyciągnęła dłoń i spokojnie wyjęła zakrwawioną szpicrutę w ojcowskiego uchwytu. Kartov nie próbował jej powstrzymać.

- Ja nie uciekałam - dodała cicho i odwróciła się w kierunku Vistani. - On też nie. Iwan - powtórzyła, obrzucając sługę chłodnym

spojrzeniem. - Możesz go już puścić.

Oszołomiony i zmieszany Iwan zrobił, co mu kazano. Drugi służący uczynił podobnie, wycofał się z trudem powstrzymując się od

ucieczki biegiem, po nim poszli następni. Pietia padł bez przytomności na kamienie, ale Anastazja nie od razu podeszła do niego. Lodowatym

wzrokiem mierzyła ojca, który nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Jej nocy pokazał, że jest tchórzem i córka nigdy nie pozwoli mu tego zapomnieć.

Zmełł w zębach przekleństwo i trzasnąwszy drzwiami zniknął we wnętrzu domu.

Teraz uwaga Anastazji skupiła się na pobitym ukochanym i dziewczyna, przewyciężając ból w plecach, uklękła obok niego i przytuliła

do siebie. Czule pogładziła jego jedwabiste, teraz splątane i wilgotne od potu włosy. Pietia zamrugał i uchylił powieki.

- Anastazja - wycharczał chłopiec. - Jander...

- Ćśśś, nie próbuj mówić. Wezmę cię do środka, będę się mogła tobą zająć. Myślisz, że dasz radę chodzić?

- Posłuchaj mnie! - desperacko zażądał Pietia. - Elf... dziś w nocy... ślubowaliśmy przyjaźń. Pamiętasz? - Anastazja przytaknęła

zmieszana. - To wampir... nie możemy... - wysiłek okazał się zbyt duży i Vistani opadł bezwładnie w jej ramionach, mdlejąc ponownie.

Anastazja poczuła na ciele gęsią skórę, bynajmniej nie z powodu chłodu niosącego deszcz powietrza. To złotoskóre stworzenie, które

ich ocaliło, miałoby być martwą, żywiącą się krwią istotą? To niemożliwe. Ale, z drugiej strony, Pietia nie wróciłby do wsi, gdyby nie uznał, że

to ważne. Znowu spojrzała na jego plecy, i nienawiść do ojca odżyła w jej sercu. Jander Sunstar może sobie być wampirem, ale patrząc na to, co

uczynił jej ojciec, poczuła, że prędzej zwiąże swój los ze złocistym nieumarłym, niż z ludźmi, z którymi łączy ją więzy krwi.

Gigantyczna błyskawica rozświetliła podwórze; błysk był tak jasny, że Anastazja skrzywiła się, mrużąc oczy. Niemal natychmiast rozległ

się ogłuszający grzmot, od którego zadrżała ziemia. Z zachmurzonego nieba zaczął padać deszcz, twarde, małe krople uderzały ją w plecy.

Ulewa ocuciła Pietię, który kaszlał i pojękiwał teraz z bólu, aż wreszcie z pomocą dziewczyny udało mu się wstać na nogi i potykając się dopaść

drzwi. Na tle jasnej poświaty z wewnątrz Anastazja rozpoznała szczupłą sylwetkę matki i uśmiechnęła się w duchu.

Dało się słyszeć kolejny głęboki grzmot, poprzedzony błyskawicą. Plotka głosiła, że Strahd potrafił

magicznie sprawować kontrolę nad

pogodą.

- Krąg mgły, otaczający wioskę, jest mu posłuszny - dawno temu powiedziała jej stara Elena. -
Trzyma go tam, żeby nas oślepić. Wiatr i

deszcz to jego gniew, a piorun - jego miecz zemsty.

Anastazja prawie nic nie widziała przez zasłonę lodowatej ulewy, wstrząsały nią gwałtowne
dreszcze. Jeśli burza miała oznaczać złość

Strahda, pomyślała, ponuro uśmiechając się do siebie, musiał dostać jakieś bardzo złe wieści.

* * * * *

W tej krainie nawet Jander mógł śnić.

Zaczął się to inaczej niż u zwykłych ludzi. Elfy potrzebują bardzo niewiele snu, a gdy czują potrzebę
odpoczynku, są w stanie

kontrolować, do jakiego stopnia się odprężą. A jednak pierwszego dnia w Barovii Jander śnił,
oczekując nadejścia nocy.

Z łatwością odnalazł jaskinię, o której mówiła mu Eva - głęboką, ciemną, idealne miejsce na
odpoczynek dla istoty, której światło słońca

niosło śmierć. Elf wierzył zapewnieniu madame Ewy, ale postanowił tylko odpocząć, nie pozwalając
sobie na sen. Gdyby miało to okazać się

pułapką, Vistani zdziwiliby się widząc oczekującego ich, przebudzonego wampira. Byłby dla nich
więcej niż godnym przeciwnikiem.

Siedział teraz głęboko pod ziemią, z dala od wejścia do groty. Podciągnął nogi do piersi, złożył ręce
na kolanach i oparł głowę o

kamienną ścianę, przymykając oczy.

Podjął swoją ulubioną zabawę: wspomnianie słońca. Wyobrażał sobie, jak złocisty blask rozlewa się
w jego kierunku od strony wejścia,

widział tworzące się w zagłębieniach skalnych kałuże światła, a strużki poświaty spływały po
kamieniach. Czuł ból w piersi. Ileż to tysięcy dni

upłynęło mu na takiej grze! Marzył o świetle słońca i zastanawiał się, czy już nadszedł ten dzień, kiedy
będzie miał dość odwagi, by wyjść i

stawić mu czoło. Ib nie strach przed śmiercią go powstrzymywał - bał się tego, co słońce może z nim uczynić.

Ma Torii spotykało się istotę zwaną szkarłatnym morem, ohydne monstrum w formie gazowej chmury, żywiące się krwią. Według

niektórych legend szkarłatny mórz był skazaną na wieczną wędrówkę duszą uśmierconego wampira. Myśl, że mógłby przeistoczyć się w coś

podobnego, nakazywała Janderowi pozostawać w cieniu, z dala od umiłowanego słońca.

Jego rodowe nazwisko pochodziło od światła i złoty słoneczny blask, pod którego dotykem wszystko zmieniało barwy, był jednym z

najpiękniejszych, zapierających dech w piersi zjawisk, jakie znał Jander. Za życia elf płał się w świetle dnia, uwielbiając jego ciepłą pieśczoć

i promienną jasność.

Kiedy dorastał w Evemneet, zwykł był witać świt grając na flecie. Przyjaciele drażnili się z nim, pytając żartem:

- Myślisz, że słońce nie wstanie, jeśli nie zaprosisz go swoją muzyką?

Teraz zaś był na wieki skazany na wspomnianie tego światła i tego dotyku.

We śnie spojrział w kierunku wejścia do jaskini, które przesłaniał jakiś cień. Jander cofnął się, szykując się do ataku, kiedy postać stanęła

tak, że mógł ją rozpoznać.

To była Anna.

Nie miała na sobie tej wstrętnej, brunatnej koszuli z przytułku, lecz stanik i spódnice, podkreślające jej urodę, dojrzałą, choć zarazem

dziewiczą figurę. Zdawała się całkowicie, zupełnie rzeczywista, ale Jander od razu zdał sobie sprawę, że ożyła jedynie w jego umyśle. Zaglądała

do środka; źrenice jej oczu rozszerzyły się w półmroku, kiedy uśmiechnęła się do niego.

- Może byś wyszedł i przyłączył się do mnie?

Ponieważ wszystko było snem, a od siedmiuset lat niczego nie pragnął bardziej, niż połączyć się z nią, Jander ze snu wstał i wyszedł na

zewnątrz, w jasny baroviański poranek.

- Teraz lepiej, prawda?

Drobne palce Anny splotły się z jego własnymi, długimi, kiedy znów obdarzyła go uśmiechem. Bogowie, ależ była piękna! Jej

rozświetlona słońcem twarz żywo odbijała wszystkie uczucia, usta miała pełne i skore do śmiechu, ciepłe, jasnobrązowe oczy przypominały oczy

sarny. Migdy jej takiej nie widział za życia; chora dziewczyna o bladej skórze i nieruchomym obliczu była ledwie cieniem tego prześlicznego

stworzenia.

Bez reszty w nią zapatrzony Jander dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, że oto jest świadkiem cudu. Mie mógł wyczuć zapachu

jej krwi, ale w tym cudownym, sennym upojeniu nie był już wampirem, stając się na powrót Janderem Sunstarem, złotym elfem. Poczul na

włosach światło słońca, a kiedy odwrócił się ku Annie, ta zmrużyła oczy i odwróciła wzrok.

Słońce, odbite od twoich włosów, oślepia mnie! - roześmiała się, mrugając oczami. Zawtórował jej beztroskim, dźwięcznym śmiechem,

takim, jaki mógł dobrać się tylko z gardła żywej istoty. Pocałował jej czerwone usta, szukając tylko ich słodczy, całym swoim jestestwem

czując, że nie pragnie jej krwi. Odpowiedziała na pocałunek tak, jak o tym marzył, z radością, która aż go zaskoczyła.

- Anno - wyszeptał, gładząc długimi palcami gęste włosy dziewczyny. - Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, najdroższa, przepraszam...

Potrząsnęła głową, uśmiechając się pogodnie i posyłając mu spojrzenie ciepłych, wesołych oczu.

- Nie, Janderze Sunstar. Myślałeś, że nie wiedziałam? Byłeś światłem, rozjaśniającym otulające mnie mroki szaleństwa.

- Anno - objął ją mocno. - Powiedz mi, kto ci to zrobił.

- Musisz sam się dowiedzieć, kto zniszczył mój umysł. Na tym polega twój test - uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Test? Nie rozumiem...

Nagle zniknęła i Jander znów został sam w jaskini. Poderwał się wyrwany ze snu, słysząc na zewnątrz rżenie konia. W grocie panowała

ciemność, z trudem było widać minimalnie jaśniejszy owal otworu wejściowego. Elf zauważył, że drży na całym ciele. Doświadczył już w życiu

snów i koszmarów, ale to widzenie miało w sobie elementy jednego i drugiego. Czuł ból widząc ponownie Annę, mimo iż było to wyłącznie jego

własne, tęskne wyobrażenie. Miał jednak nadzieję, że jeszcze ją spotka.

Koń zarżał ponownie i uderzył kopytem w ziemię, po chwili doleciało inne rżenie. Jander czuł zapach zwierząt, zmieszany z wonią

natartej tłuszcem skóry, metalu i słodkim aromatem siana. Nostalgia ustąpiła ciekawości. Skąd się tu wzięły konie?

Lepiej się upewnić, pomyślał, jeszcze raz głęboko wciągając powietrze. Nigdzie w pobliżu nie wyczuwał woni ludzi, więc powoli

wyszedł z jaskini.

W parze koni nie było nic niezwykłego, oprócz ich absolutnej czerni. Atramentowej sierści nie znaczyła nawet najmniejsza gwiazdka,

najmniejsza skarpetka. Tylko nozdrza, rozdęte, kiedy wyczuły zapach Jandera, miały różową barwę. Musiały być spętane więzami potężnej

magii, gdyż nawet nie drgnęły, kiedy wampir zbliżył się do nich i położył dłonie na jedwabistych szyjach. Kiedyś kochał konie, a one jego.

Tęsknił za zwierzętami.

Klepnąwszy je jeszcze na pożegnanie, Jander przeniósł uwagę z koni na powóz, do którego były zaprzężone. Kareta była duża, starannie

wykonana, o lekkiej konstrukcji i obszernym wnętrzu, obitym czerwoną skórą. W oknach wstawiono prawdziwe szkło. Tylko ktoś naprawdę

bogaty wydałby tyle pieniędzy na powóz, zauważył w myśli elf. Powoli obszedł pojazd dookoła, podziwiając doskonale drewno i idealny kształt

kół.

Miejsce na koźle, gdzie powinien siedzieć woźnica, było puste, porządnie związane lejce leżały przerzucone przez ławkę. Na niej

właśnie, odcinając się od intensywnej czerni i czerwieni pojazdu, spoczywała biała koperta. Jander wziął ją do ręki, zwracając uwagę na

znakomity papier. Kopertę opatrzoną odcisniętą w czerwonym wosku pieczęcią z podobizną jakiegoś ptaka, zbyt małą, by mógł go rozpoznać.

Złamał pieczęć i zaczął czytać

Gościowi w moim kraju, Janderowi Sunstarowi,

Hrabia Strahd von Zarouich, władca Barouii, przesyła pozdrowienia.

Szlachetny Panie, przyjmij, proszę, moją skromną Gościnę i zechciej zjeść ze mną Kolację dziś wieczorem, w Zamku Rauenloft. Mam do

ciebie, Panie, wiele Pytań, a pewien jestem, że i ty zechcesz mi jakieś zadać. Dołożę wszelkich starań, by zaspokoić twoją naturalną Ciekawość,

jeśli chodzi o tę krainę.

Powóz dowiezie cię bezpiecznie do Zamku. Usilnie nakłaniam cię, Panie, byś przyjął moje Zaproszenie i z niecierpliwością oczekuję

twojego przybycia.

Hrabia Strahd von Zarouich.

Jander, zamyślony, starannie złożył list. Powinien był przewidzieć, że Vistani przekażą władcy tego kraju tak fascynującą nowinę, jak

wieść o przybyciu elfa do Barowi. Nie mógł ich za to winić. Większy problem sprawiała mu własna niechęć do przyjęcia zaproszenia. Czyż nie o

to mu chodziło? Któż lepiej odpowie na jego pytania, niż pan tego paskudnego miejsca?

Rozwinął list i przeczytał go jeszcze raz, doszukując się jakichś ukrytych znaczeń. Przyjęcie zaproszenia oznaczałoby, że wejdzie wprost

do wilczego legowiska, odsłaniając się, ale dla wilka to też może być niespodzianka. Nie miał wyboru; Strahd z pewnością w końcu go znajdzie.

- Dobrze więc - rzekł do koni, którego zastrzygły uszami w jego kierunku. - Wracajcie do stajni, a mnie zabierzcie do waszego pana.

Kiedy podszedł bliżej, drzwi karety same się przed nim otworzyły. Zawahał się przez moment, po czym wsiadł. Zamknął drzwiczki i w

tej samej chwili konie ruszyły zdecydowanym krokiem. Jander opadł na wygodne siedzenie i postanowił cieszyć się przejażdżką, nie

zastanawiając się nad tym, co czeka go na końcu.

Konie początkowo szły kłusa, później, wyjechawszy na drogę, przyspieszyły. Droga prowadziła przez rzekę, gdzie Jander miał okazję

podziwiać zapierający dech w piersi widok wodospadu - przejechali tak blisko, że szyby opryskała delikatna mgiełka.

Wjechali w znajomy już Janderowi krąg mgły i chcąc nie chcąc Jander przypomniał sobie tę, która sprowadziła go z Waterdeep do

Barovii. Przycisnął twarz do okna, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że mgła znów się pojawiła po to, by odesłać go do domu. Opar spowijał



ich przez jakieś trzysta stóp drogi, by zniknąć równie nagle, jak się pojawił. Elf spojrział przez okienko z tyłu na kłębiącą się masę i pokręcił

głową.

Konie rozpędziły się i nie zwalniały już kroku, podążając na północ. Zbliżali się do gór, toteż po niedługim czasie musiały zwolnić, ale

utrzymywały całkiem niezłe tempo. Droga skręciła ku wschodowi i po chwili dotarli do rozwidlenia.

Jander spojrział na lewą odnogę traktu, gdzie w oddali widniała ogromna, masywna, najprawdopodobniej żelazna brama. Obu jej boków

strzegły gigantyczne kamienne figury, wyglądające na pozbawione głów. Wrota były otwarte, gdyby jednak je zamknąć, skutecznie odcinały

jedyną drogę prowadzącą do wioski od zachodu.

Rytmiczny klekot końskich kopyt rozbrzmiewał nadal, aż wreszcie Jander ujrzał majaczący w przodzie zamek Ravenloft. Na kręgosłupie

poczuł dotknięcie lodowatej dłoni strachu - uczucie to obce było wampirowi, który od kilkuset lat nie musiał się bać żadnej istoty, żywej czy

martwej.

Tli jednak mógł znajdować się klucz do sekretu tożsamości Anny, pięknej, delikatnej, doprowadzonej do obłędu przez czyjeś

okrucieństwo, kogoś, kto nazywa to miejsce swoim domem. Jander zacisnął dłonie w pięści. Może pan na zamku Ravenloft będzie znał

odpowieź.

Konie dowiozły go pod mury i powóz się zatrzymał. Elf wysiadł, spojrzął na budowlę i zrozumiał, dlaczego konie stanęły w tym miejscu.

Pomiędzy dwoma kamiennymi, rozpadającymi się wartowniami leżało wejście do zamku - kruchy, drewniany most zwodzony, zawieszony na

łańcuchach, sprawiających wrażenie starych i przerdzewiałych. Poniżej znajdowała się tysiącstopowej głębokości otchłań. Na krawędzi murów

siedziały przycupnięte dwa gargulce, zdające się wpatrywać w gościa. Wyglądały paskudnie, a uśmiechy na ich kamiennych gębach wcale nie

łagodziły ich powierzchowności.

Ostatni raz klepnął konie - dla własnej przyjemności, gdyż przerażone zwierzęta raczej nie mogły odczuć tego jako pieszczoty. Uciekły

pędem, ciągnąc miotającą się szaleńczo za nimi karetę.

Jander przyjrzał się mostowi. Z pewnością nie wyglądał bezpiecznie. Czasem bycie wampirem może mieć niezaprzeczalne zalety,

pomyślał, zmieniając się w nietoperza i przelatując na przepaścią. Ponownie przybrał elfią postać i poszedł dalej.

Przeszedł przez kryty wjazd, przygotowany na każdy atak. Było tu wilgotno i paskudnie, w powietrzu unosił się odór rozkładu, ale nic się

nie wydarzyło. Kratę w wejściu podniesiono i to, sądząc po jej wyglądzie, już dość dawno temu. Drewno zaczynało gnić. Z przejścia wychodziło

się na obszerny, mroczny podwórzec, skąd Jander ujrzał cały zamek Ravenloft.

Rzeczywiście, robił wrażenie. Olbrzymie główne wrota, teraz zamknięte, zdobiły sceny bitewne, przedstawione tak realistycznie, że

postacie zdawały się poruszać. Płaskorzeźby były zarazem delikatne i wyraziste, pełne życia, wręcz nie na miejscu w mrocznej, zapomnianej

warowni. Po obu stronach drzwi umieszczono pochodnie, teraz migoczące na wietrze; matowe, brunatnożłotej barwy mosiężne kołatki

błyszczałyby wspaniale, gdyby ktoś je wypolerował. Miały kształt kruczych głów z oczami z lśniących klejnotów. Jander zastanawiał się przez

moment, po czym ujął jedną z nich i trzykrotnie uderzył w drzwi.

Niski, dudniący dźwięk zawibrował w powietrzu. Przez kilka pełnych napięcia minut nie było żadnej odpowiedzi i Jander słyszał tylko

świsł wiatru. Walczył, by zachować spokój, ale jego niepokój narastał z każdą chwilą.

Wreszcie masywne odrzwia rozwarły się powoli z głębokim, basowym skrzypieniem, jakby opierając się uchyleniu ich choćby o cal

więcej. Ciepła poświata zalała podwórzec.

Jander ociągał się z wejściem do środka. Światło księżyca srebrzyło jego włosy.

- Hrabio? - zawołał elf. Jego głos zabrzmiał słabo, strachliwie. Zbeształ się w duchu. - Wasza Ekszelencjo, przybył Jander Sunstar -

krzyknął ponownie, próbując być bardziej przekonującym. - Przybyłem na zaproszenie Waszej Ekszelencji, ale nie wejdem, dopóki teraz nie

otrzymam zaproszenia.

Odpowiedziała mu cisza, ale jakimś dziwnym sposobem wiedział, że został usłyszany. Z głębi rozjaśnionego światłem pochodni

pomieszczenia dobiegł go głęboki, słodki głos, najpiękniejszy, a zarazem najbardziej przerażający, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Rozpoznawał w

nim groźbę, ale jego brzmienie i tak było pieszczotą dla uszu.

- Wejdz, Janderze Sunstar. Jestem Hrabia Strahd von Zarovich i witam cię w moim zamku.

SIEDEM

Głos Strahda na moment zmroził Jandera, ale zły na siebie elf otrząsnął się z wrażenia paraliżu, w myśli odetchnął głęboko, szykując się

na wszystko, co mogłoby go spotkać w środku i przestąpił próg zamku Ravenloft.

Gładka, szara, kamienna podłoga pomieszczenia zdawała się być wycięta z serca góry, a środkiem wytarta stopami całych pokoleń

poprzednich mieszkańców. Pochodnie ciągnące się wzdłuż ścian słabo paliły się w wilgotnym powietrzu i rzucały niepewne światło na stojące

pod nimi na podobieństwo wartowników zardzewiałe zbroje. Jander nie widział na razie gospodarza i tylko błędził wokół oczami.

- Hrabio von Zarovich? - zawołał.

- Wejdz, przyjacielu - odpowiedział mu piękny i groźny głos.

Elf wszedł ledwie parę kroków w głąb pomieszczenia, kiedy otworzyły się przed nim kolejne drzwi. Stał na chwilę, ale zaraz ruszył

dalej. Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i odskoczył, sycząc i obnażając wysuwające się kły. W następnej chwili uświadomił sobie

zmieszany, że wszystko było tylko grą światła. Cztery figury przedstawiające smoki wpatrywały się w niego złowrogo. Ich oczy, podobnie jak w

kołatkach, wykonano z klejnotów, które odbiły światło pochodni.

Jander uspokoił się nieco i ruszył naprzód. Jeszcze jedne drzwi otworzyły się pod jego dotykiem i wszedł do dużej komnaty, która okazała

się właściwym westybulem. Z lewej prowadziły w górę szerokie schody. Dookoła, pod sufitem, znajdowało się więcej gargulców,

przypominających te, które widział wcześniej. Spojrzał na sklepienie, którego zdawały się strzec, i na widok pięknych fresków zapomniał

chwilowo o swym niepokoju.

Cały strop pokrywały wspaniałe malowidła i oczy Jandera przeskakiwały od scen polowań do bitew, od turniejów do uroczystości

pasowania na rycerzy. Niestety, freskom niewiele brakowało do kompletnego zniszczenia - najwidoczniej władca zamku Ravenloft nie dbał

zbyttnio o utrzymaniu w dobrym stanie zamczyska i piękna, które w sobie kryło. Elf ponownie skupił się na poszukiwaniu gospodarza.

Na wprost znajdowało się dwoje wykonanych z brązu drzwi i Jander już ku nim postąpił, kiedy dobiegł go miękki głos:

- Cieszy mnie, że przybyłeś. Witaj w moim domu.

Elf odwrócił się i ujrzał Strahda schodzącego po wyłożonych kobiercem schodach z kandelabrem w dłoni.

Hrabia miał ponad sześć stóp wzrostu, a w jego postawie widać było gibkość i drżącą w nim siłę. Odziany był w eleganckie czarne

spodnie i płaszcz narzucony na białą koszulę i kamizelkę. Szkarłatna kokarda pod szyją, pasująca do czerwonego klejnotu na gorsie, wyróżniała

się na tym tle niczym plama krwi. Skóra hrabiego była niezwykle blada, praktycznie koloru kości, za to ciemne oczy rzucały przeszywające

spojrzenie. Nic nie umknęło ich uwagi, gdy badawczo, z ciekawością spoglądały na Jandera, by wreszcie napotkać jego wzrok. Gęste, starannie

ułożone włosy nie do końca skrywały zaostrome koniuszki uszu. Twarz Strahda miała miły wyraz, ale powitalny uśmiech wydawał się

dwuznaczny.

Jander uklonił się widząc nadchodzącego mężczyznę.

- Dziękuję za zaproszenie, hrabio. To zaszczyt zostać przyjętym przez władcę Barovii.

Strahd uśmiechnął się szerzej, tym razem z wyraźnym odcieniem złej woli.

- Miło mi, że tak to odczuwasz, Janderze Sunstar. Niewielu uważa mój zamek za tak gościnne miejsce.

- Może to dlatego, że nie doświadczyli tak łaskawego zaproszenia.

Na dźwięk tej odważnej uwagi głęboko w mrocznych oczach hrabiego coś błysnęło czerwono.

- Prawda to. Widzę, że nie jesteś skory kryć się za fałszywymi grzecznościami. To dobrze. Rzeczywiście mam swoje powody, by cię tu

zaprosić - pewien jestem, że i ty miałeś swoje, przyjmując zaproszenie. Tym niemniej zapewniam cię, panie, że powitanie jest szczere.

Przyglądali się sobie wzajemnie, zupełnie jak dwa dziwne, krążące wokół siebie wilki. Żaden jeszcze nie był gotów wycofać się i

przyznać do porażki.

- Możesz nazywać mnie Strahdem - odezwał się w końcu hrabia. - Nie znam twego stanu, ale z pewnością bliższy mi jesteś niżeli ci

odrażający chłopci i moje bezrozumne sługi. Pójdź za mną, proszę. Znajdziemy wygodniejsze miejsce, a poza tym - tu na twarzy hrabiego

wykwitł chłodny uśmiech - tak rzadko miewam gości, że chętnie chwalebę się wspaniałością mojego domostwa.

Odwrócił się i ruszył w górę schodów.

- Przypuszczam, że ciekaw jesteś, skąd wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Niespecjalnie. Najwidoczniej Vistani są po twojej stronie.

- Tak... Moi mali cygańscy poddani. Znacznie lepsza kasta ludzi niż wieśniacy.

Doszli na półpiętro i Jander rozejrzał się wolno dokoła. Widniał tu kolejny, starannie wykonany fresk, podobny do podziwianych

wcześniej, przedstawiający atak na górę, na której szczycie stał zamek. Jak poprzednie, tak i to malowidło było bardzo zniszczone. Elfowi udało

się odczytać resztki inskrypcji:

R L O B L N C I E A P D P Ę G W T G O M B L K R Z O R.

Ruszył za Strahdem po kolejnym odcinku schodów.

- Czy zbliżając się tutaj zwróciłeś uwagę na mgłę? - zapytał hrabia.

- Tak, ten pierścień wokół wioski wygląda dość ciekawie.

- Dobrze, że nie musisz oddychać. Ta trująca mgła znajduje się tam z mojej woli. Cyganom w zamian za ich usługi dana została wiedza,

jak przyrządzać miksturę, dzięki której stają się na nią odporni. Zbijają przyzwoitą fortunę sprzedając możliwość przejścia przez mgłę, a ja mogę

zadbać o zaopatrzenie mojej spiżarni. Rozsądny interes, czyż nie?

Schody prowadziły do ogromnej sali. Kamienną podłogę zalewała księżycowa poświata, sącząca się

z okna po prawej stronie. Przez to, iż

była pusta, komnata zdawała się większa niż w rzeczywistości. W przeciwległym jej końcu stał duży tron, stanowiący całe jej wyposażenie.

- W dawnych czasach była to sala audiencyjna. Teraz rzadko jest używana, co cię chyba nie dziwi.

Minęli salę i przez małe, wymyślnie rzeźbione drzwiczki weszli do korytarza. W dwóch niemal całkowicie zaciemnionych niszach stały

niczym strażnicy dwa kompletne pancerze. Strahd wszedł do jednej z nisz, wykonał szczupłymi palcami gest, który nieco umknął uwagi Jandera.

Na ścianie pojawił się zarys drzwi, które otwarły się, lekko popchnięte przez hrabiego.

Jander spał się cały; plotki o Strahdzie okazały się prawdziwe. Władca tej krainy władał magią.

Zapominając chwilowo o swej odrazie elf podążył posłusznie za gospodarzem do góry po kolejnych schodach. Zdążył się już trochę

pogubić, to miejsce stanowiło istny labirynt.

- Mieszkasz tu sam, Strahdzie? - spytał.

- Och, nie. Mam służących, w pewnym sensie, a wieśniacy zaopatrują mnie we wszystko, czego mógłbym potrzebować lub pragnąć.

Mieszkańcy tej miejsciny są dość posłuszni, a poza tym, jak już wspominałem, zawarłem ugodę z Cyganami. Dobrze uczyniłeś nie robiąc im

krzywdy; muszę ci powinszować powściągliwości.

- Dlaczego miałbym chcieć ich skrzywdzić? Strahd zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, stając twarzą w twarz z Janderem. Na jego

twarz zaczął wypływać konspiracyjny uśmiezek, odsłaniając białe zęby. Wstrząśnięty elf dostrzegł, jak kły hrabiego wydłużają się.

- Pragnienie potrafi rozkazywać, prawda, Janderze Sunstar?

Elf mógł tylko patrzeć. Nic dziwnego, że Strahd chciał go widzieć! Nie dziwota, że ludzie w obleżonym miasteczku tak się bali.

Gospodarz jeszcze przez chwilę nie spuszczał z niego wzroku, zadowolony z zaskoczenia malującego się na twarzy gościa. Wyraźnie

usatysfakcjonowany tym, że pokazał aroganckiemu elfowi, gdzie jego miejsce, odwrócił się

ponownie, zamiatając schody połą szaty i ruszył do

góry.

Kiedy doszli do końca schodów, Jander stwierdził, że znajdują się w kolejnej ogromnej sali, rozjaśnionej wpadającym przez otwór w

suficie światłem księżyca, wydobywającym z cienia długi rząd posągów.

- Moi szlachetni przodkowie - rzuciła Strahd oschle. - Robiłem, co w mojej mocy, by każdego z nich złościć, zignorować lub

pokrzyżować mu szyki. Widzisz, niektórzy z nich niezupełnie... odeszli.

- Rzeczywiście - na twarzach części figur Jander dostrzegł wyraz cierpienia. Inne, rzecz jasna, były po prostu kamiennymi rzeźbami.

Jednej z nich brakowało głowy i elf ciekawie zerknął na postument, próbując odcyfrować zapisane tam imię.

- Jander! - ton Strahda brzmiał rozkazująco i elf pośpiesznie dogonił gospodarza. Przeszli przez kolejny krótki korytarz, po czym hrabia

otworzył drzwi do komnaty niewiele mającej wspólnego z ogólną dewastacją, jaka zdawała się cechować znaczną część Ravenloft.

- Mój gabinet - rzekł głosem, w którym było więcej ciepła, niż Janderowi dotąd zdarzyło się u niego słyszeć. Na kominku płonął ogień,

którego rdzawy blask napełniał pokój ciepłem i światłem. Wzdłuż ścian ciągnęły się setki książek i do nozdrzy Jandera doleciała woń

natłuszczonej skóry. Widać było, że Strahd ceni sobie swoje zbiory. Jander wszedł za hrabią do środka. Podłogę okrywał ozdobny kobierzec, nie

było mowy o surowej, kamiennej posadzce.

Strahd zajął miejsce w jednym z dużych, obitych szkarłatnym aksamitem foteli i wskazał elfowi drugi.

- Siadaj, proszę. To moja ulubiona komnata. Wiele czasu spędzam tu na rozmyślaniach i kontemplacji.

Jander usiadł posłusznie i na chwilę zapadła cisza, gdy obaj napawali się komfortem wnętrza.

- Jak rozumiem - zaczął wreszcie Strahd - ostatniej nocy uratowałeś życie jednemu z Vistanich.

Jander przytaknął.

- Jesteś dosyć dobroduszny, prawda? - w głębokim głosie pobrzmiwała pogarda.

Jander zeszywniał.

- Czy w twoich żyłach płynie elfia krew, Strahdzie? - spytał nagle. - Masz szpiczasto zakończone uszy.

Hrabia uniósł rękę, jakby zamierzał dotknąć ucha, by po czym niespiesznie splótł dłonie.

- Tak naprawdę to nie - przyznał - aczkolwiek zdarza się, że sam rozpuszczam takie plotki. - Zmrużył oczy i kiedy ponownie się odezwał,

przemówił z niedbałym, ale niemożliwym do przeoczenia namysłem:

- Tylko moi niewolnicy i kilku spośród Vistanich wie, kim w rzeczywistości jestem. Chciałbym, żeby tak zostało i byłbym w

najwyższym stopniu niezadowolony, gdyby okazało się, że ktoś ujawnił moją tajemnicę. Postanowiłem odkryć przed tobą ten sekret, gdyż czuję,

że wiele możemy się nawzajem od siebie nauczyć.

- Oto więc przechodzimy do właściwego celu zaproszenia, pomyślał Jander. Cała ta nad wyraz ugrzecznioma konwersacja i wycieczka

przez labirynt była ledwie słabo maskowaną przygrywką, teraz zaś miała nastąpić prawdziwa próba. Jander przesunął się i skrzyżował nogi,

sadowiąc się wygodniej. Spojrzał Strahdowi w oczy.

Tajemnice to niebezpieczna rzecz. - odparł. - W niewłaściwych rękach przeistaczają się w niezłe argumenty przetargowe.

- Mam nadzieję - rzekł Strahd, tym razem z nieskrywaną groźbą w głosie - że twoje nie są niewłaściwe.

Jander pozwolił sobie na uśmiech:

- A gdyby były? Przypuśćmy, że zechciałbym rozgłosić, że jesteś nieumarłym. My, akara, nie jesteśmy szczególnie towarzyscy. Co byś

mi zrobił?

Strahd całkowicie porzucił pozory grzeczności, a czerwony ogień w jego oczach rozgorzał silniejszym płomieniem.

- Zniszczyłbym cię.

- W jaki sposób chciałbyś tego dokonać? Robiąc ze mnie swojego niewolnika? - Jander wyprostował się i oparł łokcie na kolanach. - Nie

jestem tu po to, żeby z tobą walczyć. Wręcz przeciwnie - zgadzam się, że możemy dzielić się wiedzą i mam nadzieję, że zostaniemy

sprzymierzeńcami. Nie jestem jakimś głupawym chłopkiem ani którymś z twoich uległych sług. Możesz być panem tej krainy...

- Ja jestem tą krainą!

Głęboki głos przeszedł w grzmot, a błysk w oczach Strahda wściekle zamigotał. Jander zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie

przeholował, gdyby miało się okazać, że hrabia jednak dysponuje tajemną mocą, zdolną go zniszczyć.

- Jestem Barovią! - wściekle rzucił Strahd. - Ona obdarza mnie mocą, a ja daję jej to, czego chce. - Wykrzywił usta w grymasie

naśladowującym uśmiech. - Jestem Pierwszym Wampirem; w przeciwieństwie do ciebie i innych nieumarłych, ja nie potrzebuję zaproszenia, by

wejść do domostwa, każdy dom tutaj jest moim domem. Wszystkie stworzenia należą do mnie i mogę uczynić z nimi, co zechcę.

Opadł z powrotem w fotelu i zmrużył oczy. Do uszu Jandera doleciał chrobot pazurów drapiących o kamienną podłogę i do komnaty

weszły trzy duże wilki. Zadowolone zwinęły się w kłębek u stóp Strahda.

- Tb moje dzieci - rzekł hrabia z dumą. - Posłuszne każdemu mojemu skinieniu.

Jeden z wilków podniósł się, czujny i spięty. Podeszedł sztywno do kamiennego kominka i położył się tam, odsłaniając gardło. Zaskomlał,

a Jander poczuł woń strachu. Drugie zwierzę, poruszając się równie sztywno, zbliżyło się do leżącego towarzysza i nieoczekiwanie wgryzło się

głęboko w jego gardło. Z przeciętej tętnicy trysnęła krew, znacząc czerwienią oba wilki i kamienie wokół paleniska. Pierwszy z nich szarpał się i

dziko miotał, ale drugi tylko pogłębiał chwyt, aż tamten drgnął ostatni raz i skonał. Jego zabójca puścił ciało, oblizał szczęki i ze spuszczoną

głową niemal podczołgał się do swego pana. Strahd nieobecny ruchem pogładził go po łbie. Trzeci z wilków, nadal ciasno zwinęty, drżał na

całym ciele.

Jander na wpół uniósł się z fotela, chcąc zaprotestować, ale coś w spojrzeniu Strahda powstrzymało go. Samozwańczy „Pierwszy

Wampir” wyzywał go, by okazał swą słabość, sprzeciwiając się bezsensownemu zabiciu zwierzęcia. Elf powoli usiadł z powrotem, nie

spuszczając wzrok z oczu Strahda. Kochał zwierzęta i bezmyślne okrucieństwo innego wampira rzeczywiście go rozwścieczyło, ale był lepszy

sposób na okazanie mu tego.

Przeniósł wzrok na dwa pozostałe wilki, po czym delikatnie sięgnął do umysłu tego, który przed chwilą zabił. Leż. Zwierzę posłusznie

zwinęło się, zamknęło oczy i po chwili zasnęło, a wówczas elf skupił swoje myśli, kojące i łagodne, na drugim wilku.

Chodź, przyjacielu. Chodź do mnie. Wilczyca warknęła cicho, strzygąc uszami w kierunku Jandera, po czym ruszyła w jego stronę; z jej

gardła dobył się dziwny dźwięk, mieszanina warkotu i skomlenia. Śmiesznie wyglądała próbując wdrapać mu się na kolana i elf uśmiechnął się,

delikatnie spychając ją w dół. Położyła się więc u jego stóp, patrząc z uwielbieniem na jego twarz, każdym mięśniem wyrażając gotowość

spełnienia wszelkich kaprysów swego nowego pana. Jander poklepał ją po głowie i z lekkim uśmiechem podniósł wzrok na hrabiego.

Nie miał wątpliwości, że rozzłościł Strahda, ale na jego twarzy znać było także podziw.

- Imponujące - mruknął hrabia głosem dobywającym się gdzieś z trzewi. - Naprawdę imponujące. Wilki zawsze były posłuszne tylko

mnie i nikomu innemu. Jak widać władca kraju może się czegoś nauczyć od gościa. - Skinął głową.

- Tak też sądziłem - rzucił Jander, traktując tę uwagę jako swoisty test. Strahd zmarszczył brwi, jego nozdrza rozszerzyły się, ale nie

podjął zaczepki.

- Eva mówiła mi, że twój świat nazywa się Torii - ciągnął hrabia. - Bardzo interesują mnie inne kraje i z przyjemnością wysłuchałbym

twojej opowieści.

Kryzys minął, przynajmniej na razie. Jander pozwolił sobie trochę się odprężyć.

- Zanim odpowiem na twoje pytania, sam chciałbym kilka zadać - Strahd machnął rękę, dając mu znać, by kontynuował. - Czy żyła w tej

krainie kobieta imieniem Anna?

Gospodarz uśmiechnął się lekko:

- To pospolite imię. Musisz mówić bardziej konkretnie. Teraz, kiedy już zaczął, Jander stwierdził, że nie ma najmniejszej ochoty ciągnąć

dalej. Zdawało mu się wulgarnie opowiadać o Annie obcemu, ale odsunął to uczucie. Tylko w ten sposób mógł znaleźć odpowiedzi, których tak

desperacko poszukiwał.

- Była obłąkana - rzekł cicho. - Wysoka, opalona, miała długie, rudobrązowe włosy. Była niesłychanie piękna. Wydaje mi się, że padła

ofiara zaklęcia... Widzisz, znałem ją wiele lat i wcale się nie starzała.

Strahd pokręcił głową.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że nie przychodzi mi do głowy nikt, odpowiadający temu opisowi. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie

było takiej osoby w miasteczku, czy nawet w Vallaki, rybackiej wiosce nieopodal stąd. Obłąd nie jest w tych okolicach czymś niezwykłym. Jeśli

idzie o magię - jestem jedynym, o którym wiem, że zajmuje się sztuką tajemną w Barovii. Ja zaś, Janderze, nigdy; rzuciłem czar na kobietę

imieniem Anna. Masz na to moje słowo - głos hrabiego brzmiał niezwykle szczerze i ku własnemu zaskoczeniu Jander stwierdził, że mu wierzy.

- Wiem co to znaczy stracić kogoś, kogo się kocha. Więcej niż raz zdarzyło mi się pić z tego kielicha szczególnej goryczy - dodał Strahd, nagle

wyglądający na zmęczonego.

Nadzieja opuściła Jandera. Może zbyt pochopnie założył, że hrabia będzie wiedział coś o Annie, powie mu, kto złamał ducha pięknej

dziewczyny.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - ton głosu Strahda sugerował, że ma nadzieję usłyszeć odpowiedź

przeczącą, ale Jander nie rezygnował.

- Jak mógłbym się czegoś więcej o niej dowiedzieć?

- Zapraszam do przestudiowania ksiąg w mojej bibliotece - zaproponował Strahd, czynią szeroki gest ręką. - Wszystkie pozostałe zapiski

znajdują się jednak w kościele w wiosce, a wątpię, byś tam się wybierał - to wrócił ten dobrze znajomy, władczy Strahd i z przebiegłym

uśmiechem wpatrywał się w elfa.

Jander musiał się sam w duchu uśmiechnąć, ale jego twarz pozostała smutna.

- Masz rację. Mówiłeś coś o miejscu zwanym Vallaki - gdzie to jest? Jacy ludzie tam mieszkają? Jakie zapiski oni mogą...

Strahd ściągnął kuczne brwi i przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki:

- Wszystko to oczywiście mogę ci powiedzieć, ale musisz rozwiązać swoją zagadkę dzisiejszej nocy?

Hrabia mówił rozsądnie, a Jander zauważył, że z wolna przestaje się interesować jego osobą.

- Masz rację. Mogę być ciekaw tego miejsca, ale ty pewnie jesteś równie ciekaw mojej osoby. Moje przybycie do Barovii jest dla mnie

tajemnicą; jeden z Vistanich powiedział, że sprowadziły mnie mgły.

Ach, mgły, mgły - zamyślonym tonem odrzekł Strahd, wpatrując się w ogień. - Wygląda na to, że przybywają po wielu. Także i mnie

zabrały, wraz z całym moim królestwem, jakiś czas temu. To wtedy stałem się tym, czym teraz jestem - uśmiechnął się, ponownie odsłaniając

białe kły, których nawet nie wciągnął z powrotem. - To dar od potęg rządzących w tym miejscu - wieczne życie.

Elf przypuszczał, że jego gospodarz w pewnym sensie ma rację. On sam nigdy nie tęsknił za „wiecznym życiem” tak jak ludzie. Elfy

przeżywały kilka stuleci i to pewnie dlatego jak sądził, nigdy nie słyszał o innych nieumarłych członkach swojej rasy. Ten rodzaj egzystencji nie

współgrał zbyt dobrze z ich naturą, brakowało im desperackiego pędu by zdobyć to, czego poskapił im los. Sam Jander, kiedy stał się wampirem,

wolałby zginąć z własnej ręki, ale legendy o szkarłatnym morze nie pozwalały mu wybrać tej drogi ucieczki.

Jander zmienił temat, nie chcąc dalej zagłębiać się w mrocznych rozmyślaniach:

- Mówisz o Barovii, jakby była żywą istotą. Tak samo Vistani mówili mi o mocy tej krainy. Czym naprawdę jest Barovia? Czemu mgły

ściągają tu ludzi?

Strahd nie odpowiedział od razu, tylko wstał, podszedł do kominka i oparł się o ozdobną półeczkę nad nim.

- Później odpowiem na twoje pytania. Przecież - tu uśmiechnął się niewesoło - cały czas świata należy do nas, prawda? - Przerwał na

chwilę, po czym dodał: - Chciałbym się posilić. Przyłączysz się do mnie? W Barovii coraz trudniej znaleźć wędrowców po zmroku, więc zawsze

trzymam pod ręką zapasy.

Jander skrzywił się, wyobrażając sobie więzienie, pełne ledwo żywych istot, trzymany jak bydło, by stać się pożywieniem tego

eleganckiego lorda. Ale czy mógł potępiać takie zachowanie, on, który przez lata żywił się krwią obłąkanych?

- Nie, dziękuję - odparł. - Wolę poprzestać na krwi zwierząt, dopóki nie poznam lepiej tego miejsca.

Słyszając to Strahd wybuchnął śmiechem, od którego ciarki przechodziły po plecach, ale Jander cierpliwie przeczekał ten moment.

- Ach, Janderze, jeśli mogę tak się do ciebie zwracać, tu nie wyżywisz się krwią zwierząt.

- Może Wasza Ekscelencja nie może, ale ja tak. Przykro mi, jeśli cię to uraża, panie.

- Nie, skądże, jestem tylko rozbawiony. Las należy do ciebie, ale nie sądzę, by udało ci się ugasić pragnienie krwią zwierząt z lasu

Svalich. Jakoś nie wydaje mi się, byś uznał je za... odpowiednie. Może zobaczymy się, kiedy wrócisz. Janderze, ja tu rządę - rzekł wprost

Strahd. - Będiesz moim gościem tak długo, jak sobie tego zażyczysz.

- A gdybym powiedział: „Dziękuję, Wasza Ekscelencjo, ale chcę odejść jeszcze tej nocy”?

- Powiedziałbym: „Możesz odejść, ale twoje pytania pozostaną bez odpowiedzi”.

Jander zaśmiał się głośno, na co nawet Strahd uśmiechnął się mniej lodowato niż zwykle.

- Moja ciekawość, hrabio, jest najlepszym łańcuchem w świecie. Dziękuję i przyjmuję twoją ofertę gościny.

- Jakie masz życzenia co do spoczynku? Tu, pod nami, znajdują się krypty, i gdybyś tylko zechciał...

- Dziękuję, ale nie. Niewiele potrzeba mi snu i obchodzę się bez trumny. Za twoim pozwoleniem - chciałbym za dnia obejrzeć zamek.

Dopóki będę osłonięty przed światłem słonecznym, nic mi się nie stanie.

Jander dostrzegł z odrobiną zadowolenia, że Strahd zupełnie się tego nie spodziewał; przez chwilę znać było po jego oczach, że jest

wstrząśnięty. Szybko odzyskał pewność siebie, ale elf wiedział, że oto zdobył kolejny punkt w rozgrywce z czarującym władcą Ravenloft.

- Mój dom należy do ciebie, z jednym wszakże wyjątkiem. Tam... - wyciągnął przed siebie długi, szczupły palec, wskazując drewniane



drzwi po drugiej stronie komnaty. - nie wolno wchodzić. To, co się tam znajduje, to wyłącznie moja sprawa. Jeśli spróbujesz mi się sprzeciwić,

drzwi są zamknięte przy pomocy magii. Proszę, byś respektował moje życzenie.

Ciekawość ciekawością, ale Jander z pewnością nie mógł wtykać nosa w nie swoje sprawy. Jeśli życzeniem hrabiego było mieć sekretny

pokój, miał prawo do prywatności.

- Oczywiście.

- W takim razie życzę dobrej nocy i dobrych łowów.

OSIEM

Jander szedł powoli przez las, cicho niczym wilk podążający świeżym tropem jelenia. Infrawizja w połączeniu z prześwietlającym

liście blaskiem księżyca przekształcały w jego oczach las w gobelin, złożony z ruchomych cieni i pasemek unoszącej się z ziemi mgły.

Z

ewsząd dolatywały delikatne dźwięki, świadczące o toczącym się wokół życiu; czuł też zapach cieplej krwi. Nad nim po gałęzi drzewa

przebiegła wiewiórka, odważnie i z wdziękiem przeskakując na sąsiednie. Trochę dalej na ścieżce w plamie księżycowego światła zamarła bez

ruchu srebrzysta lisica, o futrze pocętkowanym plamkami cienia. Rozszerzone ślepia spoczęły na groźnej postaci elfiego wampira i przez chwilę

dwoje myśliwych patrzyło sobie w oczy, po czym lis zniknął w lesie, odstępując zdobycz Janderowi.

- Tu jesteś, pomyślał Jander, kiedy dostrzegł w podczerwieni plamę ciepła dużego, brązowego zająca, przycupniętego pomiędzy

korzeniami i nisko zwieszonymi gałęziami ogromnego cisu. Powoli, wkładając w to równie dużo siły woli, co poprzednio w uspokojenie

wilków, Jander wysyłał kojące sygnały do umysłu zwierzątka. Lis sobie poszedł, już jest bezpiecznie.

W lesie zapanowała cisza, mącona jedynie słabym powiewem wiatru przy powierzchni gruntu, szeleszczącego w ściółce, suchych liściach

i sosnowym igliwiu. Zając tylko drgnął lekko, gdy smukłe, silne dłonie chwyciły go za uszy i futro na zadzie. Kły ostrzejsze od lisich rozpruły

mu gardło.

Jander przełykał łapczywie, z głodu nie bacząc na niezwykley smak krwi. Odrzucił osuszone truchło tam, gdzie ostatni raz widział lisa, i

otarł usta. Zmarszczył brwi - krew zająca miała dziwny, słodki posmak dymu.

Nagle poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, zakręciło mu się w głowie, kolana załamały się pod nim i upadł na ziemię. Na

czworakach wymiotował świeżo wypitą krwią, aż nie zostało z niej nic. Usiadł, drżąc na całym ciele;

zając musiał być chory, ot co, i teraz będzie

musiał znów się pożywić.

Tym razem przywołał sarnę, zdrową łanię, która wpatrywała się w niego brunatnymi ślepiami, gdy wysysał z niej życiodajny płyn. Krew

znów miała nieprzyjemny smak i nie zatrzymał jej długo w żołądku. Jander nie mógł tego zrozumieć. Czasem potrzebował ludzkiej krwi, ale

przecież w Waterdeep całymi latami potrafił się bez niej obejść, posilając się krwią zwierzęcą. Od chwili, kiedy tu przybył, przeczuwał, że z tym

miejscem coś jest nie w porządku. Może to mgły tak go zmieniły, że nie mógł pić posoki zwierząt. Tylko takie wytłumaczenie, aczkolwiek

niezbyt logiczne, przychodziło mu do głowy.

Strahd wiedział o tym i próbował go ostrzec, choć bez przekonania. Władca Ravenloftu musiał uznać zwycięstwo elfa nad wilkami, ale

pewnie śmiał się w duchu, myśląc o przybyszu bezradnie wymiotującym paskudną cieczą. W starciu ze Strahdem był remis. Nienawidził tej

myśli, ale chcąc przeżyć, w Barowi, będzie musiał znaleźć ludzką krew.

Następne cztery godziny złotoskóry wampir spędził na bezowocnych poszukiwaniach nieostrożnej ludzkiej istoty. Przybrał wilczy kształt

i przebył pod tą postacią wiele mil, wyęzając wszystkie zmysły, by znaleźć zwierzynę. Kilkakrotnie natknął się na niewolnice Strahda - blade

wampirzyce o ostrych rysach twarzy, które tylko syczały i krzywiły się na jego widok, zanim zmieniły się w nietoperze. Przez moment bawił się

myślą o napaści na obozowisko Vistanich, ale szybko porzucił ten pomysł. Cyganie byli znacznie sprytniejsi od wieśniaków i - choć Jander

zwykł się posilać delikatnie - ich bystre oczy dostrzegłyby drobne ranki. Poza tym na razie był „gościem” Strahda i pogwałcenie zawartego

układu z pewnością rozzłościłoby gospodarza. Nie potrafił wyczuć obecności innych ludzi w lesie, a szybkie poszukiwania w wiosce dowiodły,

że Baroviańscy są bezpiecznie ukryci w domach. Wygłodniały, zmęczony i zawiedziony Jander przemienił się w nietoperza i poleciał w stronę

zamku.

Nie była to przyjemna perspektywa, ale musiał przyjąć zaproszenie Strahda na kolację.

Wylądował na dróżce biegnącej wokół zamku i zmieniając się najpierw w mgłę, następnie zaś znowu w elfa skierował się do gabinetu

Strahda. Podobało mu się to miejsce, choć zawsze przedkładał rozległe przestrzenie lasów nad zamknięte pomieszczenia. Gabinet robił wrażenie

mniej opuszczonego niż pozostałe części zamczyska, a w takiej chwili jak teraz, Jander wołał zapomnieć o własnym osamotnieniu. Kiedy wszedł

do komnaty, w jego nozdrza uderzył słodki, drażniący zapach.

Zapach ludzkiej krwi.

Podążając za tą wonią, ze zmysłami wyostrzonymi głodem, Jander przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi do sąsiedniego pokoju - dużej i

bogato wyposażonej sypialni. Grube, czerwone, aksamitne zasłony zwieszały się nad otwartym oknem, a wpadający przez nie srebrny blask

księżycy słabo pobłyskiwał na pięknych, choć zaśniedziałych kandelabrach. Światło wydobywało z mroku zdobione stoły i inne wspaniałe

meble; samo łóżko niegdyś było zapewne szczytem luksusu, jednak znakomite materie zdążyły przegnić, a baldachim padł łupem moli.

Jander nie zwrócił szczególnej uwagi na wystrój pomieszczenia - smutnym wzrokiem przyglądał się postaci dziewczyny, którą

księżycowa poświata upodabniała do młodego, wysmukłego ducha.

Stała przy oknie, zapatrzona w pogrążony w ciemności krajobraz. Po jej twarzy spływała łza, lśniąca niczym perła na powierzchni

alabastru. Dziewczyna sprawiała wrażenie przerażonej, ale zrezygnowanej. Jander zbliżył się na tyle cicho, że nie od razu wyczuła jego

obecność. Patrzył, jak odwraca się od okna i siada na łóżku; zdawała się ponętym połączeniem dziewczyny i dojrzałej kobiety. Krągłe biodra i

piersi zaznaczały się wyraźnie, ale blada, okrągła twarz z rozszerzonymi przerażeniem oczyma i czarnymi jak sadza rzęsami wciąż była twarzą

dziecka.

Widok rumieńca na policzkach i wiśniowej barwy ust pobudził gwałtownie pragnienie Jandera.

- Pani - odezwał się.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i cofnęła się o krok. Instynktownie próbowała się zasłonić, lecz po chwili zmusiła się, by wypuścić z

dłoni pościel. Jedyne jej odzienie stanowiła cienka, długa koszula. Zaczerpnęła tchu i przywołując całą swą odwagę rzekła:

Jego Ekszelencja hrabia Strahd von Zarovich przysyła mnie, by sprawić ci przyjemność - zabrzmiał jej słodki, młody głos. - Mam ci

powiedzieć, że jestem nietknięta, ani tutaj - dotknęła palcem szyi - ani tutaj - i złożyła dłonie na wzgórku pomiędzy udami. Krew napłynęła jej do

twarzy i dziewczyna spuściła wzrok, a długie, czarne włosy opadły jej na twarz.

To dar mojego pana dla jego nowego przyjaciela - w tym miejscu głos jej zadrżał.

Gorycz przytłumiła nieco głód Jandera, nie mogła go jednak całkowicie zgasić. Zdawał sobie sprawę, że wiele wampirów

wykorzystywało bezwolne ofiary do zaspokajania różnego rodzaju apetytów i najwyraźniej Strahd lubił zabawiać się ze swą zwierzyną ale elfa

myśl ta napawała obrzydzeniem. Czyż nie dość było pozbawiać niewinne istoty życiodajnej krwi, nie krzywdząc ich bardziej na ciele i duszy?

Desperacko pragnął móc odesłać tę dziewczynę bezpiecznie do domu, do rodziny, ale już czuł pulsowanie w górnej szczęce w miarę, jak jego kły

wysuwały się w odpowiedzi na słodki aromat. Ponownie targnął nim głód i jego sumienie, jak zwykle, ugięło się przed niemożliwą do pokonania

żądzą pożywienia się tą dającą życie czerwoną cieczą.

Wolno osunął się na łoże i klepnął ręką miejsce obok siebie.

- Jak ci na imię, malutka? - spytał, utrzymując łagodne brzmienie swego głosu.

- Natasza - odpowiedziała dziewczyna, wciąż nie spoglądając mu w oczy.

- Chodź, Nataszo - rzekł zapraszająco. Przysunęła się do niego i poczuł przebijającą przez zapach krwi metaliczną woń strachu.

Delikatnym gestem odgarnął jej włosy z czoła. Zamknęła oczy, drżąc na całym ciele.

- Jak Strahd zmusił cię, żebyś tu przyszła? Natasza oblizwała wargi.

- Posłał do wioski swój powóz - odparła. - Znał mnie i poprosił mego ojca, by mnie oddał. We wszystkim musimy być posłuszni naszemu

panu.

- Czy wiesz, czemu chciał, żebyś tu była?

- Nie - wyszeptała, potrząsając głową - jej oczy napełniły się łzami. Nagle całe jej opanowanie zniknęło.

- Tak! Na bogów, proszę, proszę, nie rób mi krzywdy! Pozwól mi odejść! Zrobię, co zechcesz, tylko nie rób ze mnie tego, kim jesteś,

proszę, błagam...

- Biedactwo - mruknął elf. - Natasza, popatrz na mnie - spokojnie wypowiedziane polecenie przedarło się przez histerię dziewczyny i

podniosła oczy na spotkanie jego hipnotyzującego wzroku.

- Już się mnie nie boisz, prawda?

- Nnnie - odpowiedziała, z wolna zatracając się w jego spojrzeniu.

Tb dobrze. Zaufasz mi? Czy zaufasz mi, że nie skrzywdzę cię bardziej, niż muszę?

Natasza skinęła powoli głową, nie spuszczać z niego oczu. Jander łagodnym ruchem położył złociste dłonie na jej białej twarzy i

odwrócił głowę dziewczyny na bok, odsłaniając żyłę na szyi, pulsującą rytmicznie w zalewającym komnatę srebrnym świetle. Błyskawicznie

obnażył kły i zanurzył je w jej gardle.

Kiedy jego ciało poczuło smak krwi, stracił nad sobą kontrolę. Pił zapamiętane, zapominając, jak niewinną istotę ma przed sobą. Czuł

wyłącznie rozlewające się po ciele ciepło i przyływ sił, wywołany krwią dziewczyny. Wiele wysiłku kosztowało go powstrzymanie się od

wyssania z niej wszystkiej krwi, ale udało mu się. Oblizwał z warg lepka ciecz i położył Nataszę na poduszkach. Oddychała płytko, twarz miała

przeraźliwie bladą, ale nie straciła życia.

Jander wstał i podszedł do okna. Księżyc dopiero zaczynał maleć po niedawnej pełni i na jego tle dostrzegł rój nietoperzy. Spojrzał

jeszcze na krajobraz w mieniący się odcieniami ciemnej zieleni i purpury, po czym zamknął okiennice, upewniając się, że będą solidnie trzymać.

Zamyślony wrócił na łóżko. W Waterdeep zając wystarczał mu na wieczorny posiłek, a teraz prawie uśmiercił z głodu młodą kobietę.

Całe wieki spędził niejako z dala od prawdziwej natury swego przekleństwa - konieczności picia ludzkiej krwi. W pewien sposób zaprzeczał jej,

udając, że jeśli poprzestanie na krwi zwierząt, biorąc od ludzi tylko tyle, ile niezbędnie potrzebuje, stanie się w jakimś sensie lepszy od innych

wampirów. Czuł pogardę dla samego siebie, że nie potrafi już dłużej uciekać przed swym przeznaczeniem, jednak nawet to okropne uczucie nie

było w stanie stłumić uczucia głodu.

Czuł, jak ta świadomość ciąży mu na sercu. Z ciężkim, prawdziwie ludzkim westchnieniem skrył twarz w dłoniach.

- Anno - jęknął. - Anno, tak bardzo za tobą tęsknię.

- Naprawdę?

Słońce stało wysoko na niebie, a Jander leżał na wznak na łożu. Podniósł wzrok, ciekaw, kto to przemówił, i ujrzał Annę, przyglądającą

mu się czule. Opalone dłonie oparła na biodrach, a kasztanowe włosy, nabierające w słonecznym świetle rudego odcienia, spływały jej po

plecach. Jej oczy śmiały się do niego.

- Naprawdę za mną tęsknisz? - spytała ponownie. Jander był świadom, że znajduje się w dziwnym stanie półuśpienia, mógł jednak tylko

odpowiedzieć:

- Bardziej, niż za życiem samym, najdroższa.

Anna podeszła do niego, wzięła w objęcia i poczuł na jej skórze woń słońca i mydła. Wstała, by podejść do okna i z rozmachem otworzyć

okiennice; do wnętrza wlał się cudowny blask słońca, omywając Jandera niczym jakaś rzeka światła.

Jakież to rzeczywiste, pomyślał, jakie słodko prawdziwe.

Zauważył, że zaniedbane komnaty zrobiły się jasne i pogodne, meble lśniące, wszystkie ozdoby sprawiały wrażenie dobrze utrzymanych.

Trzymając się za ręce dwoje ukochanych zeszło po schodach, zatrzymując się i zerkając w głąb komnat, doskonale zadbanych i utrzymanych.

Na zewnątrz oczekiwały ich dwa mlecznobiałe rumaki. Kiedy Jander zbliżył się do jednego z nich, zwierzę wcisnęło mu pysk w dłoń i elf

ze zdumieniem stwierdził, że trzyma w niej jabłko; dał je więc koniowi, a ten z wdzięcznością schrupał przysmak. Wraz z Anną dosiedli

wierzchowców i ruszyli przed siebie w to piękne, późnowiosenne popołudnie. Obejrzawszy się przez ramię elf dostrzegł zamek Ravenloft,

piękne domostwo wspaniałej, szlacheckiej rodziny.

Po kilku błogich godzinach napoili spragnione zwierzęta w jeziorku Tser, a kiedy piły, Jander z Anną legli pod rozłożystym drzewem,

wdychając zapach świeżej ziemi i ciesząc się przesączaającym się przez listowie światłem słońca. Liście poruszały się w podmuchach lekkiej

bryzy. Elf przez chwilę wsłuchiwał się w muzykę płynącej wody i świergot ptaków.

- Czemu nawiedzasz mnie w ten sposób? - zapytał. Anna opierała głowę na jego piersi i teraz uniosła ją pytająco. Z namysłem spojrzała

mu w oczy.

- Chcesz, żebym przestała?

- Nie! Ale to wszystko nieprawda.

- Któż może powiedzieć, co jest rzeczywistością, a co iluzją? Jesteśmy razem; czy to nie wystarczy? Poza tym - w jej głosie pojawiła się

psotna nuta - nie chcę, żebyś o mnie zapomniał.

Podniósł do ust jej dłoń i ucałował kolejno koniuszek każdego palca.

- Nigdy.

- Ale już to zrobiłeś. Wiesz, gdzie rozpocząć poszukiwania, lecz nie uczyniłeś tego. Jander, kochanie, pomścij mnie.

Jej twarz zmieniła się, oczy zaszczyły łzami.

- Na wszystko, co straciliśmy przez mój obłąd... Pomścij mnie!

Jander, kompletnie dezorientowany, nagle przebudził się. Czuł nieprzyjemne gorąco i nudności. Zasnął w sypialni po tym, jak posilił się

krwią Nataszy, a teraz przez szczelnie zamknięte okiennice odrobina śmiertelnie słonecznego światła sączyła się do komnaty - niewiele, ale

wystarczyło, żeby poczuł się gorzej. Ponownie wyostrzyły mu się wszystkie zmysły i musiał zamknąć oczy, boleśnie przywrócony do mrocznej

rzeczywistości.

Sprawdził, czy Natasza śpi spokojnie, i wrócił do gabinetu z zamiarem przejrzania bogatej biblioteki Strahda. Przez moment poczuł

lekkie zniechęcenie na sam widok ilości zgromadzonych w niej ksiąg. Lata całe żył jak pustelnik w jaskini, za jedynych towarzyszy mając

obłąkanych, których krwią czasem się żywił, i czuł się nieco niezręcznie w miejscu emanującym aurą historii i literatury. Księgi były przepiękne,

toteż dłuższą chwilę przyglądał się wykonaniu skórzanych okładek. Na niektórych z nich widniał, jak sądził, herb hrabiego - duży czarny kruk,

były też inne znaki. Szczególną urodą odznaczał się symbol słońca z rozchodzącym się od niego promieniami.

- Hmm, równie dobrze mogę zacząć od początku - wymamrotał sam do siebie Jander i, wybrawszy sobie jedną z półek, jął odczytywać

tytuły: *Herby linii von Zarouich, Skóra i stal historia Baal Verzi, Legendy Kręgu, Opowieści nocy, Sztuka Kalimar Kandru, Barouia: od roku 15*

do teraz.

Zachwycony różnorodnością tomów zdjął z regału kilka z nich, złożył na stertę przy jednym z foteli i wybrał jeden na chybił-trafił -

Skóra i stal historia Baal Verzi Na okładce widniała okrwawiona czaszka. Elf zmarszczył brwi; wątpliwe, żeby tu znalazł jakieś wskazówki

dotyczące losów Anny... A może właśnie coś się trafi. Otworzył starą księgę, zaciągając się jej lekko stęchlą wonią i zaczął czytać.

W naszych cywilizowanych czasach - pisał we wstępie dawno nieżyjący autor - trudno sobie wyobrazić społeczeństwo, w którym zabójcy

funkcjonują otwarcie, jako zwyczajni członkowie społeczności W naszym kraju, w burzliwym ósmym stuleciu być zabójcą, czyli Baal Verzi,

znaczyło mniej więcej tyle, co być politykiem bądź popularnym artystą. Człowiek taki określał, na ile się ceni, po czym częstokroć pobierał od

różnych ludzi znaczne sumy pieniędzy w zamian za ochronę.

Baal Verzi nosili kolorowe, ozdobne stroje z wyraźnie widocznym symbolem organizacji - zakrwawioną czaszką. Ich bronią były ostrza o

pięknym wyglądzie i przerażającej wymowie - oprawę rękojęści wykonywał ze skóry swojej pierwszej ofiary sam właściciel. Pierwszym zabitym

musiał być ktoś, kogo Baal Verzi znał - tego wymagała tradycja. W ten sposób tylko najtwardsi poznawali sekrety Baal Verzi i mogli sobie

zasłużyć na ich opiekę...

Jander wzdrygnął się i prawie rzucił książkę na wyłożoną dywanem podłogę. Sięgnął po inną, „Słowa Mądrości” i czym prędzej zatopił

się w niej, aby pozbyć się z umysłu obrazu noża Baal Verzi. Udało mu się, gdyż trafił na zbiór poezji religijnej poświęconej jakiemuś dawno

zapomnianemu bogu.

Bo słońce i księżyc mnie przynależą, Jako i wszystkie rzeczy piękne i jasne; Mój jest poranek i południe I wszystko, co z dnia i nocy się

wywodzi.

Słyszcie mnie, o synowie i córzy; Odnajdźcie mądrość wody Słyszcie nurtu rzeki śmiech, A radość i pokój spłyną na was.

Wśród tych dość prostych strof Jander nie natrafił na żadną wskazówkę, dotyczącą losów ukochanej, odnalazł w nich jednak spokój i

uświadomił sobie, że jest jeszcze jakieś piękno w tej mrocznej krainie, do której przywiodły go mgły.

W gabinecie nie było okien, toteż nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu, ale kiedy poszedł sprawdzić, jak miewa się dziewczyna, z

zaskoczeniem stwierdził, że jest już dawno po zachodzie słońca. Natasza spała, jakby już była jedną z

nieumarłych. Na jej szyi znać było ślady

ukąszenia, ale kolory zaczęły wracać na jej policzki. Kiedy pochylił się nad nią, jęknęła przez sen i odwróciła się na drugi bok.

We śnie wyglądają tak zachęcająco - do jego ucha doleciał łagodny głos. - Ufam, iż spełniła twoje oczekiwania? - stojący u jego boku

Strahd uśmiechał się blado.

Trochę dla mnie za młoda, ale przecież trudno znaleźć kogoś w stosownym wieku, jeśli ma się ponad siedemset lat - zażartował Jander,

starając się ukryć zaskoczenie. Tak długo przebywał sam, że zdążył zapomnieć, jak ciche potrafią być wampiry.

Strahd zmarszczył lekko brwi.

- Siedemset lat? - widać było, że traktuje słowa Jandera jak dowcip. - Aaa, rozumiem. Liczysz lata, które przeżyłeś jako żywa istota.

- W pewnym sensie - przyznał Jander - ale to byłyby tylko dwa stulecia. Od pięciu wieków jestem wampirem.

Strahd milczał dłuższą chwilę, wreszcie odezwał się:

- Nie jestem w stanie pojąć czegoś takiego. Sam mam za sobą ledwie pierwsze sto lat i przy tobie znów czuję się dzieckiem. Ileż mogę się

od ciebie nauczyć!

- Dostrzegłszy głód wiedzy w oczach hrabiego Jander zaczął się zastanawiać, czy to najlepsze miejsce do odgrywania roli starego

mędrca. Na szczęście Strahd zmienił temat.

- Jesteś głodny, przyjacielu? W elfie odezwało się pragnienie.

- Tak - odparł.

Tego wieczora polowali wspólnie; później spędzili w ten sposób jeszcze wiele, wiele nocy. Jeden z Cyganów zauważył kilkoro

nieustraszonych - a może głupich - podróżnych, którzy spóźnili się i nie dostali już miejsca w gospodzie. Jander doskonale pamiętał zgorzkniałą

minę karczmarza i odmowę przyjmowania gości po zmroku. Rzecz jasna także żaden z przerażonych

wieśniaków nie zgodził się udzielić im

gościny, więc mała grupka - trzech mężczyzn, dwie kobiety i dziecko - rozbiła prowizoryczny obóz nieopodal mostu przez rzekę Mis.

Jander i Strahd dla wygody przybrali wilczą postać. Kiedy tak pędzili przez las Svalich, gnani pałającą w ich umysłach żądzą, przyłączyły

się do nich trzy prawdziwe wilki i dwie niewolnice hrabiego w wilczej skórze. Noc była jasna i chłodna, w powietrzu unosiło się akurat dość

wilgoci, by zapachy niosły się daleko. Dotarli na odległość kilkudziesięciu metrów od obozowiska i sylwetka wielkiego zwierzęcia, którym był

Strahd, zamigotała, rozwiała się w mgiełkę i ponownie uformowała, tym razem w ludzką postać. Jander poszedł w ślady swego gospodarza,

przybierając normalny kształt Cicho, niczym sama noc, podkradli się do nie spodziewającej się niczego zwierzyny; wilki wraz z niewolnicami

otoczyły leśną polankę, odcinając drogę ucieczki.

Jander ze Strahdem nie zaatakowali od razu. Oczekali cierpliwie, aż raz, potem drugi rozległo się pohukiwanie sowy, a księżyc

przemierzył kilka stopni na nieboskłonie - dopiero wtedy uderzyli, w przesiąkniętej wilgocią, nocnej ciszy.

Obcy okazali się łatwą zdobyczą, łatwiejszą, niż obydwaj wampiry mogłyby podejrzewać. Jeden potężny, zarośnięty mężczyzna,

prawdopodobnie pozostawiony na straży, chrapał oparty o drzewo; nagi miecz wypadł mu z bezwładnej dłoni. Stał się pierwszą ofiarą: Strahd

zmaterializował się przed nim, chwycił za ubranie i błyskawicznie zatopił kły w jego gardle. Oczy mężczyzny otworzyły się, a usta rozwarły w

bezglósnym krzyku, ale hrabia szybko pił jego krew i wkrótce powieki opadły z powrotem.

Kiedy Strahd posilał się, Jander zdecydował się zabrać się za drugiego z ludzi. Ten wprawdzie nie mógł nic usłyszeć - obydwaj poruszali

się ciszej od samej ciszy - ale, być może pod wpływem jakiegoś instynktu, zerwał się i krzyknął ostrzegawczo. Jander wydał milczący rozkaz

jednemu z wilków, które im towarzyszyły i zwierzę skoczyło, z łatwością przygniatając człowieka, choć wcale nie ułomka, swoim ciężarem. W

tym momencie włączył się Jander, szybko i w milczeniu podchodząc i wgrzając się białymi zębami w gardło ofiary. Kruczowłosa niewolnica

kręciła się nieopodal, sycząc i oczekując chwili, gdy dostaną jej się resztki po elfie.

Ten zaś nie bawił się w przegryzanie żyły na szyi, wybierając główną tętnicę. Nie było czasu na niespieszny posiłek - nieumarłe ciało

domagało się pokarmu. W chwili, gdy jego kły przebiły naczynie, z rany trysnęła płynąca wprost z serca krew. Jander gorączkowo przełykał

gwałtownie spływający mu do gardła ciepły, słonawy płyn. Z czarnym humorem zastanawiał się tylko, czy wampir mógłby utopić się we krwi

własnej ofiary.

Trzeci z mężczyzn, wysoki, chudy i blady, wrzasnął, gmerając ręką w poszukiwaniu broni, gdy dłoń Strahda zacisnęła się na jego

nadgarstku, miażdżąc go z łatwością. Dwa z wilków podskoczyły za uciekającymi kobietami, nie dając im umknąć. Strahd posilił się szkarłatną

krwią, po czym odrzucił nieprzytomnego człowieka niczym zabawkę i zwrócił swą uwagę ku kobietom. Jego dwie niewolnice znalazły się przy

nich wcześniej, oszalałe z głodu, ale posłuszne swemu panu. Schwytały kobiety i teraz przytrzymały je dla hrabiego.

Obie kobiety-ludzie miały po trzydzieści kilka lat, były szczupłe i odziane w proste, męskie stroje. Jedna z nich, o długich, płomiennie

rudych włosach, przyglądała się wyzywająco Strahdowi, wijąc się w uścisku wampirzycy; druga, blondynka, miała krótko przycięte włosy. W

pasie obejmował ją mocno mały chłopczyk, syn, piszcząc z przerażenia i nie zważając na niewolnicę Strahda. Wysoki dźwięk ranił wyczulone

uszy wampira. Strahd groźnie postąpił krok w kierunku malca.

- W imię Torma Prawego, miej litość, to tylko dziecko...

Jander skończył właśnie okrutny posiłek i wierzchem złotoskórej dłoni ocierał usta, gdy do jego uszu dobiegł błagalny głos kobiety.

Zaskoczony spojrzał na nią; Torm Prawy - zwany też Głupim lub Dzielny - był bogiem pochodzącym z jego ojczyzny. Krew zaplamiła całe

ubranie i twarz elfa, a próbując się wytrzeć tylko rozsmarował ją jeszcze bardziej. Kiedy wstał, przypominał bohatera z baśni, w złocie i

czerwieni, któremu nagle, nie wiedzieć czemu, powierzono negatywną rolę.

Chłopczyk nie przestawał wrzeszczeć. Czarne brwi Strahda połączyły się na zmarszczonym czole. Wampir obnażył kły i wyciągnął po

dziecko szczupłą dłoń.

- Martin, uciekaj! - krzyknęła kobieta i w ostatnim desperackim przyływie sił, jaki dany jest matce stojącej w obronie dziecka, wyrwała

się z uścisku wampirzycy i rzuciła na Strahda.

Wilk skoczył zwinnie w jej stronę, rozszarpując jej gardło, nim zdążyła uczynić dwa kroki. Tunika nasiąkała krwią. Ciało jasnowłosej

kobiety opadło bezwładnie u stóp jej dziecka.

- Nie! - zawyła rudowłosa, obrzucając Strahda wzrokiem pełnym strachu i nienawiści. Spojrzał jej w oczy, wykorzystując siłę swej woli.

- Przecież zasłużyła na to, prawda?

- Nie, ona tylko... - zamrugowała oczami.

- Nie - ciągnął Strahd spokojnym, miękkim głosem - próbowała stanąć mi na drodze. To poważny błąd. Czyżbyś nie zgadzała się ze mną?

Kobieta oblizwała wargi.

- To duży błąd - powtórzyła tępo, już pod wpływem uroku wampira.

- Tak lepiej - z tymi słowami Strahd zwrócił swą uwagę z powrotem na chłopca, skulonego i drżącego przy ciele matki. Dziecko było w

szoku. - Jest za mały, żebyśmy go zabrali, a poza tym mi już wystarczy. Zależy ci na nim, Janderze? - spytał, wskazując na chłopca.

Elf zaspokoił swój głód i teraz, spoglądając na dziecko, poczuł jak nagle ogarnia go litość. Nie chciał tego dziecka, chciał stąd odejść,

chciał wrócić do domu, chciał być z Anną.

- Nie - odparł łagodnie - ale im też nie pozwól go skrzywdzić - dodał, patrząc na wściekłe, wygłodniałe wampirzycę.

- Ten człowiek z brodą koło drzewa, wciąż żyje. Mogą się tam pożywić.

- Jak sobie życzysz - rzekł hrabia i niewolnice pośpieszyły wyssać krew z nieprzytomnego mężczyzny. Strahd zwrócił się do rudowłosej

kobiety, która wciąż wpatrywała się w zwłoki przyjaciółki: - Chodź, moja droga - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił, wyciągając do niej rękę.

- Udasz się do zamku Ravenloft

- A co z chłopcem? - upomniał się Jander. Strahd ledwie rzucił na dziecko okiem.

- Zrobisz co zechcesz. Nie jestem głodny - odparł i z kobietą u boku ruszył w długą drogę powrotną do zamku. Jander obejrzał się na

trójkę mężczyzn, wciąż żywych, choć niewiele brakowało im do śmierci. Sam nie zabił swojej ofiary, gdyż nie zamierzał odbierać życia, Strahd

zaś oszczędził dwóch pozostałych ludzi, bo wolał pić krew kobiet, z których mógł uczynić bardziej uległe wampirzyce.

Chłopczyk, mrugając oczyma, rozglądał się wokół zagubionym wzrokiem, aż zauważył przyglądającego mu się Jandera. Nie mogąc

znieść niewinnego spojrzenia elf odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając malca samego, z nietkniętą szyją.

Po kilku chwilach chłopiec zapytał szeptem sam siebie:

- Pan Poranka?



DZIEWIĘĆ

Następnego popołudnia, po kilku godzinach niespokojnej drzemki, Jander uznał, że czas zapoznać się bliżej z sekretami zamku.

Wiedział, że powinien wrócić do gabinetu i przewertować znajdujące się tam książki, ale nie potrafił już dłużej poskromić ciekawości.

edną z przyczyn, dla których porzucił piękno i spokój ojczystej krainy, było jego nie dające się opanować wścibstwo. Ravenloft stanowił

istną kopalnię wspaniałych wytworów sztuki, ciekawostek architektonicznych i historycznych i dostrzegając na każdym kroku niszczące z

upływem czasu piękno, Jander nie mógł się doczekać, kiedy zbada dokładnie to miejsce.

Pierwsze spotkanie z jednym ze „służących” Strahda nastąpiło w sali audiencyjnej, kiedy Jander ostrożnie zasiadł na ozdobnym tronie. Z

mieszaniną podziwu i obrzydzenia zwrócił uwagę na to, jak pięknie wyrzeźbiono drewno - i jak później zaniedbano je na długie dziesięciolecia.

Nagle zamarł w bezruchu, słysząc dochodzący zza jego pleców klekot.

Zeskoczył z tronu gotów do walki i ujrzał wpatrujące się w niego pustymi oczodołami pięć szkieletów. Z ich kości nadal zwisały strzępy

mięśni. Wszystkie miały na sobie przegniłe resztki mundurów, co w połączeniu z trzymanymi w dłoniach mieczami pozwoliło elfowi domyślać

się, iż oto ma przed sobą dawnych strażników zamku Ravenloft. Szkielety nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi, obeszły komnatę w parodii

patrolu, po czym zajęły pozycje strażników na posterunku u wejścia do hallu.

Jander przypatrywał się im ze smutkiem; zawsze współczuł takim istotom: szkielety same z siebie nie były złe i elfia część jego natury

litowała się nad biednymi duszami, którym odmówiono spoczynku. Przypuszczał, że pierwszego dnia jego wizyty w zamku hrabia nie pozwalał

tym i podobnym „strażnikom” zbliżyć się do niego, gdyż musiał najpierw wydać odpowiednie instrukcje, by nie zrobili krzywdy jednemu

gościowi przebywającemu w Ravenloft z własnej woli. Zastanawiał się tylko z dużym niepokojem, ileż to jeszcze innych stworzeń

zamieszkiwało w tych mrocznych, wilgotnych murach.

Postanowił to sprawdzić.

Wstał z tronu i przeszedł wzdłuż pomieszczenia, dochodząc do długiego balkonu. Stały tam dwa inne, jeszcze piękniejsze fotele tronowe

obrócone tyłem. Przez głowę przemknęła mu myśl, że szkielet lub coś bardziej przerażającego może

czaić się na jednym z krzesel, czekając na

niego.

Zły na siebie za własne zdenerwowanie otrząsnął się z tego pomysłu i podszedł bliżej, wyciągając drżącą, złoto-skórą dłoń. Z wolna

położył ją na oparciu jednego z tronów i czując ulgę przemieszana z zażenowaniem przymknął oczy; nikt na nim nie siedział i to, sądząc po

zalegającej siedzenie warstwie kurzu, już od wielu lat. Cóż zresztą mogłoby mu zrobić którekolwiek ze Strahdowych stworzeń?

Postąpił krok naprzód, oparł ręce na tronach i wychylając się spojrzał z balkonu. Ib, co zobaczył, zrobiło przygnębiające wrażenie na jego

miłującej piękno duszy.

Przykry był widok leżącej w dole komnaty, niegdyś zamkowej kaplicy, podobnie jak wszystko wokół pięknie i bogato urządzonej.

Witrażowe okna zabito deskami, tylko tu i ówdzie ledwie przesączały się smugi kolorowego światła. Powywracane, czasem połamane ławki

poznaczone były rysami wyglądającymi, jakby pozostawiły je długie, ostre pazury. Kurz niczym opończa okrywał wszystko wraz ze

zniszczonym ołtarzem.

Nawet z tej odległości Jander mógł stwierdzić, że w tym miejscu nie pozostała już żadna świętość, co zresztą było rzeczą właściwą w

zamku, którym władał wampir. Elf potrząsnął tylko smutno głową i ruszył na dalsze oględziny.

Szerokimi schodami zszedł z powrotem na główny poziom, do ogromnej komnaty zaraz przy wejściu. U dołu schodów skręcił w lewo,

wchodząc do długiego, zakurzonego korytarza. Wzdłuż całej jego długości stały posągi i kiedy Jander przechodząc odczytał inskrypcje na

niektórych postumentach, znalazł kilka imion znajomych mu z lektury *Legend Kręgu*. W przeciwieństwie do znajdujących się na piętrze komnaty z

figurami ludzi, te rzeźby przedstawiały raczej istoty z literatury i mitów, a nie konkretne osobistości historyczne. Nie podobało mu się, że oczy

posągów wydawały się go śledzić, gdy przemierzał korytarz.

Skierował się do kaplicy. Za życia zawsze chętnie odwiedzał świątynie, o ile tylko zarządzali nimi uczciwi kapłani dobrego i

sprawiedliwego bóstwa. Jego zdaniem znajdowały się prawie równie blisko bogów, co otwarte przestrzenie. Prawie, choć nie do końca. Odkąd

stał się nieumarłym, nie odwiedził świętego miejsca i teraz miał nadzieję, że uda mu się wejść do zbezczeszczonej kaplicy.

Już wyciągnął rękę, by otworzyć prowadzące do niej dwuskrzydłowe odrzwia, gdy nagły grzechot za plecami kazał mu powstrzymać się.

Odwrócił się i ujrzał kolejny szkielet, tym razem nie w zbroi czy w zwisającym w strzępach mundurze, ale odziany w resztki niegdyś

wspaniałego stroju i biżuterii. Najwyraźniej miał do czynienia ze strażnikiem kaplicy, zapewne niegdyś służącym w niej kapłanem. Jander

zatrzymał się na moment, ale szkielet nie uczynił już żadnego gestu, żeby go powstrzymać.

Elf widział już przelotnie zrujnowane wnętrza z wysokiego balkonu, ale teraz, gdy wkroczył do dawnego sanktuarium, z bliska oglądał

resztki świetności, przechadzając się wśród stert gruzu. Myśląc z żalem o utraconym pięknie przesuwiał palcami po pokrywającej wszystko

wiekowej warstwie kurzu. Doszedł do ołtarza, na którym bluźniercze dłonie wyrysowały w kurzu obsceniczne obrazy i runy nienawiści. Czując

nagłą wściekłość Jander przesunął po ołtarzu dłonią i zamazał bluźnierstwa.

Był wampirem i przekonał się, że prawdziwie święte miejsca są dla niego zakazane. Pozbawiono go wszystkiego, co ukochał - natury,

słońca, uświęconych miejsc. Potrafił to zaakceptować, tak jak zaakceptował zło jako część swojego nowego świata, ale nawet upływ pięciu

stuleci nie nauczył go godzić się z niszczeniem rzeczy pięknych. Teraz też zaczął się zastanawiać, czy jest coś, co mógłby zrobić, by przywrócić

zamkowi dawną świetność.

Przysiadł na chwilę zamyślony w jednej z zachowanych ław i tak pogрузzył się w zadumie, że nie zwrócił uwagi na błędny blask dnia.

- Czyżby zatopiony w modlitwie? - doleciał go chłodny głos hrabiego.

Podniósł wzrok.

- Może. Jak się dziś miewasz?

- Nieźle, dziękuję, jestem tylko głodny. Czy nie miałbyś ochoty spróbować mojego nowego nabytku z ubiegłej nocy?

Jander wzdrygnął się na tę myśl, ale uważał, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Oto, czym była dla Strahda ta kobieta: nabytkiem, nie

istotą ludzką...

- Nie, pozwól, że odmówię. Chciałbym koniecznie przejść się dziś samotnie po lesie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, hrabio.

- Ależ skąd. A tak poza tym - w głównej sali znajdziesz pożywienie dla swojej młodej panny. Kazałem sobie co parę, dostarczać świeżą

żywność. Uspokaja to plotki w wiosce, a mieszkańcy mają coś do roboty oprócz picia. Zresztą jeśli mamy mieć z nich jakiś pożytek, trzeba

zadbać, żeby byli w pełni sił, prawda?

Hrabia odwrócił się, zawijając szeroko płaszczem i nienaturalnie cicho oddalił się. Jander pospieszył za nim, chcąc jak najszybciej

dostarczyć Nataszy jakiegoś pożywnego pokarmu. Wątlą pociechę czerpał z faktu, że czynił to tyle samo dla jej dobra, co dla własnego.

Przygotował dla dziewczyny talerze miękkiej wołowiny, warzyw i owoców. Kiedy wszedł z nim do jej komnaty, odkrył, że na jej

policzki poczynają wracać rumieńce. Przyglądała mu się pustym wzrokiem, kiedy podawał jej jedzenie.

- Dobry wieczór, Nataszo. Nie odpowiedziała.

- Przyniosłem ci coś do jedzenia. Musisz być głodna.

- Nie - odparła cicho.

Przestał kroić mięso i spojrzał jej w oczy.

- Wydaje mi się, że jesteś naprawdę głodna i właśnie chcesz coś zjeść.

Nie chciał jej zmuszać do jedzenia, ale musiała się odżywiać. Zaraz pojawiła się gorzka myśl: nie, Jander, to ty musisz się odżywiać.

Zignorował głos w umyśle i wrócił do przygotowywania posiłku. Sugestia poskutkowała i Natasza spróbowała usiąść, wciągając z

przyjemnością zapach potrawy. Pomógł jej, podkładając pod plecy poduszkę. Była zbyt słaba, by utrzymać sztucce, więc elf musiał ją karmić, co

sprawiło, że nagle powróciło bolesne wspomnienie Anny. „Pomścij mnie”. Jutro wróci do gabinetu.

Po skończeniu posiłku Natasza spojrzała na Jandera z zaciekawieniem.

- Jak masz na imię? - spytała.

Jander - odpowiedział. Jej pytanie sprawiło mu przyjemność.

- Jesteś inny, niż hrabia.

Jander uśmiechnął się lekko zbierając naczynia.

- Tak, przypuszczam, że tak.

- Nie zrobisz ze mnie... - przestraszona zawiesiła głos.

- Wampira? Nie. Ale nie mogę pozwolić ci stąd odejść. Za dużo wiesz i mogłabyś mi niechcący zaszkodzić. Rozumiesz?

Dziewczyna przytaknęła, nagle markotna. Podniosła palce do szyi i dotknęła drobnych ranek. Znowu podniosła wzrok na elfa, który

wyraźnie posmutniał.

- Muszę się posilać, tak samo, jak i ty - rzekł łagodnie, wskazując talerze. - Tb też rozumiesz?

Wolno skinęła głową.

Czuł do siebie większą odrazę, niż zwykle, kiedy odłożywszy naczynia wziął Nataszę w ramiona i pożywił się jej krwią, zadowolając się

niezbędnym minimum czerwonego płynu. Skończył, położył ją na łożu, przykrył i pogładził ją po włosach, kiedy zamykała oczy.

Otworzył okiennice i poczuł na twarzy chłód nocnej bryzy. Musiał wyrwać się z zamku, znaleźć z dala od Nataszy, daleko w lesie.

Szybko przeistoczył się w obłok szarej mgły, potem, już jako nietoperz, przysiadł na moment na okiennej ramie i poderwał się w przestworza.

Leciał miła za miłą, oglądając przesuwaną pod nim krajobraz. Lubił swoje postacie;

wprawdzie najlepiej czuł się w elfiej skórze, ale

wiele przemawiało za wolnością, jakiej doświadczał jako wilk o złotej sierści, przemierzający zielone lasy, czy za dzikim wdziękiem małego,

brunatnego nietoperza. W dole wśród lasów i pól błyszczącą serpentyną wiała się Ivlis. Doskonale widoczny pierścień mgły wokół wioski kłębił

się i pulsował. Mała pomarańczowa iskierka znaczyła miejsce, gdzie Vistani rozbili obozowisko, ku zachodowi zaś, jak wiedział, leżała rybacka

wieś Vallaki. Niedługo, jednej z najbliższych nocy, będzie musiał się tam udać; może jej mieszkańcy okażą się mniej zastraszeni od tutejszych

ludzi.

Nietoperz zanurkował i wylądował na niewielkim wzgórzu wznoszącym się między lasem i rzeką. Jander wrócił do postaci elfa i położył

się w miękkiej, zielonej trawie. Rosa nie przeszkadzała mu cieszyć się solidnym oparciem ziemi, na której spoczywał, mimo iż była to Barovia, a

nie jego ojczysty kraj. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. Był jeszcze jeden problem: przybył tu nie przynosząc ani odrobiny ziemi z ojczyzny, a nie

odczuwał żadnych zgubnych skutków. Marsową minę zastąpił gorzki uśmiech - wyglądało na to, że Barovia stała się jego domem.

Zamknął oczy i próbując uładzić pędzące szaleńczo myśli poddał się spokojowi panującemu na polanie. Dotknął dłonią wilgotnej trawy,

delikatnie, z szacunkiem trącając pojedyncze źdźbła. Do śpiewającego w koronach drzew wiatru dołączały się miriady głosów leśnych stworzeń,

tworząc piękną, nocną serenadę. Kiedyś Jander też cieszył się muzyką swego fletu, wygrywając na nim smutki i radości, śmiech i miłość, a jego

serce unosiło się wraz z przesywającymi tonami instrumentu. Chciałby móc znowu ukoić melancholijny nastrój słodkimi dźwiękami.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spojrzał na najbliższe drzewo, chwiejące się i wzdychające w podmuchach wiatru, z prawie

całkowicie opadłym kwieciem: jabłoń - dobry wybór. Jander zawahał się, ale zaraz dobył sztyletu i odciął gałązkę. Resztę nocy spędził siedząc

na brzegu rzeki i pracując na kawałkiem drewna tak, jak czynił to już setki razy. Mimo, iż dosłownie

wieki minęły od czasu, gdy ostatni raz robił

flet, jego dłonie wciąż pamiętały niezbędne ruchy. Zanim zorientował się, że oto nadchodzi świt, większą część pracy miał za sobą. Zmarszczył

brwi: kiedy zmieniał się w nietoperza czy wilka, jego ubranie przechodziło przemianę wraz z nim. Czy z fletem będzie tak samo, jeśli wetknie go

za pas?

Natychmiast, świadom nadciągającego poranka, skoncentrował się i przybrał kształt nietoperza - flet nie stanowił problemu. Pofrunął

szybko w stronę zamku.

Większość dnia spędził w kaplicy, bezpieczny od słonecznych promieni, pochłonięty rzeźbieniem ozdób instrumentu. Gdzieś koło

południa, kiedy powieki opadały mu ze zmęczenia, położył się w jednej z ław. To tylko drzemka zapewniał sam siebie, opierając głowę na

zgiętym ramieniu i tuląc do siebie niemal gotowy flet. Parę chwil, żeby oczy odpoczęły...

- Czemu nigdy nie grałeś dla mnie w przytułku? - doleciał go głos słodki jak słoneczny blask. Otworzył oczy i ujrzał Annę, siedzącą obok

niego w wypolerowanej drewnianej ławce. Przyglądała się z ciekawością rzeźbionemu instrumentowi.

Jander zamrugał, oślepiony wpadającym przez witraże światłem słońca. Tęcza barw przemieniła kaplicę w paletę kolorów godną artysty.

Na przygotowanym do nabożeństwa ołtarzu srebrne święte symbole lśniły odbitym fioletowym i bladobłękitnym blaskiem, wpadającym przez

okna. Całą komnatę przepełniał spokój i cicha, spokojna radość. Jander przypomniał sobie wers jednego z poematów *Miłość twa niejednej jest*

barwy i niczym tęcza lśni; nieskończone są rozkosze tych, co idą w twoje ślady

- Jest śliczny, Jander - rzekła ciepło Anna z zachwyconym uśmiechem na twarzy. Podała mu flet - Zagraj coś dla mnie, dobrze?

Od wieków nie grał i nie mógł się zmusić, aby spróbować. Jednak tu, w tej świętej, rozświetlonej słońcem kaplicy, kiedy Anna

wpatrywała się w niego wyczekująco, odnalazł w sobie dość odwagi i uniósł flet do ust. Zacerpnął

tchu, zacisnął wargi i zadał.

Z instrumentu dobył się pozbawiony harmonii pisk, przywodzący na myśl okrutny, przeraźliwy ból. Flet zwinął się w dłoniach elfa i

zmienił w ohydny, czarnego robaka, który wił się i syczał. Przerażony Jander wypuścił go z rąk i stworzyciel umknął. Całą komnatę skryła złowroga

ciemność, gorsza od zwyczajnego mroku nocy; w cieniach kryły się jakieś skulone istoty - Jander, mimo infrawizji, dostrzegał tylko ich jarzące

się czerwono oczy. Wyciągnął rękę, chcąc złapać Annę i jego dłoń zamknęła się na twardym ciele potwornego, zdeformowanego stworzenia.

Stworzyciel miał na sobie to samo odzienie, co dziewczyna. Odór dobywający się z jego szeroko rozwartej, ociekającej paszczy przyprawiał go o

mdłości.

Teraz widzisz świat takim, jakim ja oglądałam go przez ponad wiek! Jakie to uczucie być obłąkanym, Janderze Sunstar?

Wampir poderwał się z krzykiem. Był sam w zniszczonej kaplicy. Dzień powoli chylił się ku zachodowi. Nic się nie zmieniło. Nadal

drżąc Jander spojrzał na flet. Mimo koszmaru zamierzał go ukończyć.

- Anno - wyszeptał. - Nie wiedziałem, jaka to udręka dla ciebie... Przebacz mi.

Godzinę później flet był całkowicie skończony. W niczym nie przypominał ozdobnego instrumentu z koszmarnego snu, z czego Jander

cieszył się w duchu. Wciąż bał się na nim zagrać. Zły na siebie za tchórzostwo wetknął go za pas i zszedł po schodach. Wrócił do sali przy

drzwiach i udał się do pomieszczenia, które okazało się być główną jadalnią: stał tu ogromny, zakurzony stół i tuzin krzeseł. Po obu bokach

ustawiono solidnie wykonane, ozdobne kredensy. Uwagę elfa przyciągnął znajdujący się w drugim końcu sali przedmiot, okryty płachtą.

Nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego, toteż podszedł i ciekawie zdjął przykrycie. Tajemniczy przedmiot składał się z setek

drobnych elementów. Od jego szczytu odchodziły różnorodne puszczalki, poniżej zaś, ułożone obok siebie na podobieństwo zębów, leżały

żółtawe kawałki kości słoniowej. Z przodu ustawiono drewnianą ławkę, pod którą Jander dostrzegł jeszcze dodatkowy szereg przedmiotów.

- Widzę, że znalazłeś moją zabawkę. - usłyszał głos Strahda.

- Co to jest? - spytał Jander, zafascynowany.

- Instrument muzyczny - wyjaśnił Strahd. Elf wyczuł wahanie w głosie hrabiego i ciekawie uniósł brwi. - Organy. Muzyka, która się z

nich dobywa, jest bardzo piękna, bardzo głośna i bardzo... potężna. Kiedyś byłem prawdziwym wirtuozem organów, ale to dawne czasy.

Uczył gest, jakby zamierzał przykryć instrument, ale Jander położył mu dłoń na ramieniu.

- Mógłbyś coś dla mnie zagrać? - poprosił. - Kiedyś też kochałem muzykę. Te komnaty są takie ciche; chciałbym, żebyś coś dla mnie

zagrał.

Strahd walczył ze sobą. Jander widział, że jakaś część jego istoty chciałaby znów pieścić dotykiem instrument, sprawić, by po latach

ponownie rozbrzmiała jego pieśń. Ale musiał się z tym wiązać również ból. Strahd wahał się tak długo, iż elf nabrał pewności, że odmówi.

Jednak ku jego zaskoczeniu hrabia rzekł:

- Dobrze. Prosiłbym tylko, byś wybaczył mi przykre nuty, które mogą mi się trafić. To już tyle czasu.

Strahd zasiadł przed masywnym instrumentem, zupełnie jakby czynił to od lat i automatycznym gestem odrzucił w tył poły czarnego

stroju. Długie palce podobne do pajęczych odnóży zatańczyły na klawiszach. Jander poczuł, jak jego własne ciało sztywnieje w odpowiedzi na

emanujące z hrabiego napięcie.

Organy obudziły się do życia w majestatycznym grzmocie muzyki, godnym boskich rogów. Ich brzmienie przetaczało się przez komnatę

jadalną falami dźwięku, przenikając Jandera do głębi istoty. Natrętna, wymagająca, piękna - taka była muzyka płynąca spod palców Strahda;

Jander odczuwał ją jako wspaniałe, poruszające przeżycie.

Przesycony smutkiem i dostojeństwem utwór wykonywany przez hrabiego przerażał swym ogromem.

Jander przysłuchiwał się z

zamkniętymi oczami, żeby lepiej się skupić i pozwolił ciału reagować swobodnie na potężny zew muzyki. Pieśń skończyła się, ale Strahd

wyraźnie nie chciał porzucić instrumentu; jego palce błądziły leniwie po kościanych klawiszach.

Dłonie Jandera sięgnęły do pasa i zatkniętego tam drewnianego fletu. Pamiętał niedawny koszmar, a teraz kusiło go, by zagrać. Czując

wypełniającego go cudowny strach, Jander uniósł flet do ust.

Nie musiał oddychać, żeby istnieć jako nieumarły. Mówienie wymagało nabrania oddechu, ale od dziesięcioleci nie napełniał płuc

powietrzem tak, jak teraz. Wziął wdech i przytknął wargi do fletu.

Rozległ się czysty, słodki, melodyjny dźwięk, brzmiący niczym ptasi świergot przy przypominających grzmot wodospadu organach

Strahda. Hrabia uniósł wzrok i na jego bladej twarzy pojawiło się coś na kształt zachwytu zmieszanego z zaskoczeniem. Oba wampiry razem,

spontanicznie tworzyły piękną muzykę; czyste tony fletu tańczyły i przemykały na kształt błysków światła wśród głębokich organowych

akordów. Muzyka stawała się delikatna, spokojna, perlista, by po chwili rosnąć i wybuchać jak fale rozbijające się o brzeg - prawdziwe dzieło

wampirów, oddające targające jego twórcami męczarnie, harmonia potępionych.

Skończyli swe pieśni równocześnie i cisza wypełniła ich uszy. Kiedy wymienili spojrzenia, Jander odnalazł w oczach hrabiego własny

ból.

Potrafili tworzyć muzykę, ale jakże różną od kompozycji śmiertelników, którzy nigdy nie zdołaliby przepoić dzieł swoich niewinnych

instrumentów tak wściekłym bólem i dzikim triumfem, jakie słyhać było w duecie elfa ze Strahdem. Przez moment zapomnieli o bólu, próbując

go wyrazić; muzyka wyzwoliła ich ze stanu życia w śmierci i mogli napawać się tym uczuciem.

W panującej niespokojnej ciszy Strahd zdjął palce z klawiatury i złożył ręce na kolanach. Przyglądał się im, obserwując długie, ostre

paznokcie z niedbałością przeczącą kipiącym w głębi emocjom. Oto coś poruszyło hrabiego i to nie mord, moc, wściekłość czy smutek, lecz

piękno. Przez chwilę byli pokrewnymi duszami.

Jeszcze raz podniósł oczy spotykając wzrok Jandera. Pozostał w nich tylko spokojny spryt, który elf zaczynał aż za dobrze rozpoznawać.

Chwila minęła, ale nie zapomną jej. Strahd zdawał się wyczuwać, że oto odkrył wrażliwą część swej natury, toteż celowo zmienił temat.

Wystarczy tego - rzekł szorstko, narzucając przykrycie na organy z niepotrzebnym ożywieniem. - Nie porozmawialiśmy dotąd tak, jak to

sobie obiecywaliśmy Chodźmy do gabinetu, gdzie, jak widziałem, spędzasz wiele czasu. Opowiesz mi, czy mój dom odpowiada twoim gustom.

- Pozostało mi jeszcze dużo ksiąg do przeczytania, Wasza Ekscelencjo, ale te, które dotąd widziałem, są... interesujące. Zwróciłem uwagę

na kilka, które zapisano stosując dziwny rodzaj szyfru - odparł Jander, kiedy ruszyli powoli w górę schodów.

- Ach, tak. To moje osobiste zapiski. Sam wymyśliłem ten kod.

- Bardzo trudno go rozszyfrować. Czy mógłbyś mnie tego nauczyć?

Strahd spojrział na elfa i chłodnym głosem zapytał ostro:

- Po co?

- Wciąż szukam czegoś na temat mojej pani - odrzekł Jander. - Miałem nadzieję, że znajdę coś użytecznego, ale, jak dotąd, na nic nie

natrafiłem.

- Och, jakże mi przykro. Oczywiście, że cię nauczę - zaproponował Strahd. - Pod warunkiem - zawiesił głos, po czym kontynuował, już

ostrzejszym tonem - że ty zaczniesz i uczyć mnie. Sam sporo dowiedziałem się o wampiryzmie, nie mając żadnego nauczyciela, ale ty możesz

powiedzieć mi więcej.

Dotarli do pracowni i Strahd zasiadł w jednym z foteli, wskazując elfowi drugi.

- A teraz - rozkazał hrabia - wezwij wilki.

Jander aż zeszczywniał z gniewu, słysząc ton gospodarza, ale zmusił się do opanowania złości. Przymknął oczy i wysłał swój umysł na

poszukiwania wilczych istot. Delikatnie musnął wilka przy wejściu. Chodź do mnie, przyjacielu, poleciał mu w milczeniu. Odkrył kolejne

zwierzę, pilnujące Nataszy w jej pokoju, i jemu również kazał przybyć.

W kilka chwil później dwa wilki, szary i czarny, weszły do gabinetu i położyły się u stóp elfa. wąskie wargi hrabiego rozciągnęły się w uśmiechu.

- Teraz ja je przywołam.

Złożył dłonie tak, że stykały się koniuszkami palców i zmrużył czarne oczy. Wilki odwróciły łby w jego stronę. Jeden z nich zaskomlił,

po czym oba podniosły się i podeszły do Strahda. Czarny wyciągnął do niego łapę.

Jander skupił się ponownie. Tym razem znacznie trudniej było mu przebić się do umysłów zwierząt; wyczuwał w nich obecność

hrabiego. Zamknął oczy i skoncentrował myśli. Podenerwowane wilki położyły uszy po sobie i spoglądały to Jandera, to na hrabiego, aż w

końcu, wyraźnie wylęknione i cierpiące z drżeniem podczołgały się do nóg elfa.

Strahd gwałtownie otworzył oczy. W ich głębi czaił się gniew.

- Jak tego dokonałeś? - spytał ostro. Jander pozostał opanowany.

- Kontrolowanie zwierząt i ludzi opiera się na woli wampira. Wszystko, co zrobiłem, to...

- Śmiesz sugerować, że ja mam słabą wolę?

- Nie, Wasza Ekscelencjo - odparł nieco zaskoczony Jander. - po prostu jesteś młodszy ode mnie i nie masz takiej wprawy. Przez wiele

lat byłem niewolnikiem. Nauczyłem się, jak robić to, co widziałeś, bo tylko w ten sposób mogłem uciec mojemu panu. Wola przeżycia i wolność

są znakomitą podniętą, znacznie lepszą niż chęć popisywania się sztuczkami ze zwierzętami.

Strahd przez chwilę wytrzymał spojrzenie elfa, po czym wolno skinął głową.

- Przyznaję ci rację. - Usadowił się głębiej w fotelu i położył stopy na stojącym przed nim podnóżku.

Jander, nieco zmieszany, postąpił

podobnie. Wilki drzemały zadowolone w ciepłe buzującego na kominku ognia. Elfa uderzyła pozorną normalność tej sceny, którą mącił jedynie

fakt, iż dwaj „przyjaciele przy kielichu” raczyli się krwią zamiast czerwonego wina.

Po długim czasie Jander przerwał milczenie:

- Czemu w tym miejscu nie mogę się żywić krwią zwierząt? - spytał. - Przez pięćset lat nie działo się nic złego, a tutaj od niej choruję.

Strahd nie od razu odpowiedział, ale wreszcie rzekł:

- W Barovii jest inaczej.

- Taaak, to dość oczywiste, ale dlaczego? Twierdzisz, że „jesteś tą krainą”. Co się tu dzieje, Strahdzie?

Hrabia zacisnął mocniej szczęki. Jander trafił w czuły punkt, ale nie miał innego sposobu, by uzyskać odpowiedzi, musiał jakoś dotknąć

drugiego wampira.

- Tu, w Barovii, jesteśmy swoim własnym światem - odrzekł hrabia, cedząc słowa. - A zarazem nie jesteśmy żadnym światem. Osobiście

uwągam, iż znajdujemy się na jedynej w swoim rodzaju płaszczyźnie istnienia. Nie sądzę, żeby udało ci się znaleźć Barovię na jakiegokolwiek

mapie. Przynajmniej już nie teraz. - Otworzył oczy i spojrzał na elfa ze zgorzkniałym wyrazem twarzy. - Uwierzyłbyś, Janderze, że byłem kiedyś

szlachetnym, sprawiedliwym wojownikiem?

Elf nie spodziewał się tak gwałtownej zmiany tematu i Strahd uśmiechnął się lekko, dostrzegając jego zmieszanie.

- Widzę, że masz pewne trudności z oswojeniem się z tą myślą. Nie przejmuj się, nie obrazisz mnie. Samemu z trudem przychodzi mi w

to wierzyć. Wszystko się zmienia, nieprawdaż? Jeśli możesz powstrzymać swoje wątpliwości, wyobraź mnie sobie w takiej roli. Byłem

wojownikiem walczącym o słuszne sprawy, zjednoczyłem wiele krajów, pokonałem wielu ludzi. Walczyłem uczciwie i dobrze, a moja armia nie

miała sobie równych. Dorastałem z mieczem w dłoni i tak często znajdowałem się o włos od śmierci, że nie umiałbym nawet zliczyć tych

wszystkich przypadków. Potem walka się skończyła i nagle nie było dla mnie miejsca. Stałem się zbędny. Przywykłem do przewodzenia

wojownikom, a nie rządu państwem i mimo iż pochodzę z długiej linii władców, nie chciałem rządzić krajem. Moi rodzice umarli, a ja

byłem ich najstarszym potomkiem. Nie miałem wyboru - w taki oto sposób zostałem władcą Barovii.

Strahd wstał z fotela i zaczął spacerować po komnacie. Po jego twarzy nie znać było wewnętrznego wrzenia.

- Wtedy Barovia była częścią... - piękny głos hrabiego umilkł i w jego oczach błysnęło coś na kształt zmieszania. Zaśmiał się cicho.

- Wiesz, nie pamiętam nazwy mojej ojczyzny... Przerwał, zapatrzony w dal, próbując sobie przypomnieć.

Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi, nie jest najważniejsza. Najwidoczniej kraj woli, żebym zapomniał.

Mimo gorąca płomieni Jandera zmroziło. Kraj chciał, żeby Strahd zapomniał, jak nazywa się jego ojczyzna? Na bogów, czy to miejsce

naprawdę żyło? Myśl, że mógłby zapomnieć o Waterdeep i Evermeet napawała go przerażeniem. Wspomnienia mogły być bolesne, ale trzymały

go przy życiu. Nagle ugodziła go inna idea: a gdyby ten kraj chciał, żeby zapomniał Annę? Uczynił milczącą przysięgę, że świadomie nie

zapomni ani jej, ani planu zemsty w jej imieniu.

- Dość rzec, że ja byłem prawem, a moje prawa nie były łagodne - miękki niczym jedwab głos Strahda wyrwał elfa z zamyślenia. Jander

ponownie skupił myśli. - Pewnego ranka obudziłem się i stwierdziłem, że gdzieś ulotniła się moja młodość - ciągnął hrabia. - Przepadła i nic mi

po niej nie zostało.



- Z pewnością znalazłeś pocieszenie w zwycięstwach, jakie odnosiłeś - podsunął Jander.

Strahd pogardliwie wykrzywił wargi.

- Pocieszenie? Ludzie nienawidzili mnie, a ja zupełnie o nich nie dbałem. Nie było pociechy, czekała mnie tylko śmierć. I wtedy... znów

miałem szansę być młodym.

Stała się rzecz dziwna; głos Strahda złagodniał, zadźwięczała w nim czułość, jakiej Jander nigdy by się po nim nie spodziewał. Oczy

straciły wyrachowany wyraz i stały się niemal ludzkie, kanciasta twarz z ostrymi kośćmi policzkowymi złagodniała, kiedy hrabia zatonął w

marzeniu.

- Spotkałem ją. Miała na imię Tatiana, pochodziła z wioski. Ktoś trzeci wszedł między nas, niszcząc jakąkolwiek nadzieję, że

moglibyśmy być razem szczęśliwi. Wpadłem w rozpacz. Jak mógłbym konkurować z tym młodym, pogodnym wojownikiem, który skradł mi

jedyną istotę, jaką kiedykolwiek ukochałem?

Jander widział, że ze Strahda właśnie spadła maska i ma okazję oglądać śmiertelnego człowieka, który żył dawno temu.

- Modliłem się o wsparcie, o zemstę i moje modlitwy zostały wysłuchane. Sama Śmierć stanęła przede mną i zawarłem z Nią układ, pakt,

przypieczętowany krwią mojego rywala, którego zabiłem w dniu jego ślubu z Tatianą. On jednak tak opętał Tatianę, że postanowiła połączyć się

z nim w śmierci. Strażnicy próbowali mnie zabić, ale strzały nie miały się tego ciała. Śmierć nie upomniała się o mnie, ale życie o mnie

zapomniało.

Tak oto dokonał się mój pakt ze Śmiercią i otrzymałem obiecaną nagrodę. Mój kraj przestał być

Barowia i przeistoczył się w to dziwne,

inne królestwo, do którego miałaś nieszczęście trafić. Jak widzisz, Janderze Sunstar, rozumiem twoją stratę. Sam tkwię tu jak w pułapce. Nie

udało mi się przekroczyć skrytych we mgle granic, za każdym razem wracam tutaj, do zamku i jego wspomnień.

Jander wyczuwał jakieś niedomówienie w opowieści Strahda; hrabia musiał gdzieś skłamać. Historia mogła być plugawa, ale prawda

była o wiele bardziej przerażająca.

Przed laty, jeszcze za życia, Jander widział zwłoki dawno zmarłej osoby. Skóra na ciele zdawała się napięta i mocna, ale kiedy ostrożnie

spróbował dotknąć jej mieczem, rozwarła się nagle i ujrzał kłębiące się we wnętrzu trupa robactwo. Taki właśnie obraz dojrzał przelotnie w

swoim umyśle, kiedy Strahd skończył opowieść. Jak tamten trup, historia wydawała się nieprzyjemna, ale kompletna, z pozoru ludzka. Wiedział

jednak, że gdyby pogrzebał głębiej, mroczna prawda wydostałaby się na światło dzienne jak robaki z truchła.

DZIESIĘĆ

- Przykro mi, Anno, ale nic nie znalazłem.

We śnie Jander opierał się o ozdobną półkę nad kominkiem w gabinecie. Ręce skrzyżował na piersi, wpatrywał się w dywan.

W

olał nie patrzeć na Annę, bo czuł, że sprawił jej zawód, choć przez ostatnie dwa tygodnie każdego popołudnia przeglądał wszystkie

księgi, które tylko umiał przeczytać.

- Nie szkodzi, kochanie - głos Anny był jednak smutny. Kiedy Jander podniósł wzrok, ujrzał ją siedzącą cicho w jednym z atlasowych

foteli. - To nie twoja wina.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się radośnie. W jej oczach błyszczały powstrzymywane łzy.

Czuł się tak, jakby miało mu pęknąć serce. Podszedł do dziewczyny i klękawszy oparł głowę na jej

kolanach. Zmierzyła palcami jego

jasne włosy.

- Przeczytałem tu wszystko, co potrafię. Strahd nauczył mnie nawet, jak czytać jego własne notatki. Nie ma żadnych zapisków,

dokumentów - nic, co mogłoby zaprowadzić mnie do ciebie.

- Poznajesz jednak historię mojej krainy.

Jander skrzywił się i wtulił twarz w chłodną w dotyku, bawełnianą, niebieską spódnicę Anny. Tb była prawda, chociaż przeszłość Barovii

nie należała do najprzyjemniejszych.

- Może odpowiedź są tu, w zamku - ciągnęła słodkim głosem. - I to blisko, na wyciągnięcie ręki.

Jander podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Byłaś w zamku Ravenloft?

Uśmiechnęła się tajemniczo, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Anno, byłaś tu?

Obudził się w gabinecie, cały zeszywniały po drzemce na fotelu. Przeciągnął się, krzywiąc twarz w grymasie i oparł głowę na rękach.

Jego wysiłki wciąż pozostawały bezowocne, a sen pełen marzeń nie przynosił zbytniego odpoczynku.

Kiedy wyczerpany wstał, kątem oka dostrzegł drzwi prowadzące do prywatnej komnaty Strahda. Przez chwilę zastanawiał się, co też

hrabia może tak zazdrośnie skrywać w zamkniętym i magicznie chronionym pokoju, ale niestety obiecał, że nie będzie tam myszkował. Przetarł

oczy, odłożył na półkę książkę, nad którą zasnął, i wyszedł z pracowni. Jeśli Anna chciała, żeby dalej przeszukiwał zamek, musiał tak uczynić.

Po zmroku udał się do komnaty z mnóstwem posągów. Był nów i blade światło gwiazd, wpadające przez rzędy wysokich, łukowatych

okien ledwie oświetlało nieruchome sylwetki. Pochodnię, z którą tu przyszedł, podniósł wyżej, żeby jej blask nie oślepiał go i wolno ruszył od

rzeźby do rzeźby.

Członkowie rodu von Zarovich odznaczali się niezwykłą urodą, nawet biorąc poprawkę na normalną u artysty chęć przypodobania się.

Strahd uprzedzał go, że nie wszyscy jego przodkowie spoczywali w pokoju, ale elf i tak czuł się nieswojo, kiedy uwięzione w niektórych

kamieniach duchy zdawały się poruszać w odpowiedzi na jego inspekcję. Złość, zawiedzione nadzieje, wściekłość, szaleństwo - miał wrażenie,

że zniewolone dusze atakują jego zmysły wyblakłymi pozostałościami ludzkich uczuć.

Wszechogarniający smutek, zdrada, żal: oto kolejny, który nie znalazł spoczynku w jakimś wspaniałym życiu wiecznym. Była to ta sama

statua, która zwróciła uwagę Jandera pierwszej nocy w zamku, z utraconą głową leżącą u jej stóp. Jander uklęknął na zakurzonej podłodze i

podniósł kamienną głowę, odwracając jej twarz ku swojej.

Czemu ten jeden posąg tak oszpecono? Wszystkie pozostałe były tylko zaniedbane, rozpięte na nich pajęczcze sieci skrywały ich rysy - a

ten jeden z rozmysłem zniszczono. Jander zastanawiał się, kto też wyładował swój gniew na tej figurze, jakie przewiny straciły jej głowę z karku,

kiedy próbowała się opierać temu ostatniemu zamachowi na jej tożsamość. Otarł kurz i pajęczyny z głowy posągu i zbliżył pochodnię, by lepiej

przyrzeć się twarzy. Męska, przystojna twarz, miała w rysach jakąś delikatność, która przypominała Janderowi Annę taką, jaką była w tych

kilku zaledwie, druzgocąco krótkich chwilach wolnych od obłędu.

- Jakim zaklęciem cię spętano? - spytał Jander wstając. Nie wypuszczając z rąk znalezionej głowy spróbował osadzić ją na kikucie szyi, z

którego wciąż zwieszał się kamienny amulet. Zachwiała się tylko w jego dłoni; zbyt wiele czasu minęło, by mogła z powrotem zająć właściwe

miejsce.

- Uwolniłbym cię, gdybym tylko potrafił - Łagodnie rzekł Jander, przyklękając na kolano i odkładając ją z powrotem. - I niech Dziewięć

Piekiel upomni się o Strahda.

Ponownie przysunął pochodnię, przyglądając się uważnie inskrypcji na postumencie. Wytarty,

niekompletny napis mówił mu nie więcej,

niż pierwszego wieczoru. Wyprostował się, czując lekki dreszcz i otrzepał kolana. Zamkowe lochy wydawały się drugim odpowiednim miejscem

do zwiedzenia dzisiejszej nocy.

Za ciężkimi, dębowymi drzwiami, obitymi szerokimi pasami matowego mosiądzu, znalazł kamienne schody. Schodów w zamku

Ravenloft nie brakowało, ale te były tak wytarte, że nawet pewny krok Jandera nie chronił go przed poślizgnięciem się na wgłębieniach szarego

kamienia.

Opadały w ciemność i Jander cieszył się ze swojej pochodni, mijając puste uchwyty, wolną ręką wodząc wzdłuż wilgotnego muru.

Schodził długo, zanim dotarł do miejsca będącego albo niewielką komnatą albo dużym półpięciem. Czuł się tu jak w pułapce, mając za sobą

stromiznę schodów, a po bokach i z przodu - milczącą grozę trojga drzwi.

Podniósł nieco pochodnię i światło zaślniło na łypiących złośliwie ze ścian pyskach gargulców, wykrzywionych w uśmiechu. Zaskoczony

i zły za to na siebie Jander odsłonił wysunięte kły i wyszczerzył się w odpowiedzi.

Otworzył drzwi na wprost i wszedł w krótki korytarz, zakończony szkarłatną, aksamitną zasłoną, za którą odkrył balkon, urządzone z

równym smakiem, co reszta zamku. Co takiego się tu znajdowało, na co chciałby popatrzeć władca? Elf podszedł bliżej.

Znajdująca się poniżej sala przypominała nieduży amfiteatr. W mdłej poświacie, stworzenia, które niegdyś były ludźmi, poruszały się w

niemym *danse macabre* pośród narzędzi tortur, które zakończyły ich życie. Szkielet z lśniąco rdzawo w świetle pochodni żebrami i czaszką

przesuwał między palcami końcówki dziewięciorzemieńnego bicia z zadziorami, zupełnie jakby muzyka skóry i metalu ocierających się o kości

sprawiała mu przyjemność. Tuż obok zombi wił się w żelaznych kajdanach, przykuwających go do ściany, udając, że desperacko próbuje się

uwolnić. Strzępy gnijącego mięsa odpadały od kości. W całej wielkiej sali umarli odgrywali sceny,

jakie dyktowało im mroczne poczucie

humoru Strahda, przedrzeźniając własną śmierć i tępo opiekując się instrumentami, które przyniosły im mękę i zniszczenie.

Walcząc z obrzydzeniem Jander zeskoczył z krawędzi balkonu. Opadł lekko, z wdziękiem wśród okaleczonych zwłok i zmarszczył nos,

czując ich odór. Wraz z wonią doleciały go dźwięki - słabe jęki i stłumione krzyki, niczym słyszane w koszmarnym śnie wycie uwięzionych

dusz, niczym wrzaski opętanych kobiet, które prześladowały go za dnia i podczas spędzanych z Anną nocy.

Z grymasem na twarzy odwrócił się w kierunku źródła dźwięków. Po lewej ręce miał drzwi, prostokątną plamę głębszego cienia w

ścianie pomieszczenia. Podszedł do nich, a w miarę, jak się zbliżał, coraz lepiej słyszał dochodzące zza nich odgłosy.

Zapamiętany z przytułku dla obłąkanych zgiełk dopadł go, gdy otworzył na oścież drzwi i stanął w przejściu. Jęki, szlochanie, żałosne

modlitwy dobiegały z ciągnących się wzdłuż korytarza cel. Niektóre postaci zareagowały na jego nagłe pojawienie się kuląc się w kątach, inne

znów rzuciły się naprzód, wyciągając ramiona przez kraty w błaganiach o pomoc lub litość - albo zapomnienie. To była spiżarnia Strahda. Jander

stał przez chwilę nasłuchując, przepełniony bólem. Nie miał prawa uwolnić tych ludzi; w Ravenloft był zaledwie gościem Strahda.

Nie potrafił opanować radości, jaką czuł na myśl, że Nataszę powierzono jego opiece, zamiast zamykać w tych mrocznych,

przerażających lochach. Pragnąc uciec przed odgłosami cierpienia wszedł szybko po krętych schodach, patrząc wprost przed siebie, żeby nie

musieć spoglądać w twarze nieszczęśników.

Wzdłuż schodów pochodnie umieszczono co parę kroków. Na końcu Jander natknął się na drzwi, ale pokój, do którego prowadziły,

okazał się zbyt ciemny nawet dla jego oczu. Zdjął więc ze ściany pochodnię i zajrzał do środka. Opuścił komnaty umierających, by trafić do

pokojów umarłych. Miał przed sobą katakumby rodu von Zarovich.

Szybkim krokiem przekroczył próg pomieszczenia, gdzie kilkunastu sławnych przodków Strahda spało snem wiecznym. Miał

przynajmniej nadzieję, że w większości zdążyli już obrócić się w proch, ale podejrzewał, że niektóre z przysadzistych grobowców zamieszkiwały

istoty, których spoczynek trudno by nazwać spokojnym.

Dźwięk, zbyt wysoki dla ludzkich uszu, uprzedził go obecności tysięcy nietoperzy. Zwisaly ze ścian i sufitu, przesuając się niemrawo,

próbując skryć nie nawykłe oczy przed blaskiem pochodni Jandera. Kilka szczególnie wystraszonych sfrunęło w dół i zaczęło zataczać opętańcze

kręgi wokół elfa, wydając wysokie piski. Wreszcie uspokoiły się przysiadły na przeciwległej ścianie, wciskając się między towarzyszy. Podłogę i

wieka sarkofagów pokrywała warstwa nietoperzowych odchodów.

Śmiertelnik wiedziałby, co to strach, gdyby trafił tutaj, pomyślał Jander; sam czuł tylko smutek i duszącą w gardle gorycz. Wrócił tą samą

drogą.

* * * * *

Euermeet! Euermeet! Ojczyzno Ludzi, Królestwo słodkiej magii, kraino światła; Długo już bawię z dala od twych lasów, Długie są cienie

przechodzące w noc.

Euermeet! Euermeet! Wiejąca ku wschodowi bryza Niesie woń brzegów Euermeet, Niebawem już Królestwa zostaną naprawdę

Zapomniane i zagubione, kapryśne dziecię twe powróci do domu.

Głos Nataszy nie dorównywał głosowi elfiej kobiety, która uczyła Jandera tej pieśni, ale nie miał nic przeciwko niemu. Przyjemnie było

słyszeć w tym mrocznym kraju pieśń o ojczyźnie. Najpierw tylko grał Nataszy tę melodię na flecie. Dopiero kiedy zapytała, co to za utwór,

chętnie nauczył ją tej i wielu innych elfich pieśni. Wiele godzin spędzali wspólnie - elf grając na flecie, dziewczyna wtórując mu swym, słodkim,

choć smutnym i zmęczonym głosem.

Natasza pozostawała wprawdzie więźniem w ponurych murach Ravenloft, ale zasłużyła na specjalne traktowanie. Jander robił, co mógł,

by zachowała siły i kiedy tylko zdrowie pozwalało jej na to, towarzyszyła mu w wędrówkach po zamku, snując się za nim niczym cichy, drobny

duszek o białej twarzy, ściągniętej, ale nadal czasem rozjaśnianej uśmiechem.

Umilkła, zapatrzona we własne dłonie. Jander zwrócił uwagę, że linijkę „1 zagubione, kapryśne dziecko tve powróci do domu”

zaśpiewała stłumionym, słabym głosem. Przysiadł obok niej na łóżku i nakrył jej blade dłonie swoją.

- Jesteś chora, malutka? - spytał łagodnie. - Czy biorę od ciebie zbyt dużo?

Pokręciła głową; przez ostatnie dwa miesiące nauczyła się mu ufać, miał nadzieję, że może nawet polubiła trochę.

- Nie, Janderze, to... - przygryzła dolną wargę. - Jander, pozwól mi odejść do domu, proszę.

Elf otworzył usta, by odpowiedzieć, ale uprzedził go chłodny głos, dobiegający od drzwi:

- Jesteś naszym gościem w zamku Ravenloft - mruknął Strahd, niskim, groźnym tonem. - Niegrzecznie byłoby, gdybyśmy nie okazali ci

gościnności w całej pełni. Zgodzisz się ze mną, Janderze?

Jander poczuł nagły przyływ gniewu, jednak, jak zawsze w obecności hrabiego, nie dał się ponieść emocjom.

Wasza Ekscelencja jest tu gospodarzem, nie ja. Od ciebie więc, panie, zależy komu oferujesz swą gościnę.

Hmmmm, całkiem słusznie. Janderze, pozwól ze mną do gabinetu. Nie rozmawialiśmy już od jakiegoś czasu.

Odwrócił się powiewając peleryną i odszedł pewien, że Jander pójdzie w jego ślady. Elf obdarzył przestraszoną Nataszę uspokajającym,

miął nadzieję, uśmiechem i pospieszył za hrabią.

W momencie, gdy przekroczył próg pracowni, cztery wygrzewające się przy kominku wilki wstały sztywno na nogi, z wolna kładąc uszy

i odsłaniając ostre, żółte zęby. Trochę zaskoczony elf posłał ku ich umysłom polecenie: To tylko ja, przyjaciele. Spokojnie!

Ku jego zdumieniu żadne ze zwierząt nie ułożyło się z powrotem na spoczynek. Ponownie sięgnął do ich mózgów i tym razem wyczuł

jakąś blokadę. Zerknął na Strahda, który siedział w fotelu ze skrzyżowanymi nogami, złączywszy dłonie czubkami palców. Na posępnej twarzy

gościł wyjątkowo drapieżny uśmiech; widać było, że hrabia jest z siebie zadowolony. Można by powiedzieć, że hrabia rozkoszuje się swym

triumfem, gdyby nie zdawało się to wręcz niesmaczne w przypadku eleganckiego wampira.

- Bardzo dobrze, Strahdzie - rzekł z lekkim niepokojem Jander. - Kontrolujesz je całkowicie. Czy mógłbyś je już odwołać, żebym mógł

się do ciebie przyłączyć?

Przez długą chwilę nie poruszył się ani hrabia, ani żaden z jego wilków, po czym zwierzęta nagle, niczym jedna istota wróciły na miejsce

przy kominku, ignorując Jandera, który podszedł do fotela i usiadł.

- Ćwiczę siłę woli - sucho oznajmił Strahd.

- Jesteś znakomitym uczniem.

- To dlatego, że jesteś świetnym nauczycielem. Pozwól jednak - dorzucił niemal smutnym głosem - że coś ci doradzę. Powinieneś wyssać

krwawość swojej przyjaciółki. W ten sposób zyskałbyś niewolnicę posłuszną każdemu twojemu skinieniu zamiast pacjentki, na którą trzeba czekać.

Jander zmrużył srebrzyste oczy.

- Zamierzałem z tobą o tym porozmawiać, Strahdzie. Tworzysz zbyt wielu niewolników.

Ku zdziwieniu elfa hrabia tylko się roześmiał.

- Czy może być za dużo niewolników?

- Zdecydowanie tak. My, wampiry, z upływem lat stajemy się coraz potężniejsi. Uczymy się. Jeśli uważasz, że istnieje taki niewolnik,

nieważnie - wampir czy nie - który nie tęskni za wyzwoleniem, jesteś w błędzie. Co więcej, jesteś również w niebezpieczeństwie.

- Dziękuję ci, przyjacielu, za troskę, ale zapewniam cię, że moi niewolnicy nie stanowią dla mnie zagrożenia. Nie doceniasz moich

umiejętności, nazwijmy to... utrzymania porządku - zakończył hrabia z uśmiechem przywodzącym na myśl kota bawiącego się myszą.

Jander wzruszył ramionami, nie chcąc wdawać się w proponowaną przez Strahda rozgrywkę.

- Twoja wola. Ja tylko dzielę się z tobą swoim doświadczeniem - możesz z niego skorzystać lub je odrzucić. Mam jednak pytanie. W tym

pokoju utrzymujesz idealny porządek, czemu więc pozwalasz, by reszta twego domostwa znalazła się w tak opłakanym stanie?

- Troszczę się o rzeczy, które cenię - odparł hrabia. - Cenię sobie księgi, reszta zaś niewiele dla mnie znaczy. Za życia byłem

wojownikiem, Janderze i za największy skarb uważałem znakomitą broń, ale z biegiem lat zrozumiałem, że to, o co warto zabiegać, to książki, a

zwłaszcza księgi z zaklęciami. Poza tym jakaż dla mnie korzyść z luksusów?

- Piękno samo w sobie jest najwyższą nagrodą - odrzekł elf. Strahd pogardliwie odął wargi, ale nie skomentował tych słów. - Jeśli

pozwołisz - ciągnął Jander - chciałbym odnowić trochę zamek Ravenloft.

- Nie wolno ci tu nikogo przyprowadzać - powiedział Strahd, a w jego łagodnym dotąd głosie zadźwięczał lód. W głębi oczu zajaśniały

mu czerwone ogniki. Leżące wilki wyczuły zmianę atmosfery i uniosły pytająco łby.

- Oczywiście, że nie - odparował elf, rozzłoszczony, że hrabiemu przyszło to na myśl. - Mógłbym sam nad tym popracować; sprawiłoby

mi to sporą przyjemność.

- Nie widzę w tym sensu.

Jander pogładził się po brodzie, szukając właściwych słów.

- Nie jestem stworzony dla ciemności. Piękno, muzyka, natura - są dla mnie źródłem pociechy, pomagają mi zapomnieć, o ile w ogóle

mogę zapomnieć, czym się stałem. Śmierć nie gasi tęsknoty za tym wszystkim - spojrzał hrabiemu w oczy. - Słyszałem, jak grasz. Widziałem,

jak cię poruszyło. Jesteśmy wampirami; nasze istnienie nie jest... nie jest właściwe, ale to nie znaczy, że nie możemy czasem zatracić się w

czymś, co jest piękne. Potrafimy docenić, że rzecz jest piękna, naturalna, że ma swoje miejsce i harmonizuje z tym, co ją otacza - nie straciliśmy

tego daru. - Głos elfa nabrał mocy. - Nie zamierzam obedrzeć mojego świata z tych drobnych radości, i tak jest wystarczająco mroczny i

samotny.

Strahd długą chwilę przyglądał mu się przenikliwie. Jander nie odwrócił wzroku i w końcu Strahd wybuchnął śmiechem.

- Cóż za zagadkę dla mnie stanowisz, Janderze Sunstar! Żywisz się krwią, ale żałujesz życia, które odbierasz. Jesteś samym cieniem i

nocą, a tęsknisz za pięknem. Jesteś martwy, jednak nie znosisz rozkładu. Czym naprawdę jesteś? Niemożliwe, byś był wampirem!

- Może i tak - odrzekł Jander smutno, ale nie próbując się nad sobą litować - ale tym dokładnie jestem.

Znów zapadła na moment cisza, którą przerwał Strahd:

- Dobrze więc. Baw się zamkiem ile zechcesz. Zechciej mi teraz wybaczyć - dorzucił, wstając nagle.

Jander został w gabinecie i parę następnych godzin poświęcił dokończeniu lektury historii starożytnej armii Barovii. Najwyraźniej

przechwałki Strahda o wojowniczej przeszłości opierały się na faktach. Jakieś sto lat temu, dzięki swojej świetnie wyszkolonej armii,

umiejętnościom taktycznym i szczerym modlitwom tutejszego kapłana, stał się sławnym bohaterem.

Atak trwał już dziewięć nocy, kiedy zza gór Balinok przybył nasz zbawca. Imię jego brzmiało Strahd von Zarovich, a jego armia liczyła

tysiące dzielnych ludzi. Jego żołnierze walczyli całą tę długą noc. Mówiono, że sam hrabia był wszędzie na polu bitwy i sam zabił setki

nieprzyjaciół w przeciągu pierwszej godziny.

Najwyższy z Wysokich Kapłanów Barovii, młody człowiek imieniem Kir, przewodził modłom. Dokładnie o północy wycofał się do

zamkowej kaplicy, by medytować i modlić się o wsparcie. Został obdarzony mocą użycia tajemniczego Świętego Symbolu Kruczego Rodu

przeciw królowi goblinów. I kiedy hrabia walczył, prowadząc swych ludzi do zwycięstwa, w

sekrecie użyto również Świętego Symbolu. Po

walce Najwyższy z Wysokich Kapłanów Kir ukrył Symbol.

Nikt nie wie, jak Święty Symbol wygląda, ani gdzie został ukryty. Po dziś dzień żaden kapłan nie zdołał go odnaleźć i użyć. Jednak bez

wątpienia jego potężna magia pomogła szlachetnemu hrabiemu Strahdowi w odniesieniu zasłużonego zwycięstwa.

Jander uniósł wysoko brwi w powątpiewaniu; wszystko to wyglądało na baroviańską propagandę. Ludzie z wioski z pewnością nie

myśleli o Strahdzie jako szlachetnym panu i wybawcy. Elf starannie odłożył książkę na półkę i wrócił do swojej komnaty.

Widok, jaki go powitał, wstrząsnął nim do głębi. Na łóżku leżała Natasza, z bledszą niż zwykle twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia.

Była martwa.

- Jeśli pochowasz ją dzisiejszej nocy - dobiegł go zimny, spokojny głos - powstanie z martwych za dzień lub dwa. Będzie śliczną małą

wampirzycą, prawda?

Jander z wściekłością odwrócił się do hrabiego.

- Bądź przeklęty za co, co uczyniłeś!

Strahd uniósł brwi tak, że niemal dotknęły linii włosów.

- Dałem ci tę dziewczynę. Starzała się, traciła urodę, a teraz pozostanie taka, jaką ją widzisz, jak długo zechcesz. Z pewnością tego

właśnie chciałeś?

Jander zdawał sobie sprawę, o co hrabiemu naprawdę chodzi: to było wyzwanie, tak jakby rysował linię i czekał, czy elf odważy się ją

przekroczyć. Przypomniawszy sobie z całą ostrością lekceważące słowa Strahda: „Czym naprawdę jesteś? Niemożliwe, byś był wampirem!”. W

pewnym sensie miał rację. Jander obejrzał się na Nataszę, przypomniał sobie jej słodki głos, błaganie „nie rób ze mnie tego, kim jesteś, proszę”.

To właśnie robiły wampiry - karmiły się krwią żywych i tworzyły inne, sobie podobne istoty.

Ogarnęła go fala obrzydzenia dla samego siebie.

Znów spojrzał na hrabiego, z uśmiechem, o którym wiedział, że drażni Strahda.

- Oczywiście, że tego chciałem - odezwał się. - Teraz, kiedy uczyniłeś ją wampirem, stała się twoją niewolnicą, nie moją. Odebrałeś mi

ją. Czyż nie mam prawa być za to zły na ciebie?

Strahd zmarszczył brwi; nie mógł zaprzeczyć logice słów elfa.

- Masz rację. Przepraszam - po czym dodał, odsłaniając kły: - Znajdę inną, żeby wynagrodzić ci stratę.

Skłonił się i wyszedł. Jander opadł na łożo, czując mdłości. Miał jeszcze czas, żeby okaleczyć ciało Nataszy tak, by nie powstała jako

nieumarła i pogrzebać ją. Do diabła, pomyślał, ostatnie słowo zawsze należy do Strahda.

Na tyłach kaplicy rozciągał się ogród, zaniedbany i zachwaszczony. Nieliczne małe, smutne kwiatki toczyły ząartą walkę z duszącymi je

korzeniami innych roślin. Tu i ówdzie Jander rozpoznał poprzerastane krzewy róż. Ułożona z kamiennych płyt dróżka prowadziła przez cały

ogród ku balkonowi nad zapierającą dech w piersi tysięczstopowej głębokości przepaścią.

Tu właśnie, w umierającym ogrodzie, Jander pogrzebał Nataszę, kawałkiem deski wygrzebawszy dół w twardej ziemi. Kiedy usiadł przy

świeżym grobie, jego uwagę przyciągnął śliczny, drobniutki kwiatusek tuż obok jego lewej stopy. Purpurowo-żółty kwiat był nie większy od

paznokcia. Bez wątpienia chwast, ale uroczy. Sięgnął ręką i zerwał roślinkę, zaciągając się jej delikatnym, słodkawym zapachem.

Uśmiechnął się. Mógł zacząć tutaj, od ogrodu i wnieść odrobinę piękna do własnego świata. To miejsce wymagało tylko trochę troski i

wysiłku. Nie wypuszczając kwiatu z dłoni wstał i obrzucił rośliny krytycznym spojrzeniem. Krzewy różane, choć rzadkie i zaniedbane,

wyglądały na żywe. Nie trzeba by wiele pracy, by przywrócić ogród do życia - ot noc, może dwie...

Jander podszedł do niskiego murku otaczającego podwórko i spojrzał w dół. Kilkaset stóp niżej kłębiła się mgła, skrywając przed jego

wzrokiem dno otchłani. Na południowy wschód od zamku widział za to wioskę, otoczoną pierścieniem mgły.

Jutro pójdzie do wioski i spróbuje wydostać jakieś informacje od trzymających mocno język za zębami mieszkańców. A może uda się

trochę dalej, do Vallaki. W końcu nie miał pewności, czy Anna pochodziła z tej wsi.

Słońce rozjaśniało niebo na wschodzie, nocna czerń zmieniała się w ciemną szarość. Przygnębienie ogarnęło Jandera niczym coś

materialnego i krótkotrwała radość, jaką przyniosły mu myśli o ogrodzie, ulotniła się. Nadchodził czas, by szukać schronienia przed ukochanym

słońcem.

Kilka mil od zamku córka burmistrza również oglądała nadejście świtu, stojąc w oknie i zerkając na złowrogi cień Ravenloft Anastazja

westchnęła i wzrok jej spoczął na brukowanym podwórku. Trzy miesiące minęły, odkąd Pietia z narażeniem życia ostrzegł ją przed wampirem;

odkąd stawiała czoło ojcu i zawstydziła go, wypominając mu tchórzostwo. Od tamtej nocy wszystkim kobietom w rodzinie Kartovów żyło się

lepiej.

Mimo wszystko, myślała ponuro Anastazja wpatrzona niewidzącymi oczyma w błądy baroviański świt, nikt w domu nie ucieszy się na

wieść, że nosi w łonie cygańskie dziecko.

Wysiłki Jandera, zmierzające do zdobycia zaufania mieszkańców Barovii, przyniosły żalosne efekty. Od kilku miesięcy przez parę dni w

tygodniu zjawiał się w „Wilczym Leżu” z sakiewką pełną złota, ale zawsze spotykał się z podejrzliwością. Siadywał sam, w najciemniejszym

kącie, licząc na to, że taka taktyka pozwoli mu zdobyć więcej informacji niż próba nawiązania bezpośredniej rozmowy z nieufnymi wieśniakami.

Faktem jest, że sporo udało mu się podsłuchać, ale nie to, co chciałby usłyszeć. Córka Vlada takiego-a-takiego zniknęła w tajemniczych

okolicznościach. Michaił taki-i-taki usłyszał wycie wilka, a kiedy się obudził, na własnym progu

znalazł trupa półczłowieka, półwilka.

Mieszkająca na drugim końcu miasteczka Irina urodziła coś, nikt nie wiedział dokładnie co, ale kiedy drobne ciało spalono, pozostała po nim

klejąca się, cuchnąca masa. Irina oszalała, powiedzieli i wzniesli toast za jej nieszczęsnego męża, Igora.

- Mówili, że przychodzisz tu od czasu do czasu - dobiegi go kobiecy głos. - Ciekawa byłam, czy uda mi się cię spotkać.



Jander odwrócił się i na widok stojącej przy drzwiach młodej kobiety uniósł w zdumieniu złociste brwi. Czarny płaszcz nie maskował

pokaźnego brzucha, a padające z wnętrza światło dobrze oświetlało uniesioną twarz. Pod nogami zakreśliły jej się suche liście, szeleszcząc sucho.

Dwoje służących czekało w stosownej odległości. Szybkim ruchem przymknął drzwi, żeby klienci nie zobaczyli ich rozmawiających.

- Anastazja, nie mylę się chyba?

- Tak, to ja. - Zauważyła, że spojrzał na służących. - Nie zwracaj na nich uwagi. To tylko moja pokojówka i lokaj ojca. Chciałam ci

powiedzieć o... no... - córka burmistrza opuściła wzrok na zaokrąglony brzuch i uśmiechnęła się niezręcznie. - To Pietii. Urodzę je. Jeszcze nie...

On nic nie wie.

Jander nie odzywał się, czekając, aż dziewczyna znów zacznie mówić.

- Papa już nie jest taki straszny, jak był. Twoje wilki to sprawiły - roześmiała się. Elf też się uśmiechnął. - Myślałam o tym, żeby dać

dziecko Cyganom, ale nie zechcą go. Poza tym mam coś, co będzie mi zawsze przypominało Pietię. Czy to ma sens? Gadam głupoty, wiem,

ale... - Przerwała i popatrzyła na niego poważnymi oczyma.

Wiele zrobiłeś dla mnie i Pietii, więcej, niż mógłbyś sądzić. To dziecko - poklepała brzuch opiekuńczym, pełnym miłości gestem - jest

dla mnie symbolem tego. Opowiem mu wszystko o tobie i będzie twoim przyjacielem, tak jak ja i Pietia.

Patrzyła mu w oczy w oczekiwaniu reakcji.

Jander był wzruszony.

- Moja droga - odezwał się; w jego miękkim głosie pobrzmiwało zdumienie - czynisz mi zaszczyt, mówiąc o tym. Mam szczerą

nadzieję, że wszystko będzie dobrze z tobą i twoim dzieckiem.

Anastazja uśmiechnęła się do niego z ulgą.

- Strasznie teraz kopie - rzekła nagle. - Chciałbyś dotknąć?

Już miał odmówić, ale myśl, że mógłby dotknąć nowej, małej żywej istoty głęboko go poruszył. Ostrożnie wyciągnął rękę, a dziewczyna

wzięła ją i poprowadziła po swoim brzuchu.

- Tutaj! - wykrzyknęła triumfalnie, patrząc, jak zareaguje. Jander poczuł ruchy małego stworzenia, oczy mu się rozszerzyły i szybko

cofnął dłoń, zwijając ją w pięść i przyciskając do serca.

- Muszę teraz odejść - rzucił pośpiesznie nie patrząc Anastazji w oczy. - Wybacz mi. Okrył się ciałniej peleryną, przeszedł przez plac i

ruszył ścieżką prowadzącą do zamku Ravenloft.

Anastazja patrzyła za nim. Mleczne światło zalało rynek, kiedy księżyc wychylił się zza chmur. Westchnęła lekko i pokręciła głową,

zdumiona własną zuchwałością. Pietia mówił prawdę o elfie - Jander nie rzucał cienia. Instynktownie złożyła dłonie na brzuchu, osłaniając nie

narodzone dziecko.

- Wiesz, malutki - rzekła łagodnie - jesteś chyba jedynym dzieckiem w Barovii, które ma wampira za przyjaciela.

Kiedy zniknął dziewczynie z oczu, Jander przeistoczył się w mgłę, a zaraz potem przybrał postać złotowłosego wilka o srebrnych oczach.

Dobrze czuł się pędząc przez chłodny las Svalich, skupiony na ruchu i grze mięśni napiętych pod skłębioną sierścią. Próbował znaleźć w wysiłku

fizycznym zapomnienie, nie pamiętaąc, jak bardzo pragnął znów być żywą istotą.

JEDENAŚCIE

Wytracony z równowagi spotkaniem z Anastazją Jander coraz chętniej uciekał w spokój ogrodu. Którejś nocy, bez mała dziesięć

lat po tym wydarzeniu, przygotowywał właśnie różane krzewy do nadchodzącej zimy, przycinając ich gałązki. Inne rośliny już zapadały

w

zimowe odrętwienie, choć pod skrywającą je powierzchnią ziemi elf mógł wyczuć pulsujące w nich życie. Wstał i otrzepał brudne

dłonie; zbliżał się świt.

Przedtem elf czytał w gabinecie książkę poświęconą odnawianiu mebli i kiedy wrócił po nią, prawie zderzył się ze Strahdem,

opuszczającym właśnie tajemną komnatę.

Jander! Myślałem, że dzisiejszej nocy jesteś w wiosce - rzekł hrabia, nie tracąc zimnej krwi. W lewej dłoni niósł dużą księgę, w prawej

natomiast trzymał pochodnię i teraz szybkim ruchem przełożył księgę pod prawe ramię i lewą ręką zatrzasnął drzwi, zasłaniając komnatę przed

wzrokiem elfa.

- Byłem. Już prawie świta. Straciłeś poczucie czasu.

- Na to wygląda. No cóż, muszę zdążyć do trumny przed wschodem słońca - odwrócił się, umocował pochodnię w uchwycie i zaczął

mrużyć pod nosem zaklęcie, pozwalające magicznie zamknąć drzwi.

- Czy w tym pokoju są jakieś księgi? - spytał Jander. - Chciałbym sprawdzić, czy nie ma tam jakichś zapisków, które mogłyby...

Strahd zeszywniał i powoli odwrócił się twarzą do niego.

- Nigdy, nigdy więcej mnie o to nie pytaj - odparł cicho. - Rozumiesz? To mój zamek i moją sprawą jest, co zechcę zachować w ukryciu.

Mam swoje powody i nigdy nie wolno ci podawać ich w wątpliwość! - Przycisnął księgę do piersi. -
A teraz odejdz!

Nigdy dotąd w niezliczonych, pełnych docinków rozmowach Jander nie stał się ofiarą wściekłego
gniewu Strahda i teraz poczuł się

upokorzony. Skłonił się dwornie, po czym skierował się ku swoim komnatom. Hrabia wypowiedział
jedno gardłowe, chrapliwe słowo i drzwi

gabinetu zatrasnęły się za elfem.

Jander udał się do swojej komnaty, tej samej, w której umarła Natasza. Od tego czasu zabił okno
deskami i uszczelnił szpary smołą, żeby

móc tu spokojnie spać w ciągu dnia. Czuł się zmęczony i marzył o tym, żeby wyciągnąć się na
nowym, puchowym materacu, dostarczonym na

jego prośbę z wioski, ale głód dawał mu się we znaki. Niechętnie opuścił komnatę i zszedł do
więzienia, służącego Strahdowi za spizarnię.

Czy już wiesz, kim jestem, Janderze Sunstar? - dobiegł go przekorny głos Anny. We śnie Jander
udawał, że nadal śpi i gdy Anna

pochyliła się nad nim, chwycił ją i pociągnął za sobą na łóżko. Roześmiała się, odpychając go bez
przekonania i objęła mocno. Obsypał jej twarz

pocałunkami.

- Nie, ty mała złościco, nie wiem - odpowiedział. - Mogłoby się wydawać, że nigdy tu nie istniałaś.
Ani tutaj, ani w Vallaki nie ma

zakładu dla obłąkanych. Baroviariczycy trzymają swoich szaleńców w odosobnieniu albo puszczają
ich wolno, żeby błąkali się po okolicy. Albo

pozwalają im umrzeć - dorzucił, przyglądając się jej smutno - co w tej krainie jest dla nich najlepsze.

- A może - powiedziała Anna, głaszcząc Jandera drobną dłonią - nie trzymano mnie w przytułku.

Spojrzał na nią, otwierając w zdumieniu usta i czując się strasznie głupio. Oczywiście.

- Mieszkałaś we wsi? Miałaś męża? Kim byli twoi krewni, Anno? Co...

Jander, coś cię trapi - rozległ się lodowaty, ugrzeczniiony głos, który z pewnością nie należał do
Anny. Jander otworzył oczy i stwierdził,

że kurczowo przyciska do piersi puchową poduszkę. Przyglądając mu się Strahd dodał

- Może nie odpowiada ci ta komnata, skoro dręczą cię tu takie koszmary.

Elf nie zadał sobie nawet trudu, by odpowiedzieć. Usiadł na łożu i przecierając oczy dłonią odrzekł

- Dobry wieczór, Strahdzie.

Hrabia przysunął sobie krzesło i usadowił się na nim.

- Mam prezent dla mojego przyjaciela.

Do komnaty wszedł ponury niewolnik, niosąc w dłoniach mahoniowe pudełko, na stopę długie i półtorej stopy szerokie, grubości

dziesięciu centymetrów. Strahd wziął od niego pudełko i otworzył je. Jander otworzył szeroko oczy.

W środku wyłożonej atlasem skrzyneczki znajdowały się przybory rzemieślnika - buteleczki kolorowego proszku czekały na zmieszanie,

trzy różne rylce ze srebrnymi końcówkami były gotowe do rzeźbienia i rytowania; zestaw uzupełniał komplet niewielkich młotków i dłut.

- To tylko dla zaostrenia apetytu. Daj mi proszę znać, gdybyś potrzebował do pracy jeszcze czegoś, a dostarczę ci tę rzecz.

- To narzędzia mistrza, Strahdzie - szczerze odparł Jander. - Dziękuję. Jeszcze tej nocy zacznę ich używać.

- Na dzisiejszą noc... zaplanowałem dla ciebie coś innego. Jeśli tylko, rzecz jasna, zechcesz mi towarzyszyć.

- Patrzcie, oto nadchodzi Pan Poranka!

Martin Pelkar, lepiej znany Baroviańczykom jako brat Martin Szalony, stał na wzniesionym przez siebie drewnianym podwyższeniu,

zwracając się do wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu głosu. Wysoki, chudy mężczyzna o jasnych, kręconych włosach i bladoniebieskich,

obłąkanych oczach był samozwańczym kapłanem boga, którego nazywał Lathanderem, Panem Poranka. Wzniósł ramiona do nieba i stał tak,

zwrócony twarzą ku wschodowi, gdzie słońce powoli podnosiło się ponad horyzont.

- I tak każdego ranka - wymamrotał piekarz, Vlad Rastolnikov, zajęty przygotowywaniem ostatniej porannej partii chleba. Zaczął

mocniej ugniatać ciasto na długim stole, dając upust swej irytacji. - Nie mógłby się tak zamknąć, co? Nie, musi tu przychodzić i każdemu

zawracać głowę - resztę słów stłumiła czarna, rozczochrana broda mężczyzny.

Ogromny piec zajmował większość miejsca w niedużym wnętrzu piekarni. Padająca z niego poświata wystarczająco oświetlała

pomieszczenie, by dało się w nim pracować, więc tylko bliżej wejścia płonęło kilka świec. Oprócz pieca znajdował się tu podłużny stół, na

którym wyrabiano ciasto oraz spora szafka na miski i garnki. Kola, czeladnik Rastolnikova, zresztą uwielbiający jego wyroby, sprzedawał

gotowe bochny na rynku.

Teraz właśnie pulchny chłopak stanął obok niego.

- Czy te już są przygotowane do pieca, proszę pana? - zapytał.

Rastolnikov, cały w mące, przerwał na chwilę.

- A jak sądzisz, co ja teraz robię? - odpowiedział pytaniem. Kola cofnął się, złęczony. - A niech tam, idź się parę minut przewietrzyć.

Gorąco uderza ci do głowy.

- Dziękuję, mistrzu - odparł Kola i wybiegł na zewnątrz. Zadygotał w zimnym powietrzu poranka i pożałował, że nie wziął płaszcza. W

piekarni było aż nazbyt ciepło i teraz dotkliwie odczuwał wilgotny chłód.

- A wróć no na czas, żeby zdążyć z tymi ostatnimi! - doleciał go jeszcze tubalny głos piekarza. Chłopak pobiegł ulicą Rynkową w stronę

starego kościoła, zostawiając za sobą Martina, kontynuującego modlitwę na cześć świtu. Złoto-różowe szaty kapłana ostro odbijały się od

szarego nieba, kiedy przemawiał:

- Dzięki ci, o Panie Poranka, za ten piękny świt i chwałę twojego nowego dnia...

- Jesteś wreszcie.

Kola wystraszył się, a potem przymknął z ulgą oczy widząc, że to tylko Sasza Pietrewicz, wnuk burmistrza, stoi oparty o ścianę

opustoszałego budynku i uśmiecha się złośliwie. Miał na sobie zwykłą bawełnianą koszulę, brązowe spodnie i narzuconą na ramiona pelerynę.

Pod jego nogami leżał spory, pusty worek.

- Ciekaw byłem, czy w ogóle wyrwiesz się staremu Szczurkowi.

- Sasza, wiesz, że nie lubię, kiedy mówisz tak o moim mistrzu - bez przekonania zaprotestował Kola.
- Masz - i podał chłopcu połówkę

świeżutkiego chleba.

Sasza wyciągnął ciemnoskórą dłoń i ochoczo wziął ofiarowany mu bochenek. Wciągnął w nozdrza woń drożdży i ugryzł kawałek.

- Szczurek robi naprawdę dobry chleb - przyznał z pełnymi ustami.

- Musimy się pospieszyć - szturchnął go Kola. - Martin już jest na placu.

- Wiem, ale on gada tak samo rozwlekle, jak mój dziadek. Zwłaszcza jeśli akurat nie pada. Mamy mnóstwo czasu - doszli do końca

Rynkowej i wpatrywali się w kościół.

Po starej budowli znać było upływ czasu. Popadała stopniowo w ruinę, dopóki „Szalony Martin” nie objął jej w posiadanie w imieniu

swego boga, Lathandera Praca młodego kapłana przyniosła subtelne zmiany: drzwi trzymały się prosto na zawiasach, z okien odgarnięto

pajęczyny, wstawiono brakujące szyby, zamieciono dróżki. Nowe dachówki znaczyły stromy dach ostro wyróżniającymi się plamami czerwieni,

na podobieństwo muchomorów wyrastających z brunatnej ściółki leśnej. Oznaki, że ktoś tu mieszka, zmieszały nieco nawet zuchwałego Saszę;

oto stary kościół na powrót stał się miejscem świętym.

- Nie mogę uwierzyć, że namówiłeś mnie na kradzież z kościoła - jęknął Kola.

- Nic nie kradniemy, po prostu... pożyczamy - z tymi słowy Sasza, otrząsnąwszy się już z chwilowej niepewności, pociągnął

dwuskrzydłowe drzwi, które niechętnie ustąpiły i skrzypiąc otworzyły się na zewnątrz. Obaj chłopcy

zamrugali parę razy, przystosowując wzrok

do panującego w środku półmroku. Po obu stronach środkowej nawy ciągnęły się szeregi ław. W powietrzu unosił się kurz, jednak znajdujący się

w drugim końcu pomieszczenia ołtarz utrzymywano w idealnym porządku. Pośrodku ołtarza Sasza i Kola dostrzegli kupkę różowych,

drewnianych dysków, tuż obok kilka prostych, ale wypolerowanych świeczników z na wpół wypalonymi świecami. Obok ołtarza, na

podwyższeniu, stała kamienna misa. Promień słońca zakradł się do świątyni i zamigotał na powierzchni wypełniającej ją wody.

- No to jesteście - Sasza wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu i pobiegł nawą, czyniąc zaskakująco niewiele hałasu swymi butami.

- Chodźcie, Kola!

Kiedy drugi chłopiec niechętnie podążył za nim, Sasza wręczył mu kilka niedużych buteleczek.

- Napełnij je wodą święconą a ja wezmę dyski.

- Sasza, będziemy mieli przez to kłopoty, ja to wiem - wymruczał Kola, zanurzając pierwszy flakonik i patrząc, jak na pobłyskującą

powierzchnię wody wypływają bańki powietrza.

- Kola, to ty się boisz ciemności.

- Nie boję się.

- Ależ tak. To ty mówiłeś: „Sasza, boję się tam iść, jak nie mamy nic, co by nas chroniło”. No to masz, oto twoja ochrona przed nocnymi

stworzeniami. Więc przymknij się wreszcie, dobra? Jejku, co za tchórz! Tchórzliwy Kola - tak cię będę teraz nazywał.

Z niesmakiem wrzucił do worka wszystkie różowe dyski, po czym na wszelki wypadek dołożył świeczniki.

- Przyniosę jakieś lampy i koce, a ty zajmij się lustrami i czosnkiem, dobrze? - Kola nie odpowiedział. - Dobrze?

Chłopiec w ogóle nie słuchał go, tylko przestraszony wyglądał przez jeden z otworów w witrażowym oknie.

- Sasza, on tu idzie!

Z szybkością zająca ciemnowłosy chłopak chwycił torbę w jedną rękę, drugą łapiąc swojego przyjaciela za kołnierz. Kola potknął się, po

chwili stanął na nogi i obaj popędzili przez nawę. Sasza w biegu wpadł na ciężkie, drewniane drzwi, które z rozmachem rozwarły się, uderzając

brata Martina w pierś i odrzucając go do tyłu. Mali złodzieje również przewrócili się, ale zerwali się najszybciej, jak mogli i uciekli.

Młody kapłan leżał chwilę na schodach czekając, aż odzyska dech w piersi, po czym krzywiąc się wstał. Podeszedł do drzwi i ujrzał

ogołoceny ołtarz. Z początku był przerażony, ale za moment na jego ustach wykwitł uśmiech.

Odrobinę obłąkany kapłan nigdy do końca nie rozumiał poczynań swojego bóstwa, jednak jednej rzeczy był pewien: jeśli chłopcy tak

bardzo potrzebowali tych świętych przedmiotów, że postanowili wykraść je z kościoła, niech w pełni korzystają z całej ochrony, jaką symbole

mogły im zapewnić. Martin z własnego doświadczenia wiedział, co można spotkać nocą w Barovii.

Chłopcy opadli bez tchu na ziemię u stóp potężnego dębu, w bezpiecznej odległości od kościoła Sasza wybuchnął histerycznym

śmiechem, głośnym i wesołym, aż wreszcie i wystraszony Kola lekko się uśmiechnął, a potem przyłączył do przyjaciela.

- No dobra - odezwał się Sasza, ocierając łzy z twarzy i opierając dłoń na obolałym ze śmiechu brzuchu. - Musisz już wracać do

Szczurka. Spotkamy się o zachodzie słońca koło domu szwaczki. Ale będzie zabawa!

Kola nie był tego taki pewien, ale skinął potakująco głową.

Dzień upływał w zwykłym rytmie. Kola spóźnił się do piekarni i oberwał krótkie lanie od mistrza. Sasza Pietrowicz opuścił lekcje i kiedy

próbował wśliznąć się z powrotem do dworku, natknął się na swoją matkę. Siedziała na schodach, czekając na niego, ze zmęczoną i smutną

twarzą. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, zanim rzekła:

- Czemu to robisz, Aleksieju Pietrewiczu?

- Nie wiem - Sasza wzruszył ramionami.

- Nie lubisz się uczyć? Być mądrym?

- Nie latem - podniósł na nią smoliście czarne oczy. Anastazja musiała się roześmiać.

- Chodź, usiądź tu koło mnie - poprosiła. Sasza posłusznie wszedł po schodach i przysiadł obok matki, ona zaś objęła go ramieniem, żeby

mógł się o nią oprzeć.

Sasza, mówiłam ci o twoim ojcu i tłumaczyłam, czemu to dla mnie takie ważne, żebyś się dobrze sprawował. Dla nas nie ma znaczenia,

że jesteś pół-Cyganem, ale są tu w miasteczku tacy ograniczeni ludzie, którzy zwracają na to uwagę. Twoja nauka zapewni ci miejsce wśród

nich, kiedy mnie zabraknie.

Sasza czuł niepokój; nie cierpiał, kiedy matka stawiała się poważna. Zawsze, gdy mówiła o opuszczeniu go, coś ścisnęło go za gardło.

- Ale czy pozwolisz mi dziś wieczorem iść do Koli? Anastazja przeczesła palcami jedwabiste włosy syna i wyjrzała przez okno.

- Nie jestem pewna. Już się ściemnia; spakuj się szybko, to zobaczymy.

Z szybkością, jaka matce zdawała się niemożliwa, Sasza pomknął po schodach i przygotował wszystko, czego potrzebował na tę

„jednoczną wycieczkę”. Miał już swój pokój, ciasny, ale własny, z łóżkiem, drewnianą skrzynią na rzeczy i niedużym oknem. Właśnie

przekopywał się przez zawartość skrzyni w poszukiwaniu torby, gdy do pokoju zajrzała jego ciotka, Ludmiła, smukła, ładna kobieta tuż po

dwudziestce. Niewiele brakowało, by zastała go ze wszystkimi różowymi dyskami w garści.

- Lepiej pomykaj szybciotko, króliczku - rzuciła z uśmiechem, drażniąc się z nim.

- Nie mów tak do mnie!

- Robi się późno, króliczku - ciągnęła nie zwracając na niego uwagi. - A jak się robi późno, wychodzą wilki. Wrrrr!

Pokazał jej język i Ludmiła, śmiejąc się, poszła dalej korytarzem do pokoju, który zajmowała wspólnie z Anastazją.

Kiedy zbiegła na dół, jego matka stała w otwartych drzwiach, z niepokojem przyglądając się niebu i wspaniałemu letniemu zachodowi

słońca. Na bezchmurnym niebie purpura walczyła o prymat z oranżem, a tuż nad horyzontem widać było upiorną kulę księżyca. Ptaki

świergotały, szykując się na spoczynek.

W każdym innym miejscu kochankowie, siedząc na porośniętym trawą wzniesieniu, oglądaliby cały ten spektakl w zachwycie i

wyczekująco, ale udręczeni mieszkańcy Barowi nie mieli czasu na podziwianie pięknego zachodu słońca. Dla nich oznaczał ostatnie parę

bezpiecznych minut przed nadejściem przerażającej nocy i wszystkiego, co się w niej kryło.

- Może lepiej, żebyś tej nocy nie szedł do Koli - mruknęła Anastazja.

- Mamo, obiecałaś!

- Wiem, ale Kalinovowie mieszkają po drugiej stronie miasteczka, a już jest prawie zupełnie ciemno.

- Pobiegnę szybko! - zapewnił matkę Sasza. - Jeśli pójdę teraz, to mam jeszcze mnóstwo czasu!

Anastazja wahała się jeszcze, świadoma, że czas nieubłaganie ucieka.

- No dobrze. Weź to ze sobą - zdjęła z szyi wisiołek i założyła mu na szyję. Chłopiec przewrócił oczami na widok tej, jak uważał,

matczynej nadopiekuńczości.

Przez całe życie nie widział niczego, co mogłoby przypominać wilkołaka czy wampira, chociażby tego, który uratował jego rodziców.

Miał wręcz nadzieję, że tej nocy spotkają z Kolą tego tajemniczego, złotoskórego elfa - wampira. Nawet nie spojrzał na naszyjnik od matki,

wiedząc doskonale, co to jest: zwykły srebrny dysk z wyrytymi znakami ochronnymi.

- Leć już - powiedziała matka, całując go w czoło i dając na pożegnanie lekkiego klapsa w pupę. Sasza ruszył biegiem, upojony

wolnością.

Anastazja patrzyła za nim ze smutnym uśmiechem na zmęczonej twarzy.

- Pietia, on jest taki sam jak ty - szepnęła do siebie, zmówiła szybką modlitwę za swego upartego

syna i zamknęła ciężkie drewniane

odrzwia na zasuwę.

Zgodnie z obietnicą Kola czekał na Saszę. Jego puciołowata twarz wyglądała żałośnie.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - rzucił na powitanie Sasza. Kola posłał mu tylko nienawistne spojrzenie i zrównał z nim krok. Weszli na

zarośniętą ścieżkę, wijącą się przez las, prowadzącą ku kamiennemu kręgowi na wzgórzu. Kola parę razy potknął się o korzenie, aż za którymś

razem Sasza przystanął i zapalił latarnię, żeby mogli lepiej widzieć.

Był to ten sam krąg, przy którym rodzicom Saszy udawało się wykraść parę chwil dla siebie, przez co chłopiec uważał go za szczególne

miejsce. Poza tym, jeśli wierzyć plotkom, kiedyś, przed wiekami, uprawiano tu potężną magię.

Sasza położył po jednym dysku u podnóża każdego z głazów, inne rzeczy składając na dużym, płaskim kamieniu w środku kręgu, Kola

zaś zapalił świece i lampy, po czym obaj zawinęli się w przyniesione koce.

Kola podciągnął koc pod samą brodę i spojrzał na cienie tańczące tuż poza obszarem oświetlanym migoczącymi i kopcącymi lampami.

Silna woń wianuszka czosnku na szyi zaczynała przyprawiać go o mdłości.

- Sasza, ja chcę wrócić do domu - jęknął. Sasza posłał mu miazdzące spojrzenie.

- Słuchaj, jesteśmy całkiem bezpieczni. Tb miejsce jest zaczarowane, a poza tym mamy ze sobą wszystkie możliwe rzeczy, które mogą

nas chronić.

Nagle rozległ się ostry, przenikliwy dźwięk. Kola z krzykiem rzucił się w kierunku sterty amuletów, wygrzebał z niej zwierciadło i

skierował je w stronę, z której doleciał dziwny odgłos.

- Ty idioto - rzekł zdegustowany Sasza. - Właśnie udaremniłeś atak nieumarłego królika. Moje gratulacje.

I Kola rzeczywiście dostrzegł znikający w mroku biały, króliczy ogon. Chłopiec zarumienił się.

Sasza, nie zwracając uwagi na zdenerwowanie przyjaciela, zaczął kartkować książkę, którą przyniósł

ze sobą.

- Aaaa, jest - powiedział w końcu triumfującym głosem, położył się na prawym boku, położywszy przed sobą księgę i starannie ustawił

lampę. Gdzieś niedaleko złowieszczo zahukała sowa; chłopak nastawił uszu i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zaczął czytać, nadając swemu

głosowi tak głęboki i straszny ton, na jaki tylko stać dziesięciolatka.

Wiele księżyców temu, w miasteczku Vallaki, żył chłopiec imieniem Paweł Iwanowicz. Nie był takim sobie zwykłym chłopcem, ale

dziedzicem Słońca i jego zadaniem było powstrzymać nadejście Ciemności. Jego ojciec podarował mu część słońca, ale została ona skradziona

z kołyski chłopca. Ciemność ukryła ją daleko, daleko stąd, ale kiedy Paweł dorósł i stał się mężczyzną, zrozumiał, że musi ją odzyskać.

Wkroczył więc do krainy Ciemności.

Szedł tak, samotnie, aż dotarł do czarnych pastwisk, gdzie pasą się Piekielne Konie i płynie Rzeka Zapomnienia. Tam spotkał pierwszego

Strażnika Ciemności. Był to wysoki, bladolicy mężczyzna o ostrych kłach i pazurach.

„Stój”, powiedział Nosferatu, bo Paweł wiedział, że jego właśnie ma przed sobą. „Stój, bym mógł wypić twoją krew i pożywić się twoją śmiercią.”

Ale Paweł tylko odpowiedział: „Nie możesz mnie zatrzymać, albowiem ja jestem dziedzicem Słońca i pokażę ci zło, jakim jesteś”. I

wzniósł lustro. Kiedy Nosferatu dostrzegł w nim własne zło, ryknął z bólu i rozplynał się w powietrzu, niczym mgły pod wpływem porannego

słońca.

Koła objął ramionami kolana i starał się nie słuchać opowieści o duchach. Był przekonany, że nawet oka nie zmruży; może mu się tylko

tak zdawało, ale nie mógł się pozbyć uczucia, że ktoś ich obserwuje.

Na zewnątrz kamiennego kręgu hrabia Strahd von Zarovich zaśmiał się i ukrył z powrotem głębiej w cieniu.

- Prawie chciałbym ich zaatakować, po prostu żeby zobaczyć, jakie będą mieli miny - rzekł do Jandera. - Ale są tacy mali, że ledwie

starczyliby nam za przekąskę.

Jander odniósł wrażenie, że w słowach hrabiego kryła się odrobina brawury. Z pewnością wyczuwał potężną magię tego miejsca;

ogromne, ciemnoszare głązy chroniły dwójkę głupich dzieciaków równie pewnie, jak fizyczna bariera. Ale przecież całe to królestwo należało do

Strahda. Elf obejrzał się niespokojnie na trójkę niewolnic. Trzy wampirzyce, za życia niewątpliwie atrakcyjne kobiety, stały teraz u boku swego

pana, demonstrując chłodne posłuszeństwo.

Miał przed sobą trzy typowe kobiety z tych, jakie pociągały Strahda: wzrostu trochę powyżej średniego, o ciemnych, rudo-brązowych

włosach i ciemnych oczach, szczupłe, w przeciwieństwie do większości mieszkanek Barovii, zwykle przysadzistej budowy. Elfowi

wystarczająco przypominały Annę, by kazać mu o niej myśleć za każdym razem, kiedy widział którąś z nich. Cierpiał z tego powodu okrutnie.

Strahd popatrzył na Jandera.

- Jesteś zadowolony? Elf wzruszył ramionami.

- Masz rację, że ich krew nie wystarczyłaby dla nas wszystkich. A poza tym - dodał - pewien jestem, że wyczuwasz, jakimi środkami

ochronnymi dysponują. Nie wydaje mi się więc, żeby te szczeniaki warte były zachodu.

Strahd przyglądał mu się badawczo, skinął głową i odrzekł:

- Chodź więc, znam miejsce, w którym czeka nas prawdziwa uczta. - Wyciągnął opatrzoną ostrymi szponami dłoń i niedbałym gestem

pogłaskał najbliższą stojącą niewolnicę po policzku. - Jesteś głodna, kochanie?

Wampirzyca obnażyła długie kły i z błyskiem w oku skinęła głową. Jander też niemal umierał z głodu, klątwa pragnienia płonęła w nim

na podobieństwo gorączki, domagając się zaspokojenia. Wystarczyła woń dwójki chłopców, by zaczął się ślinić. Ciekaw był, dokąd też Strahd

zamierza ich zaprowadzić. Czyżby gdzieś w pobliżu włóczyła się grupka awanturników, a może obozowała jakaś armia?

- Posilmy się więc. Zmieńcie się w wilki, moje śliczne. Udajemy się do wioski.

Wampirzyce posłusznie przybrały formę brunatnych, smukłych wilków. Ich pan przemienił się w tę samą wielką, czarną bestię, co

zwykle. Jander uczynił podobnie. Cała sfora podążyła w ślad za Strahdem, z podniesionymi ogonami i położonymi płasko uszami kierując się do

nie podejrzewającej niczego Barowi.

Kiedy przemykali się niezauważeni obok „Wilczego Leża”, uwagę Jandera zwrócił wieniec z czosnku na drzwiach karczmy. Nie miał

specjalnie szczęścia, próbując upolować jakąś ofiarę w wiosce, ale gospoda stwarzała najlepszą okazję. Zaklął w myśli: teraz częściej będzie

musiał odwiedzać Vallaki, tam ludzie byli mniej ostrożni niż w Barovii.

Biegł za Strahdem i wilzycami. Przebiegli przez rynek niczym ciche cienie w ciemnościach. Popędzili aleją Burmistrzowską ku

zamieszkaną przez lepsze rody części wioski. Jander miał złe przeczucia; sposób, w jaki poruszał się Strahd, zdradzał starannie skrywany

entuzjizm, który elfowi wyraźnie się nie podobał.

Był wstrząśnięty, kiedy zakończyli swą wędrówkę przy dworku burmistrza. Poczul przebiegający go dreszcz. Dawno temu obiecał

Anastazji, że z jego przyczyny nie stanie się jej nic złego. Czarny wilk zatrzymał się, jego postać zamigotała i stał się na powrót hrabią Strahdem.

Na migi pokazał pozostałym, by uczynili to samo. Natychmiast po przybraniu elfiego kształtu, Jander spytał szeptem:

- Jaką grę tu odgrywasz, Strahdzie?

Z rozmysłem ignorując lekceważący ton Jandera hrabia odparł łagodnie:

- Kartov mnie oszukuje. W moim imieniu nałożył na chłopów wysokie podatki, a ja nie dostałem z tego nawet miedziaka.

Serce w Janderze zamarło na dźwięk lodowatego głosu Strahda. Próbuąc powstrzymać to, co jak przeczuwał musi się stać, zapytał:

- Czymże są dla ciebie pieniądze, Wasza Ekscelencjo?

- Nie o same pieniądze chodzi, ale o to, że temu aroganckiemu śmiertelnikowi wydaje się, iż może mnie okpić. - W otaczającej ich

zawsząd ciemności Jander bez trudu dostrzegął czerwony płomień w oczach Strahda. - Zamierzam dać mu nauczkę.

Ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się jeszcze.

- Zdawało mi się - dodał uprzejmie - że jesteś głodny. Myśli Jandera goniły szaleńczo w poszukiwaniu jakiegoś wytłumaczenia.

- Nie wpuszczą cię do domu o tej porze. Strahd uśmiechnął się.

- Nie potrzebuję ich pozwolenia. Nie pamiętasz?

Elf przypomniał sobie chwilę, gdy pierwszy raz oglądał pełnię gniewu Strahda, pamiętał krzyk hrabiego: „Ja jestem tą krainą... każdy

dom jest moim domem”. Przecież hrabia nie będzie chciał zabić całej rodziny burmistrza w ich własnym domu, myślał rozpaczliwie. Wampir nie

może tak dla zabawy siać zniszczenia w miasteczku; ciągłość istnienia Strahda i jego sług zależy od utrzymania tajemnicy. Hrabia zdaje sobie z

tego sprawę. Musi, przekonywał sam siebie Jander.

Strahd zaczął nucić melodyjnym, ledwie słyszalnym głosem. Jander skrzywił się czując, że jego niechęć do magii wcale nie znika w

obliczu pragnienia krwi. Drzwi zaślniły słabą poświatą.

Są chronione - rzekł Jander. Strahd spojrział na niego, nie kryjąc pogardy.

Czymże jest prosta bariera dla władcy krainy? - odparł głębokim głosem, w którym pobrzmiwała nuta rozbawienia. Podjął przerwany

zaśpiew i błękitna poświata znikła. Postać hrabiego rozplynęła się w mgłę, która następnie przesączyła się pod drzwiami. Elf usłyszał, jak

odskakuje rygiel i drzwi stanęły otworem.

Wejdźcie - zaprosił ich Strahd, uśmiechając się ironicznie. Trzy niewolnice wpadły do wnętrza. Jander powoli wszedł za nimi.

A teraz - odezwał hrabia do wampirzyc - pamiętacie moje instrukcje?

Kobiety przytaknęły. Na ich twarzach nie malowało się żadne uczucie, tylko w oczach płonął głód.

- Znakomicie. Możecie się pożywić, gdzie tylko chcecie. Przyglądając się pięknym nieumarłym Jander doszedł do wniosku, że

przypominają mu psy podążające tropem zwierzyny. Ale i jego samego drażnił zapach tyłu istot ludzkich w domu. Dwie z niewolnic pospieszyły

do pokojów służby na parterze, trzecia zaś bezgłośnie wbiegła po szerokich schodach. Strahd i Jander udali się za nią. Kiedy elf zajął do

pierwszej sypialni na piętrze, poczuł, że Strahd mijają go w korytarzu. Pomieszczenie było małe i puste, jeśli nie liczyć niewielkiego łóżeczka i

kilku mebli.

W następnej sypialni, ogromnej i bogato wyposażonej, pięknie rzeźbiony stół rozdzielał dwa łóżka. Na jednym z nich spała smacznie

młoda kobieta, licząca sobie jakieś dwadzieścia wiosen.

Przez chwilę Janderowi zdawało się, że może to być Anastazja. Podszedł bliżej i przyjrzał się jej. Oddychała regularnie. Długie czarne

rzęsy opadały na zaróżowione we śnie policzki. Nie, to nie była Anastazja, choć bardzo ją przypominała. Elf domyślał się, że miał oto przed sobą

jej siostrę. Usiadł na łóżku obok niej i czule, gestem godnym kochanka, położył na jej ciemnych włosach swoją złotoskórą dłoń. Delikatnie, na

podobieństwo pocałunku, rozciął kłami skórę na gardle dziewczyny. Kiedy na ranie zebrała się kropla krwi, spił ją chciwie, delektując się



ożywczym płynem. Przytknął wargi do skaleczenia, wziął dziewczynę w ramiona i zaczął się posilać. Mimo szarpiącego trzewiami głodu nie

spieszył się, wiedząc, że ofiara nie obudzi się i ma mnóstwo czasu. Kiedy po wielu długich minutach skończył, ułożył dziewczynę z powrotem

na poduszce.

Dopiero na korytarzu, zamykając za sobą drzwi komnaty, poczuł w nozdrzach gorący odór rozlanej krwi.

DWANAŚCIE

Krzyk bólu i strachu rozdarł powietrze. Szybciej niż myśl Jander podążył śladem zapachu do sypialni pana domu na drugim końcu

korytarza, rozbijając w biegu drzwi.

- Strahd!

Jedna z wampirzyc pochylała się nad bezwładnym ciałem starszego mężczyzny. Burmistrz Kartov, on to bowiem był, miał rozcięte

gardło. Wyglądało to, jakby kobieta rozszarpała ciało zębami niczym sztyletem. Otwarta rana przypominała upiorny, przesunięty uśmiech.

Wszystka krew, która nie stała się pokarmem śmiertelnej piękności, poplamiała jej twarz lub wsiąkała z wolna we wspaniałą, niebiesko-złoty

dywan. Żona burmistrza również nie żyła; jej ciało leżało rozciągnięte na łożu, z powykrzywianymi pod groteskowym kątem kończynami,

zupełnie, jakby połamano jej wszystkie stawy.

Strahd trzymał w stalowym uścisku młodą kobietę. Widać było, że zaspokojenie pragnienia sprawia mu przyjemność, bo nie spieszył się

zbyt pijać jej krew. Dziewczyna nadal żyła, choć była trupio blada i niezwykle osłabiona. Kiedy rozległ się trzask wyłamywanych drzwi, jej

głowa opadła na ramię, a twarz zwróciła się w kierunku Jandera. Oczy elfa rozszerzyły się na ten widok.

- Anastazja! - krzyknął.

- Przyrzekałeś - odezwała się drżącym szeptem. Jander skoczył w stronę Strahda, zaskakując go swą zjadłością. Wyrwał umierającą

Anastazję z jego uścisku, przewracając większego od siebie, silniejszego wampira na podłogę. Natychmiast rzuciły się na elfa trzy niewolnice

hrabiego, reagując na nagły wybuch zdumienia i wściekłości swego pana. Jander jednak był starszy, miał więcej siły woli, a szła i przerażenie

płonęły w jego żyłach. Strząsnął z siebie wampirzyce, niczym wilk pozbywający się atakujących go

lisów i uniósł Anastazję w ramionach. Wbił

w Strahda wściekły, pełen nienawiści wzrok.

Hrabia powoli, z godnością wstał, przyglądając białą dłonią zburzone włosy. Oczy lśniły mu czerwienią.

- Jak śmiesz odbierać mi zwierzynę?

- Polowanie to zupełnie co innego. To jest rzeź!

- Rzeź ludzi. Co mnie to obchodzi? Jesteś miękki, Janderze, i to cię zgubi. - Gniew ustąpił miejsca złośliwemu rozbawieniu. - Chyba że,

rzecz jasna, chciałeś ją dla siebie.

- Uśmiechnął się poplamionymi czerwienią ustami, odsłaniając długie, ostre kły.

Jander nie spuszczał z niego wzroku. Anastazję przebiegł dreszcz i zwiotczała nagle w jego ramionach z przerażająco ostatecznym

drgnieniem. Zmuszając się do zapanowania nad smutkiem i strachem Jander zwrócił się do hrabiego; na jego twarzy odbijała się ta sama

wyrachowana arogancja.

- To ty igrasz ze śmiercią, Strahdzie - rzekł chłodno.

- Udało ci się zastraszyć tych ludzi, to prawda, ale lepiej byłoby, żebyś ich nie rozzłościł. Mamy słabe punkty - ty nawet w większym

stopniu, niż ja. Ja potrafię kontrolować, jak głęboko śpię. Ty nie. - Elf zaśmiał się, a jego zwykle muzykalny głos zabrzmiał ohydnie i dziko pod

wpływem emocji. Położył blade zwłoki Anastazji u stóp Strahda.

- Wystarczy jeden chłop z ogrodniczym kołkiem i staniesz się ledwie czymś takim - mniej nawet, bo nie podniesiesz się jako niewolnik!

Pamiętaj o tym dziś o świcie, kiedy będziesz zasypiał.

Płonące oczy Strahda zwęziły się w gniewie, ale pohamował się. Jander zdawał sobie jednak sprawę, że hrabia słucha.

- Widziałeś kiedyś tłuszcę, która zamierza kogoś zlinczować? - ciągnął gorzko. - Ja widziałem i to z obu stron. Straszny widok.

Jednostki da się sterroryzować, ale jeśli będziesz miał do czynienia z grupą ludzi, którzy są wystarczająco zdesperowani, znajdą cię. Nic ich nie

powstrzyma przed unicestwieniem cię.

Wampirzyca stojąca najbliżej Strahda zawarczała i podniosła zbrojną w pazury łapę. Hrabia powstrzymał ją skinieniem palca.

- Zostawcie go.

Jander wciąż wpatrywał się w oczy Strahda.

- Widziałem kiedyś, jak się to stało. W mojej ojczyźnie grupa wampirów opanowała miasteczko. Poniosła je duma i rozpoczęły rzeź, a

wtedy mieszkańcy zebrali się i zniszczyli je. Nigdy więcej żaden wampir nie mógł wejść do tej miejsciny. Ludzie na zawsze już uprzedzili się do

obcych -” mniej więcej tak, jak w Barovii. Dla własnego dobra, hrabio, spróbuj trochę się powstrzymywać. Nie wszyscy w tej zapadłej dziurze są

głupcami.

Ku zdumieniu elfa czerwony blask w oczach Strahda przygasł, a na jego zaczerwienionej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Janderze Sunstar - zaczął powołać. - Masz rację... po części. To mój kraj. Robię tu, co chcę, a dzisiejszej nocy życzeniem moim było

obudzić czarną bestię przerażenia w duszach Kartovów. - Uśmiechnął się lodowato. - Tak też uczyniłem. Teraz zaś wysłucham, co masz do

powiedzenia na temat, nazwijmy to „zacierania śladów”, dobrze?

Elf nie wiedział, co odpowiedzieć. Strahd po mistrzowsku odparł jego argument, ustąpił mu nie oddając pola. Teraz zaś uśmiechał się,

zupełnie, jakby czytał w jego myślach.

Po pierwsze: trzeba zniszczyć ciała - Jander spojrzał na najbliżej stojącą wampirzycę. - I tak masz już zbyt wielu niewolników. - Sądził,

że hrabia sprzeciwi mu się, ale Strahd skinął z namysłem głową.

Zabierzcie ich na dół - polecił wampirzycom. Każda z nich bez słowa podniosła jedno z ciał i oddaliła się korytarzem. - Co chciałbyś,

żeby teraz zrobić?

- Powinniśmy spalić dom, upozorować wypadek. Jeśli uda nam się zniszczyć wszystkie dowody, nie będzie powodu, żeby ktoś nas o

cokolwiek podejrzewał. - Elf zamierzał odczekać do ostatniej chwili i wynieść z budynku dziewczynę, której krwią się posilał.

Ciała zebrano w głównej komnacie na dole. Wampiry z łatwością połamały meble w drzazgi i zbudowały stos na środku pomieszczenia,

po czym rzuciły na wierzch zwłoki. Jander nie mógł na to patrzeć; widok budził wspomnienia sprzed wieków. Strahd ostrożnie zapalił pochodnię

od ognia wciąż płonącego w kominku i rzucił ją na stos, który nie chciał z początku zapłonąć. Dopiero po chwili drewno zajęło się i z

narastających płomieni wzniósł się słup czarnego, oleistego dymu. Jander ruszył niezauważony w stronę schodów, gdy nagle rozległ się

przeciągły krzyk, a po nim następne:

- Pali się! Pożar u burmistrza!

Strahd zaklął i zmienił się w mgłę, która ulotniła się przez jedno z otwartych okien.

Jander zawahał się, spojrzawszy zaniepokojony ku schodom i zauważył z niesmakiem, że wszedł w kałużę krwi. Zostawiał teraz za sobą

szkarłatne ślady. Uderzenia w drzwi pomogły mu podjąć decyzję; ratownicy znajdą dziewczynę na piętrze. Niestety, znajdą również ciała.

Łomot stawał się coraz głośniejszy, lada chwila ludzie mogli wyłamać drzwi. W Podejmując ostatni wysiłek, by ukryć ślady tragedii,

Jander chwycił ze stosu kawałek drewna i zapalił ozdobne draperie, które w mgnieniu oka buchnęły płomieniem. Odrzucił szczapę, zamigotał,

przybierając formę nietoperza i wyleciał na zewnątrz, unikając palących się zasłon. W tej samej chwili puścił rygiel w drzwiach.

Elf zostawił za sobą skąpaną w krwi scenę i zanurzył się w miłej wilgoci nocy, myśląc ze smutkiem o swych ostatnich przeżyciach.

Strahd nie znosił słabości i Jander zdawał sobie sprawę, że całe to przedstawienie odegrano specjalnie dla niego.

Poczuł, jak w oczach wzbierają mu krwawe łzy i z całych sił próbował powstrzymać się od wspomnienia Wesołej Doliny i straszliwych

wydarzeń, które rozegrały się tam przed wiekami. Ale wspomnienia oczywiście wróciły.

Czerwony smok z Dolin był martwy, a stało się to za sprawą grupy awanturników, którzy sami siebie nazywali Srebrną Szóstką. Wesoła

Dolina odpowiednio potraktowała bohaterów, goszcząc ich za darmo w gospodzie „Łabędzia Pieśń”. Przyjęcie to mile zaskoczyło zarówno

Jandera, jak i jego towarzyszy - Gideona z Waterdeep, Trumpera Hillhollow, Lyrię Śliczną, Kelliana Szarą Chmurę i Alinorę Malina, toteż kiedy

zapropozował, żeby przed wyruszeniem na poszukiwanie dalszych przygód odpoczęli w gościnnej dolince, nikt nie protestował.

Od tego momentu minęły trzy dni. Trumper, dzięki swym złodziejskim nawykom, zdążył popaść w konflikt z prawem, ale niziołkowi

udało się z tego wykaraskać. Złotowłosa Lyria otrzymała dwie oferty małżeństwa i liczne niedwuznaczne propozycje, co tak ją rozdrażniło, że

ostatniemu z zalotników zagroziła, iż zmieni go w ropuchę.

- Wystarczająco z ust ci śmierdzi - rzekła upokorzonemu młodzieńcowi.

Nieśmiała, ciemnowłosa Alinora i jeszcze bardziej zamknięty w sobie łowca Kellian zawierali bliższą znajomość, a Jander z klerykiem

Gideonem po prostu włóczyli się razem po mieście.

Tej nocy Srebrna Szóstka zebrała się w „Łabędziej Pieśni” na długą kolację. W dużym kominku płonął trzaskając wesoło ogień, obok

trzech muzyków przygrywało do posiłku. Salę wypełniał wesoły gwar odczuwających ulgę mieszkańców miasteczka. Usługująca im dziewczyna

była grzeczna, szybka i niebrzydka. Cała sytuacja miała zadatki sielskiego wieczoru w gronie przyjaciół.

Trumper obzerał się wesoło, pochłaniając porcję odpowiednią dla dwóch normalnych osób, pozostali też chwalili znakomitą kuchnię.

Tylko Kellian, z ciemnymi obwódkami wokół błękitnych oczu i niezwykle bladą twarzą, nie jadł z nimi.

Ciągle boli cię gardło? - spytała Alinora; w jej orzechowych oczach znać było zatroskanie. Nieśmiało położyła swoją szorstką dłoń

wojowniczkę na jego rękę. Kellian przytaknął obojętnie, mieszając łyżką w misce rosółu, który Jander dla niego zamówił. Już od kilku dni łowca

skarżył się na ból gardła i z każdą godziną wyglądał na coraz bardziej wycieńczonego.

- Pewnie złapał coś od tych robaków, co go pogryzły - zauważył z pełnymi ustami Trumper, pokazując udkiem kurczęcia dwa drobne

ślady na szyi Kelliana.

- Przykro mi, Jander, ale nie mogę tego zjeść - odezwał się głucho łowca, odsuwając miskę. Lyria zmarszczyła brwi i zmrużyła

szmaragdowe oczy, ale nie odezwała się.

- Spróbuj - nalegał Jander. - Jak twoje ciało ma walczyć z chorobą, jeśli nie dostarczysz mi pożywienia?

Kellian spojrzał na elfa udręczonym wzrokiem.

- Po prostu nie jestem głodny, to wszystko - mruknął. - Idę do łóżka. Rano będę zdrowy. Dobrze przespana noc to wszystko, czego mi

trzeba.

Jander próbował jeszcze raz postawić przed nim miskę i z trudem ukrył wstrząs, gdy dotknął ręki przyjaciela. Mimo iż elf zamówił stolik

najbliżej buzującego wściekłe ognia, ciało Kelliana przypominało w dotyku lód.

Rankiem łowca był martwy i Janderowi przypadło zadanie poinformowania o tym pozostałych towarzyszy. Alinora wyglądała, jakby jej

serce pękło; Lyria też tonęła we łzach. Nawet niziołek, Trumper, był przygnębiony. Tego samego popołudnia odbył się pogrzeb, na którym

Jander zagrał zasypiającemu na wieki przyjacielowi ostatnią pieśń na flecie. Dobrzy mieszkańcy Wesolej Doliny, współczując obcym, nie wzięli

złamanego miedziaka za złożenie nieszczęsnego Kelliana na wieczny spoczynek.

Następnego ranka Alinora zbudziła się z obolałym gardłem. Była równie blada, a na szyi miała ślady podobne do tych, które przedtem

widzieli u Kelliana. Jander był poważnie zaniepokojony, toteż postanowił rozejrzeć się i popytać po mieście, dzięki czemu stwierdził, że czwarta

część mieszkańców cierpiała na tę tajemniczą przypadłość.

- Nie podoba mi się to - rzekł Gideon, gdy zatrzymali się w „Łabędziej Pieśni” na obiad. - To nie jest naturalna choroba.

Jander pociągnął wina. Tego dnia w karczmie nie było tłoczno, a to z tej przyczyny, że wielu potencjalnych klientów zmogła szalejąca w

mieście zaraza. Gideon, mężczyzna iście niedźwiedziej postury, który był wojownikiem, dopóki jeden z bogów nie powołał go do swej służby,

wpatrywał się w stojący przed nim kufel bursztynowego ale.

- Nie było żadnego efektu, kiedy próbowałem uleczyć Alinorę - ciągnął stłumionym głosem. Podniósł na elfa zasmucone, brązowe oczy.

Jander starał się nie okazać zdumienia. Gideon, mimo swej pozornej gburowatości, był znakomitym kapłanem, o wielkiej wiedzy i

delikatnych dłoniach. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktoś nie poczuł się lepiej, kiedy Gideon pomodlił się do Ilmatera w jego imienia

- Może nie jest aż tak chora - podsunął elf, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco brzmiało takie tłumaczenie. Nie potrafił spojrzeć

Gideonowi w oczy. Ilmater był bogiem męczenników, patronem wszystkich cierpiących. Zdawało się nie do pomyślenia, by nie chciał ulżyć

Alinorze w jej bólu.

Kiedy Alinora spokojnie umarła tej nocy, Gideon był zdruzgotany. Tym razem mieszkańcy doliny przyjęli zapłatę za pochówek; zbyt

wiele nagromadziło się ciał, żeby mogli odrzucić pieniądze. Śliczną, zgrabną, trzpiotowatą Alinorę pogrzebano w nędznej, skleconej pośpiesznie

trumnie. Grając na flecie żałobną pieśń ku czci drugiego z odchodzących przyjaciół Jander widział, jak oczy Gideona lśnią od łez.

Po powrocie do „Łabędziej Pieśni” elf zwrócił uwagę, że wielu spośród bywalców, którzy dotychczas stawiali im kolejkę ale za kolejką,

teraz rzucali ukradkowe, wrogie spojrzenia.

- Wydaje mi się, że zbyt długo cieszymy się gościnną - odezwał się cicho do Lyrii.

Czarodziejka odgarnęła blond włosy ze swej doskonale pięknej twarzy.

- Zgadzam się z Janderem. Kto jest za tym, żebyśmy jutro stąd odeszli?

- Ja - odparł Trumper. - Jak tylko przestaną płacić za moje piwo, znikam.

Jander spojrzął na Gideona. Zamyślony kleryk wpatrywał się w ogień. Jego potargana broda skrywała grymas ust, z którego zdawał sobie

sprawę Jander.

- Gideon? - zagadnął.

- Słyszałem - odwarknął kapłan, nie umiejąc ukryć bóleści w szorstkim głosie. - Tak. Zabierajmy się stąd.

Jander napotkał spojrzenie zielonych oczu Lyrii. Oboje wiedzieli, że Gideon najciężej przeżył całą tragedię.

Następnego ranka całą miejscinę poddano kwarantannie i okazało się, że nie można będzie opuścić Wesołej Doliny co najmniej przez

kolejny tydzień. Mieszkańcy wymierali w oszałamiającym tempie i nie sposób już było zapewnić wszystkim stosowny pochówek. Niektórzy

sugerowali, żeby palić ciała, co zapobiegłoby szerzeniu się infekcji, a bardziej przesądni uważali, że powinno się odkopać ostatnio pogrzebanych

i spalić ich zwłoki na tych samych stosach. Tej nocy rozpalono wielkie ognisko, na które zrzucano ciała - te świeże i te sprzed kilku dni.

Przybywali rozmaici klerycy, by wypowiedzieć kilka słów. Mieszkańcy miasteczka nerwowo popatrywali na czworo przybyszów, a wyczulony

słuch Jandera wychwytywał wrogie pomrukiwania.

Nagle rozległo się pełne bólu i wściekłości wycie, wdzierając się w żałobną ciszę. Jander nigdy przedtem nie słyszał czegoś podobnego i

modlił się, żeby nigdy więcej nie mieć takiej okazji. Zabrakło mu tchu w piersi, a zaskoczenie i strach rozszerzyły jego srebrne oczy.

Trupy na stosie poruszały się.

Napędzane niepojętą siłą ciała pospiesznie próbowały umknąć przed ogniem. Niektóre z nich,

potworne zlepki nadgniętego i nadpalonego

ciała, krzyczały z bólu, inne, jeszcze nienaruszone, atakowały żałobników. Jander kątem oka zauważył, jak Lyria zaczyna rzucać jakiś czar i

pędem wrócił do karczmy po miecz. Kiedy z łoskotem zbiegł po schodach i wypadł ponownie na ulicę, stanął jak wryty.

Alinora czekała na niego. Jej niewinność ustąpiła miejsca lubieżności, ale w urodziwym ciele nie było niczego pociągającego. Ciemne

włosy miała pozlepiane krwią i brudem. Otworzyła czerwone usta i Jander zdążył tylko dostrzec długie, ostre zęby, zanim rzuciła się na niego.

Uderzył mieczem, zadając jej głębokie cięcie w tułów. Wrzasnęła z bólu, jednak rana tylko bardziej ją rozwścieczyła. Wyciągnęła długie,

silne ramiona wojowniczkę nawykłej do władania mieczem i zamknęła elfa w potężnym uścisku. Czerwone oczy dziewczyny płonęły

nienawistnym światłem, ale elfia krew Jandera chroniła go przed jej hipnotyzującym wzrokiem, więc dalej próbował się uwolnić, ciesząc się, że

zginie w walce.

Wampirzyca była zdumiewająco silna i Jander wiedział, że nie zdoła się wyrwać. Alinora obnażyła kły, zamierzając zatopić je w jego

szyi, gdy nagle elf usłyszał dolatujący zza jego pleców przeszywający krzyk.

- Odejdź, demonie!

Alinora wrzasnęła i cofnęła się. Uwolniony z żelaznego uchwytu elf upadł na ziemię, wampirzyca zaś zasyczała wściekle i, pokonana,

rozwiąła się w mgłę. Zniknęła, przynajmniej na jakiś czas.

Jander zerknął w górę na swojego wybawcę i w migoczącym świetle pochodni rozmieszczonych wzdłuż ulicy rozpoznał mocne rysy

Gideona, trzymającego medalion z wyrytym wizerunkiem skrzyżowanych dłoni Ilmatara.

- Dziękuję ci, stary druhu - westchnął, pozwalając, by kapłan pomógł mu wstać.

Gideon przyjrzał się bacznie jego szyi i nadgarstkom.

- Zdążyła? - Jander pokręcił głową. - To dobrze. Jander, rozumiesz, co się tu dzieje i co musimy

zrobić?

Jander przytaknął z poważnym wyrazem twarzy.

- Wampiry napadły na Wesołą Dolinę. Musimy odesłać ich dusze na spoczynek.

Sądząc z tych słów planowali bardzo odważne i szlachetne przedsięwzięcie. Może i naprawdę tak było, ale Jander stwierdził nagle, że

zupełnie nie jest przygotowany na czyste, niszczące wszystko przerażenie, jakie budziły w nim wampiry. Łatwiej było radzić sobie ze złem, gdy

zjawiało się pod postacią wstrętnych, nieludzkich istot, niż kiedy przybierało kształt przyjaciela.

Wojownik i kapłan trzymali się razem, kierując się ku najbliższej świątyni. Mimo iż świątynia Tymory, Pani Szczęścia, znajdowała się

tuż za rogiem, dotarcie tam zajęło im bardzo dużo czasu. Przeróżliwe dźwięki przeszywały powietrze; słychać było krzyki, jęki i - najgorszy ze

wszystkich - paskudny, niemal ludzki śmiech. Niektóre z nieumarłych istot próbowały zbliżyć się do dwójki przyjaciół, ale tylko syczały ze

złością, cofając się na widok Gideona, władającego mocą udzieloną mu przez jego boga, boga cierpiących.

Mieszkańcy doliny, którzy wcześniej znaleźli się w świątyni Tymory, zamknęli się od wewnątrz w obronie przed nocnymi stworami.

Gideon i Jander z coraz większym strachem i zniechęceniem walili w drzwi, gdy nagle z wnętrza doleciał ich znajomy głos:

Odsuńcie się i osłaniajcie mnie - rozkazała Lyria. Zmrużyła oczy, zacisnęła usta i mamrotała przez chwilę coś do siebie, po czym klasnęła

trzy razy. Wrota otworzyły się i oczom Jandera i Gideona ukazał się tłum kryjących się w świętym miejscu mieszkańców.

Właźcie, na co czekacie? - zapytała Lyria, odrzucając do tyłu blond loki. - Tylko wampiry potrzebują zaproszenia!

Wpadli do środka, zatraskując za sobą drzwi. Lyria wraz z jeszcze jednym magiem od razu zamknęli je przy pomocy magii, a Gideon

udał się na poszukiwanie wystraszonej kapłanki Tymory.

- Ciekaw byłem, kiedy tu traficie - przywitał Jandera Trumper lekkim głosem, ale powitalny uścisk

dłoni był naprawdę serdeczny.

Tak upłynęła bezsenna, straszna noc. Ledwie słońce wychyliło się ponad horyzont, Jander z towarzyszami rozpoczęli polowanie na

wampiry. Mieszkańcy doliny, obwiniający Srebrną Szóstkę o sprowadzenie tego nieszczęścia, raczej przeszkadzali niż pomagali, ale i tak

miejscowi klerycy i żołnierze zniszczyli wielu nieumarłych.

Zwinny i bystrooki Trumper wyszukiwał trumny, w których się pochowali. Niektóre kryjówki były oczyszczone - na cmentarzach i w

kryptach odkryli sporo świeżo wyglądających zwłok z zakrwawionymi ustami, ale niziołek znajdował wampiry i w bardziej niezwykłych

miejscach, na przykład w piwnicy z winami w „Łabędziej Pieśni”.

- Ta nazwa tu pasuje - odezwał się zamyślony, gdy Jander wbił kołek w serce dziecka-wampira. Elf zdusił w sobie obrzydzenie,

pocieszając się wyrazem ulgi, jaki pojawił się na twarzy dziewczynki, kiedy uwolnił jej duszę.

Westchnął i otarł ramieniem spocone czoło. Usiadł na zimnej, kamiennej podłodze, opierając się plecami o beczkę z winem. Był

wyczerpany; we czwórkę zgładzili dziś piętnaście tych upiornych istot.

- Czuję się, jakbym robił to już od roku - jęknął. - A w ogóle która to godzina?

Wino koloru krwi oblało Jandera, gdy przez dno beczki, o którą się oparł, przebiły się dwie potężne ręce. Ledwie zdążył się zorientować,

co się dzieje, a już poczuł zaciskające mu się na gardle lodowate dłonie. Rzucił się naprzód, wkładając w to całą swoją siłę. Zdołał wytrącić

wampira z równowagi i pociągnąć go za sobą na ziemię, między potrzaskane klepki. Ostre drzazgi wbiły się w brzuch stwora, który zawył i

zwinął się z bólu, osłabiając na chwilę chwyt.

Chwila wystarczyła Gideonowi. Kapłan Ilmatera jedną ręką odciągnął przyjaciela, drugą zaś nadział monstrum na złamaną klepkę.

Wampir opadł, z ust pociekła mu krew, ciałem wstrząsnęły konwulsje i znieruchomiał. Krew zmieszała się z winem.

Jander mocno objął Gideona. Obaj próbowali złapać oddech, gdy doleciał ich głos Lyrii, wyższy i zdradzający większe napięcie niż

zazwyczaj.



- Panowie...

- Co się stało, Lyria? - spytał Gideon. Piękna czarodziejka z pobladłą twarzą wskazała na zniszczonego przed chwilą wampira. Jander

zamknął oczy, gdy w poplamionych winem zwłokach rozpoznał Kelliana.

Tej nocy nie zdążyli do świątyni. Gideon wykreślił na ziemi wokół nich krąg, w którym mogli bezpiecznie przetrwać do rana, drzemiąc

na zmianę. Następnego dnia wyglądał podobnie, tyle że postanowili się rozdzielić: Lyria z Gideonem mieli pracować w jednej części miasteczka,

Jander i Trumper w drugiej.

Elfowi bardzo nie podobał się ten pomysł.

- Lepiej mieć liczebną przewagę, Lyria - protestował, ale pozostali zgodzili się na ten plan.

Tym razem Trumperowi i Janderowi udało się dotrzeć do świątyni przed zmierzchem, ale dopiero krótko przed północą dołączyła do nich

Lyria, z dzikim błyskiem w oku, w poszarpanej lawendowej szacie.

Prawie nas dostały - wysapała do Jandera, która pomagał jej ułożyć się na macie. Niziołek z wprawą zabrał się do opatrywania skaleczeń

dziewczyny, a elf uważnie obejrzał jej szyję i nadgarstki; wyglądało na to, że nie została ukąszona. Zamknęła oczy i osunęła się w ramiona

Jandera. Widać było, że jest bliska kompletnego załamania.

- Gdzie Gideon? - zapytał elf. Lyria otworzyła zielone oczy i Jander dostrzegł w szmaragdowej głębi strach.

- Nie ma go z wami?

Trumper milczał, przynajmniej ten jeden raz, koncentrując się całkowicie na jej obrażeniach. Jander zaczął się trząść.

- Nie, nie ma go tu...

- Są jeszcze inne kościoły otwarte dla szukających schronienia - podsunęła Lyria, sięgając silną dłonią do złotej ręki elfa. - Pewna jestem,

że Gideon jest...

- A jeśli nie? - niemal krzyknął Jander. Wielu obecnych zwróciło głowy w ich kierunku. Elfowi było to obojętne. Od ponad dziesięciu lat

przyjaźnił się z Gideonem. Wrócił myślami do czasów, gdy obaj byli Piekielnymi Jeźdźcami Elturel i walczyli z Tiamat w jej kryjówce. Wtedy

właśnie Ilmater nawiedził Gideona i dzielny wojownik odłożył miecz. Od tej pory byli nierozłączni i razem jeździli wszędzie tam, gdzie ktoś ich

potrzebował.

Jander zaczął bezwiednie, cicho szlochać. Nie zauważył, że po ostro rzeźbionej twarzy spływały mu łzy, nie zwrócił też uwagi, gdy Lyria

objęła go, oparła jego głowę o swą pierś i ukołysała go do snu. Drzemiąc niespokojnie śnił o krwawych zachodach słońca i trupach, które nie

zamierzały pozostać martwe.

Nie mieli okazji stwierdzić, co się stało z Gideonem, gdyż z samego rana wygnano ich z miasteczka. Niecały tydzień wcześniej

przybywali jako bohaterowie do miejsciny, której nazwa była symbolem gościnności, gdzie nie było zamków w drzwiach, a żaden przybysz nie

chodził głodny. Teraz mieszkańcy Wesołej Doliny bez litości wygnali wszystkich obcych na spotkanie z grozą nocy. Troje przyjaciół, żalodne

resztki Srebrnej Szóstki, udało się do sąsiedniej wioski, gdzie rozstali się na zawsze.

Wesoła Dolina została spustoszona przez stado złych, sprytnych wampirów, z rozmysłem wykorzystujących reputację tego miejsca.

Mieszkańcy doliny nigdy do końca nie przyszli do siebie po wstrząsie. Wokół miasta zbudowano wysoki mur, a wszystkie karczmy

symbolicznie spalono, o czym Jander dowiedział się znacznie później. Ludzie zaczęli chodzić uzbrojeni w sztylety, który to zwyczaj stał się

przysłowiowy i zapewnił Wesołej Dolinie, niegdyś najgościnniejszej osadzie Faerun, miano najbardziej wrogiej i nieprzyjaznej. Z czasem

nazwano ją nawet Doliną Sztyletów.

wdrapał się na najbliższy z ogromnych głazów. Stanął na szczycie,

TRZYNAŚCIE

rozłożył ramiona, próbując utrzymać równowagę i spojrzał w dal,

ku wiosce. Tak, na pewno widział światło - i mnóstwo ludzi nie

spało.

Mimo przebiegających go dreszczy przerażenia

- Kola, wstawaj!

Kola zasnął i głośno pochrapywał. Sasza też czuł, że

- Co? - zamruczał Kola w odpowiedzi.

powie

ki ciężą mu coraz bardziej, ale postanowił pełnić straż

Sasza nawet na niego nie spojrzał, obserwując panujący w

przez całą noc. Po wschodzie słońca będzie miał mnóstwo czasu,

miasteczku tumult.

żeby się wyspać. Nie zobaczył tej cholernej nocy niczego choćby

- Coś się tam dzieje. Chodźmy zobaczyć.

trochę ekscytującego i niech go... zmarszczył brwi. Kamienny krąg

- Och, nie - Kola, w pełni świadomy, gdzie się znajdują,

znajdował się na wzgórzu, wznoszącym się wystarczająco wysoko,

nigdzie się nie wybierał. - Nie ruszam się stąd do rana.

by chłopiec dostrzegł w wiosce światło, którego nie powinno tam

Drugi chłopiec spiorunował go wzrokiem.

być.

- Dobra. Ja tam idę i możesz tu zostać sobie sam przez

Ciekawość odpędziła demony snu i Sasza wstał, żeby lepiej

resztę nocy. Tchórzliwy Kola.

się mu przyjrzeć. Nadal jednak nie widział dokładnie, więc

Sasza zeskoczył z głazu i zaczął zbierać swoje rzeczy do

worka. Mruczając pod nosem Kola uczynił to samo i obaj udali się

Kartov obić go, a teraz patrzcie! Pamiętacie jak przeklął Kartova?

do wioski. Nawet noc zdawała się mniej nieprzyjazna niż

Widzieliście, co się z nimi stało! Na bogów, ich gardła... - i

uprzednio, gdyż ciekawość tego, co zastaną w wiosce, wyparła z

kobieta zaczęła szlochać. Ludzie odsunęli się od Saszy, mruczając

umysłu Saszy inne myśli.

modlitwy i wykonując gesty chroniące przed urokiem.

Kiedy dotarli na Rynkową, w oknach płonęły światła, a

Sasza wrócił spojrzeniem do zwęglonego budynku.

wokół kłębili się ludzie w nocnych strojach. Niektórzy z nich nieśli

Wyprostował się trochę.

wiadra. Uwagę Saszy zwróciła krawcowa, Kristina, która

- Ja wchodzę - powiedział do wszystkich, którzy mogli go

otworzyła na oścież okiennice i wykrzykiwała coś do człowieka po

słuchać. Odwrócił się do Koli, który wreszcie go dogonił. - Idziesz

drugiej stronie ulicy. Jej brązowe włosy, zwykle wymyślnie upięte,
ze mną?

teraz spływały jej w nieładzie na ramiona. Na jej napiętej twarzy

Kola popatrzył na Rastolnikova. Mężczyzna pokręcił

malowało się zatroskanie. Coś się tu stanowczo nie zgadzało.

głową i Kola spojrzął z powrotem na swego przyjaciela, po czym

Chłopcy podążyli w ślad za tłoczącymi się wieśniakami.

spuścił wzrok.

- To przy Burmistrzowskiej! - krzyknął Sasza i puścił się

- Nie, Sasza. Chyba jestem tchórzem. Sasza patrzył na

pędem ulicą prowadzącą do jego domu. Kola z trudem próbował

niego.

dotrzymać mu kroku.

- Chyba tak - odparł, cedząc słowa, nie mogąc uwierzyć w

Czteryście metrów, dzielące rynek od płonącego domu

to, co usłyszał. Zawiązał chusteczkę na twarzy, żeby wdychać

rodzinnego, było dla półkrwi Cygana najdłuższą drogą, jaką w

mniej dymu i mieć wolne ręce.

życiu pokonał. Z przodu majaczył mu obraz jakby wyjęty z

Sam wszedł do tego, co kiedyś było jego domem. Tłum

sennego koszmaru: pomarańczowo-czerwone języki płomieni

złych, wystraszonych ludzi rozstąpił się przed nim, pomrukując.

lizwały ściany dworku niczym pies śliniący się nad kością. Nogi

Chłopiec przeszedł przez otwartą bramę z kutego żelaza,

miał jak z gumy, gardło bolało go od krzyku:

brukowany podwórzec skąpany teraz w wodzie i zbliżył się do

- Mamo! Mamo! - biegł, modląc się, by móc jeszcze

poczerniałych od ognia grubych, drewnianych drzwi. Brygada z

przyspieszyć, choć wiedział, że nie ma mowy, żeby zdążył.

wiadrami wyłamała je, by dostać się do środka. Zwinnie przeszedł

Rastolnikov złapał go za ramię.

przez poszarpany otwór, schylając się i unikając ostrych

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie - ryknął tonem, który

zadziorów. Drewno było mokre, ale Sasza nadal czuł bijące od

zapewne miał być łagodny. Sasza rozplakał się, po części ze

niego ciepło. Spojrzał pod nogi i dostrzegł czerwone odciski stóp.

strachu, a po części z powodu gryzącego, czarnego dymu,

Ślady znikają co chwilę w leniwie wirujących w komnacie

wdzierającego się do oczu i do płuc. Zaczął kaszleć mając uczucie,

kłębach gęstego, czarnego dymu, ale widać było, że prowadzą w

że przy następnym kasznięciu wypluje płuca. Rastolnikov

dół schodów, do drzwi wejściowych. Plamy krwi zniszczyły

przytknął mu szmatę do ust.

bezcenny dywan babki.

- W ten sposób nie nawdychasz się tyle popiołu - doradził

Sasza poczuł, jak serce zaczyna mu szaleńczo łomotać w

chłopcu.

piersi, tak że z trudem mógł oddychać. Stało się tu coś straszego.

Sasza przetarł wściekle oczy, próbując zobaczyć, co się
Kiedy tak stał, patrząc na krwawe ślady, bardziej niż kiedykolwiek
stało. Ogień został ugaszony, ale część domu uległa zniszczeniu.
chciał znaleźć się przy matce, chciał ją objąć, poczuć jej dłonie we
- Gdzie moja rodzina? - zapytał, próbując nadać swym
włosach. Nabrał powietrza w płuca, wyprostował się i rozejrzał po
słowom władcze brzmienie; jego głos był jednak głosem bardzo
wnętrzu.
młodego i wystraszonego chłopca. Rastolnikov nie odpowiedział
Poczuł wzbierający w gardle płacz; jego matka była tu,
mu od razu.
podobnie jak i dziadkowie - ale w postaci na wpół zwęglonych,
- My... zajmiemy się nimi rano, synku. Są tam ślady złej
dymiących ciał, z których unosił się ohydny smród przypalonego
magii, zbyt potężnej, żebyśmy próbowali się z nią mierzyć teraz, w
mięsa. Nogi ugięły się pod chłopcem i ledwie zdążył zerwać
nocy - rzekł tajemniczo piekarz.
chustkę z twarzy, zanim zwymiotował. Szlochał przez chwilę, aż
- Czy to ten chłopak? - doleciał skądś ostry, pełen złości
wreszcie udało mu się odzyskać pozory samokontroli.
głos. Jakieś szorstkie dłonie złapały Saszę i odciągnęły go od
Zaczerpnął kilka haustów czystego powietrza unoszącego
Rastolnikova.
się bliżej ziemi, otarł usta rękawem i z powrotem obwiązał twarz

- To on!

chusteczką. Niczym modlitwę przypomniał sobie słowa matki:

Sasza stwierdził, że ma przed sobą rzeźnika, Andrieja,

„Pochodzisz z linii ludzi dumnych: z jednej strony jesteś wnukiem

który wlepił w niego nienawistne spojrzenie.

przywódcy wioski, z drugiej zaś potomkiem silnego, wolnego,

- To wszystko twoja wina!

władającego magią ludu. Jeśli dzieci będą ciebie drwić z powodu

Oszołomiony chłopiec nie potrafił odpowiedzieć.

nieprawości twojego pochodzenia, uśmiechnij się w duchu i

- Zemsta Vistanich! - rozległ się kolejny okrzyk, tym razem

wspomnij moje słowa”. Sasza wstał.

kobięcy, przenikliwy. - Ten Cygan, co to Anastazja z nim żyła.

Nie chciał tego robić, ale zbliżył się kilka kroków do

dymiących zwłok. Jego rodzinę zamordowano, nie miał

dostrzegł jakiś kształt, który drgnął nieznacznie, kiedy chłopiec

wątpliwości, ale jak się to stało? i kto to zrobił? Rozpoznał tylko

mu się przyglądał.

trzy ciała - matki i obojga dziadków. Poczul ucisk w gardle widząc

Prawie stracił nad sobą kontrolę. Co to jest?

ich pogryzione szyje, ale udało mu się przełknąć ślinę.

Jęknął cicho i w napięciu zagryzł wargi. Tb coś w łóżku

Sposób, w jaki zginęli, budził dalsze pytania. Skoro zabiły

nie poruszyło się więcej. Drżąc na całym ciele podszedł bliżej;

ich wilki, co zdawało się oczywiste, kto próbował spalić ciała? z pochodnia podskakiwała opętańczo w jego trzęsących się pewnością nie wieśniacy. Poza tym gdzie podziała się reszta dłoniach. Stał przy łożu i, zanim zdążył wymyślić coś innego, mieszkańców domu?

rzucił się i ściągnął prześcieradło, okrywające leżącą istotę.

Wciąż jeszcze osłabiony dręczącymi go nudnościami i

Natychmiast odskoczył na bezpieczną odległość.

wdychanym dymem Sasza otworzył boczne drzwi do pomieszczeń

Ciotka Ludmiła spała spokojnie. Sasza widział, jak

dla służby. Jęknął i oparł się o futrynę, w migotliwym świetle

oddycha rytmicznie. Wypuścił z płuc dawno wstrzymywany

pochodni, wystarczająco jasnym, choć trochę zniekształcającym,

oddech.

widać było ślady rzezi. Iwan, lokaj burmistrza, leżał na kamiennej

- Ciociu! - krzyknął, wyciągając rękę, żeby potrząsnąć ją za

podsadzce. Jakimś sposobem, mimo rozszarpanego gardła,

ramię. W tym właśnie momencie zauważył bladość jej twarzy -

zachował wygląd pełen godności. Niewiele było tu krwi.

zdawała się bielsza od pościeli, w której leżała. Kiedy szarpnął,

Sasza podniósł wzrok i zauważył, że gardła pokojówek,

próbując ją za wszelką cenę obudzić, głowa Ludmiły odchyliła się

kucharzy i pomocników również nosiły ślady kłów. Jakaś część

na bok i włosy odsłoniły szyję.

jego umysłu krzyczała, że powinien uciec w panice, poddać się

Na gardle widać było dwa wyraźne, niewielkie ślady.

żałobie - przecież dobrze znał wszystkich tych ludzi. Ale była w

Był to wysoki, bladolicy mężczyzna o ostrych kłach i

nim też inna cząstka, chłodna, wyrachowana, dokonał więc

pazurach.

koszmarnych oględzin.

- „Stój” powiedział Nosferatu, bo Paweł wiedział, że jego

Wyszedł z komnat służby wstrząśnięty, ale z mocnym

właśnie ma przed sobą. „Stój, bym mógł wypić twoją krew i

postanowieniem kontynuowania śledztwa. Jeszcze tylko o jednej

pożywić się twoją śmiercią”.

osobie nic nie wiedział - o Ludmile, swojej ciotce. Minął stertę

Nosferatu, pomyślał Sasza czując, jak opanowuje go

ciał, starając się nie patrzeć w tę stronę i zatrzymał się u podnóża

przerażenie. Pierwszy Strażnik Ciemności. Wampir.

schodów, tuż obok na ścianie mocnym światłem płonęła

Tym razem panika zwyciężyła. Krzyk uwiązł mu w gardle.

poходnia, która wyjął z uchwytu i ściskając ją mocno w dłoni

Cudem tylko nie wypuścił z rąk pochodni, kiedy potykając się

zaczął powoli wchodzić na piętro.

wypadł na zewnątrz i zamknął drzwi. Przez jedną, bezmyślną

Płomień wywoływał dziwne cienie, które pojawiały się i

chwilę walił w nie bezsensownie, dopóki nie przypomniał sobie,

znikały, kiedy szedł po schodach. Serce Saszy zabiło szybciej, że mają przecież klamkę. Przekręcił ją i pobiegł korytarzem, chłopak otarł nagle spocone ręce o spodnie. Zimna, opanowana niezwykłemu szczęściu zawdzięczając, że nie spadł po część jego istoty zaczynała się rozplýwać i czuł, jak w głębi duszy zakrwawionych schodach.

gromadzi się strach, aby w jakiejś chwili wybuchnąć z pełną mocą.

- Pomocy! - wykrzyknął, kiedy wreszcie udało mu się

Zatrzymał się u szczytu schodów i spojrzał w ciemny

dobyć głosu. Dopadł rozbitych drzwi wejściowych i wydostał się

korytarz. Dym był tu gęstszy, niż na dole i napływał powoli, szaro-

na świeże powietrze.

białymi fałami, zasłaniając widok i wywołując łzawienie. Sasza

Rastolnikov czekał na niego i teraz pomógł mu wyjść.

zaczął wyobrażać sobie, co może kryć się za tą zasłoną z dymu...

Sasza wtulił się w niego, bełkocząc coś bezładnie.

Zły na siebie uspokoił własne myśli i niemal wyzywająco wszedł

- Spokojnie, chłopcze. Uspokój się i mów normalnie -

do swojej sypialni, trzymając pochodnię w wyciągniętej dłoni.

zabuczał głos piekarza.

Pokój był nietknięty. Łóżko pozostało porządnie

- Nosferatu! - wyrzucił z siebie Sasza. - Nosferatu zabiły

zaścielone, zabawki i ubrania spoczywały w skrzyni, jednak dla

ich wszystkich! Musimy, musimy... - nie pamiętał, jak to było w

mieszkańca niewielkiego pokoju ostatnie kilka godzin zmieniło

tych legendach, coś o kołkach w sercu i obcinaniu głów.

wszystko. Wyszedł z powrotem na korytarz i zamknął drzwi.

Chłopiec upadł i Rastolnikov, z zaskakującą u człowieka

W następnej komnacie spały jego matka i ciocia Ludmiła.

tej postury delikatnością, podniósł go z ziemi.

Wiedział już, co stało się z Anastazją i przez chwilę poczuł, jak

- To nie nosferatu - dobiegł wrogi głos z tłumu. - To

opanowuje go panika. Ponownie siłą woli zdławił strach. Długą

zemsta Vistanich! Zostaw chłopaka, niech sam walczy z tym, co

chwilę stał przed drzwiami, drżąc i zastanawiając się, co też

jego ludzie tu sprowadzili.

zastanie za nimi. Położył drobną dłoń na klamce, przekręcił ją

- Vladimir - odezwała się piekarczowa. - Nie może zostać u

najciszej jak mógł i lekko pchnął drzwi.

nas.

Przez otwarte okno wlewała się do komnaty księżycowa

- Ale on nie ma rodziny! - odparł Vlad.

poświata, srebrząc wszystko wokół, w łóżku ciotki Ludmiły Sasza

- To niech się włóczy po okolicy, jak Zagubieni, albo niech

Vistani zabiorą go do siebie - odrzekł jego żona, opierając dłonie

której grzechotały kawałki drewna.

na potężnych biodrach. - Nikt w wiosce nie kupi naszego chleba,

- Może ja wezmę ten młotek? - zaproponował. Sasza

jeśli przygarniesz tego chłopaka! On przynosi nieszczęście!

przyglądał mu się, nie mogąc uwierzyć, że znalazł się ktoś, kto w Piekarz oblizał wargi. Miała rację. Nic dobrego nie mogło tym koszmarze stoi po jego stronie. Jego rodzina nie należała do wyniknąć z zaopiekowania się półcygańskim kundlem. Jego żona szczególnie religijnych, jak zresztą żadna w Barovii. Mając na zawsze była zdania, że Kartov powinien być wydziedziczyć uwadze wszystkie okropieństwa, które działy się w tej strasznej Anastazję, a przynajmniej zmusić ją, żeby oddała szczeniaka krainie, niewielu wierzyło jeszcze w dawnych bogów. Kiedy kilka Vistanim. Zdawał sobie sprawę, że Sasza robił w wiosce więcej lat temu brat Martin przybył z lasu Svalich, bełkocząc coś o Panu zamieszania niż trzech innych chłopaków. Jednak spoczywające w Poranka, nikt mu nie uwierzył, ale pozwolono mu zamieszkać w jego ramionach nieprzytomne dziecko było godne pożałowania. opuszczonym kościele, jeśli tylko będzie przestrzegał Pozbawiony zwykle ożywiającego go ognia dziesięciolecie obowiązujących w miasteczku praw. Sasza zawsze uważał, że sprawiał wrażenie tak delikatnego, jak ptasie pisklę; pod ciemną Martin jest trochę szalony, ale teraz zdawało się to nie mieć skórą Vlad z łatwością wyczuwał kruche kości. znaczenia. Chłopiec wybuchnął płaczem, tym razem pełnym Z westchnieniem położył Saszę z powrotem na ziemi. nadziei, i przytulił się do kleryka. Martin zawahał się, by po chwili

Chłopiec zamrugał i otworzył oczy, spoglądając Rastolnikovowi w
czule pogłodzić go po włosach.

twarz.

- Lathander jest z nami - mruknął do chłopca. - Pomoże

- Nie pomożesz mi, prawda? Żona piekarza chrząknęła
nam zniszczyć wrogów.

znacząco.

Szykując się do wejścia do kostnicy, która niegdyś była

- Nie, chłopcze, nie mogę - odparł mężczyzna z

jego domem, Sasza Pietrowicz modlił się gorąco.

nieskrywaną przykrością w głosie.

Weszli do środka. Nic się nie zmieniło; wstrętne szkarłatne

Sasza poczuł, jak drży mu dolna warga i łzy popłynęły mu

odciski stóp nadal znaczyły drogę w dół schodów, ciężka, pełna

po twarzy. Mógłby przysiąc, że wyczerpał już zapas łez, ale krople

wyczekiwania cisza wciąż wisiała w powietrzu. Martin obejrzał z

spływały dalej.

bliska ciała, nieczuły na okropny widok.

- P-p-proszę - powiedział błagalnym, drżącym tonem. -

- Wyssano z nich krew - oznajmił chłodno. - Jeśli zostaną

Jeśli mi nie pomożesz, mnie też dopadną!

pogrzebani, powstaną jako nieumarli. Daj mi kołek i trochę

- Tak, i tak powinno być, ty cygański bękarcie! - rozległ się

czosnku.

czyjś okrzyk. Ktoś inny splunął mu w twarz. Z godnością właściwą

Ściągnął z poczerńskiego stosu drewna pierwsze ciało.

komuś znacznie starszemu otarł ślinę i nie pewnie podniósł się na

Sasza odwrócił się, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła -

nogi.

to była Anastazja. Jej prawe ramię zwęgliło się zupełnie, podobnie

- Wracaj do swoich!

jak cała odzież. Ogień oparzył również prawą część jej twarzy i

Poleciały dalsze przekleństwa, ale Sasza nie zwracał na nie

włosy. Szybkim, sprawnym ruchem Martin położył zwłoki na

uwagi. Podszedł sztywno do miejsca, w którym porzucił swój

okrytej kobiercem podłódze. Spojrzał na Saszę, który siedział na

worek i zaczął w nim grzebać. Nie spieszył się i część

ziemi, przyciskając kolana do piersi.

przyglądających mu się nienawistnym wzrokiem ludzi przestała się

- Ty to zrobisz.

nim interesować i wróciła do bezpiecznych domostw. Kiedy zaczął

- Nie! - oczy chłopca rozszerzyły się z obrzydzenia.

padać letni, przykry deszcz, zniknęli kolejni, aż wreszcie został

- Tak - nalegał Martin, podchodząc do chłopca. Klęknął

sam, przygotowując się do dzieła.

przy nim. - To twoja matka. Dłoń tego, który ją najbardziej kochał,

W pół godziny później Sasza stanął przed wyłamany

powinna zadać cios, który ją uwolni.

drzwiami swego domu, przypominając dziecięcą karykaturę łowcy

- Ale ona... Nie, Martin, nie mogę!

wampirów. Przemókł do suchej nitki, włosy przykleiły mu się do

- Musisz. Wieczny spoczynek będzie dla niej najmiłszy,

czoła. Na szyi zawiesił sobie wianuszki czosnku, swój i Koli, wraz

jeśli ty to zrobisz. Zaufaj mi, Sasza - włożył kołek w zdrętwiałą

ze wszystkimi drewnianymi dyskami. W kieszeni, gdzie łatwo

dłoń chłopca i oplótł go jego drobnymi, ciemnymi palcami. -

mógł sięgnąć ręką, trzymał zakorkowane buteleczki z wodą

Zaufaj mi.

święconą. W jednej dłoni dzierzył niezgrabnie zaostrzony kołek, w

Niczym we śnie Sasza wstał i zbliżył się do ciała matki.

drugiej młotek, niemal zbyt ciężki, by mógł go unieść.

Próbował przypomnieć ją sobie taką, jaką była za życia - dzielną,

- Czy na pewno wiesz, co robić?

kochającą, łagodną, chociaż zawsze trochę smutną. Uklęknął przy

Sasza obejrzał się zaskoczony i zobaczył wysoką, chudą

niej, mrugając oczami, by odpędzić łyzy i wycelował kołek

sylwetkę brata Martina. Różowo-złote szaty powiewały wokół

między jej piersi, nad sercem. Podniósł młotek, ale po chwili

szczupłej postaci kapłana, jego oczy płonęły gorączkowym

opuścił ramię.

zapałem, uśmiech jednak miał łagodny. Martin również

- Martin, nie mogę tego zrobić.

obwieszony był świętymi symbolami, a na ramieniu niósł torbę, w

- W takim razie zawiedziesz swoją matkę - odparł kapłan z twarzą pozbawioną wyrazu. Sasza rzucił mu wściekłe spojrzenie, zwłoki. - Było sobie kiedyś dziecko, mniej więcej w twoim wieku, ale Martin dodał: - Odmawiasz jej spoczynku i skazujesz na które żyło sobie szczęśliwie ze swoją rodziną. Podróżowali przerażającą egzystencją.

pewnego razu do innego miasta, gdy wtem otoczyła ich mgła.

- Ty to zrób.

Postanowili zatrzymać się na noc.

- Nie - Martin usiadł i wpatrywał się w Saszę

Kiedy mgły rozwiały się, stwierdzili, że znajdują się w niesamowitymi, bladobłękitnymi oczyma. - To jest twoje zadanie.

zupełnie obcym lesie. Mieszkańcy pobliskiej miejsciny okazali się Chłopiec zrozumiał, że zwariowany kleryk mówi poważnie.

nieprzyjaźni i niemili i nie udzielili im schronienia, więc nie mając

Jeśli on nie przebije serca Anastazji kołkiem, kapłan zostawi ją gdzie się podziać, musieli spędzić noc w lesie - Martin zamilkł na

własnemu losowi. Rozzłościło go to, ale przelał tę złość w moc chwilę, zapatrzony w dal.

ramienia, kiedy zaciskając zęby uderzył młotem, wkładając w cios

- Bracie Martinie? - odezwał się Sasza. Martin poruszył się całą swą dziesięcioletnią siłą.

i ciągnął dalej.

To wystarczyło; kołek wbił się głęboko w klatkę piersiową.

- Kiedy chłopiec obudził się, czekał go przerażający widok.

Sasha na poły spodziewał się, że Martin się mylił i zwłoki ożyją,

Setka wilków, dwakroć większych od zwykłego wilka, otoczyła

ale tylko zadrżały pod wpływem uderzenia. Uderzył ponownie i z

niewielkie obozowisko. Piękne kobiety całowały wujków chłopca,

ust Anastazji pociekła resztką krwi, jaka jeszcze pozostała w jej

ale gdy podniosły głowy, chłopiec dostrzegł, że piły ich krew.

ciele. Po trzecim ciosie poczuł, że kołek zatrzymał się na

Zaczął krzyczeć. Wtedy wysoki człowiek, biały jak śmierć i

kamiennej podłodze.

czarny jak noc, spojrzał na niego płonącymi oczami. Wolno

Jego matka nie była wampirem, ale jej dusza i tak została

podszedł do dziecka i chłopiec wiedział, że zaraz zginie.

uwięziona. Teraz, kiedy Sasha ponownie spojrzał na jej twarz,

Matka próbowała go bronić przed złym człowiekiem, ale

dostrzegł w niej subtelną zmianę i uczył w głębi duszy zdumienie.

on kazał swoim wilkom pożreć ją. Już miał zabić chłopca, gdy

Duch Anastazji odzyskał pokój; to, co zrobił chłopiec, było

nagle zjawiał się Lathander, Pan Poranka.

czynem iście koszmarnym, ale przyniosło wiele dobrego. Drżącą

Martin całkowicie zapomniał o Saszy, poddając się

dłonią otarł zalewający mu oczy pot i zacisnął mocniej usta.

transowi. Twarz lśniła mu wewnętrznym blaskiem.

Wstał, zostawiając kolek wbity w serce matki.

- Chłopiec widział obrazy przedstawiające boga - ciągnął -

- Dobra robota, chłopcze - pochwalił go Martin, delikatnie

więc rozpoznał jego piękną twarz i złocistą skórę i włosy.

opierając blade dłonie na jego ramionach. - Zrobiłeś coś bardzo

Lathander również miał krew na ustach, ale powstrzymał

dobrego.

ciemnego mężczyznę.

Sasza oparł się trochę bezwładnie o kapłana.

„Nie tkniesz tego chłopca” rzekł Pan Poranka, a głos jego

- Rozumiem, Martin. Dziękuję ci. Było mi naprawdę

brzmiał niczym muzyka. „Nie pozwolisz też, by twoje kobiety piły

ciężko, ale... dziękuję.

jego krew Odejdzie, bowiem jest pod Moją opieką”. I zły,

- Doprowadzę rytuał do końca - zaproponował Martin.

mroczny człowiek ugiął się przed mocą Pana Poranka, a chłopiec

Sasza skrzywił się na myśl o tym, co kapłan zrobi z ciałem

doczekał świtu.

Anastazji, zanim dopełni makabrycznego obrządku: obetnie jej

- Czy to tobie się to przydarzyło? - spytał Sasza. Martin

głowę i napelni usta czosnkiem. Dopiero wtedy będzie można ją

spojrzał na niego i przytaknął.

bezpiecznie pogrzebać. - Czy możesz zrobić to samo z resztą tych

- Jako żyję i oddycham - przysięgam, że opowieść jest

biednych ludzi?

prawdziwa.

Sasza popatrzył na zwłoki dziadków i skinął powoli głową.

- Jeśli Pan Poranka jest taki dobry, czemu jego usta też

- Tak, Martin.

były zakrwawione?

Przez cały dzień pracowali wspólnie. Kiedy Sasza poczuł

- Sam często zadaję sobie to pytanie. Sądzę, że to miejsce

zmęczenie w ramionach, Martin pokazał mu, jak wkładać czosnek

jest tak mroczne, że nie może tu żyć żadna naprawdę dobra istota i

w usta tych zwłok, którymi jeszcze się nie zdążył zająć, zaś sam

sam Lathander ulega przemianie, kiedy przybywa do Barovii.

wykonywał najbardziej krwawą część zadania. Kiedy nad Barovię

Pojawia się w nim odrobina zła, bo ta ziemia jest zła, ale pozostaje

zaczął nadciągać zmierzch, stwierdzili, że bolą ich ręce, ubrania

bogiem dobra, nadziei i odnowienia. Ocalił mnie. Sasza - dodał,

mają przesiąknięte krzepnącą krwią i obaj drżą z wyczerpania.

patrząc na chłopca z namysłem. - Wydaje mi się, że choć

Ale Martina przepełniało uczucie triumfu. Z pewnością

dzisiejsze przeżycia były dla ciebie naprawdę straszne, miało to

znalazł się tutaj, by wykonać to, co nakazał Lathander, Pan

swój cel. Uważam, że zostałeś wezwany. Nie masz już rodziny;

Poranka. Zadanie, które właśnie ukończył, w najmniejszym nawet

czy zechciałbyś zamieszkać w domu Pana Poranka? Będę się tobą

stopniu nie odebrało mu odwagi. Za to Sasza był wykończony.

opiekował i wskażę ci ścieżkę prawdy.

Przysiedli na schodach i Martin objął go ramieniem.

Sasza spojrzał badawczo w błękitne oczy kapłana. Czyżby

- Opowiem ci pewną historię, synu, która może pomóc ci w

to była prawda? Czyżby wreszcie znalazł dla siebie miejsce w tej

zrozumieniu tego wszystkiego - pokazał na pozbawione głów

nieprzyjaznej wiosce?



- Sasza - doleciał zza ich pleców piskliwy głos. Martin i

wesoło, ale jego towarzysz z kozła toczył wokół wrogim

Sasza odwrócili się jak jeden mąż.

spojrzeniem. Mały Lis uśmiechnęła się w duchu; pasterz kłął

U szczytu schodów stała blada, przypominająca ducha

pewnie teraz Vistanich za dziesięć sztuk złota, które musiał im

Ludmiła. Nocna koszula wyglądała jak całun. Brązowe oczy

zapłacić, żeby przewieźli go przez śmiertonośną mgłę.

odcinały się od bieli twarzy.

Jeszcze parę kęsów i skończyła jabłko, a ogryzek wrzuciła

Martin był oszołomiony. Jak to możliwe, żeby wampir

do skleconej naprędce zagrody dla świń, w której jeden z chłopów

normalnie chodził w świetle dnia? Wymacał fiolkę z wodą

wystawiał na sprzedaż różowy, kwiczący towar. Ogromna maciora święconą i z okrzykiem: - Giń, demonie! - rzucił się po schodach w z zainteresowaniem obwąchała resztkę jabłka.

górze. Jedną ręką złapał Ludmiłę za nadgarstek, drugą natomiast

Coraz więcej koni pędzono z położonych poza

opróżnił buteleczkę wprost na jej ciało.

miasteczkiem obszarów wiejskich. Leisl zdawało się, że dostrzegła

Ludmiła spojrzała na mokrą plamę na koszuli i zasłoniła

młodego żrebaka ciemnozłotej maści, z jasną grzywą. Czyżby

się.

prawdziwy gniadosz? Prawie nikt w Barovii nie hodował gniadych

- Bracie Martinie, co ty wyrabiasz?

koni. Zauważyła, że cygański woźnica obrzucił zbliżające się

Sasza wybuchnął śmiechem. Ludmiła żyła! Podbiegł, żeby

wierzchowce taksującym spojrzeniem. Chcąc lepiej widzieć

ją uściskać.

trzymiesięcznego żrebaka, wdrapała się na ogrodzenie świńskiej

zagródki.

- Hej! Chłopcze! Złaż stamtąd, zanim wpadniesz do

CZTERNAŚCIE

środka!

Leisl z przepaszającym uśmiechem na twarzy odwróciła

się do wykrzykującego te słowa właściciela świni.

Lata po napaści na dom burmistrza mijały, tak jak

- Przepraszam, proszę pana, przyglądałem się tylko... aaa! -

upływały niezliczone minuty pobytu Jandera w Ravenloft

machnęła w powietrzu rękoma, próbując złapać równowagę. Z

C

zas przytłumił żądzę zemsty; piętnaście lat nie znaczyło

przerażeniem spojrzała na brudny chlewik. Chłop, mruczac coś

zbyt wiele dla kogoś, kto jako śmiertelnik miał prawo oczekiwać

pod nosem, wyciągnął krzepkie ramię i pomógł jej zejść na dół.

kilku stuleci życia. Jeszcze mniej odczuwała ich upływ istota, którą

- Dziękuję panu - powiedziała. - Nie chciałbym tam wpaść.

czekało smutne, wieczne istnienie.

- Dobra, dobra, nie leż tam, gdzie nie twoje, to nic się nie

Inaczej było z mieszkańcami Barovii.

stanie - rzucił mężczyzna, przyglądając się jej i kręcąc głową. Leisl

Czerwień i rdzawy brąz liści tworzyły miły kontrast z

grzecznie dotknęła rąbka kapelusza i odeszła, wtapiając się w

bezczmurnym, niebieskim, jesiennym niebem. Tej nocy spadł

rojący się na rynku tłum ludzi i zwierząt.

deszcz i poranek przesiąknięty był zapachem wilgotnej ziemi. Leisl

Włożyła rękę do kieszeni i wymacała trzy monety, które

wciągnęła go głęboko w płuca, odgarnęła niesforny kosmyk

właśnie świsnęła właścicielowi świnki; sądząc z rozmiaru i

brunatnych włosów z twarzy i wgryzła się w skradzione przed

kształtu trafiły jej się dwa miedziaki i sztuka srebra. Nieźle, ale

chwilą z wozu z owocami jabłko.

mogłoby być lepiej; i z pewnością będzie, nim słońce zajdzie.

Dzień targowy na jesieni to istny raj dla złodzieja; tyle się

Smukłą i mocno zbudowaną Leisl często brano za chłopca,

działo dookoła i tyle różnych rzeczy można było ukraść, że Mały

co zresztą bardzo jej odpowiadało i sama przyczyniała się do tego,

Lis nie wiedziała, od czego zacząć. Doszła do wniosku, że jabłko

nosząc męskie stroje. Tego dnia, niezwykle ciepłego, jak na tę

stanowi niezły początek i ugryzła kolejny kęs, rozglądając się na

porę roku, miała na sobie luźną bawełnianą koszulę z

prawo i lewo orzechowymi oczami.

podwiniętymi rękawami, brązowe spodnie i brązowe, skórzane

Oprócz zwykle wystawianych towarów - ciasteczek Koli,

buty do kolan. Na głowę założyła niewielki, czarny kapelusik,

świeżego mięsa od Andrieja, tkanin Cristiny - mnóstwo rzeczy

kryjąc pod nim krótki koński ogon. Wszystko w jej wyglądzie było

przywieźli zjeżdżający jesienią do miasteczka okoliczni rolnicy.

przeciętne - dziewczyna średniego wzrostu, zgrabna, o

Pełno było świeżo zerwanych, lśniących jabłek; niektóre furmanki

szarobrązowych włosach i matowych, orzechowych oczach - oto

po brzegi wypełniono ziemniakami, kapustą i rzepą, inne znów

cała Leisl, wcielenie nijakości. Niczym nie zwracała na siebie

dyniami i kabaczkami; na targ wjeżdżał właśnie rybak z wozem

uwagi, co w połączeniu z niemal nadprzyrodzoną umiejętnością

obwieszonym sznurami solonych łososi. Leisl ślinka pocięła na
znalezienia się we właściwym miejscu o właściwej porze i
ten widok - uwielbiała łososie, usmażone na patelni z czosnkiem,
zwinnością palców czyniło z niej doskonałego złodzieja.
cebulą, pieprzem...

Zajęła się tą „profesją”, jak określało się to w ich gronie
Odwróciła się, słysząc dobiegający zza pleców stukot kopyt
zawodowym, z konieczności, a teraz, po dwunastu. latach
i ujrzała, jak pomalowany w żywe kolory wóz Cyganów wtacza się
praktyki, osiągnęła mistrzostwo. Nauczyła się rozróżniać, kogo
na rynek. Z tyłu, przywiązane do pojazdu z trudem nadążało stadko
łatwo będzie oszukać, a kto jest za sprytny, żeby dać się podejść,
dwudziestu paru beczących owiec. Powożący Vistani pogwizdywał
kto ma ze sobą dużo pieniędzy, a kto nie... Zmrużyła oczy.

Potrafiła też rozpoznać obcego w miasteczku.

Mój ojciec był rybakiem, ale utonął tego lata. Mamy szycie nie

Przystojny młody Vistani z uśmiechem na twarzy wjechał

wystarcza, żeby nas wszystkich utrzymać i...

na plac galopem na lśniącej, czarnej klaczy. Za nim siedziała

Karczmarz zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Dziewczyna

trzymając się go mocno ładna młoda kobieta, rozglądająca się

aż podskoczyła słysząc ten huk i do oczu napłynęły jej łzy.

wokół przestraszonymi oczami sarny. Gdy tylko ognisty rumak

Schyliła się po swój tobołek.

zatrzymał się, chłopak zeskoczył i wyciągnął ręce, by pomóc

- Pomogę ci - Leisl usłyszała dobiegający z tyłu czysty,

zsiąść dziewczynie. Leisl parsknęła widząc, jak przy każdej okazji

męski głos. Zaskoczona zrobiła krok do tyłu, jeszcze bardziej

próbując się do niej przycisnąć.

chowając się za wóz z kapustą. Rozpoznała ten głos

A ta niemądra robiła wrażenie zbyt niewinnej, by zwrócić

- należał do młodego, przystojnego kapłana, brata Saszy.

na to uwagę. Leisl oparła się o ścianę „Wilczego Leża” i z

Poczwała, jak serce zaczyna jej szybciej bić; zawsze robiła się

rozbawieniem przyglądała się całej scenie. To było lepsze niż

bardziej nerwowa w jego obecności.

przedstawienie z okazji letniego przesilenia! Dziewczyna

- Dziękuję, panie - odparła dziewczyna łagodnie, cała

najwyraźniej dziękowała Cyganowi i sięgnęła do sakiewki, żeby

rozpromieniona. Sasza uśmiechnął się do niej, z łatwością

mu zapłacić, on zaś wyglądał na głęboko dotkniętego i żywo

podnosząc z ziemi tobolek. Odziany był w czerwono-różową

gestykulował, nie chcąc przyjąć ofiarowanej monety. Na

szatę, lamowaną złotem i przepasaną żółtym pasem. Delikatne,

nadzwyczaj długą chwilę pochylił się nad jej dłonią, po czym

pastelowe barwy ostro kontrastowały z ciemną cerą młodzieńca.

niechętnie odszedł.

- Gdzie mam go zanieść, pani?

Kiedy
dosiadał
swego
czarnego,
przystrojonego

- Och, proszę, mów do mnie Katia. Tak naprawdę to nie
dzwoneczkami rumaka, rozległ się okrzyk, który Leisl nie do
mam tego dokąd zabrać. Może wiesz, panie, kto mógłby
końca zrozumiała. Cygan jednak usłyszał go i odgryzł się,
potrzebować mojej pomocy? - spojrzała na niego błagalnie.
popierając słowną zniewagę gestem, który rozpoznała jako co
- Mogę robić wszystko... to znaczy... - zarumieniła się i
najmniej nie na miejscu w mieszanym towarzystwie. Urażony
spuściła wzrok. - Cokolwiek... przyzwoitego. Potrafię gotować, i
Vistani odjechał drogą do obozowiska.

sprzątać, i naprawiać ubrania... Och, proszę, pomoże mi pan?

Dziewczyna rozejrzała się bezradnie i skierowała swe kroki

Brat Sasza uśmiechnął się.

do „Wilczego Leża”. Miała ze sobą duży pakunek. Mały Lis

- Przykro mi, że nie znalazłaś żadnej pracy, ale mieszkańcy

oddaliła się dyskretnie, niezbyt daleko, udając wielkie

miasteczka podejrzliwie odnoszą się do obcych. Wiesz, co? Bratu

zainteresowanie sprzedawaną obok kapustą. Dziewczyna położyła

Martinowi i mnie zupełnie nie udaje się utrzymać porządku w

paczkę na ziemi, poprawiła długie, kręcone, czarne włosy i kościele, a poza tym żaden z nas nie umie gotować. Czy nie zapukała do drzwi.

zechciałabyś popracować dla nas? Z pewnością udałoby ci się

- Wynocha! - dobiegł z wnętrza głos karczmarza. -

załatwić jakąś kwaterę tu, we wsi. Ślicznej, młodej damie nie

Otwieramy dopiero w południe!

wypadałoby mieszkać z takimi dwoma starymi kawalerami, jak

- Proszę pana - odezwała się dziewczyna miłym, drżącym

my, nawet jeśli są kapłanami.

głosem. - Może potrzebuje pan jakiejś pomocy. Chciałabym

Uśmiechnął się ciepło, spoglądając na nią wesołymi

pracować w gospodarstwie.

oczyma. Leisl, obserwująca to ze swego ukrycia poczuła, jak od

Zapadła cisza, w której dało się słyszeć ciężkie kroki

stóp do głów przenika ją fala gorąca. W brązowych oczach Katii

właściciela. Otworzył skrzypiące drzwi i czujnie wyjrzał na

weszbrały łązy, wargi zadrżały i rozplakała się.

zewnątrz. Krytycznym spojrzeniem zmierzył dziewczynę od stóp

- Och, panie, jesteś taki dobry... Tak się bałam...

do głów.

- Proszę, nie płacz, moja droga, a już na pewno nie

- No, jesteś wystarczająco ładna. Myślę, że się nadasz. Kto

nazywaj mnie panem. Jestem brat Sasza.

jest twoim ojcem?

Przesunął pakunek na jedno ramię i drugą, wolną ręką ujął

Dziewczyna nerwowo oblizwała usta.

dziewczynę pod brodę. Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

- Proszę pana, ja nie jestem stąd, ja przyjechałam z Vallaki.

- Kiedy ostatnio jadłaś? Katia wzruszyła ramionami.

-Nie wiem. Chyba ze dwa dni temu.

Nie wiedzieć czemu zapragnęła nagle, żeby niebo znów się

- Dwa dni! Chodź, nakarmimy cię, a potem pójdziemy

zachmurzyło i zaczął padać deszcz.

zobaczyć się z bratem Martinem, dobrze?

Odeszli w stronę sklepu Koli i Leisl nie słyszała reszty ich

rozmowy.

Jander otworzył oczy - znów przespał cały dzień, bez żadnych

Kupujesz coś, czy będziesz tak stać i zniechęcać

snów. Odczuwał z tego powodu ulgę, ale czasem dręczyło go to, że

klientów? - warknął w jej kierunku rozżłoszczony handlarz

Anna nie śniła mu się już od kilku lat, kiedy to wyczerpał wszystkie

kapustą.

możliwości prowadzenia śledztwa.

Przepraszam - mruknęła i odeszła z rękami w kieszeniach.

Doszedł do wniosku, że śliczna dziewczyna była jedną z

„zagubionych”, ludzi doprowadzonych do obłądu tym, co

przycięciu roślin i przygotowaniu ich do zimowego snu. Elf
widzieli. Wędrowali potem bez celu od miasta do miasta,
przyklęknął obok krzewu białych róż, rosnącego przy drzwiach
szukając zmiłowania. Jander wypytywał o Annę, ale nikt z
kaplicy, i przyjrzał mu się uważnie. Jedyne pozostały na nim kwiat
mieszkańców nie słyszał o kobiecie o takim imieniu, która
wyglądał niesamowicie w promieniach księżyca. Jander pochylił się,
pasowałyby do jego opisu. Niektórzy w dodatku często
żeby wciągnąć w nozdrza jego świeży, słodki zapach i poczuł na
zastanawiali się, dlaczego też elf szuka dziewczyny, która nie
twarzy dotknięcie płatków, tak samo miękkich, jak miękkie były
żyje od dobrych stu lat?

policzki Anny. Przymknął oczy i zaciągnął się głęboko, ze smutkiem.

A on nie mógł im tego wyjaśnić. Wszystko, co mógł

Odsunął się, otworzył oczy i zamarł w bezruchu, ponownie

uczynić, to podziękować i ciągnąć swoje poszukiwania.

spojrzawszy na kwiat. Uśmiech zniknął mu z ust. Kwiat, jeszcze

Wstał, przeciągnął się i rozejrzał po komnacie.

przed sekundą wspaniale rozkwitły, zwiędł i umarł, a jego płatki

Przynajmniej w tym jednym miejscu coś się wyraźnie zmieniło -

opadły na ziemię, czyniąc mu niemy wyrzut.

odnowił całą sypialnię, przywracając jej jeśli nie dawny

Oszołomiony i przerażony Jander cofnął się od krzewu. Tuż

przepych, to z pewnością cechujące ją niegdyś wygody. Oczyszczył

obok jego stopy rozkwitała kępka nocnych fiołków, ku której teraz
wszystkie meble, nad łóżem zawiesił błękitno-purpurowe
powoli, z obawą, sięgnął dłonią, dotykając liliowych kwiatków.
zasłony. Przy oknie, którego zamknięte okiennice rysowały się
Zwiędły na jego oczach, na liściach zaś zaczął pojawiać się brunatny
pod gustowną draperią, znajdował się wygodny fotel do czytania.
kolor śmierci. Poczul się, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch.
Elf spojrzal tęsknie na okno; jak pamiętał, tej nocy powinna była
Co się z nim stało? Nagłe, bez ostrzeżenia, jego dotyk stał się
być pełnia, najlepszy czas, by zajrzeć do ogrodu.
zabójczy dla kwiatów. Wampir zacisnął dłonie, przyciskając je do
Zarośnięty, umierający ogródek, odkryty przez niego bez
piersi, jakby chciał mieć pewność, że żadna niewinna roślina nie
mała ćwierć wieku temu, należał do przeszłości. Jander przyłożył
padnie już jego ofiarą. Oparł się o mur, ciesząc się, że swoimi rękami
się do pracy nad nim i wiele czasu poświęcił sadzeniu,
zabójcy dotyka zimnego, szorstkiego, nieczułego kamienia.
przycinaniu i eksperymentowaniu z nowymi odmianami różnych
Prawie płacząc spojrzal na mleczną w księżycowej poświacie
roślin. Ogród przekształcił się w zieloną oazę, która swe piękno
mgłę, wirującą z wolna przy krawędzi urwiska. Tam, gdzie była nieco
zawdzięczała wyłącznie jego wysiłkom. Przysiadł na murku i
rzadsza, widział w dole ostre zarysy skał. Przez chwilę rozważał
szczęśliwy spoglądał na swe dzieło, znajdując chwilę

nawet skok w kłęby mgły, ale zaraz odrzucił ten pomysł: nie ulżyłoby

wytchnienia.

mu to w żaden sposób; nie mógł umrzeć.

Oto znów nadeszła jesień i trzeba było pomyśleć o

Stwierdził, że tęskni za barwami dnia. Nocna paleta barw była wprawdzie piękna, ale ograniczona: granat i atramentowa czerń nieba i

ziemi, perłowa biel księżycowego blasku, ciemna zieleń pól i lasów - więcej odcieni nie dostrzegął. Gdzie się podział błękit nieba? Gdzie są róż,

lawenda i reszta delikatnych kolorów dziennego światła? Zniknęły, były poza jego zasięgiem.

Zacisnął powieki, zmuszając się do przypomnienia sobie kolorów dnia.

- Anno - rzekł sam do siebie. - Wróć, proszę. Tak za tobą tęsknię...

Nie wiedział, na co właściwie liczy, gdyby ta tęsknota miała przywrócić mu bolesne i radosne sny, w których wraz z ukochaną cieszył się

wspaniałymi świtami i skąpanymi w słońcu wieczorami. Skupił się, uformował w myśli obraz Anny - wysokiej, pięknej, z grzywą kasztanowych

loków spływających po plecach i brązowymi oczyma, śmiejącymi się do niego... Anna. Otworzył oczy i zabrakło mu tchu w piersi.

Ujrzał przed sobą taką właśnie kobietę. Przez krótką chwilę chciał wykrzyknąć imię Anny, ale myśl ta pierzchła, gdy dokładniej przyjrzał

się dziewczynie. Rzeczywiście, miała ciemne oczy i kasztanowe włosy, ale była stanowczo zbyt drobnej budowy; oczy miały odpowiedni

odcień, ale wyrażały coś zupełnie niewłaściwego. Z cynicznym uśmiechem przyglądała się Janderowi.

- Janderze - rozległ się pomruk Strahda, który teraz dopiero pokazał się elfowi. - Pozwól, że przedstawię ci moją nową przyjaciółkę: oto

panna Katrina Jakowlena Pulczenka; Trina - to jest Jander Sunstar, gość z dalekiego królestwa.

Przez chwilę Jander sądził, że dziewczyna stojąca u boku Strahda to po prostu kolejna, niedawno stworzona wampirzyca, ale poczuł jej

specyficzny zapach, będący z pewnością wonią żywej istoty. Kiedy Strahd gestem posiadacza

położył jej dłoń na ramieniu, zdawał się dosłownie

nad nią górować. Kobieta miała na sobie typowe ubranie mieszkanek wioski, ale widać było, że nie należy ono do niej; drobna figurka prawie w

nim ginęła.

Jednak ani w wyrazie twarzy, ani w postawie kobiety nie było nic z poddaństwa. Jasnymi oczami zdawała się błyskawicznie dostrzegać

wszystko i robiła wrażenie całkowicie wyzbytej strachu, co szczególnie w Barovii było godne uwagi.

- Miło mi, że cię poznałam, Jander - odezwała się miłym głosem, w którym za dużo było jednak samozadowolenia, by dało się go

określić jako atrakcyjny. - Strahd dużo mi o tobie opowiadał - poklepała Strahda po dłoni, którą dalej opierał na jej ramieniu. - Czy mogłabym...?

Hrabia skinął głową i Jander zauważył na jego ustach cień uśmiechu, kiedy Trina nagle wygięła się w tył, jakby pod wpływem

wewnętrznego bólu. Ku zdziwieniu elfa mimo dziwaczного wykrzywienia ciała nie wydała ani jednego dźwięku świadczącego o cierpieniu, za

to przerażony mógł obserwować, jak jej twarz wydłuża się na podobieństwo wilczego pyska, a jej kończyny przekształcają się w długie łapy



wilka. Palce u nóg i rąk uległy skróceniu, zamiast paznokci pojawiły się pazury. Potężne mięśnie napięły się, rozrywając ciasne teraz ubranie i

przed upływem minuty w miejscu, gdzie przedtem znajdowała się Trina, stanął szaro-brunatny wilk, odziany w resztki zbędnych już fatalaszków.

Zwierzę zmrużyło ślepia, oblizało się i położyło spokojnie uszy po sobie.

Trina mieszka w wiosce, gdzie o jej wdzięki stara się pewien dość natrętny konkurent. Nie ma zbyt wiele czasu dla siebie, toteż woli

odwiedzać zamek pod postacią wilka - wyjaśnił Strahd. Wilczyci spoglądając to na niego, to na elfa,

pozbywała się właśnie resztek ubrania,

potem zaś podeszła do Jandera i obwąchała go ciekawie, rozdymając szeroko nozdrza.

To pierwsza śmiertelna kobieta, jaka od dobrych ponad stu lat z własnej woli weszła do zamku Ravenloft - dorzucił hrabia. - Nie mogę

pić jej krwi; wilczy rodowód Triny sprawia, że nie nadaje się dla nas.

- Więc po co sobie zawracać głowę? Strahd pokiwał ostrzegawczo palcem.

- Uważaj, Janderze. Ona rozumie każde twoje słowo! - Trina szczerknęła krótko, potwierdzając słowa hrabiego. -

Jej towarzystwo odpowiada mi znacznie bardziej niż niewolnicy; jest niemal równie bezlitosna, jak ja sam. Niełatwo stać się kimś takim

w dziesięć lat! - zaśmiał się niewesoło. - Intryguje ją idea dobra i zła, ale przypomina mi wilka z leśnych ostępów - cechuje ją zupełny brak

skrupułów. Jest znakomitym szpiegiem i wesołą towarzyszką w łóżu - ponownie skoncentrował swą uwagę na wilczy. - Chodźmy, najdroższa.

Byłem już twoim gościem, teraz czas więc, bym odwzajemnił przysługę.

Jander patrzył, jak odchodzą razem - wysoki, elegancki wampir i zimny, wyrachowany wilkołak. Śledził wzrokiem ich widoczne w

świecie pochodni zmierzające w stronę zamku sylwetki i zastanawiał się, co też pomyślał sobie o Irinie niewolnice Strahda? A jaka będzie jej

reakcja?

Czuł narastający głód, ale spróbował o nim zapomnieć. Czuł się zmęczony tym miejscem; wycieczki do pobliskiej wioski i do Vallaki

niewiele mu pomagały, a działania, które podejmował przez ostatnie kilka lat, okazywały się próżnym wysiłkiem. Usiadł na kamieniu nad

przepaścią i oparł głowę o ścianę.

- Zapomniałeś o mnie - doleciał go słodki głos, za którym tak tęsknił i którego zarazem tak się obawiał. Wołał nie otwierać oczu; bał się

stwierdzić, że nie śpi i to własny umysł płata mu takie figle.

- Na bogów, Anno, nigdy. Przecież wiesz - szepnął w odpowiedzi. Usłyszał szelest sukni i poczuł

zapach jej skóry, kiedy przysiadła

obok, ale nadal nie chciał na nią spojrzeć.

- Popatrz na mnie, kochany - jej głos brzmiał łagodnie, miękko, niczym dźwięk wiatru poruszającego korony drzew w letnie popołudnie.

- Nie mogę.

- Boisz się zobaczyć, co się ze mną stało przez twoje zapomnienie?

Jander aż jęknął pod wpływem tego oskarżenia. Odwrócił się ku Annie i powoli, niechętnie spojrział na nią.

Tym razem krzyknął z przerażenia.

Dziewczyna wyglądała znacznie gorzej, niż niegdyś w przytułku; jej lśniące włosy pozlepiał brud, twarz wcale nie była czystsza, a z

ubrania unosiła się woń zgnilizny. W jej oczach elf widział czysty, nie przytłumiony obłędem ból i to okazało się najtrudniejsze do zniesienia.

- Anno - wyszeptał, czując wzbierające we własnym wnętrzu poczucie winy. - Czy to przeze mnie?

- Nie zaznam spoczynku, dopóki mnie nie pomścisz - odparła ze łzami w oczach. - Jesteś moją jedyną nadzieją. Czemu nie tęskniłeś za

moim towarzystwem przez te ostatnie dziesięć lat?

- Bo to za bardzo boli - mruknął, próbując odwrócić wzrok i nie mogąc się do tego zmusić.

Pogładziła go po policzku.

- Czyżbyś sądził, że ja nie cierpiałam, najdroższy? Życie obłąkanej to bolesne doświadczenie. Jander, gdzie one się podziały? Miałam

kiedyś umysł, myśli, sny - co się z nimi stało, kiedy oszalałam? Dokąd odeszły?

Jander odsunął się od dziewczyny.

- Nie wiem, jak ci pomóc - krzyknął, równie zły na własną niemoc i na Annę. Wstał i odszedł kilka kroków, odwracając się do niej

plecami. - Nikt cię tu nie zna, nikt nie potrafi podsunąć choćby jakiejś wskazówki!

- Sam musisz je znaleźć, a dzięki nim odszukać tego, kto mnie zniszczył. Rozwiązanie zagadki leży bliżej, niż ci się wydaje.

Jander odwrócił się z zamiarem zadania mnóstwa pytań - tylko po to, by stwierdzić, że Anny już nie ma. Zamrugał oczami, wytrącony

nico z równowagi jej nagłym zniknięciem. Nadchodził świt, niebo zaczynało szarzeć i przez moment nie marzył o niczym innym, jak tylko

zostać tu, gdzie stał i podziwiać wspaniałość wschodu słońca, poczuć ból, jaki niesie ze sobą... Wszystko by się skończyło... ale tajemnica by

pozostała.

Czując na barkach jej ciężar odszedł w stronę zamku.

PIĘTNAŚCIE

Trina nudziła się.

Jander wiedział o tym słysząc jej nieustanne westchnienia i niespokojne kroki za plecami, ale koncentrował się całkowicie na swojej

pracy.

Stojąc na drabinie wydłubywał jednym ze znakomitych dłut kurz i brud przez dziesięciolecia nagromadzony w rowkach liter wyrytych

pod freskiem. Napis nie był już zupełnie nieczytelny; wyglądał tak: KRÓL GOBLINÓW UCIEKA
PRZ D P ĘG W T GO MB L KR Z O R.Z

cierpliwością godną umarłego Jander zaczął odskrobywać „E” w słowie „PRZED”.

Samo malowidło znajdowało się w opłakanym stanie, choć dawało się na nim rozpoznać potężną sylwetkę, stojącą z rozpostartymi

ramionami na wzgórzu przed gromadą kulących się ze strachu istot. Elf domyślał się, że obraz przedstawia Strahda walczącego ze stworami,

które najechały Barović.

- Na bogów, Jander! Jak ty to możesz znieść? - Trina, w ludzkiej postaci, przyglądała mu się z dołu, z niesmakiem marszcząc zadarty

nosek.

- Moje ty wilcze szczenię - odparł, nieco ubawiony. - Wolę się zajmować tym, niż dla zabawy polować na niewinnych ludzi.

Strahd byłby się obraził, ale Katrina zauważyła tylko:

- Ale my tak robimy - jestem przecież łakiem.

- Nie wszystkie łaki są z natury złe - stwierdził pozbawionym emocji głosem elf, mrużąc oczy w miarę, jak pod jego palcami „E”

odzyskiwało dawny kształt. - Przynajmniej tam, skąd pochodzę.

Roześmiała się, przyklaskując drobnymi dłońmi. Dowcip wyraźnie ją rozbawił.

- To zabawne!

- To prawda.

- No nie! Naprawdę?

- W moim świecie, Torii, żyją sowołaki, niedźwiedziolaki, a nawet delfinołaki i niektóre z nich są prawymi, kochającymi stworzeniami,

posłusznymi prawu i dokładającymi starań, by wcielić je w życie. Kiedyś zaprzyjaźniłem się z delfinołakiem. Uratował mi życie.

- Co to jest delfinołak?

Zaskoczony Jander oderwał się na chwilę od swego zajęcia. Barovia zdawała się nie mieć dostępu do morza, więc Trina oczywiście nie

mogła go widzieć. Zrobiło mu się jej żal i nagle poczuł, jak w jego piersi wzbiera tęsknota za pięknymi brzegami Evermeet.

- Delfin to zwierzę bardzo przypominające rybę, tyle że ciepłokrwiste. Poza tym jego młode rodzą się żywe, a nie lęgną z jaj. Delfinołaki

mogą przybierać formę delfina lub człowieka.

Trina nie kryła zadziwienia.

- Cóż za dziwaczne zwierzęta. Czy ten delfinołak był ci coś winien?

- Nie. Po prostu zobaczył, że mam kłopoty i pomógł mi. Trina zmarszczyła brwi.

- To głupota - odparła zamyślona. - Mogłeś przecież tylko udawać, a naprawdę chcesz go złapać i sprzedać.

Jander przerwał pracę i przyjrzał się dziewczynie.

- Nie każdy rozumuje tak, jak ty - rzucił.

- To i dobrze - zamruczała. - Opowiedz mi, jak się tu znalazłeś.

Jander wrócił do przerwanej dłubaniny.

- Mgły mnie tu sprowadziły. Nic niezwykłego.

- Z każdym tak jest. Czy nikt nigdy nie przybywa tu za sprawą magii?

Elfa czasem bawiła paplanina wilkołaczycy, ale teraz zahaczyła o temat, który najmniej lubił i czuł, że jego cierpliwość się kończy.

- Trina, zupełnie nie znam się magii. Może idź i zapytaj Strahda?

Nie od razu odpowiedziała, a kiedy wreszcie odezwała się, słychać było, że się złości.

- Nie rozmawiam z nim. Ostatnią noc spędził z Iriną. Znowu - ze złością kopnęła kamienny stopień i dodała wiązanek przekleństw, jakiej

nie powstydziliby się prawdziwy wilk morski.

Jander przypomniał sobie Irinę, najnowszy „nabytek” Strahda. Ciągle jeszcze była człowiekiem, choć już niezbyt długo.

- Po co więc przyszłaś tutaj? - spytał. Wzruszyła drobnymi ramionami.

- Nie wiem - nagle jej głos stał się niższy, bardziej chrapliwy. - Może chciałam zobaczyć się z tobą.

Jander ponownie obrzucił ją wzrokiem. Stała jedną nogą na drabinie, uśmiechając się do niego. Oczami wilkołaka wpatrywała się w

niego w napięciu; jej czerwone usta wyglądały tak zachęcająco. Przesunął się tak, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Nadal było mu jej żal.

- Trina, jesteś niezwykle atrakcyjną dziewczyną, ale nie mam ochoty. Poza tym jeśli wydaje ci się, że mogłoby mi przez myśl przejść

romansowanie z którąś z kobiet Strahda...

- Którąś z nich! - odwzajemniła z wściekłością jego spojrzenie. - Nie jestem po prostu jedną z jego kobiet!

Elf nic nie odpowiedział, zaś Trina nie przestawała się dąsać.

- Niedobrze mi się robi, jak to słyszę. Czemu ja mu nie wystarczę? Po co mu te głupie niewolnice, które nie mają nawet własnego

rozumu? Mówi, że podoba mu się we mnie to, że mam osobowość.

- Nie wątpię - przyznał Jander.

- Więc dlaczego...

- Trina, Strahdowi podoba się twoja niezależność. Ale on lubi czuć, że ma nad czymś władzę. Niech sobie ma te niewolnice. Są dla niego

tylko... zabawkami - urwał, nie dodając, że w głębi serca uważa, iż ona sama jest dla władcy Barovii czymś niewiele bardziej znaczącym od

zabawki.

- Nie podoba mi się to - wymruczała, przysiadając na kamiennych schodach. Oparła brodę na dłoniach, na jej ślicznej twarzy malowało

się utrapienie. Gdyby nie wrodzona gwałtowność, Trina mogła czasem przypominać opuszczone dziecko.

Jander zszedł z drabiny, złożył starannie narzędzia do ochronnego mieszka własnego pomysłu i usiadł obok niej. Nie spojrzała na niego i

nawet, kiedy odwrócił jej twarz ku swojej, nie podniosła wzroku. Na jej rzęsach perliły się ogromne łzy. Otoczył ją ramieniem.

- Znoszę to, jak mnie traktuje, tylko ze względu na magię - rzekła niewyraźnie. - Bo on mnie uczy, wiesz? Dużo już umiem. Poczekam,

aż nauczy mnie tyle, żebym zmusiła go, by chciał tylko mnie.

- Ludziom tylko o to chodzi w magii, prawda? - podniesionym głosem spytał Jander. - Magia! „Mogę być bogaty, mogę zmusić kogoś,

żeby mnie pokochał, mogę rządzić światem”. Na bogów!

- Nienawidzisz magii? - Trina, zaskoczona, pokręciła głową. - Ale dzięki niej można tyle zrobić. Na przykład to malowidło, nad którym

wiecznie tak się biedzisz. Wystarczyłoby poprosić Strahda, żeby wypowiedział jedno małe zaklęcie i w sekundę byłoby gotowe.

- Lubię pracować nad tym freskiem. Moje dłonie przywracają mu piękno, a magia odebrałaby mi to uczucie. Poza tym - dodał ostrzej -

Strahd nie widzi zastosowania dla niczego, co nie przyniosłoby mu natychmiastowych korzyści.

- To nieprawda!

- Ależ tak! Jeśli szukasz kogoś, kto cię pokocha, to słyszałem o jakimś młodzieńcu z wioski, z którym ponoć romansujesz.

- On? Nie bądź śmieszny. Zgodziłam się z nim spotykać tylko dlatego, że Strahd uznał to za dobry pomysł, żebym związała się z kimś z

miasteczka. Ludzie będą wobec mnie mniej podejrzliwi.

- Ach, więc robisz to, co ci Strahd każe. Nie jesteś lepsza od jego niewolnic; na dobrą sprawę jesteś gorsza, bo słuchasz go z własnej

woli.

Trina już otworzyła usta, szykując się do odpowiedzi, i nagle zamarła, gdy dotarła do niej prawda zawarta w słowach elfa.

- Nie - wyszeptała. - Nie jestem jego zabawką. Nie jestem. On mnie kocha.

Była młoda i wyglądała tak żałośnie, tak podobnie do zwykłej dziewczyny, miotanej porywami pierwszej niedorosłej miłości, że Jander

poczuł wzruszenie. Przytulił ją czule, wyczuwając nagromadzone w jej ciele napięcie. Ramiona Triny zadrżały, kiedy zaczęła szlochać.

Zacisnęła małe dłonie na błękitnej tunice zdając sobie sprawę, że nie ma nadziei na to, żeby związek z panem tej krainy skończył się szczęśliwie.

- No, no, cóż za przemiła scenka - rozległ się głos Strahda Jander i Trina odsunęli się gwałtownie od siebie niczym para dzieciaków

przyłapaną na czymś, czego nie powinny robić.

- Strahd... - zaczął Jander, ale wyraz twarzy hrabiego nie pozwolił mu dokończyć. Oczy Strahda zmieniły się w płonące czerwieni

punkciki w posiniałym z wściekłości obliczu. Groźnym gestem uniósł ramiona, a jego wargi wykrzywił grymas nienawiści.

Przez chwilę elf miał wrażenie, że posunął się za daleko, że wampir stracił cierpliwość i zamierza go zniszczyć, ale czerwony blask

zbladł i spojrzenie Strahda stało się opanowane i odległe jak zwykle. Opuścił ręce i Jander z ulgą zamknął oczy.

- Janderze, mój przyjacielu - rzekł Strahd, łagodnie, ale z nieskrywaną groźbą. - Magia nie musi ci się podobać, ale nie wolno ci

lekceważyć jej mocy... I mocy tych, którzy się nią posługują.

Powiedziawszy to przeniósł swą uwagę na wilkołaczkę, która ze strachu zaczęła przechodzić

przemianę. Weisnęła się w zakrzywioną

ścianę otaczającą kręcone schody, drapiąc ją wilczymi pazurami i skamłąc cicho. W wilczym pysku pozostały całkowicie ludzkie oczy, którymi

teraz ze strachem obserwowała otoczenie.

Usta Strahda rozciągnęły się w czarującym uśmiechu. Nie spuszczać z niej łagodnego spojrzenia wyciągnął w jej stronę dłoń z długimi

paznokciami.

- Trina, kochanie - rzekł przymilnie. - Nie bój się. Wszystko już zostało wybaczone i zapomniane. Tak, malutka, moja Trino - dodał, gdy

dziewczyna, już zupełnie w wilczej postaci, zaczęła łąsić mu się do nóg. Poklepał ją pieszczotliwie.

- Może troszkę cię zaniedbywałem.

- Hrabia wraz z wilczycą ruszyli w górę schodów. W pół drogi Strahd stanął i odwrócił się do Jandera. Elf wytrzymał jego spojrzenie.

- Mój przyjacielu - lodowaty ton głosu hrabiego przeczył łagodności słów. - Od dawna już nie mieliśmy okazji, żeby się i zamienić parę

słów. Przyjdę po ciebie jutro po zachodzie słońca; będziemy mogli spożyć razem posiłek i porozmawiać, jak kiedyś, co? - i nie czekając na

odpowiedź poszedł dalej.

Jander patrzył w ślad za nim czując szalejącą w głowie burzę emocji. Chciał wrócić do pracy nad freskiem, ale porzucił ten pomysł. Był

za bardzo roztrzęsiony. Z całego serca żałował, że Trina w ogóle poruszyła temat magii. Wiele bólu, jaki spotkał go w długiej egzystencji,

zawdzięczał wpływowi tajemnej mocy. Nawet na przesiąkniętej magią Torii mistrzowie sztuki tajemnej nie byli w stanie pomóc mu pozbyć się

klątwy życia w śmierci.

Próbował nie dopuścić, żeby przykre wspomnienia wydostały się z otchłani niepamięci, ale mimo jego wysiłków wkrótce wróciły.

Jander oparł się o kutą, żelazną furtkę. Drżał z wyczerpania. Wzrok jego przesunął się wzdłuż ukwieconej ścieżki prowadzącej do drzwi

domku. Teraz, kiedy dotarł już na miejsce, zaczął się wahać, nie mając pewności, czy wystarczy mu odwagi, by rzecz doprowadzić do końca.

Oslabionemu wampirowi dotarcie do Waterdeep zajęło wiele tygodni, spędzonych na nocnych wędrówkach i odpoczynkach za dnia. Od

czasu, gdy zniszczył swojego mistrza, Cassiara, nie pił krwi ludzi, mimo iż jego nieumarłe ciało gorączkowo domagało się ożywczego płynu.

Jednak z trudem przychodziło mu posilanie się choćby zwierzęcą krwią, toteż zmuszał się do tego wyłącznie wówczas, gdy było to absolutnie

niezbędne.

Tylko niemądra duma powstrzymywała go od zmiany postaci, by przyspieszyć podróż - wilk czy nietoperz dotarłby do Waterdeep

znacznie wcześniej, lecz Jander kurczowo trzymał się swej elfiej natury i całą drogę przemierzył na własnych nogach.

Sądził do niedawna, że Lyria, Śliczna, dawno już nie żyje, że jej ciało zdążyło rozsypać się w proch wieki temu. Kiedy dowiedział się, że

dzięki sztuce magicznej udało jej się powstrzymać starzenie i mieszka właśnie w Waterdeep, poczuł odzywającą nadzieję. Teraz, stojąc przed

domem dawnej przyjaciółki, wziął (w myśli) głęboki wdech, otworzył furtkę i ruszył w niedaleką, ale jakże długą drogę do drzwi. Stukotem

kołatki oznajmił swoje przybycie.

Zrazu nic nie zmąciło panującej wewnątrz ciszy, więc zapukał ponownie. W jednej z komnat na piętrze zamigotało światelko, a po chwili

dzięki doskonałemu słuchowi Jander usłyszał trzeszczenie schodów i kroki schodzącej osoby.

- Późno już. Po godzinach liczę sobie podwójną stawkę. Elf uśmiechnął się lekko.

- Wpuść mnie, ty okrągłoucha dziewczko - odparł, próbując nadać swemu głosowi brzmienie równie bez troskie, jak przed stu laty.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale ktoś otworzył zasuwę i uchylił skrzypiące drzwi.

- Tylko jedna osoba na tym świecie nazywa mnie okrągłoucha, długopalcy - przekornie odrzekła uradowana Lyria.

Prawie się nie zmieniła. Mikstury, jakie piła, najwyraźniej działały znakomicie. Jej włosy zmieniły

kolor, nie przypominały już złotego

blasku słońca, stały się kremowo-białe, z czym było jej dziwnie do twarzy. Wspaniałe zielone oczy opłotła siateczka zmarszczek, ale ciało,

przyodziane w wielobarwną szatę, zwaną przez Lyrię „tęczową sukienką”, pozostało tak samo smukłe jak dawniej. Z radosnym okrzykiem

rzuciła mu się na szyję.

Zaskoczony Jander zawahał się przez moment, zanim odpowiedział na jej uścisk. Odsunęli się od siebie, przyglądając się sobie

nawzajem.

- Lyria Śliczna - odezwał się Jander ciepło, z uczuciem. - Piękna jak zawsze.

- Elfy zawsze były najlepszymi pochlebcami - odcięła mu się. - Witaj więc, przyjacielu. Ale wejdź, wejdź proszę! Ręce masz zimne jak

lód!

Robiąc mnóstwo zamieszania, niczym kwoka opiekująca się swoim jedynym kurczęciem, zagoniła Jandera do wnętrza domu. Wystrój

komnaty harmonizował z osobą właścicielki - była zarazem elegancka i zapraszająca. W kamiennym kominku płonął ogień, którego ciepło

pozwalało nie zwracać uwagi na wilgoć unoszącą się od dwóch wysokich regałów po bokach. Z obu stron niskiego, intarsjowanego stolika stały

otomany, zarzucone puchatymi poduszkami w kolorze wina.

Pośrodku stołu na srebrnej tacy stała karafka ciemnego wina i cztery wysmukłe, szklane kielichy, opalizujące delikatnie na podobieństwo

bąbelków na powierzchni strumyka. Lyria wskazała Janderowi jedną z otoman, później karafkę.

- Może masz ochotę na kieliszek wina, żeby się rozgrzać?

- Nie dziękuję - szybko, zbyt szybko odparł Jander. - Nie piję już alkoholu.

- Co? - Lyria wybuchnęła swym melodyjnym śmiechem. Elf też się uśmiechnął; pamiętał, jakie zawody rozgrywali z Trumperem

Hillhollow. Zwykle niziołek wygrywał, ale przynajmniej dwukrotnie Janderowi udało się spoić go tak, że wpadł pod stół. - Sto lat potrafi

zmienić każdego.

Uśmiechnęła się nalewając sobie rubinowego płynu.

- Może coś innego? Twoje ciało jest po prostu lodowate. Naprawdę, widywałam cię w lepszym stanie. Czy coś cię gryzie?

Jander poczuł na ramionach brzemie swej egzystencji, zupełnie jak coś namacalnego.

- Lyria... Jak ja wyglądam? - od z górą stu lat był wampirem, nie mogącym zobaczyć własnego odbicia.

Lyria zmarszczyła czoło.

- Dziwne pytanie. Czekaaj, zaraz dam ci lustro i będziesz mógł...

- Nie! - Jander złapał czarodziejkę za rękę zanim zdał sobie sprawę, co właściwie robi. Zmusił się, żeby ją puścić. - Po prostu... po prostu

powiedz mi, co widzisz.

W szmaragdowych oczach Lyrii zabłysła ciekawość. Przyjrzała mu się badawczym wzrokiem, poddając krytycznej ocenie.

- Cóż... Włosy masz tej samej barwy co zawsze to samo złoto, którego tak ci zazdrościłam. Oczy... Nie są do końca srebrne, raczej

stalowoszare. Kolor skóry masz inny, jakby była troszkę opalona, nie taka brązowa, jak zwykle. Jesteś strasznie chudy i zmarznięty, Jander.

Elf spuścił wzrok. Jak to ubrać w słowa? Zatopiony we własnym żalu nie zwrócił uwagi, że Lyria wstała ze swojego miejsca.

- Moja droga - zaczął, podnosząc spojrzenie. - Ja...

Wrzasnął z bólu, spadając z otomany. Młóćąc dziko ramionami zrzucił ze stołu dwa kielichy, które roztrzaskały się z hukiem o podłogę.

Lyria znalazła zwierciadło i skierowała je w jego stronę, a teraz patrzyła z przerażeniem na zwijającego się w bólu elfa.

- Ależ to tylko... - spojrzała w lustro i nagle wszystko stało się jasne.

Odbijała się w nim otomana, sterty poduszek, odpryski szkła po stłuczonych kieliszkach, podobnie jak podłoga i kamienne ściany domu.

Nie było widać Jandera.

- Moje biedactwo - westchnęła z żalem. - Mój biedny przyjacielu.

Jander, drżąc na całym ciele, spojrział na nią. W jego oczach krył się niewymowny ból, a po policzku spływała pojedyncza krwawa łza.

Delikatnie pomogła mu wrócić tam, gdzie siedział i przyciągnęła sobie krzesło, żeby usiąść naprzeciwko.

- Jak? - zapytała.

Jander prychnął śmiechem, bez cienia rozbawienia.

- Nawet nie szukałem przygód; wracałem po prostu tu, do Waterdeep. Miałem dość włóczęgi i zamierzałem wsiąść na najbliższy statek o

Evermeet. Dwa dni od domu. We śnie...

Przerwał w pół słowa, zastanawiając się, czy powinien opowiedzieć jej całą okrutną historię, ale kiedy spojrział w zielone, przejęte oczy,

zdecydował jej tego oszczędzić. Nie było sensu zadawać jej więcej bólu.

- Mów - rzekła przynaglająco. Zwilżył językiem wargi i ciągnął dalej.

- Wampir zaskoczył mnie we śnie. Moja osoba zafascynowała Cassiara, władającego całą zgrają nieumarłych istot. Nigdy nie słyszał o

wampirze - elfie. Byłem dla niego nowinką. Prawie sto lat trwało, zanim go zabiłem. Postanowiłem cię odnaleźć. Jeśli ktokolwiek potrafiłby

zjąć tę klątwę, to tylko ty. Zajęło mi to dużo czasu.

Gwałtownym ruchem ujął dłonie czarodziejki w swoje ręce.

- Tak naprawdę nie zmieniłem się, Lyrio. Wciąż jestem elfem. Wyglądam tak blado, bo już od miesięcy nie piłem ludzkiej krwi, a od

paru dni nawet krwi zwierząt. Bogom jestem obojętny, nie ocalili mnie. Ale ty możesz to uczynić, ty znasz się na magii! Możesz mnie uleczyć,

prawda?

Teraz to Lyria odwróciła niespokojnie wzrok. Uścisnęła jego lodowate dłonie, po czym wstała i zaczęła się przechadzać po komnacie.

Jander poczuł, jak coś skręca go w środku; znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że takie spacerowanie nie wróży nic dobrego.

- Lyrio...

Uciszyła go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Janderze Sunstar, pamiętam, kiedy pierwszy raz cię spotkałam, jeszcze przed powstaniem Srebrnej Szóstki. Opowiadałeś mi o swojej

ojczyźnie, o Evermeet, mówiłeś, że chciałbyś przybyć tu, do Faerun. Twoja twarz promieniała entuzjazmem. Pamiętam, jak próbowałam wbić ci

do tej twojej rozsądnej, ustatkowanej, odpornej na magię głowy jakieś magiczne prawidła. Tyleśmy razem przeszli - smok, Daggerdale... -

zawiesiła głos, a jej oczy zalśniły. - Wiesz, że gdyby istniał jakiś sposób, w tym czy innym - jakimkolwiek innym - świecie, pomógłbym ci.

Jander poczuł, że ból w jego trzewiach wzmagą się.

- To brzmi jak „nie”.

Uwolnione spod powiek łzy pociekły Lyrii po twarzy. Otarła je wierzchem dłoni.

- To dlatego, przyjacielu, że nic nie mogę zrobić. Jest tylko jedno lekarstwo na wampiryzm - śmierć. Ona prawie ze wszystkiego leczy.

Jander przeżywał istną gonitwę myśli.

- Mogłabyś mnie zabić, a potem wskrzesić?

- Tak, z pewnością. Ale wskrzesiłabym wampira, bo tym teraz jesteś. Żadna magia nie może ci pomóc.

Elf miał wrażenie, że otacza go całun szkarłatnej mgły.

- Nie... nie... Jestem elfem! Elfem! - zaczął nerwowo zbierać z podłogi odłamki szkła. - Nie mogę być jednym z... Byłem w Daggerdale.

Wiem, co robią wampiry. Wiem, czym są. Nie zapomniałem. Lyrio, proszę, błagam, powiedz, że nie jestem...

Zdał sobie sprawę, że zaciska dłoń na ostrym odprysku, ale nie czuł bólu. Prawie nieświadomie wyciągnął szklaną drzazgę z rany, z

której nie pociekła krew.

Nie wiem, jak ci się to udało, ale pozostałeś tym, kim byłeś. Możesz być z tego dumny, czerpać z tego siłę. Nie istnieje dla ciebie żadne

magiczne lekarstwo, ale to nie znaczy, że musisz stać się podobny do tych okropieństw z Daggerdale. Może mógłbyś... - jej głos zamarł, gdy

ujrzała wpatrzone w nią wstrząśnięte oczy Jandera.

- Nie ma żadnej nadziei - wyszeptał elf. Skrył twarz w dłoniach. Lyria oparła rękę na jego ramieniu.



- Magia nie może cię ocalić. Istnieje tylko jeden sposób, żebyś pozbył się swojego przekleństwa. Gdybyś szukał śmierci, mój drogi,

przyjdź do mnie, a uczynię to z litości dla ciebie Lepiej zginąć z ręki przyjaciela.

Jander ryknął wściekle i rzucił się w jej stronę. Lyria była jednak szybsza i udało jej się odskoczyć. Zaczęła gorączkowo grzebać w

szkatułce wypełnionej różnymi drobiazgami, aż wreszcie jej dłoń zacisnęła się na czymś. Odwróciła się i podsunęła to przed oczy elfowi.

Wampir cofnął się chwiejnie, błyskawicznym ruchem zasłaniając rękoma twarz.

- Lyrio! - krzyknął łamiącym się głosem. - Wyśmiewasz się z mojego bólu!

Zniknął i Lyria została sama. Łapiąc gwałtownie oddech, ciekawie przyjrzała się przedmiotowi, który pozwolił jej odpędzić wampira.

Trzymała w dłoni niewielki, drewniany, różowy dysk - symbol Lathandera, Pana Poranka. Zamknęła oczy. Jander był niegdyś wyznawcą

pięknego, złotoskórego boga świtu.

SZESNAŚCIE

Saszę obudziła muzyka deszczu uderzającego w okno. Jeszcze przez chwilę leżał w niedużym, przytulnym łóżku, rozkoszując się

uczuciem leniwej senności. W głębi duszy cieszył się, że pada - nie będą musieli odprawiać codziennego obrządku powitania świtu na

ynku.

Nie żeby Sasza nie był religijnym człowiekiem. Czternaście lat temu, po owej straszliwej nocy, Lathander zajął naczelne miejsce w jego

świecie. Dziś także odprawią swą zwykłą ceremonię, tyle że we wnętrzu kościoła, zostawiając otwarte drzwi dla każdego, kto zechciałby przyjść.

Saszy nie podobało się, że udało im się przekonać do wiary w Pana Poranka ledwie garstkę Baroviańczyków. Czuł się zniechęcony, kiedy przez

godzinę stał na podwyższeniu wzniesionym na rynku i nikogo nie interesowało to, co miał do powiedzenia.

Na dźwięk odległego grzmotu otworzył oczy, ziewnął, przeciągnął się i spuścił nogi na drewnianą podłogę. Naciągnął szybko szaty, żeby

opanować zimne dreszcze. W małej, chłodnej komnacie było jeszcze ciemno, toteż zapalił świecę. W jej świetle wyciągnął modlitewny dywanik

i usiadł na nim, przygotowując się wewnętrznie do kilku prywatnych chwil z Panem Poranka.

Piętro niżej brat Martin szykował ołtarz. Nucił cicho, okrywając go białym płótnem i z szacunkiem stawiając na nim świeczniki.

Zewnętrznie niewiele się zmienił, mimo iż miał już trzydzieści kilka lat, jednak od wewnątrz zżerała go choroba. Wiedział o niej już od jakiegoś

czasu i dawno już uznał, że widać taka była wola Lathandera, więc nic nie wspominał o niej Saszy.

Przepraszam, że się spóźniłam, bracie Martinie, ale to przez ten deszcz - dobiegł go głos Katii, odbijający się echem w pustej nawie.

Zatrzymała się w drzwiach i otrząsała wodę z włosów, rozsiewając dookoła drobne kropelki. Dygocząc z zimna ściągnęła wełniany płaszcz i

rozwiesiła go na jednej z ław, żeby wysechł.

- Nie przejmuj się, moja droga. Sasza wyleguje się jeszcze w łóżku i nawet się z nim nie widziałem dziś rano.

Katia roześmiała się na te słowa, a w oczach zalśnił jej wesoły ognik.

- Udało mi się znaleźć coś, na co nawet ty się skusisz, bracie - rzekła, podchodząc do ołtarza z mokrym od deszczu, przykrytym

koszykiem. - Twoje ulubione ciasto śliwkowe. Mam też chleb, kawałek sera i suszone jabłka w

cukrze.

Kapłan poczuł wzruszenie.

- Katio, jak myśmy z Saszą mogli się bez ciebie obejść? Obawiam się jednak, że nie jestem zbyt głodny. Podzielcie się z Saszą

ciastem. Ja zjem trochę tych słodkich jabłek.

Katia oparła dłonie na biodrach i wpatrywała się w niego natrętnie.

- I? - dodała ponagłajaco.

- I trochę sera.

- I co jeszcze?

- Litości, proszę - roześmiał się Martin, udając, że się opiera.

Oboje odwrócili się słysząc jakiś dźwięk z drugiej strony kościoła. Cristina, szwaczka, wpadła do środka, ciasno owinięta czarnym

plaszczem, tyleż dla ochrony przed deszczem, co żeby jej nie rozpoznano. Na twarzy miała rumieńce i czujnie przyglądała się obojgu,

podchodząc do ołtarza.

- Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła tu przychodzić, bracie Martinie - powiedziała drżącym głosem. - Jeśli mój mąż się dowie...

- Siostro - odparł Martin łagodnie, biorąc ją za rękę. - Lathander się tobą zaopiekuje. Modlę się tylko, by jego dłoń dotknęła Ivara tak

samo, jak stało się to z tobą.

- Witajcie, siostry - odezwał się Sasza, wchodząc do kościoła, odziany w oficjalną różową szatę. Cristina uszyła mu ją w zeszłym roku i

nosił ją z dumą i radością. Podenerwowana szwaczka uśmiechnęła się lekko widząc go w niej.

- Witaj, bracie Saszo - odparła cicho Katia, nagle bardzo zajęta zapalaniem świec w nawie.

Sasza spojrzał na nią. Miał większą ochotę patrzeć na nią, niż na jedzenie, które przyniosła. Sześć miesięcy temu przybyła do wioski;

przez te sześć miesięcy widywał ją codziennie i coraz trudniej przychodziło mu ukryć uczucie, jakie do niej żywił.

Najpierw zakochał się w niej za jej wygląd. Kto by się nie zakochał? Była niezaprzeczalnie piękna, z ciemnymi lokami, zgrabną figurą i

dużymi, potrafiącymi tyle wyrazić oczami. A poza tym płynęła w nim krew Vistanich, a zgodnie z baroviańskim powiedzeniem Vistani mieli

nosa do najładniejszych kobiet.

Ale wygląd to nie wszystko, Katia dopiero swoim łagodnym usposobieniem tak naprawdę podbiła serce Saszy. Patrzył teraz, jak zapala

jedną świecę po drugiej, wspinając się na pałce, by dosięgnąć tych największych. Kiedy knot rozbłyskał ogniem, rozświetlał jej piękną twarz

miękkim, ciepłym blaskiem. Sasza podjął decyzję. Postukał Martina w ramię.

- Bracie, można na słówko?

- Oczywiście, Sasza. O co chodzi?

Odeszli trochę na bok od Cristiny i młodszy z mężczyzn zaczął cicho:

- Wiele myślałem przez ostatnich kilka miesięcy. Ciekaw jestem... Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale... Czy kapłani Lathandera mogą

się żenić?

Stało się; powiedział to, co musiał. Czuł ulgę, że wreszcie się na to zdobył, obojętne, jaka miałyby być odpowiedź Martina. Ten tylko

uśmiechnął się przenosząc wzrok z Saszy na Katię.

- To o nią chodzi, prawda?

Czarnowłosy wampir stał w wejściu, a jego wściekły ryk

Młody kapłan przytaknął i uśmiechnął się z zakłopotaniem. -

wtórował srożącej się na zewnątrz burzy. Hrabia szczyił się swym

Jeśli twoja wybranka jest jedną z wiernych, nie ma żadnych

opanowaniem, ale elf zawsze zdawał sobie sprawę, że tuż pod tą

powodów, dla których nie mógłbyś się z nią ożenić Ale, chłopcze -

gładką powierzchnią czał się gniew, łatwy do obudzenia i

dodał poważnym tonem. - Jest jedna przeszkoda.

nieujarzmiony. Przemoczony deszczem i krwią Strahd trzymał w

Sasza spojrzął mu w oczy z przejęciem.

ramionach bezwładne ciało i dawał upust swej złości.

- Jaka?

- Kto śmie! - krzyczał, nie zwracając się do nikogo

- Ona musi powiedzieć „tak” - głos Martina był nadal

konkretnego. - Kto śmie?!

poważny, ale w niebieskich oczach błysnął figlarny ognik.

- Co się stało? - zapytał Jander. Trina, którą zamieszanie

Sasza spojrzął na Katię, która już uporała się ze swym

sprowadziło do pokoju, uśmiechnęła się lekko na widok całej sceny.

zadaniem i zasiadła z Cristiną w pierwszej ławce. Nachylały się ku

Strahd gniewnym ruchem rzucił zwłoki na podłogę. Ciało

sobie i dostrzegł, jak Katia ściska dłonie starszej, znękanej kobiety.

upadło z głuchym odgłosem i dopiero teraz elf dostrzegł, że

Czując na sobie jego wzrok spojrziała mu w oczy, a na jej wargach

pozbawiono je głowy, a w klatce piersiowej ziała ogromna dziura.

wykwitł nieśmiały uśmiech. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Zapyta

Strahd trząsł się z wściekłości.

ją o to jeszcze dziś, zaraz po porannym obrzędku.

- Ktoś zabił jedną z moich niewolnic!

- Już prawie pora, a my jeszcze nie jesteśmy gotowi -

Jander zamierzał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

przypomniał mu Martin. Sasza uśmiechnął się przeprasząco i

było do przewidzenia. Ostrzegał już hrabiego, że ma zbyt wielu

pomógł mu przystroić ołtarz.

niewolników, jednak obecny stan Strahda sprawił, że wolał mu tego

W kilka chwil później wstało słońce, widoczne jako

nie przypominać.

niewiele jaśniejszy punkt we wszechobecnej szarości. Niewielu

- Niech będzie przeklęty, jeszcze z nią nie skończyłem! -

ludzi w wiosce zauważyło różnicę, ale czworo skulonych w kościele

hrabia odwrócił się w stronę zaskoczonych elfów. - Wiesz może,

pochyliło głowy w podziękowaniu za nadejście świtu. Pan Poranka

której z tych podłych kreatur z wioski starczyłoby odwagi, żeby

pokonał długą baroviańską noc, odpędził wszystkie strachy

zrobić coś takiego?

korzystające z osłony ciemności, a to nie było co. Każde z nich

Jander pokręcił głową.

pociągnęło łyk białego wina z połączanego kielicha, zwanego

- Wszyscy boją się ciebie, Wasza Ekscelencjo; matki straszą

Pucharem Słońca, po czym Sasza poprowadził poranną modlitwę.

dzieci „diabłem Strahdem”. Może to jacyś przyjezdni?

Na koniec zaśpiewali wspólnie pieśń, prosząc o kolejną spokojną

Strahd zaczął przemierzać niespokojnie komnatę, na

noc.

przemian zaciskając i rozluźniając pięści.

Czysty tenor Saszy niósł się daleko. Deszcz przybrał na sile

- Nie, Vistani od dawna już nie donosili mi o żadnych

i drobna, chłopięca postać skulona tuż za drzwiami kościoła przybyszach.

przemokła do suchej nitki. Mały Lis przez lekko uchylone wrota

- Mogło się zdarzyć, że ktoś przybył przez mgły i nie spotkał przysłuchiwała się pieśni, cicho wtórując zebranym w środku.

Vistanich - odezwała się Trina, schodząc po schodach w kierunku

Otarła spływającą po twarzy kroplę nie będąc pewną, czy to deszcz,

Strahda, który zatrzymał się w pół kroku i przyjrzał się jej czy łza.

badawczo.

Jander widział już Strahda w gniewie, ale nigdy tak

- Tak - przyznał. - Sprawdzę to.

rozzłoszczonego, jak teraz.

- A co z kapłanami? - podsunął Jander. Trina parsknęła śmiechem.

hrabia, nie chcąc ujawnić niczego więcej. Poszedł przodem,

- Co? Martin Szalony i ten jego chuderlawy pomocnik? Nie, prowadząc na podwórzec, gdzie czekał na nich jego wspaniały

Jander, ze strony tych dwóch nie należy się niczego obawiać.

powóz zaprzężony w parę czarnych koni. Jander poczuł ulgę na ten

- Musi być ktoś jeszcze, ktoś w wiosce, kto postanowił mi

widok; z pewnością Strahd nie wybierałby się wspaniałą kareta,

się sprzeciwić - na usta Strahda wypłynął okrutny uśmiech. Jego kły gdyby znów zamierzał dać komuś „nauczkę” i urządzić rzeź, jak zabłysły w świetle pochodni. - Będzie tego gorzko żałował. Jander, wtedy, w domu burmistrza.

jak załatwiłbyś sprawę takiego osobnika?

Czarne jak noc rumaki podążyły w dół drogą prowadzącą do - Jest coś, co możesz zrobić, żeby nigdy więcej nie sprawiał miasteczka. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę, ale ziemię ci kłopotów - odparł elf. - ale nie sędzę, żeby ten pomysł ci się wciąż spowijała śnieżna oponcza. Księżycowi ledwie paru dni spodobał. Możesz przeczekać.

brakowało do pełni i jego światło wyraźnie rozjaśniało krajobraz.

To dobre dla tchórza! - skwitował pogardliwie Strahd. -

Przez jakiś czas oba wampiry siedziały w milczeniu. Jander Sugerujesz, że ja, władca Barovii, miałbym pozwolić jakiemuś zastanawiał się, co też hrabia zamierza tej nocy - najwyraźniej śmiertelnikowi na mordowanie moich stworzeń?

przyszykował dla niego kolejny mały „test”. Uderzyła go ironia Właśnie to proponuję. Na razie nie ma śladu, który łączyłby całej tej sytuacji: oto jechali razem, zapewne dwaj najpotężniejsi cię z tą wampirzycą, ale jeśli zaczniesz karać mieszkańców Barovii przedstawiciele swojego rodzaju, przez mroczną krainę, która za te ataki, sam wejdiesz myśliwym w sidła. Daj sobie spokój, zdawała się im dodawać sił. Razem stworzyliby niepokonany duet,

Strahdzie. Pozwól mu niszczyć twoich niewolników, jeśli zechce.

jednak za bardzo różnili się, żeby kiedykolwiek stać się

Tobie nie może nic zrobić, a za parę lat on umrze, a ty nic nie
prawdziwymi sprzymierzeńcami.

stracisz.

Elf podziwiał w Strahdzie wiele rzeczy; hrabia był bez

Strahd z niezadowoleniem zmrużył oczy; jego nozdrza

wątpienia znakomitym kompanem, obdarzonym ogromną wiedzą, z
rozdęły się gniewnie.

którym dawało się znakomicie rozmawiać na rozmaite tematy. Ale

- Miałeś rację, Janderze. Nie podoba mi się twój plan.

była też w nim jakaś chciwość, której Jander nie lubił. Nie byli

Zgadzam się jednak, że mówisz słusznie i rozważę to.

przyjaciółmi, mimo że Strahd zawsze tak się do niego zwracał.

Spojrzał na leżące u jego stóp zwłoki i pokręcił głową.

Towarzysze broni, złączeni naturą nieumarłych istot i poczuciem

- Biedna, śliczna Irina. Jander, każ któremuś z zombich

własnej niezależności - to może tak, ale nie przyjaciele.

zrobić z tym porządek. A ty, kochanie - zwrócił się do Katriny,

Jander zauważył, że hrabia przygląda mu się i uśmiechnął

wyciągając do niej bladą dłoń - chodź ze mną.

się lekko.

Lekkim krokiem wbiegli po schodach, przy czym tylko

- Chciałbym, żebyś mi powiedział, co zamierzasz.

stopy Katriny czyniły hałas na kamiennej powierzchni.

- I zepsuł całą niespodziankę? Nigdy! Kiedy ktoś ma przed

Jander zwrócił uwagę na pozbawione głowy ciało pięknej

sobą całe stulecia, to właśnie zaskoczenie pozwala zachować

kobiety, podniósł je z łatwością i wyniósł do ogrodu przy kaplicy,

świeżość zmysłów. Wieczny stan wytrącenia z równowagi jest

gdzie w padającym deszczu sam ją pogrzebał.

jedynym sposobem trzymania intelektu w gotowości. Czyżbyś się

Następnego wieczora wstał wcześniej i udał się do kaplicy.

ze mną nie zgadzał?

Stanął przy rozbitym oknie, zapatrzony w zapadający zmierzch. W

Przebyli pierścień mgły, z klekotem przejechali przez most i

ciągu dnia deszcz, który pamiętał z ubiegłej nocy, przeszedł w śnieg

wkrótce dotarli do pierwszych zabudowań wioski. Jander dostrzegł

i w poblądłych kolorach zachodzącego słońca dostrzegł dwa

w oknach białe twarze ludzi ze strachem wyglądających po nocy.

przysypane świeżym puchem kopczyki grobów Iriny i Nataszy.

Konie podążały dalej niespiesznie. Na rynku wzięli ostry zakręt w

Strahd zjawiał się obok niego nagle i zupełnie

prawo, po czym skręcili w pierwszą uliczkę po lewej.

nieoczekiwanie, ale Jander zdążył odwrócić się, by go przywitać i

Zatrzymali się przed niewielkim sklepikiem, którego

zręcznie schwycił rzucony mu szary, wełniany płaszcz. Hrabia

skrzypiący w podmuchach wiatru szyld był nieczytelny ze starości.

rozciągnął usta w uśmiechu - najwyraźniej był w znakomitym

We wszystkich pozostałych sklepach było ciemno

humorze. Elf zeszywniał nieco, starając się zachować neutralny

- zostały albo zamknięte, albo całkowicie opuszczone - tylko

wyraz twarzy; pojęcie zabawy w wersji Strahda niewiele miało

w tym jednym w oknie paliło się światło.

wspólnego z jego własnym.

Strahd wyskoczył z powozu i podszedł do drzwi. Chcąc, jak

- Chodź, przyjacielu - rzekł Strahd widząc, że Jander zwleka

zwykle, wyrzeć dobre wrażenie, starał się wyglądać dobrodusznie,

z założeniem płaszcza. - Mamy coś do zrobienia.

a zarazem rozkazująco. Zastukał głośno do drzwi.

- Nie zapolujemy dziś jako wilki? - spytał go ostrożnie

Przez długą chwilę panowała cisza, aż wreszcie ze środka

Jander. Zazwyczaj kiedy wybierali się wspólnie na łowy, co w

rozległ się głos:

miarę upływu lat zdarzało się coraz rzadziej, zmieniali się w wilki.

- Kto tam?

Wilcze futro było znacznie bardziej dyskretne niż płaszcz.

- Twój prawowity władca - donośnie odparł Strahd. - Miałaś

To niespodzianka. Złożymy wizytę komuś w wiosce - odparł

mnie oczekiwać.

Znów zrobiło się cicho, a Jander poczuł dolatujący z wnętrza

czterdziestki, twarz miała pobrużdżoną od trosk, ale w jej oczach

odór strachu. Rozległ się trzask odsuwanej zasuwki i drewniane nadal rozpalał się wewnętrzny ogień, kiedy zaczęła mówić o drzwi uchyliły się odrobinę. Kobięca twarz o ostrych rysach swojej pracy. Znakomicie spisała się przygotowując ogromny wyjrzała na zewnątrz, po czym drzwi otwarto na oścież.

wybór materiałów. Jander, który lubował się w zdecydowanych Kobięta pochyliła się w dygnięciu, być może maskując kolorach, jak czerwony i niebieski, wybrał złoty jedwab i aksamit przerażenie.

barwy indygo, do czego dodał pierwszorzędne, szkarłatne sukno i - Dobry wieczór, hrabio - rzekła drżącym głosem. - złoto-srebrne oblamowanie.

Nazywam się Cristina. Wszystko zostało przygotowane na twoją - Nie podoba ci się mój styl ubierania się? Myślę, że wizytę, panie.

świetnie by ci pasował - zauważył hrabia, wskazując znakomicie - Znakomicie, moja droga! - odparł zadowolony Strahd. dobrane szaty, które sam nosił.

Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać. Cofnęła się o krok i - Nie wasza Ekscelencjo, mam wrażenie, że jak dla mnie za wprowadziła ich do niewielkiego, pustawego saloniku. Elf obrzucił dużo tam guzików. Nowe ubranie podobne do tego, które mam na pokój szybkim spojrzeniem, zwracając uwagę na podniszczone sobie, będzie idealne. I rękawiczki - dodał szybko elf, smutniejąc na

krzesła i stary, lecz porządnie wypolerowany stół pośrodku. Na

twarzy. - Kilka par rękawiczek.

ścianach pełno było oprawionych w ramki barwnych szkiców

Może warstwa materiału oddzielająca jego ciało od

przedstawiających mężczyzn i kobiety w wieczorowych strojach - i

delikatnych roślin pozwoli mu znowu pracować w ogrodzie.

tylko te obrazki wyglądały na coś naprawdę osobistego w wystroju

- Szczerze żałuję, że nie mogę tam iść - rzekła Cristina. -

komnaty.

Bardzo chciałabym zobaczyć tych wszystkich ludzi w ich

Strahd poprowadził Jandera na środek pokoju. Cristina szła

wspaniałych strojach! Zaraz, momencik! Już przynoszę lustro,

w ślad za nimi.

żebyś mógł, panie, zobaczyć, czy w tych kolorach jest ci do twarzy.

- Oto mój towarzysz, Jander Sunstar - powiedział hrabia. -

- Ależ nie trzeba, dziękuję - zaprotestował Strahd. -

Tb jego właśnie powinnaś zobaczyć.

Spieszmy się jeszcze na spotkanie. Na kiedy możesz przygotować

Kobieta zwróciła na elfa przerażone oczy, ale posłusznie

stroje?

podeszła bliżej. Wyciągnęła w jego stronę dłoń, a on, zaskoczony,

Cristina zastanowiła się.

odsunął się pospiesznie, rzucił Strahdowi pytające spojrzenie, ale

- Będą gotowe w ciągu tygodnia.

hrabia tylko się uśmiechał Cristina znów zbliżyła się do niego i

- Trzy dni - Strahd zmarszczył brwi. Krawcowa pobladła, ale powoli, ale zdecydowanie przesunęła rękoma po jego ramionach i przytaknęła.

wzdłuż rąk, przyglądając się jego szatom.

- Jak sobie Wasza Ekszelencja życzy.

- Nie powinno być żadnych problemów, Wasza Ekszelencjo

- To za twój wysiłek - hrabia niedbałym gestem sypnął na

- odezwała się. Elf był już zupełnie zdezorientowany i na jego stół garść złotych monet. Kiedy zszokowana Cristina skończyła je twarzy odbiło się zmieszanie.

zbierać, goście już zniknęli.

Hrabia wybuchnął śmiechem.

Siadła na stołku, drżąc na całym ciele. Wiele mówiło się

- Cristino, wprawiamy naszego przyjaciela w zakłopotanie!

szeptem o hrabim Strahdzie von Zarovich - zawsze były to rzeczy

Janderze, Cristina jest szwaczką, poprosiłem burmistrza, by

niezwykle, a zwykle złowrogie. Równie tajemniczo, choć

przekazał najlepszemu krawcowi w miasteczku, że potrzebne nam

sympatyczniej, prezentowała się towarzysząca mu dziwna,

są jego usługi. Twoje ubranie nie nadaje się na wiosenną

złotoskóra istota. Cristina przycisnęła monety do piersi. Nigdy w

uroczystość.

życiu nie widziała tylu pieniędzy na raz. Hrabia Strahd obszedł się z

- Na co? - zapytał Jander, ciągle niewiele rozumiejąc. Strachd nią należycie i nie zamierza mówić źle ani o nim, ani o jego zignorował go i zwracając się ponownie do Cristiny, przyjacielu.

wyraźnie odprężonej, rzekł:

Jak długo będzie żyła, nic złego nie powie.

- Moja droga, czy przygotowałaś zestaw materii i kolorów, z

- Chcesz kogoś znaleźć na tej uroczystości, prawda? -

których moglibyśmy coś wybrać, tak jak prosiłem?

zapytał Jander Strahda, kiedy ten trzy noce później przyniósł mu

- Uczyniłam tak, panie - odparła i zaprowadziła ich do

nowe szaty.

drugiego, o wiele większego pomieszczenia, gdzie trzymała

Hrabia gwałtownie odwrócił się w jego stronę, przesywając

wszystkie niezbędne jej w pracy przybory: nożyce krawieckie,

go wzrokiem.

manekiny, puchate poduszeczki na igły i szpilki, szpulki nici i

- Czemu tak uważasz? - odpowiedział pytaniem, miękko, ale

kolorowej przędzy do haftowania. Na jednym ze stołów piętrzyły

z groźbą w głosie.

się bele materiałów. - Mogę tylko mieć nadzieję, że zadowolili was

Elf nie za bardzo wiedział, jakie sprężyny poruszył w

coś z tego, co mam.

umyśle hrabiego, ale ostrożnie kontynuował:

Kiedy Cristina skoncentrowała się na konkretnym zajęciu,

- Chcesz się przekonać, czy uda ci się czegoś dowiedzieć o

zniknęła gdzieś część jej strachu. Kobieta dobiegała już

tym zabójcy wampirów.



Strahd rozluźnił się, a jego spojrzenie złagodniało.

Jander czuł się dość nieprzyjemnie, wspominając ostatni swój pobyt

- Ach... tak, rzeczywiście. Twoja rada była dobra, ale nie

w tym miejscu, ale przez minione lata naprawiono zniszczone

mogę porzucić mojego własnego dochodzenia. A poza tym już zbyt

sprzęty i odnowiono komnaty, nowy burmistrz zaś był

długo nie pojawiałem się publicznie w Barovii. Nie chciałbym, żeby

zdecydowany doprowadzić do wymazania tragicznych wydarzeń z

ludzie o mnie zapomnieli.

pamięci mieszkańców.

- To chyba niemożliwe - odrzekł Jander. - Ale czemu

Wokół

domu

wykręcało

wiele

powozów,

nie

chcesz, żebym i ja poszedł? Naprawdę wolałbym nie iść.

wytrzymujących porównania z karetą Strahda, ale najlepszych, na

Hrabia uniósł jedną kruczoczną brew.

jakie stać było niezbyt zamożnych Baroviańczyków. Podobnie

- Janderze, po wielu latach, które spędziłeś kryjąc się w

stroje mieszkańców dalece ustępowały odzieniu Strahda i Jandera i

zamku Ravenloft, nadszedł czas, żeby ludzie poznali mojego gościa,

elf nagle zaczął żałować, że nie założył mniej pysznych i

żeby mogli odpowiednio cię traktować. Czy tak wiele żądałem od

świadczących o bogactwie hrabiego szat. Uśmiechnął się ponuro

ciebie przez cały ten czas, że teraz chcesz mi odmówić swojego

pod nosem. Wcale nie znaczyło to, że miał nadzieję zmieszać się z

towarzystwa?

tłumem. Mieszkańcy Barovii byli odludkami i nawet nieznanego

- Nie, ale...

człowieka traktowali nieufnie, Jander zaś, jako ewidentnie obcy, był

- Nie podoba ci się nowy strój, który kazałem dla ciebie

od razu podejrzany. Sama zmiana stroju nie pomogłaby im wyzbyć

uszyć? Czy to to cię tak zdenerwowało? Chcesz, żebym oddał go

się obaw. A poza tym przybył tu przecież wraz z „diabłem

Cristinie i zażądał zwrotu pieniędzy?

Strahdem”.

Jander zaklął w głębi duszy. Strahd był gotów to uczynić, a

Ich powóz wtoczył się klekocząc po bruku przez otwartą,

myśl o biednej szwaczce, której zabrano ciężko zapracowane
żelazną bramę. Przy głównym wejściu czarne rumaki zatrzymały
pieniądze sprawiła, że poczuł gniew.

się, a służący postąpił krok do przodu, by otworzyć drzwi pojazdu.

- Szaty są piękne - odparł zmęczonym głosem. - i założę je

Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu, ale wyraźnie pobladła.

na tę uroczystość.

Strahd żywym krokiem wysiadł z karety.

- Będziesz wyglądał jak prawdziwy szlachcic - przyznał

Powitała go cisza, aż wreszcie po dłuższej chwili powitały

hrabia, umyślnie ignorując poirytowanie elfa.

go pomruki ze strony kilku odważniejszych, również właśnie

Pół godziny później, czując na skórze delikatny dotyk

przybyłych gości:

materiału, Jander musiał przyznać Strahdowi rację. Żałował, że nie

- Dobry wieczór, hrabio.

może przejrzeć się w lustrze; wiedział, że odzienie było znakomicie

- Rzeczywiście, piękny wieczór dziś mamy, dobrzy ludzie -

uszyte i robiło doskonałe wrażenie. Bawełniana koszula, którą

uprzejmie odparł Strahd, po czym odwrócił się i skinął ręką na

założył pod błękitną, aksamitną tunikę z krótkimi rękawami, leżała

Jandera. Elf wyszedł z powozu znacznie mniej dostojnym krokiem

na nim idealnie. Na samej tunice złotą nicią wyszyto ozdobne

niż hrabia. Kilku ludzi spojrzało na niego.

wzory. Złote, jedwabne spodnie również uszyto na miarę, a całości

- Chodź - rzucił szeptem Strahd, chwytając go za ramię i

dopełniały białe buty z miękkiej skóry. Zgodnie z życzeniem elfa

prowadząc wśród tłumu. Jander czuł się nieswojo pod ostrzałem

Cristina uszyła również kilka par rękawiczek z tej samej

świdrujących spojrzeń. U szczytu schodów, po których wchodzili,

mlecznobiałej skóry.

oczekiwał ich już burmistrz z żoną.

Strahd wszedł do komnaty i stanął, mierząc elfa spojrzeniem

Burmistrz był wysokim mężczyzną po czterdziestce, z

od stóp do głów.

ciemnymi włosami i elegancko przyciętą brodą. Jeśli nawet nie

- Odwróć się - polecił beznamiętnie. Jander niechętnie

zapowiedziane pojawienie się na uroczystości hrabiego Strahda von

usłuchał, a kiedy znów spojrzał hrabiemu w twarz, w jego ciemnych

Zarovicha wraz z przyjacielem wytrąciło go z równowagi, potrafił

oczach dostrzegł wyraz aprobaty zmieszany z odrobiną

to ukryć.

samozadowolenia.

- Wasza Ekscelencjo, to zaszczyt dla mojego domu gościć

- Teraz w każdym calu jesteś godnym towarzyszem władcy

cię w mych progach - rzekł donośnie, chyląc się w ukłonie. -

Barovii - rzekł Strahd, kłaniając się nieznacznie.

Pozwól, że przedstawię ci moją żonę, Ludmiłę.

Tej nocy ponownie wsiedli do powozu i udali się spiesznie

Ludmiła, teraz już kobieta w wieku trzydziestu paru lat,

w dół do wioski, niczym jastrzęb spadający na swą zdobycz.

ładna i o zgrabnej figurze, pokłoniła się głęboko, spuszczając

wzrok. Janderowi wydała się dziwnie znajoma.

- Wraz z moim małżonkiem witamy Waszą Ekszelencję -

SIEDEMNAŚCIE

rzekła.

- Ludmiła Kartova, prawda? - spytał hrabia, pochylając się i

przyciskając lodowate usta do jej dłoni.

Uroczystość odbywała się w dworku burmistrza.

- Och, tak, Wasza Ekszelencjo. Zanim wyszłam za mąż.

- Przyjmij, proszę, wyrazy współczucia z powodu śmierci

rodziny, madame. Oraz wyrazy uznania za odnowienie domu.

- Dobry człowieku - odparł zdecydowanym tonem Jander. -

- Dz-dziękuję, Wasza Ekszelencjo.

Wstań proszę. Nie jestem Lathanderem, Panem Poranka. Spójrz mi

Nagle Jander zdał sobie sprawę, skąd zna Ludmiłę i

w twarz.

zuchwałość Strahda oszołomiła go.

- Nie, nie! Tyś jest Panem Poranka, który przybył, by

- Burmistrz Radavicz - ciągnął hrabia. - Pozwól, że ja z

położyć kres pełnym strachu nocom w tym przeklętym miejscu! -

kolei przedstawię ci mojego przyjaciela - oto Jander Sunstar,

ciągnął kleryk.

przybysz z dalekich stron, co bez wątpienia widać.

Zostaw elfa w spokoju, głupcze! - rzucił Strahd. Kapłan nie

- Panie, pani - odezwał się Jander. - To prawdziwy zaszczyt

przestawał bełkotać, trzymając Jandera za nogę i przyciskając twarz

poznać państwa. Ja również wyrażam swoje współczucie z powodu

do jego skórzanych butów. Jander nie wiedział, co zrobić, a czuł, że

waszej straty.

cierpliwość Strahda ulatnia się, niczym mgła w gorących

- Tak - przerwał szybko Radavicz, ukradkiem ściskając dłoń

promieniach słońca.

małżonki. - Wejdźcie, proszę i rozgośćcie się.

Chodź ze mną, bracie - rozległ się inny głos. Delikatne

Jander i Strahd weszli do środka, mijając gospodarzy. Gdy

dłonie wyciągnęły się do kapłana i pomogły mu wstać. Młody

przechodzili z przedsionka do głównej sali domu wszyscy ludzie

człowiek otoczył ramieniem podniesionego z ziemi kapłana.

kłaniali się hrabiemu.

Odziany był w podobną szatę, co kapłan, tyle że znacznie mniej

Elegancka, bogato i ze smakiem urządzona komnata

ozdobną.

niewiele miała wspólnego z kostnicą, z której Jander musiał

Pan Poranka nie przybył. Jeszcze nie.

uciekać. Zauważył, że część wypalonych ścian poprzedniej

Smukły młodzieniec pokłonił się Strahdowi i Janderowi.

rezydencji zwyczajnie wyburzono, tym samym czyniąc z trzech-

- Przepraszam za zachowanie ojca Martina. Jego umysł nie
czterech ciemnych, niewielkich pokoików jedną przestronną,
jest tak jasny, jak kiedyś. Jednak przyznaję, że szlachetny elf
rozświetloną

komnatę.

Rzeźbione

drewniane

kolumny

przypomina wizerunek naszego boga. Wasza Ekscelencjo, czy
podtrzymywały szeroką połąć sufitu, wyłożoną gipsowymi płytami,
wybaczysz nam to zachowanie?

przedstawiającymi kwiaty jabłoni.

Głos młodego kapłana brzmiał donośnie i zdecydowanie,

W czterech wielopoziomowych świecznikach płonęło

choć mężczyzna grzecznie spuścił wzrok. Strahd łaskawie skinął
mnóstwo świec, które musiały kosztować fortunę. Proste, żelazne
dłonią.

konstrukcje pomalowano na biało, by pasowały do sufitu, co

- Świętujemy nadejście wiosny, nie srogość zimy. Mogę
sprawiało, że płomyki świec zdawały się unosić swobodnie wśród
odpowiedzieć łaskawością na dworność. Zabierz go stąd.

cieni. Zgrabne lampy naftowe i mniejsze kandelabry dodatkowo

- Mój najszlachetniejszy pan jest zbyt łaskawy.

rozświetlały wnętrze, przeblyskując spomiędzy wieńców kwiatów

Młody mężczyzna odprowadził kapłana na bok. Rozmowy

na ogromnym kominku. Zapach kwiatów dopełniał atmosfery

potoczyły się dalej, a Jander z ulgą zauważył, że część ludzi

tworzonej przez muzykę samotnego fletu i szmer rozmów

przestała na niego zwracać uwagę.

zgrupowanych w komnacie mieszkańców. W dowód szacunku dla

Strahd obserwował go bacznie; w jego oczach pobłyskiwało

cieplej i pełnej wiosennych woni nocy nie rozpalono ognia w

rozbawienie.

przygotowanym palenisku, a dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do

- Spychasz mnie na drugi plan! Jander wzruszył ramionami.

ogrodu były otwarte na oścież. Z drzew zwieszały się latarnie,

- Kultury pojawiają się i znikają. Lathander umrze wraz ze

rzucając miękkie światło na obsypane kwieciami gałęzie. Jander

śmiercią tego kapłana. Ty zaś, hrabio, z pewnością przetrwasz

zastanawiał się, czy w Barovii zdarzali się jeszcze zakochani

dłużej, niż jakiegokolwiek dzienne bóstwo.

wystarczająco odważni, by szukać samotności pod nocnym niebem.

Strahd roześmiał się w głos.

- Pan Poranka!

Przez resztę wieczoru Jander trzymał się na uboczu,

Mężczyzna, który wykrzyknął te słowa, przepychał się przez

przyglądając się wszystkiemu, ale w niczym nie uczestnicząc. Za to tłum. Był wysoki, szczupły, wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał Strahd zwracał uwagę wszystkich, wybierając najpiękniejsze bladoniebieskie oczy, błyszczące fanatycznym blaskiem. Oficjalne kobiety i z kocią gracją prowadząc je w wymyślnych barovianskich złoto-różowe szaty, pozwalające domyślać się w nim kapłana tańcach. Oparty o drzwi do ogrodu elf widział, jak wyraz twarzy jakiegoś bóstwa, zawirowały szaleńczo, gdy upadł na kolana przed kobiet zmienia się, przechodząc od strachu, przez onieśmienie, po Janderem, pochylając poddańczo głowę.

oczarowanie tańcem z hrabią.

- Panie Poranka, nareszcie przybyłeś do nas!

Ze smutkiem pokręcił głową. Bez wątpienia Strahd oplatał je Elfowi zrobiło się niedobrze. Nie pierwszy to już raz w jego siecią swojego uroku. W ciągu najbliższego tygodnia czy dwóch długiej egzystencji zwracano uwagę na jego podobieństwo do boga jedna po drugiej kobiety te udadzą się do zamku Ravenloft i ich świtu, Lathandera, Pana Poranka. Czyżby ten kapłan znał boga rodziny nigdy ich już nie ujrzą.

czczonego przez ludzi z Faerun? Może i on padł ofiarą dziwnych

A przynajmniej będą się o to modlić.

mgieł tej krainy.

- Trzymam w dłoni medalion, który, gdybym się nim

posłużył, sprawi ci wiele bólu. Nie dość na tym; obnaży także twoją

wróciłem i znalazłem... - zawiesił głos.

prawdziwą naturę wobec wszystkich tu obecnych. Nie sędzę, żebyś

Czytałeś książkę - przypomniał sobie Jander. - W

tego chciał.

kamiennym kręgu. Mądrze zrobiliście obozując tam. To jest

Jander przez chwilę trwał w bezruchu, po czym powoli

naprawdę święte miejsce i niewielu nieumarłych ma dość siły, by

odwrócił się w stronę osoby, która ośmieliła się zwrócić do niego

naruszyć poświęconą ziemię.

tak odważnie.

Sasza zeszywniał cały i Jander zrozumiał, że popełnił błąd.

Przed nim stał młody człowiek, który wcześniej pomagał

- Skąd wiedziałeś?

wstać kapłanowi. Przyglądał się elfowi, ale unikał spojrzenia mu w

Elf nie odpowiedział. Sasza zacisnął usta, a jego dłoń

oczy.

zacisnęła się mocniej na medalionie. Podniósł go w górę, gotów

- Co to znaczy - moją „prawdziwą naturę”? - łagodnym

porazić nim Jandera. Elf odwrócił twarz.

głosem zapytał wampir. - Ośmielasz się grozić gościowi burmistrza

- Skąd wiedziałeś? - naciskał Sasza gorączkowo.

waszego miasteczka i hrabiego Strahda von Zarovicha?

- Byliśmy tam - przyznał wampir. - Ty i twój przyjaciel

Młody kapłan uśmiechnął się nieznacznie, nie podnosząc

tylko o włos uniknęliście śmierci. Gdyby... moi towarzysze byli wzroku.

bardziej głodni, naruszylibyśmy granice świętego miejsca, żeby

- Nie wydaje mi się, żebyś chciał zaryzykować, nosferatu.

zdobyć waszą krew.

Odwróć się powoli i wyjdź do ogrodu.

Twarz Saszy przybrała udręczony wyraz.

- A więc ten kapłan wie, co robi, zamyślił się Jander. Miał

- Czy ty...?

rację: jakikolwiek sprzeciw z jego strony i wszyscy mieszkańcy

Jander wiedział, o co chłopcu chodzi.

wioski dowiedzą się, że jest wampirem. Łatwo było przewidzieć ich

- Nie. Nie zabiłem nikogo z twojej rodziny. Jesteś bardzo

gwałtowną reakcją.

podobny do Pietii, Sasza. Nie znałem twoich rodziców zbyt dobrze,

Postąpił zgodnie z poleceniem kleryka, zamierzając zwabić

ale robili wrażenie dobrych ludzi. - Głos miał spokojny,

go w zacienione miejsce.

opanowany. - Opłakiwałem śmierć twojej matki. Nie zginęła z

- Nie wychodź poza krąg światła z drzwi.

mojej ręki, przysięgam.

- Jak sobie życzysz.

Młodzieniec spojrział wreszcie Janderowi w oczy i po chwili

W młodym kapłanie uwagę elfa zwróciło coś niezwykle

odprężył się odrobinę.

znajomego; był niepozornej postury, lecz sposób, w jaki się

- Mogłeś uratować mojego ojca i mimo to zrobić... to...

poruszał - nie wspominając o zręcznym zaaranżowaniu konfrontacji

matce. Chciałbym ci wierzyć, ale jesteś...

z Janderem - wskazywał na stalową wolę i wewnętrzną siłę. Twarz

- Wampirem? Tak, od ładnych paru wieków. Ale to wcale

miął przystojną, o drobnych rysach, prawie ładną, jednak

nie znaczy, że nie odczuwam żalu na widok rzezi. Sasza, przed

kwadratowa szczęka i zdecydowane czarne oczy wykluczały

chwilą okazałeś mi zaufanie - spojrzałeś mi w oczy, chociaż wiesz,

jakikolwiek słabostki. Emanowało z niego poczucie ogromnego

że to niebezpieczne. Postanowiłem nie czynić ci krzywdy, tak jak ty

smutku i straty, ale nie brakło w nim determinacji.

zdecydowałeś się mnie nie zdradzić.

- Dobrze więc. Masz mnie w ręku - cicho zaczął Jander. -

Sasza przełknął ślinę.

Nie jesteś tak głupi, za jakiego chciałbyś uchodzić wśród

Matka opowiadała mi o tobie. Poprzysiągłem, że jeśli kiedyś

wieśniaków, co? Co zamierzasz?

cię spotkam, nie uczynię ci nic złego. To nie jest kwestia wyboru,

Młodzieniec nie spuszczał z niego czarnych oczu.

wampirze. Oddałbym cię tłumowi, gdybym tylko mógł, ale honor

- Wiem o tobie więcej, niż mógłbyś sądzić, nosferatu.

mi na to nie pozwalała.

Nazywasz się Jander Sunstar i jesteś elfem z innego świata. Przed

Wiele czasu upłynęło, odkąd ostatni raz zaczerpnąłem

blisko dwudziestu pięciu laty przybyłeś do Barovii i uratowałeś od

powietrza w płuca. Zapomniałem więcej, niż większość

stryczka cygańskiego chłopca. Dziewczyna, jego kochanka,

śmiertelników kiedykolwiek będzie wiedziała, ale nie zapomniałem,

poprzysięgła ci przyjaźń swojej rodziny.

co to honor - odparł Jander z namysłem. - Nie uczynię krzywdy

Jander słuchał wyczekująco.

tobie, ani twoim krewnym, synu Pietii. To wszystko, co mogę

- Od dawna cię szukałem. Nazywam się Aleksiej Pietrowicz,

zrobić.

w wiosce mówią do mnie Sasza. Jestem synem Anastazji. To

Powiała nocna bryza, przyprawiając Saszę o dreszcze. Nie

mojemu ojcu ocaliłeś życie.

odzywał się dłuższą chwilę, a Jander uszanował jego milczenie.

Głos miał opanowany, tylko gdzieś głęboko krył się ból i

Czas płynął, aż wreszcie Sasza zaczął cicho;

gniew. Jander podziwiał ten pokaz samokontroli.

- Urodziłem się w tym domu. Ta wioska jest moją ojczyzną

- Masz dużo szczęścia, Sasza, pod wieloma względami. Jak

jej mieszkańcy to mój lud, bez względu na to, czy się do mnie

udało ci się uniknąć losu reszty rodziny?

przyznają, czy nie. Są rzeczy gorsze od śmierci, Janderze Sunstar, a
- Tamtego wieczoru nie było mnie w domu, razem z
istoty takie, jak ty, do nich należą. Jak to możliwe, żebyś tak bardzo
przyjacielem spędziliśmy noc na zewnątrz. Następnego ranka
przypominał Pana Poranka, a zarazem był jego największym
wrogiem? - pogrążony w myślach i bólu Sasza zmarszczył ciemne
starszy kapłan otworzył oczy i uśmiechnął się.

brwi. - Jak to możliwe, że ocaliłeś nieznanego ci chłopca, jeśli
- Sasza, byłeś dla mnie niczym syn - wykrztusił. - Będzie mi
żyjesz pijąc krew? Nie potrafię zrozumieć tego wszystkiego. Może
cię brakowało, kiedy odejdę, ale widziałem Pana Poranka i On
ludziom nie jest dane rozumienie tych rzeczy. Będę posłuszny
wezwał mnie do siebie!

przysiedze moich rodziców. To wszystko, co ja mogę zrobić.

- Martin - wtrącił Sasza. - To nie był Pan Poranka. To elf.

Zniknął tak samo cicho, jak przedtem przybył, wtapiając się

Nie jest bogiem. Pozwól, żebym cię uleczył, proszę!

w nocne cienie niemal z równą łatwością, co wampir. Jander był

Martin potrząsnął głową, skrecając się z bólu i zaciskając

pełen podziwu; łatwość kamuflażu Sasza zawdzięczał zapewne

trzymaną pod żebrami dłoni.

płynącej w jego żyłach cygańskiej krwi. Z westchnieniem wrócił do

- Nie, chłopcze. Nie trać na mnie modlitwy. On mnie

sali i ponownie skoncentrował się na bawiących się ludziach.

wezwał i muszę odejść. Powiadam ci, to był Pan Poranka, pamiętam

Po jakimś czasie jego uwagę zwróciła młoda kobieta

go; pamiętam tę łagodną twarz splamioną krwią...

rzucająca mu zza wachlarza niezupełnie ukradkowe spojrzenia.

Sasza poczuł przebiegający go dreszcz; rodzinę Martina, tak

Była całkiem atrakcyjną blondynką z brązowymi oczyma. Kiedy

samo, jak krewnych Saszy, zabiły wampiry. Sam Martin

zauważyła, że się jej przygląda, uśmiechnęła się przekornie.

zawdzięczał życie istocie, która go oszczędziła, a którą uważał za

Jander nie spuścił wzroku i kiwnął palcem, żeby podeszła

Lathandera. To musiał być Jander. Młody kleryk zaczął drżeć na

bliżej. Chichocząc za osłoną wachlarza wymieniła znaczące

całym ciele. A więc... to wszystko kłamstwo? Nie istniał żaden Pan

spojrzenia z przyjaciółkami, które z kokieteryjnymi uśmiezkami

Poranka, był tylko Jander? Tb niemożliwe, po prostu niemożliwe...

wypchnęły ją do przodu. Elf poczuł ból w ustach i zdał sobie

- Martin, nie umieraj, proszę, mogę cię uzdrowić...

sprawę, że jest bardzo głodny. Czas się posilić.

-

Nie!

-

nadspodziewanie

zdecydowanym

tonem

zaprotestował Martin. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły gdzieś w

dal. - Tak, Panie Poranka, słyszę... przybywam- ...ach! - w jego jęku

ból mieszał się z zachwytem. Wyciągnął drżącą, chudą dłoń ku

Sasza próbował uspokoić kipiące emocje, spacerując po

czemuś, czego Sasza nie widział, potem zadrżał, westchnął po raz

podwórcu. Wdychał głęboko chłodne, nocne powietrze, ciężkie od

ostatni i ramię opadło bezwładnie. Martin znieruchomiał.

zapachu kwiatów i starał się uspokoić. Nie mógł uwierzyć w to, co

Oszołomiony Sasza przez długą chwilę tylko mu się

przed chwilą miało miejsce: rozmawiał z wampirem.

przyglądał, aż wreszcie złożył stygnące dłonie umarłego na

Podniósł wzrok na dźwięk końskich kopyt Katia, w

piersiach i zamknął mu oczy. Łzy same pociekły mu z oczu. Od

rozwianym płaszczu, podjechała do niego.

niemal piętnastu lat Martin był jego całą rodziną-Ludmiła i jej mąż,

- Sasza - zaczęła zmartwiona. - Martin... Lepiej się pospiesz.

Nikołaj, przyjaźnie odnosili się zarówno do niego, jak i do starszego

Sasza poczuł, jak serce przestaje mu bić. Prosił Katię, żeby

kapłana, ale Sasza nie miał wątpliwości, że sercem i duszą był przy

zabrała Martina do kościoła, ale najwyraźniej coś się stało. Nie

Martinie i Panu Poranka. Teraz obudziły się w nim wątpliwości.

tracąc czasu na sprowadzenie własnego wierzchowca, wdrapał się

Katia uklękła obok i objęła go ramieniem. Równie delikatnie

na siodło przed Katię, chwycił wodze i skierował zwierzę w stronę

Sasza uwolnił się z jej uścisku.

świętyni.

- Nic mi nie będzie - rzekł, muskając czule jej policzek. -

Z domu burmistrza do kościoła nie było daleko, ale

Niebawem zajmę się Martinem. Możesz mnie teraz na chwilę

zdużanemu Saszy podróż zdawała się zabierać wieki.

zostawić? Muszę zostać sam z moim bogiem. Mam do niego wiele

- Co się z nim dzieje? - zapytał Katię, kiedy galopowali na

pytań.

miejsce.

- Wygląda na to, że zupełnie stracił rozum. Strasznie cierpi.

* * * *

Nie wiem, co mu jest.

Ledwie dojechali, Sasza zeskoczył z konia i pomógł zsiąść

Jander kolejny raz zszedł do lochów, gdyż nie dowierzał ani

dziewczynie, po czym razem otworzyli wrota prowadzące do

bezmyślnym szkieletom i zombim, ani okrutnym wampirzycom, że

niemal zupełnie pogrążonego w mroku wnętrza.

dostarczą odpowiedniego pożywienia nowemu więźniowi. Zdjął z

- Martin? - rzucił pytająco Sasza, mrugając oczami. Jedyne

uchwyty wiszący na zewnątrz żelazny klucz i otworzył skrzypiące

światło pochodziło z samotnej świecy na ołtarzu, w pobliżu którego

drzwi.

Sasza dostrzegł wreszcie skulony kształt.

Dziewczynka wpatrywała się w niego rozszerzonymi

- Martin! - krzyknął i pobiegł w kierunku drewnianego stołu.

oczyma.

Katia kręciła się gorączkowo, zapalając dodatkowe świece, żeby

- Masz - powiedział, stawiając przed nią talerz zjedzeniem. -

Sasza mógł lepiej widzieć.

Jedz.

Martin trzymał się za bok, pojękując cicho. Jego bladą twarz

Dziecko spojrzało na talerz, marszcząc nosek i znów

wykrzywił grymas okrutnego bólu, jednak gdy Sasza dotknął go,

podniosło wzrok na niego. Odwrócił się, zamierzając wyjść, a

wówczas dziewczynka wyciągnęła ręce i uczepliła się jego spodni.

Ciekaw był, co się stanie, jeśli spróbuje przejść przez most.

Przykucnął, żeby się jej przyjrzeć; twarz miała poważną, na szyi

Zanim taka myśl zdążyła się do końca ukształtować w jego

widniały dwie czerwone ranki. Jeśli chciał, Jander umiał posilać się

umyśle, był już w pół drogi przez rzekę, z dzieckiem śpiącym mu

delikatnie, zostawiając nikłe ślady. Nauczył również Strahda, jak to

spokojnie na ramieniu. W miarę zbliżania się do drugiego brzegu

robić, jednak pozostałe wampiry, twory hrabiego, przepełniała

czuł narastające uniesienie, a kiedy jego stopy dotknęły ponownie

żądza krwi. Strahd pozbywał się ich niedbale i z łatwością i elf

stałego ładu, z trudem powstrzymał się, żeby nie skakać z radości.

również nauczył się nie przejmować zbyt ich prawdziwą

Co jeszcze mógł zrobić z rzeczy, które kiedyś były mu zakazane?

śmiercią, kiedy znudziły władcę zamku. Niewolnice były okrutne -

Nosić święte symbole? Przejrzeć się w lustrze?

to dziecko nie przeżyłoby, gdyby któraś chciała ponownie pożywić

- Zobaczyć słońce?

się jego krwią.

Z zamyślenia wyrwało go warknięcie wilczycy. Stała obok

Nie bardzo wiedząc dlaczego, zły na siebie za okazywaną

niego wyprężona, strzygąc uszami i rozdymając nozdrza. Po chwili

słabość, Jander rzekł:

z cichym szcęknięciem zniknęła w cieniu, ruszając w drogę

- Chcesz wrócić do domu, panienko?

powrotną do zamku. Jander podążył wzrokiem tam, gdzie przed

- Tak, proszę pana, proszę - odpowiedziała, drżącym, miłym

chwilą się wpatrywała i w infrawizji dostrzegł przed sobą duży,

głosikiem. To, co zamierzał Jander, graniczyło z szaleństwem, ale

czerwony kształt Ułożył inaczej uciążliwy ciężar i zaczął się zbliżać

zbyt długo już siedział beczynnie. Cóż znaczyło dla Strahda jedno

w absolutnej ciszy.

małe dziecko? Bez dalszych słów Jander wziął dziewczynkę w

Wkrótce rozpoznał w poruszającym się człowieku Saszę i

ramiona, a ona objęła go za szyję i naturalnym ruchem oparła mu

domyślił się, co młodzieniec robi. Nie miał na sobie swej zwykłej

głowę na ramieniu, jakby był jej niańką. Po paru minutach już spała.

złoto-różowej szaty, tylko całkowicie czarne odzie nie. Wokół szyi

Ostrożnie wrócił na górę, do wyjścia, nasłuchując odgłosów

układał mu się kaptur, odsłaniając bladą, ściągniętą twarz. Przez

mogących zdradzić obecność innego wampira. Napotkał kilka

ramię przerzucił okrwawiony worek.

szkieletów, ale wszystko wskazywało na to, że niewolnice udały się

- Znow się spotykamy, Saszo Pietrowiczu - powitał go

na łowy. Strahda również nie było w zamku, co ostatnio zdarzało

Jander lekko rozbawionym głosem. - A więc to ty zabijasz

się niemal co noc. Nigdy nie zapraszał na nocne wędrówki Jandera

nieumarłych. Mogłem się tego spodziewać.

ani Triny i nigdy też nie mówił im, co właściwie robi.

Sasza odwrócił się gwałtownie, sięgając po medalion. Kiedy

Nieważne, rzekł sam do siebie Jander. Gdyby któraś z

rozpoznał, kto wyrzekł słowa powitania, napięcie częściowo opadło,

niewolnic wspomniała o dziecku, mógł się tłumaczyć, że zabiera ją

ale gdy dostrzegł, co wampir niesie na rękę, opanował go strach.

w inne miejsce, by się posilić.

- Rzuć ją natychmiast! - krzyknął rozkazująco. Jander

Wyszedł na podwórzec. Powitało go chłodne, nocne

uśmiechnął się niewesoło.

powietrze. Z ulgą przymknął oczy.

- Miałyby paskudne siniaki, gdybym to zrobił. To nie tak,

Nagle rozległo się donośne szczeknięcie i wystraszony
jak myślisz. Przyniosłem ją właśnie z... stamtąd, gdzie ją znalazłem.
rozejrzał się dookoła. Niedaleko siedział jeden z wilków

Na twarzy Saszy odmalowała się podejrzliwość.

mieszkających w Ravenloft, uderzając ogonem o bruk. Jander miał

- Na święte loki Sunę, chłopcze, czy naprawdę sądzisz, że

się na bacności; wilki były teraz zupełnie oddane Strahdowi. Ma

zawołałbym cię w ten sposób, gdybym właśnie posilał się jej krwią?

szczęście sondując umysł zwierzęcia znalazł tylko chęć

Sasza zignorował tę uwagę, zrzucił worek na ziemię i

towarzyszenia mu. W porządku, maleńka, powiedział w myśli do

podszedł do elfa z wyciągniętymi rękoma.

wilczycy, pobiegajmy trochę.

- Daj mi ją.

Elf biegł szybkim krokiem, mimo nieporęcznego brzemienia

Jander nie poruszył się.

i podążający obok wilk dyszał ciężko, a i tak, zanim dotarli do

- Nadal mi nie ufasz.

wioski, do świtu brakowało ledwie godziny. Jander zatrzymał się

- Jesteś wampirem! Jak mógłbym ci zaufać?

przed mostem. Po ostatnich burzach Mis wezbrała i bystro toczyła

- W takim razie czy zaufałybyś mi, gdybym próbował się

swoje brunatne, zmacone wody. Źle byłoby wpaść w jej nurt.

targować?

Spojrzał na most; dwadzieścia pięć lat temu nie potrafił sam go

Twarz Saszy pociemniała z gniewu.

pokonać i Pietia musiał go przenieść. Od tego czasu wraz ze

- Czego chcesz, nosferatu?

Strahdem albo udawali się wprost do wioski pod postacią

- Mieszkasz w kościele, jedynym miejscu w wiosce, w

nietoperzy, albo prze bywali rzekę powozem.

którym znajdują się jakieś księgi i zapiski. Szukam osoby imieniem

Jander wiedział, że odkąd przybył do Barovii moc, jaką

Anna, urodzonej około roku 333, według kalendarza Barovii.

dysponował, uległa zmianie. Kraina w okrutny sposób pozbawiła go

Sprawdź, czy znajdzie się tam coś na jej temat.

kontaktu z naturą, przydając jego dotykowi zabójczych dla roślin

- Czemu chcesz to wiedzieć? Jander czuł narastającą

właściwości. Z drugiej strony - zaobserwował, że potrzebuje mniej

irytację.

snu, niż w Faerun, fizycznie zaś jest silniejszy niż przedtem.

- Nie mam żadnych przewrotnych zamiarów, zapewniam

cię. Zapomniałeś, co to zaufanie i radość. Tęsknię za chłopcem,

i wysuniętym językiem. Na szczęście Sasza podszedł ich pod wiatr i

który opowiadał historie o duchach.

żadne ze stworzeń nie zauważyło jeszcze jego nadejścia.

Sasza zacisnął wargi; zaczynał tracić cierpliwość.

Poczuł wzbierający w nim znajomy gniew. Bogowie, ależ

- Ten chłopiec umarł tamtej nocy razem ze swoją rodziną.

nienawidził tych istot! Czuł też, jak wypełnia go strach, odwieczny

Niewiele zostało rzeczy, którymi mógłbym się cieszyć.

strach, ale jak zwykle udało mu się go stłumić. Wycelował

Coś w Janderze pękło, z wielką gwałtownością, która

dokładnie i rzucił flakonik wody święconej wprost w głowę

zaskoczyła ich obu. Jasne brwi złączyły się, kiedy zmarszczył czoło.

wampirzycy. Buteleczka rozbiła się, a woda rozlała, paląc ciało i

- Nic? Żyjesz. Jesteś młody. Nie musisz żywić się krwią

oślepiając ofiarę, która krzyknęła rozpaczliwie piekielnym głosem.

niewinnych, żeby przetrwać! - Gwałtownie wyciągnął przed siebie

Wilk poderwał się na nogi ze zjeżonym grzbietem i zaczął

ręce, na których trzymał dziecko. Dziewczynka obudziła się. -

warczeń złowrogo.

Możesz poczuć na skórze ciepło słońca, zaznać miłości kobiety,

- Demonie ciemności! - przeszył ciemność okrzyk Saszy. -

miłości swoich współpracowników... Na bogów! Gdybym był tobą, synu

W imię Lathandera, Pana Poranka, Nakazuję ci odejść stąd!

Pietii, każdego dnia składałbym dzięki na kolanach, śmiałybym się w

Szybkim gestem wyciągnął rękę z różowym dyskiem z

każdej minucie życia!

drewna. Malująca się na jego twarzy determinacja dodawała mu lat

Dziecko zaczęło płakać. Sasza chwycił ją i przytulił mocno,

tak, że wyglądał na znacznie więcej, niż swoje dwadzieścia cztery

a gdy tylko to uczynił, Jander przybrał wilczą formę i zniknął w
lata.

mroku, kładąc uszy po sobie.

Wampirzyca zasyczała. Z jej rysów zniknęły wszelkie ślady

Wybuch elfa zaskoczył Saszę. Jander miał rację: mnóstwo

urody, twarz przypominała maskę z krwi i przypalonego ciała.

rzeczy przyjmował za pewne i niezmiennie i wstyd mu było, że

Cofnęła się, zaskowyczała i zniknęła w mroku. Towarzyszący jej

nieumarły musiał mu to wytknąć.

wilk zatrzasnął pysk i również skoczył w noc. Sasza zmówił cichy

- Gdzie się podział złoty człowiek? - spytała dziewczynka.

dziękczynny pacierz do Lathandera, po czym pospieszył na pomoc

- Jesteś bezpieczna, malutka. Zabieram cię do domu.

leżącej mieszkance wioski.

- Chcę, żeby złoty człowiek wrócił! I chcę, żebyś mnie

Oddychała płytko, ale wciąż żyła. Z szybkością, którą

postawił na ziemi.

zawdzięczał wprawie, przemył ranę wodą święconą, ucisnął lekko,

- Zrobię to, jak tylko dojdziemy do wioski, hmmm? Sasza,

żeby powstrzymać krwawienie i obwiązał ją. Kiedy znajdą się w

nie zwracając zbyt wiele uwagi na szczebiotanie dziecka, myślami

bezpiecznym miejscu pomodlił się do Lathandera, by pozwolił mu ją

pozostawał przy elfim wampirze. Przebyli pół drogi do wioski, gdy

uzdrowić, teraz jednak bał się tracić czas. Okrył ranę płaszczem i

nagle do jego uszu doleciał gardłowy śmiech, poprzedzony

wrócił po dziewczynkę.

stłumionym jęknięciem. Najpierw zaczerwienił się, zmieszany,

- Jestem bardzo cicho - szepnęła głośno, kiedy odwiązywał

myśląc, iż oto napatoczył się na parę młodych kochanków, zaraz

ją od drzewa.

jednak dotarło do niego, że w jęku nie pobrzmiwał ani ślad

- Wiem, maleńka - odparł również szeptem Sasza. - Jestem z

rozkoszy, a śmiech był pełen okrucieństwa.

ciebie bardzo dumny.

Szybko postawił dziewczynkę na ziemi.

Kobieta próbowała usiąść, kiedy oboje podeszli bliżej.

- Co robisz? - spytała. Sasza założył jej na szyję własny

Widząc zbliżającego się Saszę próbowała dobyć sztyletu z buta, ale

medalion Lathandera i wyciągnął z worka kawałek sznura.

jej palce poruszały się niezdarnie.

- Muszę zawrócić, maleńka. Przywiążę cię tutaj, żebyś nie

- Spokojnie, spokojnie - mruknął Sasza. - Przez jakiś czas

zgubiła się we mgle, dobrze?

będziesz trochę osłabiona.

- Nie! - zaprotestowała, odymając gniewnie drobne, różowe

Spojrzała przytomniej na młodego kapłana, a on zdał sobie z

wargi.

przerażeniem sprawę, że zdjął kaptur. Czy wiedziała, że jest zabójcą

Sasza skrzywił się na dźwięk jej głosu.

wampirów? Widziała, jak atakował nieumarłe istoty? Starannie

- Zabawimy się w taką grę, dobrze? - szepnął. - Nazywa się

budowany wizerunek cichego, nieśmiałego kleryka legnie w

to „Gra w cicho” i ta dziewczynka, która będzie się zachowywała

gruzach, jeśli nie uda mu się jej przekonać, żeby dochowała

najciszej, dostanie garść jabłek w cukrze.

tajemnicy.

Dziecko wyraźnie rozpogodziło się na twarzy, kiedy kończył

- C-co się stało? - zapytała dziewczyna.

je przywiązywać do drzewa. Przyłożyła palec do ust; Sasza uczynił

- Zaatakował cię wampir.

podobnie. Ze zmrużonymi oczyma nasłuchiwał, próbując

- Jesteś kapłanem.

zlokalizować źródło dźwięku.

- Zgadza się.

Piękna kobieta pochylała się nad leżącą przed nią inną,

- Więc odpędziłeś go?

młodsza dziewczyną, przyciskając wargi do szyi ofiary i wysysając

Sasza zawahał się.

jej krew. Cienka strużka spływała po ciele leżącej, wsiąkając w

- No...

kołnierzyk. Obok leżał szarobury wilk z wpół zamkniętymi ślepiami

- Mogę ci pomóc - kobieta była słaba, ale najwyraźniej



mówiła poważnie. Zamrugała niepewnie oczami; nadal jest w pod brodę, zasłaniając się.

szoku, zawyrokował Sasza. - Na imię mam Leisl - dodała

- Wejdź proszę. Tb się nazywa szybkie pichcenie, Kat... och!

słabnącym głosem. - Mogę ci pomóc. Nie boję się tego... czegoś i

Do pokoju wszedł zatroskany Sasza, ubrany zwyczajnie, w

nie mogę znieść, że uczciwy złodziej nie czuje się bezpiecznie w

kapłańską szatę.

nocy. - Spojrzała nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. - Nie możesz

- Dzień dobry. Masz na imię Leisl, prawda? Lepiej się

cały czas sam tego robić. Co będzie, jak ci... się coś stanie...?

czujesz?

Oslabiona wysiłkiem i utratą krwi Leisl zemdląa i Sasza

- Tak, dziękuję - skinęła głową.

ledwie zdążył ją przytrzymać, żeby nie upadła.

- Słuchaj - zaczął Sasza, przesuwając sobie stołeczek bliżej

łóżka. - Musimy porozmawiać.

Leisl oparła się wygodniej na poduszce i skrzyżowała

ramiona na piersi.

OSIEMNAŚCIE

- Zaczynaj więc.

- Dziś w nocy mówiłaś, że jesteś złodziejką. Dziewczyna

Leisl poczuła na twarzy ciepło słonecznego światła. Powoli

zmartwiała. Czy naprawdę powiedziała coś takiego?

otworzyła nie przyzwyczajone do jasności, senne oczy, a kiedy już

- Obrażasz mnie. Nazywasz mnie złodziejką, a nawet mnie

mogła normalnie patrzeć, rozejrzała się dookoła.

nie...

Złote światło - wydawało jej się, że jest późne popołudnie -

- Tak mówiłaś, Leisl - powtórzył Sasza zmęczonym głosem.

wpadało przez jedyne w pomieszczeniu, niewielkie okienko, teraz

- Byłaś słaba, w głowie ci się mąciło, ale wiem, że to prawda.

otwarte, by umożliwić dopływ świeżego, letniego powietrza. Mały

Spuściła wzrok.

Lis leżała w niedużym, wygodnym łóżku, przykryta cienkim

- Chcesz mnie wydać? - W najlepszym wypadku zostanie

wełnianym kocem. Uwagę jej przyciągnęły ściany komnaty,

publicznie wychłostana na rynku, ale jeśli burmistrz będzie w

nachylone pod dziwaczными kątami, co kazało jej przypuszczać, że

wyjątkowo złym humorze, może kazać obciąć jej obie dłonie.

znajduje się na jakimś strychu. Poza łóżkiem jedynymi meblami,

Sasza pokręcił głową.

jakie dostrzegła, był niski stołek i stół, na którym stał świecznik i

- Proponuję ci interes. Nikt nie wie, że nocami... robię to, co

miednica.

robię. Muszę trzymać to w tajemnicy.

Wykręciła głowę, żeby lepiej się rozejrzeć i skrzywiła się z

- To rozumiałe; oboje będziemy dyskretni.

bólu. Podniosła dłoń do szyi i namacała bandaż na gardle.

- Nie możesz iść ze mną.

Przypomniała sobie wszystko, co się wydarzyło i zaczęła się

- Dlaczego?

zastanawiać, gdzie właściwie trafiła.

- To zbyt niebezpieczne. Leisl prychnęła w odpowiedzi.

Nagle drzwi otworzyły się i weszła przez nie młoda, ładna

- Sasza, nie odróżniłbyś niebezpieczeństwa od...

kobieta. Kiedy zobaczyła, że Leisl nie śpi, na jej twarzy pojawił się

- Widzę, że miło się wam rozmawia - przerwała Katia,

uśmiech.

wnosząc tacę z jedzeniem. Mimo wcześniejszych mdłości Leisl z

- Gdzie jest Sasza? - zapytała Leisl tonem nie znoszącym

przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach potraw. Katia

sprzeciwu.

przyniosła gorącą owsiankę, kawałek chleba, masło, jajka sadzone i

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną, ale nie przestawała

duży dzbanek świeżego mleka.

się uśmiechać.

- Mam wrażenie - rzekła Leisl, kiedy Katia położyła jej tacę

- Już nie śpisz? To dobrze. Nazywam się...

na kolanach - że bardzo szybko zjem to wszystko.

- Katia, wiem. Gdzie Sasza? Katia, zdumiona, uniosła brwi.

- To dobrze - zgodziła się Katia. - Przydałoby ci się trochę

- Nie ma go tutaj w tej chwili, kazał mi się tobą opiekować.

więcej ciążka na tych kościach.

Jesteśmy w kościele - to jego pokój. Masz ochotę coś zjeść?

Leisl obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem, ale Katia zdawała

Na myśl o jedzeniu Leisl poczuła mdłości, ale chcąc choćby

się tego nie zauważać.

na chwilę pozbyć się Katii, odparła:

- Zostawić was, żebyście sobie jeszcze pogadali? - spytała.

- O tak, z przyjemnością bym coś przegryzła.

- Tak, proszę - odparł kapłan. Katia nachyliła się i pocała-”

- To dobrze. Zaraz wrócę, a ty leż i wypoczywaj - poklepała

wała go w policzek.

jej dłoń siostrzanym gestem i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała - rzuciła na

Cudownie, pomyślała z sarkazmem Leisl. Leżę w łóżku

odchodnym do Leisl.

człowieka, którego kocham, a zajmuje się mną jego narzeczoną; po

Zapadła niezręczna cisza. Mały Lis rzuciła się na jajka.

prostu cudownie. Ostrożnie usiadła na łóżku i zauważyła, że ktoś ją

- Niezłe. Chcesz trochę? - zagadnęła z pełnymi ustami.

przebrał: miała teraz na sobie męską, bawełnianą, o wiele za dużą

- Nie, dziękuję - skrzywił się Sasza. Leisl wskazała

koszulę i nic poza tym.

widelcem na drzwi.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mały Lis podciągnęła koc

- Czy ona wie o twoim, hmmm, hobby?

- Nie, i chciałbym, żeby tak to zostało. Powiedziałem jej, że

zajęcie jest dostatecznie niebezpieczne dla jednej osoby, zaś dwie, a

znalazłem cię dziś wcześniej rano na progu - przerwał, po czym po

zwłaszcza dziewczyna...

chwili ciągnął dalej: - Doceniam twoją propozycję pomocy, ale to

Mały Lis posiadała mu spojrzenie zdolne zabić.

ramię.

- Saszo Pietrewiczu, odkąd skończyłam siedem lat kradnę,

Wampirzyca wydała głośny jęk, ale atramentowo czarna woda

żeby przeżyć - rzuciła ostro. - Udało mi się wykaraskać z sytuacji,

wypełniła jej gardło i wlała się do nozdrzy. Poszli oboje na dno

od których posiwiałyby ci te kruczoczarne włosy. Może ta

niczym kamienie, tym bardziej, że wampirzyca zupełnie nie umiała

dziewczynka o słodkiej buzi nie byłaby w stanie sobie z tym dać

pływać. Poczwała, jak człowiek próbuje wyrwać się z jej objęć i

rady, ale to nie znaczy, że ja nie potrafię. Więc nie mów mi

zaciśnęła ciaśniej uchwyt na jego chudym ciele. Do diabła, jeśli miała

więcej, że jestem dziewczyną, dobrze?

zginać, to zabierze go ze sobą...

- Nie umiesz okazać wdzięczności komuś, kto właśnie

Mały Lis przyglądała się niespokojnie całej scenie z kryjówki

uratował ci życie - cicho zauważył Sasza.

na wysokim powykręcany drzewie, rosnącym nad brzegiem rzeki.

Leisl spuściła oczy, wlepiając je w talerz.

Nic nie umknęło jej uwagi: Sasza bez wątplenia był najgłupszym

- Przepraszam. Masz rację. To jest mój problem. Nie

młodym człowiekiem, jakiego zdarzyło jej się w życiu widzieć, a

przerwała jedzenia.

widziała wielu głupich, młodych mężczyzn. Musiała jednak przyznać,

- Katia dobrze gotuje - przyznała.

że wyglądał na takiego, który dokładnie wie, co robi. W końcu

- Więc mogę ci zaufać, że mnie nie zdradzisz?

przecież to on uratował ją przed wampirem.

Dziewczyna zaczęła smarować chleb masłem.

Leisl zaczęła się denerwować, kiedy na powierzchnię wody

- Tak. Będę trzymała buzię na kłódkę, jeśli tylko ty

wypląnęły bąbelki powietrza, pękając z cichym „pop”; zaniepokoiła

uczynisz tak samo.

się jeszcze bardziej, gdy bąbelki przestały się pojawiać. Po upływie

- Dziękuję ci, Leisl. Możesz tu zostać do czasu, aż

kilku kolejnych długich sekund zakłęta siarczyście i skoczyła w wodę.

poczujesz się lepiej.

Ależ ta woda była zimna, mimo lata! Szok wywołany zmianą

Sasza wstał i bez dalszych słów wyszedł z pokoju. Mała temperatury sprawił, że omal nie wypuściła całego powietrza z płuc, Lis patrzyła w ślad za nim, gdyby mógł widzieć malujące się na ale tylko zagryzła wargi i zanurkowała głębiej. Jej dłonie natrafiły na jej twarzy rozmarzenie, byłby autentycznie zdumiony. Po chwili miękkie ciało.

skupiła się ponownie na znakomitym śniadaniu; nie zamierzała Wampirzyca nie żyła, ale Sasza nie mógł uwolnić się z jej stąd odejść, dopóki nie skończy posiłku.

uścisku i wydostać na powierzchnię. W ciemnościach Leisl nic nie widziała, ale domyśliła się, że to kapłan próbuje się wyrwać i

spróbowała odgiąć martwe dłonie, zaciśnięte na jego szyi. Kawałki mięsa wampirzycy, oderwane od kości przez bezlitosny nurt

Wampirzyca wciągnęła w nozdrza powietrze i na twarz

przeplływały koło niej w wodzie. Sasza przez kilka bezcennych chwil wypłynął jej uśmiech. Ludzka krew.

próbował walczyć z Leisl, ale wreszcie wyszarpnął się i wypłynął na

Siedzący u jej stóp wilk również wyczuł tę woń i

powierzchnię. Mały Lis wynurzyła się obok niego.

powarkiwał cicho, gotów do łowów. Wspólnie zaczęli podchodzić

Przez długą chwilę oboje kaszleli niczym zaawansowani zwierzyne.

gruźlicy, głośno i szybko wciągając powietrze, zanim Sasza zaczął

Ten niewysoki, szczupły człowiek, odziany na czarno,
płynąć w stronę brzegu. Wyszli z wody, trzęsąc się z zimy. Sasza
będzie łatwym kąskiem. Stał na brzegu płynącej wódki Ivlis,
odszukał swój płaszcz i otulił nim dziewczynę, która z wdzięcznością
zabawiając się wrzucaniem kamyczków w jej nur.

powitała tę odrobinę ciepła. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać
W zupełnej ciszy skoczyła na mężczyznę, ale to on jej
szczękanie zębów.

zgotował niespodziankę. Gdy tylko jej ręce oplótł jego ramiona,
- Nie powinnaś była iść za mną - odezwał się Sasza. - Mogło ci
rzucił się w fale rzeki, próbując się odwrócić i chwycić ją za
się coś stać, mogłaś nawet zginąć. To niebezpieczne zajęcie.

Mały Lis parsknęła tylko.

- Pewnie. Utopiłbyś się, gdyby nie ja - rozchyliła płaszcz. - P-przysuń się. Zaraz umrzesz, jeśli się nie
r-rozgrzejesz.

Sasza zawahał się. Na myśl przyszła mu Katia, ale odpędził ten obraz. Trudno było uważać Leisl za
kobietę i z pewnością nie zagrażała

miejscu Katii w jego sercu. Przytulili się ciasno, a Sasza owinał ich płaszczem.

W milczeniu ruszyli w stronę wioski. Leisl prawie dorównywała młodemu kapłanowi wzrostem,
toteż z łatwością dotrzymywała mu

kroku.

- No to kiedy idziemy następnym razem? - spytała.

Sasza zatrzymał się i spojrzał na nią wściekle z odległości kilku cali.

- Czemu sądzisz, że cię wezmę ze sobą?

- Ależ weźmiesz - uśmiechnęła się chytrze. - Bo inaczej powiem twojej ukochanej Katii, co robisz po
zmroku.

Kapłan poczerwieniał ze złości. W najmniejszym stopniu nie wstydził się tego, że polował na wampiry, ale nie chciał w to wplątywać w

niewinnej Katii, swojej przyszłej żony; gdyby sprawa wyszła na jaw, groziłoby jej więcej niż śmiertelne niebezpieczeństwo. Poza tym dość już

wycierpiała w swoim krótkim życiu i nie zamierzał przysparzać jej trosk, kładąc martwić się o niego.

Mały Lis uniosła brwi.

- I jak? Co wybierasz? Wolisz współnika czy oszalałą narzeczoną?

Nie miał wyboru i dziewczyna doskonale o tym wiedziała. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby jej odpowiedzieć, tylko wyszarpnął płaszcz

i ruszył dalej sam.

- Hej! - krzyknęła Leisl, doganiając go.

- Będziesz musiała poprzysiąc wierność Lathanderowi, Panu Poranka - stwierdził Sasza nie patrząc na nią. - Tylko wtedy będziemy się

moгли razem pokazywać.

- W porządku. Właściwie i tak mi się podoba taki pomysł.

- Będziesz musiała wykonywać moje polecenia nie podając ich w wątpliwość.

- Też zgoda.

- I koniec ze złodziejstwem. Nie zgodzę się pracować z kimś, kto utrzymuje się z kradzieży.

Leisl już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zamiar.

- Dobrze. Jestem przyjęta?

Wreszcie spojrział na nią. Na jego twarzy irytacja walczyła z rozbawieniem.

- Umiesz człowiekowi zatruć życie. I dobrze o tym wiesz Mały Lis wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Twój ruch - rzekł Strahd.

Jander, wpatrzony w planszę, zmarszczył brwi. Rozgrywali partię wymyślonej przez Strahda gry pod nazwą „Jastrzębie i zające”. Rzecz

jasna, pan Barovii zawsze nastawał na odgrywanie roli Jastrzębia, ale w miarę, jak Jander poznawał

tajniki gry, stawał się dla hrabiego

równorzędnym przeciwnikiem. W przedłużającej się ciszy rozlegał się tylko trzask płonącego na kominku ognia. Wreszcie Jander przesunął

swojego zajęcia o dwa pola w prawo.

- W pięciu ruchach dotrę do nory - oznajmił. Strahd zamyślił się, badawczo obserwując planszę.

- O ile nie uruchomię swojego gołębiarza - wymruczał, „spadając” z góry na Janderową bierkę. Wziął do ręki szary kamień i odłożył go

na stertę podobnych kamyków, jakie zabrał elfowi, odkąd zaczęli grać. - Zawsze odsłaniasz plecy, Jander.

- A ty - odrzekł zadowolony z siebie elf - zawsze zapominasz o drobiazgach.

Przeskoczył zajęczyą dwa pola.

- Zajęczycza w norze. Zgodnie z zasadami pozwala mi to... - policzył znajdujące się na planszy bierki - wprowadzić do gry pięć nowych

kociąt.

Z rozbawieniem wybrał pięć kamieni ze stosu.

- Grasz defensywnie - zauważył Strahd.

- Jestem zajęcem. Taka moja rola.

- Nudzę się - mruknęła Trina, kręcąca się wokół nich od początku wieczoru. Strahd coraz rzadziej spędzał nocę w domu i zdecydowanie

nie podobało jej się, że wolał pograć z Janderem, niż jej poświęcić swoją uwagę. Wyciągnęła się przy kominku, opierając się ramieniem o

drzemiącego obok ogromnego, szarego wilka.

- Cisza! - warknął hrabia. Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. - Wejść.

Weszła jedna z jego niewolnic.

- Ekscelencjo, jakiś Vistani chce się z tobą widzieć. Mówi, że to ważne.

Strahd zwrócił się w jej kierunku, zapominając o grze.

- Zaraz zejdę. Janderze, Trino, niedługo wrócę. - Wstał, zatrzymał się w pół kroku, zrobił ruch na planszy i uśmiechnął się lodowato. -

Twoja zajęczyca nie żyje.

Wyszedł, powiewając czerwono-czarnym płaszczem. Trina wskoczyła na opuszczony przez niego fotel.

- Naucz mnie w to grać, Jander - spojrzała na okrągłe, gładkie kamyki.

- Nie dziś - odparł, po czym zapytał: - Wiesz może, gdzie Strahd ostatnio znika na całe noce?

Zmarszczyła brwi.

- Nie. Kiedyś zabierał mnie ze sobą, ale już tego nie robi. Mówi, że kogoś szuka. Czemu jedne kamienie są szare, a inne w różnych

kolorach?

Jander nie zwracał na nią wcale uwagi. Myślami był przy hrabim i zastanawiał się, czy Strahd zauważył, jak bardzo się zmienił. A więc

„szuka kogoś”. Nie był tym specjalnie zaskoczony. Zastanawiało go natomiast to, że Strahd nie prowadził metodycznej masakry mieszkańców

wioski w poszukiwaniu swojej nemezis, potrafił za to zniknąć na tydzień, czasem dłużej, prowadząc sekretne dochodzenie i rozbudowując siatkę

szpiegów.

Takie powstrzymywanie się od otwartego działania wcale nie oznaczało, że godził się z istniejącym stanem rzeczy, i Jander zdawał sobie

sprawę, że Sasza wpadnie w końcu w sieć. W myślach życzył chłopcu szczęścia.

Vistani znaleźli kolejną z moich niewolnic - głos Strahda wyrwał elfa z zamyślenia. Hrabia stał w drzwiach gabinetu, trzęsąc się z

wściekłości.

Co się stało tym razem? - zapytał Jander.

- Utopił ją. Marię. Niech go diabli, niech go diabli! Jander przypominał sobie Marię, najnowszy dodatek do grona Strahdowych

ślicznotek. Zmysłowa kobieta, o dużych, hipnotyzujących oczach, bardzo przypadła hrabiemu do gustu; nic więc dziwnego, że był wyjątkowo

rozwścieczony.

- Ten mój nieprzyjaciel jest niesamowity! Tyle razy powtarzałem niewolnicom, żeby nie włączyły się same. Ostrzegałem je. A jemu

wciąż udaje się je zaskoczyć i zabić. Shurę oślepił, żeby nie mogła go zidentyfikować. Zaczynam się zastanawiać, czy jest kimś więcej niż

zwykłym śmiertelnikiem - Strahd uśmiechnął się przebiegle. - Dobrze, że mam w zanadrzu nowe czary, którymi będę mógł z nim walczyć.

Trina, z roztargnieniem bawiąc się figurami na planszy, mruknęła coś pod nosem. Strahd nasrożył się.

- Słucham, śliczności moje? Trina odęła wargi.

- Nic - odparła markotnie.

Utrzymywany dotąd na wodzy gniew hrabiego wybuchnął z pełną siłą. Strahd podszedł do dziewczyny, złapał ją włosy i odchylił jej

głowę do tyłu.

- Pamiętaj, kto jest twoim panem, wilcze szczenię - warknął, zbliżając usta do jej szyi. - Nie mogę posilić się twoją krwią, ale mogę

odebrać ci życie. Co powiedziałaś?

- Strahd... - zaczął Jander.

- Cisza! - wykrzyknął wampir, dodając kilka niezrozumiałych słów. Jander chciał skończyć, ale stwierdził, że nie może mówić. Podniósł

dłonie do szyi, jakby chcąc wydobyć siłą słowa z gardła.

- Mów! - rozkazał wilkołaczycy Strahd.

Trina płakała, trochę z bólu, trochę ze złości, ale odparła:

- Powiedziałam: „Gdybyś nie miał tylu tych głupich niewolnic, to byś ich nie tracił!”

Strahd puścił ją, krzywiąc twarz w wyrazie pogardy. Trina spadła z fotela, zmieniając się w wilczycę. Hrabia spojrział na planszę do gry i

twarz pociemniała mu jeszcze bardziej.

- Trina, bawiłaś się moimi figurami. Powiedziałem ci, żebyś nigdy ich nie dotykała.

Ale zanim mógł ją dodatkowo ukarać, Trina skończyła przemianę i wypadła pospiesznie przez otwarte drzwi, chowając ogon pod siebie.

- Mała, zazdrosna suka - rzucił Strahd. Jego gniew ustępował miejsca samozadowoleniu. - Nie cierpi, kiedy nie zwracam na nią uwagi.

Zaraz wróci, żeby się do mnie łąsić. Będzie moja tak długo, jak zechcę; pożąda mojej magii - i zaraz dodał - i mnie.

Popatrzył na Jandera i uwolnił go spod wpływu zaklęcia uciszającego.

- Strahdzie, mówiłem ci, że nie znoszę magii! - wściekłym tonem rzekł elf. - Czemu nie możesz tego uszanować? Ludzie giną, ty

dopuszczasz się okrucieństw - i po co to wszystko? To pogwałcenie praw natury! Magia nie przynosi ci ukojenia, prawda?

Oczy Strahda zapłonęły czerwono.

- Uważaj co mówisz, Janderze, mój przyjacielu - odrzekł niebezpiecznie spokojnym głosem. - Pamiętaj, czym jesteś gościem. I pamiętaj

również, że sam jesteś zaprzeczeniem praw natury.

Elf zamarł jak rażony gromem. Strahd nie zwracał na niego uwagi, na nowo rozstawiając figury na planszy.

- Zagramy od nowa? - zagadnął.

Jander wybiegł z gabinetu, chcąc znaleźć spokój w leśnych ostępach. Przez całą drogę z zamku czuł na plecach powiew bryzy niosącej

wszystkie zapachy lata. Kiedy zaszył się w leśnym gąszczu, wyjął flet i zaczął grać niespokojną, gorączkową melodię. Jego palce tańczyły po

instrumencie, gdy próbował przelać przepełniający go gniew w muzykę.

Jestem zaprzeczeniem praw natury, pomyślał gorzko, ale jestem zarazem czymś więcej, czymś, czego Strahd nigdy nie pojmie.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie rozgłosić w wiosce o zbrodniach hrabiego, ale nie mógł się pogodzić z myślą o zdradzie. Na Torii on też

został zdradzony i stracił wszystko

- życie, szczęście, może nawet swoją nieśmiertelną duszę. Wspomnienia wyparły z jego umysłu całą złość i pogrzyżył się w nich, dając się

porwać wszechogarniającemu smutkowi.

Ogień strzelił wysoko, gdy Jander dorzucił świeżo przyniesioną porcję suchych gałęzi. Cofnął się od trzaskających płomieni, z których

buchnął teraz snop iskier. Po chwili ognisko uspokoiło się, rozsiewając wesołą poświatę.

Ale elfowi wcale nie było lekko na duszy. Czuł się zmęczony, a wciąż czekało go kilka dni podróży. Parę kroków dalej jego koń z

zadowoleniem skubał trawę, od czasu do czasu strzygąc uchem w kierunku właściciela. Jander rozłożył sobie posłanie i zaczął grzebać w torbie

w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mu zmusić burczący brzuch do milczenia. Skrzywił się widząc rezultat tych poszukiwań: z zapasów

został mu jedynie kawałek solonej, prawie niezjadliwej, wołowiny i trochę czerstwego podróznego chleba. Bez specjalnego entuzjazmu odgryzł

kęs chleba, zdając sobie sprawę, że powinien się ruszyć i zastawić wnyki na królika.

Serce zabiło mu żywiej na myśl o powrocie do domu. Od dwustu lat włóczył się po Faerun walcząc ze złem, poznając nowych przyjaciół,

sypiając na twardej, zimnej ziemi - każdego by to zmęczyło. Zawsze podtrzymywał dobrą reputację rodu Sunstar. teraz słyszał w duszy śpiew

Evermeet, które wzywało go do siebie. „Evermeet, Evermeet, ojczyzno Ludzi...”

Samotny w mroku nocy Jander sięgnął po flet. Sam go wyrzeźbił jeszcze na Evermeet i wszędzie ze sobą woził, jako jedyne stałego

towarzysza w ciągu tych dwustu lat. Ostrożnie odwinął instrument z pokrowca i podniósł go do ust.

Niezwykła, mająca w sobie coś z magii muzyka, słodka niczym ptasi śpiew i zniewalająca jak szum morskich fal, popłynęła w powietrzu.

Klacz elfa przerwała posiłek, żeby się w nią wsłuchać. Gideon mawiał, że nawet dzikie zwierzęta leśne porzucały swoje zwykłe zajęcia i

słuchały, jak Jander gra. Elf nie potrafiłby powiedzieć, czy to prawda, ale gra na flecie przynosiła mu ulgę.

Czysty dźwięk brzmiał w jego duszy jeszcze chwilę po skończeniu gry.

- Nikt na Torii nie potrafi tak grać, jak ty, przyjacielu - doleciał go głos.

Jander w mgnieniu oka dobył miecza.

- Kto to? - zapytał, zaniepokojony, gdyż nie słyszał nadejścia intruza.

W odpowiedzi na jego pytanie do ogniska podeszła jakaś postać. Mężczyzna zbudowany był potężnie, jak wojownik, ale nosił kapłańskie

szaty. Janderowi zaparło dech w piersi i przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

- Gideon - rzekł wreszcie cicho. - Myślałem, że zginąłeś w Daggerdale!

- Tak by się pewnie stało, gdyby nie Cud Ilmatera. Zostałem pobłogosławiony, Ilmater uwolnił mnie od bólu.

Jander słyszał już kiedyś o Cudzie - bywało, że gdy jakiś szczególnie gorliwy kapłan Ilmatera przeżywał straszliwe cierpienia, bóg

zstępował na ziemię i zajmował jego miejsce. Nie zdarzało się to często, jednak zdaniem elfa Gideon z pewnością na ten dar zasługiwał.

Wsunął miecz do pochwy, odrzucił go na posłanie i podszedł do przyjaciela z ramionami wyciągniętymi w powitalnym geście.

Uśmiechnięty Gideon wyszedł mu na spotkanie i omal nie zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku.

- Dzięki niech będą bogom, dzięki...

Słowa modlitwy przemieniły się w ustach Jandera w zduszony jęk, gdy poczuł wbijające mu się w gardło dwa drobne, palące żywym

ogniem punkciki. Miał wrażenie, że wraz z ciałem przebijają jego duszę. Przeszywający ból rozszedł się w głąb trzewi i zdawało mu się, że duch

uchodzi z niego przez dwie ranki w tętnicy. Ledwie poczuł własną krew spływającą po szyi i plamiącą błękitną tunikę.

Próbował odepchnąć od siebie Gideona, ale nie miał siły i tylko niepewnie oparł dłonie na masywnej klatce piersiowej kapłana. Wampir

posiłał się, Jander zaś czuł, jak jego świadomość zmniejsza się do rozmiarów małego światełka, tuż pod powiekami; wkrótce zgasła

zupełnie.

Po jakimś czasie odzyskał przytomność leżąc pod cienką warstwą wilgotnej i chłodnej ziemi. Czując na twarzy jej ciężar, spróbował

poruszyć się i wytrzeć piasek z oczu, ale wówczas stwierdził, że reszta ciała jest również przysypana. Wpadł w panikę, kiedy zdał sobie sprawę,

że oto spoczywa w grobie i zaczął wygrzebywać się z niego, opętańczo otrząsając ziemię z twarzy i wygrzebując sobie rękoma drogę na

powierzchnię.

Strach dodał mu sił i po chwili odczołgiwał się od płytkiego dołu, w którym leżał. Opadł bezwładnie na ziemię, nie starczyło mu sił, by

stać na nogi i zorientować się w sytuacji. Był w stanie tylko wpatrywać się w wykop, przypominający wstrętą szramę w żyznej leśnej ziemi i

wznosić dziękczynne modły, że udało mu się wymknąć.

- Dobry wieczór, Janderze - doleciał go chropawy głos. - Mam nadzieję, że dobrze ci się spało - słowom towarzyszył nerwowy śmiech.

Nadal osłabiony Jander usiadł i odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos. Z cienia pobliskiego drzewa wynurzył się młody,

szczupły mężczyzna o bladej twarzy okolonej burzą loków w kolorze miedzi. Jeden niesforny kosmyk opadał mu na czoło. Oczy miał ogromne,

przypominające ślepia sarny. W białych dłoniach miętosił miękkie, rękawiczki z cielęcej skóry, nerwowo zagryzając dolną wargę. Reszta jego

stroju, od skórzanych butów począwszy, na płóciennej koszuli kończąc, również była znakomitej jakości.

- Kim... - próbował zacząć Jander, ale tylko zaskrzeczał niewyraźnie. Przesunął językiem po wargach i odezwał się ponownie: - Kim

jesteś? Gdzie jest Gideon?

Młodzieniec znów zaśmiał się, krótko, chrapliwie.

- Twój przyjaciel pyta o ciebie, kleryku.

Niegdysiejszy kapłan stanął tak, by Jander mógł go widzieć. Jego oczy lśniły niesamowitym, czerwonym blaskiem, a wykrzywione w



uśmiechu wargi odsłaniały białe, ostre kły. Gęstą brodę miał pozlepianą krwią. Jander poczuł lodowate ukłucie nienawiści, kiedy zdał sobie

sprawę, że to jego krew.

- Teraz jesteś jednym z nas, Jander - rzekł Gideon tonem, w którym nie pozostało nic z dźwięcznego, smutnego brzmienia, jakie pamiętał

elf. Zamiast tego pobrzmiwało w nim szyderstwo.

- Teraz jesteś jednym z nas. Jander podniósł rękę do szyi - była gładka, bez żadnych śladów. Jeszcze go nie dostali, więc gdyby...

- Nie, Janderze Sunstar - odezwał się rudowłosy mężczyzna. - Naprawdę jesteś wampirem. Spróbuj wyczuć swój puls. Cały dzień minął,

odkąd nie żyjesz.

- Powoli, nie spuszczać wzroku z Gideona i obcego człowieka, Jander dotknął jedną ręką nadgarstka drugiej. Zmarszczył czoło i

przesunął uchwyt.

Nie czuł pulsu.

Nie podnosząc się z ziemi wykręcił głowę i spojrzał na tajemniczego obcego, który przyglądał mu się badawczo.

- Ten mi się naprawdę podoba, Gideonie. Dobrze się spisałeś. Przynieś mu coś do zjedzenia. Janderze, nazywam się Cassiar i jestem teraz

twoim panem.

- Nie - wyszeptał elf. - Gideon... Byliśmy przyjaciółmi!

- Twoim przyjacielem był śmiertelny Gideon - warknął w odpowiedzi wampir, zbliżając się do Jandera, aż ten dostrzegł, że trzyma w

ramionach jasnowłose dziecko. - Ja to Gideon wampir i nie potrzebna mi moja przeszłość. Cassiar jest moim panem i jemu jestem posłuszny.

- Jesteś bardzo głodny, Janderze, nieprawdaż? - zamruczał Cassiar. Elf nagle poczuł głód i dotarło do niego, że jego od niedawna

nieumarłe ciało domaga się świeżej krwi z gardła chłopca. Kły wysuwały się bez udziału jego woli, reagując na jej zapach i przyprawiając go o

dziwne pulsowanie w szczęce. Opanowało go przerażenie.

- Nie! - krzyknął zasłaniając twarz dłońmi. - Nie możecie mnie zmusić, żebym zrobił to dziecku!

Cassiar zmarszczył brwi, odymając gniewnie wargi.

- Nie masz tu nic do powiedzenia. Będziesz mi posłuszny - a ja rozkazuję ci pić.

Jander był jeszcze zbyt młodym i słabym wampirem, by stawić opór poleceniu swego mistrza. Z obrzydzeniem, niezdarnie wgrzył się w

gardło chłopca; krew dziecka zbryzgała jego złotą twarz. Jego umysł wzdragał się przed tym, co robił, ale ciało piło chciwie, gwałtownie.

Kiedy było po wszystkim, Jander spojrział z nienawiścią na Cassiara. Potrzebował na to bez mała sto lat, ale w końcu zgładził swojego

mistrza. Ten akt buntu pozwolił mu ukształtować własną przyszłość, ale niewiele pomógł w uwolnieniu duszy od klątwy, jaką zawdzięczał

własnemu przyjacielowi - zdrajcy.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Sasza z przerażeniem skonstatował, iż oto drży cały, stojąc nad ciałem swojej ostatniej ofiary. Próbował uspokoić nerwy,

przyklękając na ściółce leśnej, ale nawet po dłuższej przerwie dopiero za drugim razem zdołał wyrwać włócznię z piersi wampirzycy. Pot

w

ystąpił mu na czoło, gdy napełniał śliczne usta czosnkiem; uparcie ignorował Leisl, która stała nieruchomo, obserwując jego

podenerwowanie.

Wzniósł nieduży toporek, szykując się do odcięcia głowy, ale ręce tak mu się trzęsły, że nie potrafił tego zrobić.

- Tym razem ja to zrobię - odezwała się Mały Lis, wyciągając dłoń po oręż płynnym, naturalnym

ruchem. Kapłan z wdzięcznością oddał

jej siekierkę i z podziwem przyglądał się następnie, jak pozbawia trupa głowy. Prawdziwa profesjonalistka - żadnego drżenia rąk, żadnych łez..

Nie pierwszy raz Sasza zadawał sobie pytanie, czy ta dziewczyna w ogóle ma serce.

Wampirzyca stała się istotą nieumarłą ledwie kilka tygodni temu. Bijąca od niej woń krwi i zgnilizny uderzyła w jego nozdrza. Sasza

pobladł, potykając się wstał, z trudem dobrnął do najbliższego drzewa i zwymiotował. Leisl taktownie nie zwróciła na niego uwagi, zajęta pracą.

Sasza oparty o pień starał się ze wszystkich sił opanować dreszcze. Otarł usta wierzchem dłoni. Oczywiście, że się bał. Zawsze się bał.

Tylko głupiec nie odczuwałby zdrowej obawy w obliczu tych obdarzonych wielką mocą przebiegłych stworzeń. Głupiec - albo impulsywne,

niewinne dziecko, którym był tamtej odległej nocy, kiedy nierozważnie rzucił wyzwanie nocy tylko po to, by stracić rodzinę, zgładzoną w

domowym sanktuarium.

Tu nie chodziło o strach, tylko o tę nagłą słabość.

Coś białego zatrzepotało na samym skraju jego pola widzenia. Natychmiast wróciła mu dawna czujność; w żyły runął wartki potok

adrenaliny. Czyżby kolejny wampir? Ponownie dostrzegł ruch i tym razem udało mu się ją rozpoznać.

- Katia! - krzyknął, a jego ostry głos przeciął gęstą, wszechobecną ciszę letniego lasu. Nie zastanawiając się dłużej, rzucił się w pogoń.

- Sasza, zaczekaj! - wykrzyknęła Leisl. Przeklinając zebrała narzędzia w zakrwawione ręce i pobięła za nim.

Nietrudno było go dogonić, gdyż Katia, czy też cokolwiek to było, zniknęła. Kapłan oddychał szybko, chrapliwie; na jego twarz wystąpił

prawdziwy strach.

- Katia! - powtórzył, jak gdyby to jedno słowo wyjaśniało wszystko.

W Leisl serce zamarło. Wiedziała, dokąd zmierzają.

Zaniepokojony Sasza narzucił szybkie tempo i kiedy doszli do wioski, oboje dyszeli ciężko. Sasza

załomotał w drzwi niewielkiego

domku Katii.

- Katia? Kochanie, to ja. Proszę, otwórz drzwi!

Długo nikt mu nie odpowiadał. Po twarzy Saszy znać było, jak bardzo się denerwuje, gdy paznokciem kciuka odłupywał drzazgę z

framugi. Wreszcie drzwi uchyliły się odrobinę i wyjrzała przez nie wystraszona Katia. Dłoń zacisnęła na zawieszonym na łańcuszku na szyi

świętym symbolu.

- Sasza? Och, Sasza!

Szlochając rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno.

- Najdroższa, co się stało? Wydawało mi się, że cię widziałem... - w samą porę urwał. - Tam, na zewnątrz.

- Och, Sasza, to możliwe. I to właśnie jest takie straszne! - wpatrywała się w niego ogromnymi, szklistymi od wzbierających łez oczyma.

- Ja... jestem lunaticzką - wyznała szeptem.

Sasza zmartwiał. Lunatyzm oznaczał w Barovii kuszenie nieszczęścia. Sasza wiedział najlepiej, jak niebezpieczne mogło być chodzenie

we śnie. Pod wpływem nagłego impulsu odgarnął jej włosy z szyi, obawiając się, że odkryje dwie wszystko mówiące ranki. Westchnął głęboko z

ulgą, kiedy nie dostrzegł żadnych śladów na jej skórze.

- Mam takie straszne sny - ciągnęła Katia. - Śni mi się krew i że ktoś skrada się za mną w ciemnościach. Potem budzę się i nie wiem,

gdzie jestem! - Znów wybuchnęła płaczem i wtuliła twarz w pierś Saszy. - Chciałabym... wiem, że to złe, ale... chciałabym, żebyś był tu przy

mnie, kiedy idę spać, tak, żebym wiedziała, że nie jestem sama.

- Hej, wy tam, zimno się robi, a poza tym też chciałabym się trochę przespać - wtrąciła się gwałtownie Mały Lis.

Sasza wzdrygnął się. Wytracony z równowagi reakcją Katii zupełnie zapomniał o Leisl.

- Ależ oczywiście - odparła Katia, pociągając nos i odsuwając się wstydliwie od kapłana -
Przepraszam, Leisl. Ze mną już wszystko w

porządku.

Nie udało się jej jednak nabrać żadnego z dwojga gości - w jej oczach nadal lśniły łzy, a dolna
warga drżała.

- Masz - rzucił Sasza, zdejmując z szyi medalion Lathandera i zawieszając go na karku Leisl. -
Wracaj do kościoła. Spotkamy się tam

rano. Nie podoba mi się pomysł zostawienia Katii samej w takiej chwili.

Katia wydała z siebie cichy, pełen wdzięczności jęk i mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Dobrze - rzuciła Mały Lis. - Do zobaczenia. Spojrzała na Katię i już zamierzała coś powiedzieć,
ale po krótkim namyśle zrezygnowała.

Tym razem lepiej było szybko zniknąć niż odpowiadać; gdyby zaczekała choćby chwilę dłużej,
mogłoby dostrzec łzy w jej oczach. Nie potrafiła

nienawidzić Katii, ta dziewczyna była zbyt słodka, ale czuła wściekłą zazdrość. Z trudem przełknęła
ślinę, gdy łzy zaczęły płynąć jej po twarzy.

Zaniepokojony Sasza patrzył, jak odchodzi. Leisl wiecznie wprawiała go w zmieszanie. Co ją gryzie
tym razem?

Odwrócił się z powrotem ku Katii.

- Dziś w nocy nie będzie już żadnych koszmarów, obiecuję - pocałował ją w policzek.

Domek dziewczyny był niewielki, ale funkcjonalny - parterowy, z dwoma skromnie wyposażonymi
izbami. Sasza starannie sprawdził

zasuwki na drzwiach i obu oknach.

- O świcie, kiedy moc Lathandera jest największa, założę na drzwi magiczne zabezpieczenia, ale
teraz położymy cię do łóżka.

Katia posłusznie weszła do łóża i przykryła się po samą brodę. Ogromnymi, sennymi już oczyma
przyglądała się, jak kapłan przysuwa

sobie bliżej krzesło.

- Dziękuję, że zostałeś ze mną - ziewnęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Prześpij się trochę. Sasza miał zamiar trzymać straż przy

dziewczynie aż do wschodu słońca, ale

musiał być bardziej zmęczony, niż sądził, bo w jakiś czas później ocknął się nagle. Katia zwijała się na łóżku, zaciskając sobie palce na szyi.

- Nie, nie! - krzyczała, zaciskając powieki. Natychmiast kucnął przy niej i przycisnął jej ramiona do posłania, starając się zapanować nad

jej gwałtownymi ruchami. Obudziła się z lekiem w oczach.

- Sasza!

- Miałaś zły sen. To tylko zły sen - wziął ją delikatnie w ramiona i przytulił, czując, jak przestaje drżeć.

- Sasza - powtórzyła, ale tym razem w jej głosie zabrzmiała nowa nuta. Wykręcił głowę, próbując na nią spojrzeć. Oczy miała ciemne, a

usta bardzo czerwone. - Sasza.

W jednej chwili już ją całował, zapominając o wszelkich dobrych zamiarach w obliczu jej urody. Płonąca w jego umyśle namiętność

przegnała wszystkie mroczne myśli.

Zadowolony z wykonanej pracy Jander wyprostował się, przeciągnął i kolejny raz odczytał inskrypcję pod freskiem: KRÓL GOBLINÓW

UCIEKA PRZED POTĘGĄ W T GO MB L KR Z O R. Prawie skończone. Musiał przyznać, że ciekaw był, jaka jest reszta napisu.

Trzasnęły drzwi i do jego uszu dobiegł tupot drobnych stóp.

- Jander? Jander, gdzie jesteś?

- Koło fresku, Trina - odkrzyknął. Podbiegła do niego z dziecięcym błyskiem w oczach. W dłoniach trzymała olbrzymią księgę.

- Patrz, Strahd powiedział, że mogę to czytać, jak go nie będzie! - pomachała w jego kierunku opasłym tomem, najwyraźniej jakąś księgą

zaklęć. Elf starał się nie pokazać po sobie zniechęcenia.

- To wspaniale, Trina.

Wszystkie czary tu są. Posłuchaj: Czar Służący Do Leczenia Ciężkich Ran, Czar Pozwalający Widzieć Rzeczy Magicznie Ukryte, Czar

Otwierający Magicznie Zamknięte Drzwi...

Jander nie słuchał jej. Czar Pozwalający Zignorować Gadające Wilkołaki, pomyślał z nikłym uśmiechem. Czar...

- Jakie było to ostatnie? - zapytał, próbując nadać swemu głosowi zwyczajne brzmienie.

- Eeee... A, tu jest: Czar Otwierający Magicznie Zamknięte Drzwi.

- Słyszałem, że ten jest bardzo trudny. Lepiej jeszcze nie próbuj go używać.

- Tak, jak miał nadzieję, Trina zmarszczyła brwi. Siedziała na schodach, trzymając księgę na kolanach.

- Jeśli tu jest, mogę go rzucić. Nie doceniasz magii, nie wiesz, ile Strahd mnie nauczył przez te parę miesięcy.

- Nadal nie jestem przekonany, czy jesteś gotowa, żeby go rzucić - zaproponował elf.

- Pokaż mi zamknięte magicznie drzwi, a otworzę je dla ciebie - chełpiła się w dalszym ciągu Trina.

Jander udał, że się zastanawia.

- Żadne mi teraz nie przychodzą do... Zaraz. Są tu jedne drzwi, zamknięte przy pomocy magii.

Razem pospieszyli do gabinetu. Jander był zdenerwowany, ale czuł przepełniające go uniesienie. Od dawna już czekał, żeby móc się

dostać do tajemniczej komnaty Strahda. Wszędzie poza tym szukał informacji o Annie, ale nic nie znalazł. Wiedział, że za drzwiami znajdują się

książki; może w którejś z nich znajdzie coś więcej na temat kobiety, którą kochał.

Wbiegli po kręconych schodach i Jander wskazał drzwi naprzeciwko.

- Myślę, że te są zamknięte w ten sposób. Spróbuj.

Trina położyła księgę na wypolerowanym stole pośrodku pomieszczenia i przez kilka chwil wczytywała się w treść zaklęcia. Elf z

udawaną nonszalancją przeglądał tytuły książek na półkach.

- Patrz, Jander - zaszczębiotała wilkołaczyca, stając na wprost drzwi. Zamknęła oczy, podniosła ręce i rozczapierzyła palce. Półgłosem

wypowiedziała długi ciąg słów i krawędzie drzwi zaśniły słabo błękitnym światłem, które nagle zniknęło. Rozległ się ledwie słyszalny szcęk i

drzwi uchyliły się o cal.

- Rety, Trina, ale ty jesteś sprytna - przyznał Jander. Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z siebie. - Co jeszcze potrafisz zrobić?

Nade wszystko chciał teraz wejść do skrytej za kusząco uchylonymi drzwiami komnaty, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek, co

pamiętał. Zdawał sobie jednak sprawę, że zanim to uczyni, musi pozbawić Trinę wszelkich wątpliwości co do kierujących nim motywów. Przez

następną mniej więcej godzinę chodził za nią po zamku, udając, że interesują go jej umiejętności, ona zaś przesuwała przedmioty nie dotykając

ich, sprawiała, że ogień w kominku buchał gwałtownie, by po chwili na powrót przygasnąć i chwaliła się innymi, niezbyt trudnymi sztuczkami.

Czar Pozwalający Opaść Lekko Niczym Piórko - przeczytała i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. - To coś jak latanie?

Nie wiem, ale przestuduj go dobrze, zanim pójdziesz skakać z blanków.

- Przestuduję - zaśmiała się Trina.

- Możesz mi jeszcze coś pokazać? - spytał Jander, mając w głębi duszy nadzieję, że osiągnęli już kres jej możliwości. Szybko przebiegła

wzrokiem pozostałe zaklęcia i pokręciła głową.

- Nic więcej, nie tak od razu.

- Mogłabyś w takim razie iść poćwiczyć gdzieś indziej? Mam coś do zrobienia.

Posłała mu czujne spojrzenie.

- Cóż takiego?

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę miał pustkę w głowie, ale zaraz odparł:

- Natrę regały woskiem. Są śliczne, a Strahd nie poświęca im odpowiednio dużo czasu, żeby błyszczały, jak należy...

Jasne, Jander, zajmij się tym - przerwała mu, wycofując się w obliczu grożącej nudy. - Zaraz spróbuję tego Spadania Niczym Piórko. Na

razie - odeszła, zamknąwszy księgę, ale zakładając palcem stronę.

Elf nareszcie został sam. Zamknął drzwi prowadzące do gabinetu na klucz, po czym skierował się ku tym prowadzącym do sekretnej

komnaty. Czuł suchość w ustach, wywołaną napięciem i podnieceniem. Od lat nie postąpił równie nierozsądnie, ale Strahd dopiero co opuścił

zamek i przynajmniej przez parę dni nie wróci. Co też z takim uporem ukrywał przed wzrokiem Jandera? Elf nawet nie potrafił sobie wyobrazić,

cóż by to mogło być.

Przez moment uczył coś na kształt wyrzutów sumienia - dał hrabiemu słowo, że nie wejdzie do tej komnaty. Przez chwilę honor walczył

w nim z ciekawością i gorącą nadzieją że może wreszcie tutaj odnajdzie jakiś ślad Anny. Podeszedł bliżej do drzwi.

Z drzeniem pchnął je lekko. Skrzypiąc otworzyły się do wewnątrz, ukazując wnętrze dużej, ciemnej komnaty. Zmarszczył nos, czując

bijącą ze środka woń rozkładu. Oczy elfa szybko przywykły do ciemności, ale zdjął ze ściany po lewej pochodnię i zapalił ją od ognia płonącego

na kominku w gabinecie. Tak uzbrojony wszedł do komnaty.

Przed nim stał podłużny stół. Niegdyś musiał odznaczać się niezwykłą urodą, jak wiele sprzętów w Ravenloft, ale teraz pokrywała go

warstwa kurzu. Jander nie był tym zaskoczony. Dopiero na widok tego, co dostrzegł na stole, pod całunem kurzu, uniósł zdziwiony brwi.

Stół nakryto w oczekiwaniu posiłku, który nigdy nie został przyniesiony. Na samym środku leżała ohydna, gnijąca sterta czegoś, co przy

bliższych oględzinach, w świetle pochodni, okazało się być resztkami tortu - tortu weselnego, jak należało przypuszczać, sądząc z jego

wysokości i drobnej figurki ubranej na białą kobiety, zdobiącej jego szczyt.

Jander poczuł delikatny posmak strachu. Coś tu było nie w porządku, bardzo nie w porządku. Postąpił krok do tyłu i zgniół pod stopą

jakiś niewielki przedmiot. Schylił się, chcąc sprawdzić, co to było i uczucie przerażenia nasiliło się: przed oczami miał drugą połowę dekoracji

tortu - figurkę pana młodego. Małemu ludzikowi brakowało głowy.

Rozejrzał się po komnacie. Sądząc po stole i tym, co na nim zostało, niegdyś była to jadalnia. Ale znajdowała się tu również galeria

obrazów. Dookoła Jander widział twarze członków rodu von Zarovich. Niektóre z imion brzmiały znajomo, inne znów były mu zupełnie obce.

Przystanął przed portretem ładnej młodej pary.

Zgodnie z tabliczką pod obrazem miał oto przed sobą Barova i Ravenovie von Zarovich. Malowidło powstało niedługo po ich ślubie i

prezentowali się na nim niezwykle elegancko. Kierując się datą powstania obrazu i podobieństwem do Strahda, Jander doszedł do wniosku, że są

to jego rodzice. Rysy Barova wyraźnie przypominały twarz syna: mieli niemal identyczne ciemne oczy i delikatnie rzeźbiony nos i kości

policzkowe. Ravenovia była piękną kobietą, a wprawnemu artyście udało się uchwycić żywość jej spojrzenia i inteligencję płonącą w oczach.

Kolejny obraz przedstawiał trzech mężczyzn, z których jednym był Strahd, siedzący w wyściełanym czerwonym aksamitem fotelu.

Niewiele się zmienił od tego czasu; Jander uznał, że malowidło powstało niedługo przed jego transformacją. Po lewej stronie hrabiego, nieco z

tyłu, stał człowiek dobiegający czterdziestki, mocnej budowy, o miłym, łagodnym wyrazie twarzy, znamionującej bliskie pokrewieństwo ze

Strahdem. Z prawej, z dłonią na poręczy fotela, klęczał jeden z najprzystojniejszych młodzieńców, jakich Janderowi zdarzyło się widzieć. Rysy

jego twarzy również przywodziły na myśl Strahda, ale były inne - wyraźniejsze, ze śladami młodzieńczej werwy i intrygującego połączenia siły,

godności i niewinności. Mężczyzna mógł mieć ledwie dwadzieścia lat. Elfowi jego twarz wydała się dziwnie znajoma.

Wszyscy trzej mieli na sobie wojskowe mundury, choć różnili się stopniem. Na szyi najmłodszego wisiał przepiękny wisior w kształcie

słońca. Pierś Strahda zdobiły liczne medale.

Jander odczytał podpis: Strahd, Sturm i Sergiej von Zarovich. Stanowiliby trójkę niezwykle przystojnych braci, gdyby malarz okazał się

mniej spostrzegawczy i nie oddał wiernie strapienia na twarzy Strahda. Hrabia miał zaciśnięte w

cienką krechę usta i ponury wzrok człowieka,

który nigdzie, gdzie spojrzy, nie dostrzega piękna ani radości. Nawet za życia, kiedy krew i powietrze w płucach łączyły go ze słonecznym

światem żywych istot, Strahd musiał być nieszczęśliwy, mimo licznych odznaczeń na piersi.

Obrazów było znacznie więcej. W miarę upływu lat zmieniały się stroje, aczkolwiek niektóre elementy biżuterii i uzbrojenia powtarzały

się od czasu do czasu, jakby były rodzinnym dziedzictwem bądź oznakami władzy. Elf przemierzał bez celu komnatę, oglądając niektóre z

portretów.

W drugim końcu pokoju znajdował się niewielki stolik. W przeciwieństwie do większości mebli w zamku, utrzymywano go w idealnym

stanie. Przykrywał go kawałek czystego, białego materiału, na którym leżała starannie poukładana biżuteria: naszyjnik, kolczyki i bransoleta. W

dwóch wypolerowanych do połysku świecznikach stały świece. Prócz tego na stole leżały dwie poprawne w skórę księgi - jedna stara, nosząca

ślady częstego przeglądania, druga znacznie od niej nowsza.

Jander podniósł tę drugą i bezmyślnie przekartkował. Była zapisana szyfrem Strahda, ale w ciągu minionych lat elf miał aż nadto czasu,

by go rozpracować. Odłożył księgę na stół, nie zadając sobie nawet trudu, by przejrzeć drugi z tomów.

Nad stołem wisiał jeszcze jeden portret, przykryty białą zasłoną przypominającą spłachetek, którym nakryto stół. Jander zmarszczył brwi.

Czemu ten jeden zasłonięto? Szybkim ruchem zerwał całun.

Przerażonym wzrokiem wpatrywał się w przedstawione na obrazie osoby, mężczyznę i kobietę, uśmiechniętych, pozujących w weselnym

stroju. Ktoś pociął nożem twarz mężczyzny, ale nie to poraziło elfa. Jego uwagę przykuła twarz kobiety, opartej na ramieniu tego człowieka.

Twarz Anny. Niczyja inna.

Uśmiechała się promiennie do pozbawionego w tej chwili twarzy młodzieńca. Jej twarz wyrażała bezgraniczną radość, oczy pałały

blaskiem miłości. Ubrana była w prześliczną białą suknię; w dłoniach trzymała bukiet kwiatów. Welon skrywał częściowo jej kasztanowe loki.

To jej wesele świętowano w tej komnacie.

Przez parę minut elf patrzył na obraz, próbując zrozumieć niezrozumiałe, aż wreszcie opuścił wzrok na podpis pod portretem: „Sergiej



von Zarovich i Tatiana Fiedorowna, portret weselny, 351”.

Cofnął się niepewnym krokiem, drżąc na całym ciele. Czuł zawroty głowy, próbując ogarnąć umysłem to, co widział. A więc to nie była

Anna, tylko kobieta imieniem Tatiana. Siostra? Może bliźniaczka?

Jego wzrok padł na książki. Może w nich znajdzie jakieś informacje na temat Tatiany. Wziął ze stołu nowszy tom i otworzył go.

Zatytułowano go „Księga Strahda”. Mimo podekscytowania Jander prychnął pogardliwie. Po Strahdzie można się było spodziewać czegoś

równie pełnego pychy. Usiadł przy ołtarzyku poświęconym Tatianie z księgą na kolanach i zaczął czytać, odczuwając zarazem chęć dowiedzenia

się czegoś i strach.

„Jam jest Pradawny, Jam jest tą Krainą. Mój początek ginie w mrokach przeszłości. Byłem wojownikiem, dobrym i sprawiedliwym,

przemierzałem tę ziemię niczym gniew sprawiedliwego boga, ale lata wojen i zabijania zniszczyły mą duszę, jak wiatr przemienia kamień w

piasek...

Jander zmarszczył czoło. To nie żadna kronika przeszłości, tylko zwykła Strahdowa propaganda, wizja historii, jaką on chciał ją widzieć -

tak samo jak przetykana kłamstwami opowieść o tym, jak Barowię otoczyły mgły, którą uraczył elfa dawno temu. Jakaś dziwna, pogmatwana

historia o rywalu, kobiecie i...

Ponownie spojrzął na portret nowożeńców. Czy ten młody człowiek był rywalem Strahda, tym, który „zaczarował” Tatianę.

- I „skradł” ją hrabiemu? Kłamstwo, to wszystko kłamstwo i Jander doskonale o tym wiedział, choć nie miał pojęcia, skąd. Trudno

byłoby sobie wyobrazić dwoje bardziej zakochanych ludzi niż przedstawiona na obrazie para, bądź zobaczyć w nich pana i niewolnicę.

Zdegustowany odłożył książkę i sięgnął po drugą. Ostrożnie, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest delikatna, otworzył ją. Pożółkłe stronic

groziły rozsypaniem się w proch pod jego dotykiem; ledwie był w stanie odcyfrować pismo, a szyfr utrudniał mu szybkie czytanie, ale udało mu

się zrozumieć, że ma w rękach dziennik, sięgający roku 349 według baroviańskiego kalendarza - bez mała dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Zanim Strahd stał się wampirem.

Elfowi zaczęły się trząść ręce. Przyciskając księgę do piersi skierował się do gabinetu. Do zmierzchu miał jeszcze parę godzin i nie

chciał, żeby mu przeszkadzano. Umieścił pochodnię z powrotem w uchwycie, usiadł na jednym z miękkich foteli i zaczął czytać.

DWADZIEŚCIA

Dwunasty miesiąc roku 347. Nareszcie - wojna skończona. Nieprzyjaciel został zdziesiątkowany, zmieciony z powierzchni ziemi

bądź przepędzony. Odkryłem uroczą dolinkę, położoną u podnóża ruin zamku wodza nieprzyjaciół. Objąłem ją w posiadanie, podobnie

jak i sa

m zamek...

Szósty miesiąc roku 348. Pokój zżera mą duszę. Nie lubię go. Mieszkańcy Barovii nie lubią zaś mnie, ale nie dbam o to...

Trzeci miesiąc roku 349. W zamku trwają prace. Na cześć mojej matki nazwę go Ravenloft. Powoli staje się stosownym domem dla rodu

von Zarovich...

Jedenasty miesiąc roku 349. Wszystko gotowe. Poślę teraz po moją rodzinę, dzięki której to puste miejsce stanie się domem...

Czwarty miesiąc roku 350. Przyjechali, a wraz z nimi przybył mój najmłodszy brat, Sergiej, którego nigdy dotąd nie widziałem. Jakiż on

jest jeszcze młody, ciałem i duchem! Gdyby nie to, że dzisiejszego ranka niemal pokonał mnie w pokazowej walce, nazwałbym go niedzielnym

żołnierzykiem. Jednak uczciwość nakazuje mi przyznać, że jego kunszt jest zdumiewający.

Zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. Sergiej pasuje do tej epoki pokoju w sposób, w jaki ja, którego kości

przenika chłód śmierci i który wciąż czuję smak wojny, nigdy nie zdołam się dostosować. Ach, ileż dałbym za to, by być takim jak on, młodym i

beztroskim, którego uroda tak pociąga kobiety! Jakaż to ironia losu, że jako najmłodszemu synowi przeznaczone mu jest zostać kapłanem!

- Chyba się starzeję - jestem niczym zimna noc próżno goniąca za nadejściem dnia. Nigdy dotąd nie marzyłem o rodzinie, ale teraz, po

przybyciu Sergieja, łapię się na rozmyślaniach o kobiecie u mego boku i dziecku na kolanach...

Szósty miesiąc roku 350. Najwyższy z Wysokich Kapłanów, imieniem Kir, zmarł nagle. Sergiej nalega, bym ogłosił ten dzień dniem

narodowej żałoby. On ma teraz zająć stanowisko Najwyższego z Wysokich Kapłanów; z pokorą przyjął ten zaszczyt. Nie wolno mu jeszcze

nosić oficjalnych szat kapłańskich i nie został jeszcze wyświęcony, ale dostojnicy kościelni zezwolili mu na noszenie Kapłańskiego Naszyjnika,

nawet niebrzydkiego cacka, które ma dla chłopaka ogromne - może nawet zbyt duże - znaczenie emocjonalne.

Był rok 350 według barovianskiego kalendarza. Hrabia Strahd von Zarovich spoglądał na Ivlis, wijącą się wśród wzgórz i lasu Svalich.

Wiedział, że jest absolutnym i nie kwestionowanym władcą wszystkich ziem, które oglądał.

Nie cieszył się tą myślą. W ogóle niewieloma rzeczami potrafił się już cieszyć.

Kilka lat temu jeden z wystraszonych burmistrzów okolicznych wiosek zaproponował ogłoszenie dnia urodzin hrabiego świętem

narodowym, usiłując w ten sposób odwrócić gniew władcy, wywołany skąpymi podatkami płaconymi przez wioskę burmistrza. Obrał jednak złą

taktykę; Strahd nigdy nie obchodził urodzin. Kiedyś żartował, że to „dzień śmierci”, teraz jednak w ogóle nie poruszano tego tematu. Młodość

Strahda minęła, strawiona w wojnach i zabijaniu.

Pechowego burmistrza znaleziono martwego, z głową odciętą od ciała jednym wprawnym ciosem miecza. Nigdy więcej nie wracano do

sprawy urodzin hrabiego.

Tamtego dnia Strahd wrócił do gabinetu i wziął do ręki dziennik, który zaczął pisać po podbiciu tej krainy.

- Nienawidzę Barovianczyków! Nie wiedzą, kiedy lepiej zostawić człowieka w spokoju. Przerwał, po czym ciągnął dalej: Czy Sergiej też

przyswoił sobie tę cechę?

Nabrał niepokojącego nawyku odwiedzania wioski, próbując, jak to określił, „zrobić dla tych ludzi coś dobrego”. Traktują go tam niczym

jakiegoś młodego boga, rzucają mu kwiaty pod nogi i wznoszą ogłuszające okrzyki radości na jego cześć. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Miejsce Sergieja jest ponad ludem, w zamku Ravenloft, jak przystało von Zarovichowi. Nie powinien tarzać się w chłopskim gnoju.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi gabinetu.

- Wejść! - polecił Strahd bez zastanowienia.

Do komnaty wszedł Sergiej z rozpromienioną twarzą i zwichrzonymi włosami.

- Strahdzie, muszę ci opowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło!

- Czyżby? - odparł brat i niechętnie odłożył księgę. - Na cóż to takiego natknąłeś się w tej wstrętnej wioszczynie, co mogłoby

zainteresować von Zarovicha?

Strahd zmarszczył czoło, gdy Sergiej przysunął sobie krzesło. Nigdy nie uważał entuzjazmu i bezpośredniości cechujących brata za

przymioty stosowne dla rodu rządzącego krajem, ale dziś Sergiej przywodził na myśl figlarnego

szczeniaka. Musiało się wydarzyć coś naprawdę

niesamowitego.

- Poznałem dziewczynę.

Strahd czekał, ale na tym oświadczenie Sergieja najwyraźniej się kończyło. Kryjąc rozdrażnienie sięgnął z powrotem po dziennik.

- Na bogów, Sergiej, jeśli będziesz tu wpadał w podskokach za każdym razem, kiedy postanowisz „ocalić” jedną z miejscowych

kurewek...

- Gdybyś nie był moim bratem, zabiłbym cię za te słowa! - rozwścieczony Sergiej poderwał się na równe nogi. - Spotkałem ją w wiosce,

robi to samo, co ja: pomaga ludziom i... Nigdy jej nie widziałeś, ale niedługo sprowadzę ją tutaj, żebyś sam się przekonał.

- Nie pozwolę, byś hańbił ten dom, sprowadzając tu nierządnicę!

- A ja nie pozwolę, byś mówił w ten sposób o Tatianie!

- O, to ta dziwka ma jakieś imię.

Sergiej z widocznym wysiłkiem opanował gniew, usiadł, a kiedy ponownie się odezwał, mówił spokojnie.

- Bracie, wiesz, jaką cię darzę miłością. Proszę zatem, byś nie nazywał Tatiany ani dziwką, ani nierządnicą, ani żadnym innym mianem

nie wyrażającym należytego szacunku. Nie jest szlachetnie urodzona, to prawda, ale to chodząca doskonałość. Nigdy nie spotkałem

pogodniejszej istoty. A poza tym, Strahdzie, ona będzie moja. Zamierzam ją poślubić.

- Nie ma mowy. Przede wszystkim - nie ma odpowiedniego pochodzenia. Po drugie zaś - przerwał, by dotknąć kapłańskiego amuletu na

piersi brata. - Jesteś przeznaczony do innej służby. Pamiętasz?

- Wiesz, że matka i ojciec nie nalegają specjalnie, bym nadal starał się zostać kapłanem. Zwyczaj, który nakazuje najmłodszemu z rodu

zostać duchownym, nie jest niczym więcej, jak tylko właśnie zwyczajem. Nie jest prawem!

- Nadawałeś się do tego. Sergiej musiał przytaknąć.

- Nadawałem. Właściwie nadal się nadaję. Ale gdyby było mi przeznaczone podążać dalej tą ścieżką, z pewnością bogowie nie

pozwoliliby mi tak pokochać Tatiany. Ty też się w niej zakochasz, gdy ją ujrzysz. Poza tym jakie to ma znaczenie, czy się ożenię, czy nie? Ty

jesteś dziedzicem rodu, po tobie jest Sturm. Jak widzisz - błysnął swoim dobrze znanym uśmiechem „świat-jest-w-porządku” - bycie

najmłodszym synem ma swoje zalety.

- Sergieju - odrzekł Strahd, czując, jak wyczerpuje się jego cierpliwość. - Żeń się z kim chcesz. Nie dbam o to. Jeśli znalazłeś sobie jakąś

przypominającą kartofel, obszarpaną wieśniaczkę i uda ci się ją doszorować tak, żeby nie przeszkadzała służącym, dla mojej przyjemności

możecie się pobrać choćby jutro. Zostaw mnie teraz samego. Jestem zajęty.

Sergieju zamyslił się i spojrzał badawczo w twarz brata.

- Wiem, że dzieli nas wiele lat i że uważasz mnie za niedowarzonego młokosa. Zawsze cię podziwiałem, bracie, ale nigdy nie udało mi

się zrozumieć, skąd bierze się twoja gorycz, skoro tyle razy zwyciężałeś i świat stoi po twojej stronie.

- Sergieju...

- Do diabła, Strahd, nikt nie wie lepiej ode mnie, ile dla nas zrobiłeś. Zakończyłeś toczącą się od pokoleń wojnę. To tobie zawdzięczamy

pokój; zrobiłeś swoje i to we wspaniałym stylu. Nie dokonałem niczego tak szczytnego. Nie potrafię wygrywać wojen. Umiem tylko żyć i robić

to, co uznaję za właściwe w tych spokojnych czasach. - Wstał. - Przykro mi, że straciłeś swoją młodość na bitewnych polach, ale to nie moja

wina.

Strahd patrzył w ślad za nim, potrząsając głową. Zdarzało się, że był wręcz załamany postępowaniem Sergieja - ale czasem podziwiał go

bardziej niż wszystkich innych ludzi.

Młodszy brat był ostatnim i zarazem najpiękniejszym kwiatem na drzewie von Zarovichow. Obdarzał rodziców miłością i dodawał im

otuchy, gdy Strahd toczył kolejne bitwy, a zainteresowania Sturma poniosły go w dalekie strony. Sergiej dorastał nie znając najstarszego z braci;

pierwszy raz spotkali się, gdy Strahd na dobre osiadł w Barovii i sprowadził rodzinę.

Połączyła ich braterska miłość od pierwszego wejrzenia. Sergiej darzył Strahda nabożną czcią, należną wspaniałemu bohaterowi

wojennemu, a ten musiał odpowiedzieć mu tym samym. Dlaczegoż by nie? Sergiej dał się lubić inteligentny, zawsze w dobrym humorze, był

niezłym partnerem w treningowych potyczkach.

Na tyle, na ile było to możliwe, starzejący się wojownik kochał brata.

Zamek Ravenloft nie był rajskim ogrodem. Strahd pragnął, by jego młodość wróciła, chciał być Sergiejem, mieć dwadzieścia siedem lat i

całe życie przed sobą, traktowane niczym wielki stół bankietowy, którym można się cieszyć do syta. Strahd poświęcił swą młodość, by

przebłagać bogów wojny, i teraz, w wieku lat czterdziestu pięciu, nie bardzo miał do czego wracać - ani rodziny, ani bliskich przyjaciół.

Wszystko, co czynił, zmierzało do zapewnienia doczesnych korzyści - nie ustanowił prawa, które zmieniłoby świat, nie podbił kraju, który dałby

mu nowe życie. Sergiejowi będzie lepiej, gdy weźmie sobie za żonę córkę jakiegoś wieśniaka hodującego kapustę, pomyślał z goryczą Strahd.

Sięgnął po pióro i dopisał dużymi, pogrubionymi literami: Mimo całej miłości, jaka nas łączy, Sergiej czasem mnie denerwuje.

Pięć dni później, kiedy wybranka Sergieja wyszła z powozu i nieśmiało rozejrzała się dookoła, Strahd poczuł ukłucie rozpaczy w sercu.

Dziewczyna była rzeczywiście piękna - chodzący ideał, jak mówił Sergiej. Wysoka, o długich, kasztanowatych włosach, spływających

lokami po plecach. Zwyczajne odzienie opinało ciasno pełne piersi i wąską talię. Sergiej trzymał ją za rękę i promieniał miłością i dumą. Kiedy

zaś Tatiana spojrzała na swego przyszłego męża, w jej oczach zapłonął płomień absolutnego oddania. Strahd jakoś zdzierzył wzajemną

prezentację, wytrzymał również długą, uroczystą kolację tego wieczora, ale pochodzący z doliny klejnot, ukryty pod postacią kobiety całkowicie

owładnął jego sercem.

Jej niezwykła słodycz sprawiała, że jeszcze trudniej przychodziło mu to znosić. Podczas wspólnych spacerów często podawała mu ramię,

nazywając go, z należyty szacunkiem, „bratem”. Nie miała pojęcia, że z całej duszy zazdrościł swemu bratu.

Czasem hrabia wyobrażał sobie, że dziewczyna kocha i jego, ale kruche to złudzenie pryskało, gdy oczy Tatiany spoczęły na Sergieju i -

z całej postaci kobiety emanowała przepelniająca ją miłość. Wszyscy, którzy mieli okazję widzieć ich razem, cieszyli się z ich szczęścia, tak

szczerze i widoczne było ich uczucie.

Wszyscy poza hrabią Strahdem von Zarovichem.

Marzenia, aby dziewczyna obdarzyła go miłością, stawały się coraz bardziej natarczywe i ponure. Zaczął przeglądać rozmaite księgi z

zakłęciami, ale nie udało mu się znaleźć niczego stosownego. Był rozdrażniony, coraz łatwiej wpadał w gniew; często spędzał całe noce na

poszukiwaniu czegoś, co mogłoby okazać się przydatne.

Któregoś popołudnia, próbując oderwać się od tego wszystkiego, zasiadł do organów. Przez chwilę podziałało to jak lekarstwo, gdy

otuliły go wibrujące dźwięki muzyki, płynącej z głębi jego duszy. Palce Strahda biegły po klawiszach, dobywając z nich tony odbijające

wewnętrzna burzę, ale i przynoszące ulgę.

Dobiegające z wielkiej sali odgłosy przerwały jego skupienie. Przestał grać, czując, jak pryska delikatny spokój ducha. Zmarszczył z

niezadowoleniem brwi i poszedł sprawdzić, co się dzieje; najwyraźniej wieczór nie zapowiadał się spokojnie.

Śmiechy i gwar rozmów wypełniły cichą dotąd jadalnię, gdy wtoczyli się do niej uczestnicy polowania. Towarzyszyła im sfora psów,

które wywijając ogonami kręciły się zadowolone wokoło i chrobotwały o kamienną podłogę pazurami.

- Strahd! - Sergiej zamachał w jego kierunku. - Straciłeś wspaniałe polowanie!

- Naprawdę, Starszy Bracie, nawet ty bawiłbyś się znakomicie, gdybyśmy tylko zdołali odciągnąć cię od tych twoich ksiąg! - dorzuciła

Tatiana, uśmiechając się promiennie do hrabiego.

Strahd odpowiedział cokolwiek wymuszonym uśmiechem.

- Książki są doskonałymi towarzyszami. Polowanie na lisy to strata czasu.

- Och, to by ci się podobało. Poza tym nigdy byś nie zgadł, co się potem działo w „Wilczym Leżu”! - Sergiej ujął go pod ramię i

poprowadził w stronę stołu, gdzie służący dyskretnie otwierali już omszałe butelki i napełniali winem kryształowe puchary. Płynnym ruchem

Sergiej podał bratu kielich rubinowego płynu.

- Sergiej! - twarz Tatiany przybrała barwę wina. Dziewczyna ze śmiechem wtuliła głowę w pierś Strahda, nie okazując specjalnego

zażenowania. Proszę, Straszny Bracie, każ mu przestać. Nie chcę, żeby to opowiadał!

Strahd zamknął oczy, zmuszając się, by nie okazać miotającego nim huraganu uczuć. Ach, przytulać tak Tatianę, a nie móc liczyć na jej

miłość! Nie mógł się powstrzymać, by nie objąć jej ramieniem.

Nagle zorientował się, że odsunęła się od niego - to Sergiej odciągnął narzeczoną i teraz obsypywał ją pocałunkami, nie zważając na jej

nieśmiałe protesty.

- Dała mi niezłą nauczkę, Strahdzie!

- Tylko bogowie wiedzą, jak wiele musisz się jeszcze nauczyć - mruknął Strahd, czując wzbierającą w nim, na podobieństwo zatrutej fali

przyływu, zazdrość.

- Siedzieliśmy w gospodzie, pijąc piwo z miejscowymi, gdy nagle wielki, kudłaty facet złapał Tatianę. Tylko tyle, złapał. I zanim

zdażyliśmy zareagować, usiłował...

- Co?!

Słowo wystrzeliło z gardła Strahda. Czuł wypełniającą go wściekłość. Uczestnicy polowania cofnęli się nieco. Trudno było posądzać

hrabiego o spokojne usposobienie, ale nawet największym pechowcom nie dane było doświadczyć gniewu podobnego do tego, który wykrzywił

teraz jego nabiegłą krwią twarz. Tatiana także była przerażona i przysunęła się bliżej do przyszłego małżonka. Tylko Sergiej, darzący brata

bezgraniczną miłością, nie zareagował. Ciągnął dalej:

- Usiłował uderzyć jej głową o ziemię - dokończył. - Oczywiście razem z grupką kompanów odciągnęliśmy go od niej, jak tylko

połapaliśmy się w sytuacji. Chcieliśmy wyprowadzić go na zewnątrz i tak mu przetrzepać skórę, żeby długo to popamiętał, ale nie pozwoliła

nam.

Zaskoczony Strahd spojrział na dziewczynę. Rumieniec oblewał jej twarz, ale nie spuściła wzroku. Na bogów, te oczy...

- Powiedziała, że zna tego człowieka, gdyż razem dorastali. Był na nią zły, bo poszczęściło jej się w życiu i miała wyjść za von

Zarovicha, jego rodzina zaś przymiera głodem. Wiesz, co wtedy uczyniła moja gołębica? - Sergiej uśmiechnął się i z dumą spojrział na Tatianę,

mocniej przyciskając ją ramieniem. - Zdjęła z siebie całą biżuterię i dała mu to wszystko ze słowami: „Masz, kup dzieciom coś do jedzenia. Póki

żyję, twoja rodzina nie będzie cierpieć głodu”. A wtedy ten potwór, wielki i zwałisty jak niedźwiedź... Strahdzie, on się rozpłakał, rozpłakał jak

dziecko i zaczął całować Tatianę po rękach. Czyż ona nie jest cudowna?

Myśliwi wznieśli okrzyki i spełnili toast na cześć przyszłej żony Sergieja. Jej twarz promieniała szczęściem.

- Tatiano, jesteś niemądra - rzekł Strahd ostro. W oczach dziewczyny pojawił się ból, ale hrabia, nie zwracając na nią uwagi, odwrócił się

do Sergieja. - A ty, mój bracie, jesteś jeszcze gorszy. Właśnie wytarłeś naszym nazwiskiem brudne uliczki tej wstrętnej wioski. Powinieneś być

zabić tego psa za brak szacunku. Gdyby któryś z moich sług postąpił tak, jak ty dzisiaj, kazałbym go wybatożyć do krwi. Niestety, jesteś moim

krewnym, więc nie mam takiej możliwości, czego, wierz mi, gorąco żałuję. Państwo wybaczą.

Szybkim krokiem wyszedł z komnaty, cisnąwszy kielich na ziemię. Wszyscy zamilkli w zdumieniu - zakłopotani, nie wiedząc, co

powiedzieć. Pierwsza odezwała się Tatiana:

- Biedny Strahd. Wydaje mi się, że bardziej potrzebuje naszego współczucia i troski niż Jakov z wioski.

- Kochanie - odparł łagodnym głosem Sergiej, całując ją w czubek głowy. - Całkiem możliwe, że masz rację.

Strahd skrobał pospiesznie w dzienniku, przelewając swój gniew na papier. Muszę coś znaleźć, jakieś zaklęcie, miksturę, która sprawi, że

ten anioł będzie mój. Muszę! Nie ma rzeczy, której bym nie poświęcił, byle tylko zdobyć tę kobietę!

Zbliżał się ranek, a Strahd wciąż się jiiie kładł. Westchnął głęboko i przetarł oczy; powieki miał ciężkie i jakby pełne drobnego piasku.

Każda cząstka jego ciała domagała się, by zaprzestał poszukiwań, przynajmniej tej nocy, i udał się na spoczynek.

Wielkim wysiłkiem woli hrabia otrząsnął się z letargu. Jeśli nie uda mi się znaleźć jakiegoś magicznego sposobu na zdobycie Tatiany,

pomyślał, spędzę mnóstwo samotnych nocy i wtedy będę mógł się wyspać. Drżącymi ze zmęczenia rękoma sięgnął po kolejną księgę z

zaklęciami, usiadł ciężko i zaczął ją przeglądać.

Jego uwagę zwróciły dwie sklezione ze sobą stronicie. Zmarszczył czoło. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważył? Co też za tajemnice

skrywały te dwie strony? Poczul wzbierający gwałtowną falą zapał i rozbudził się do reszty. Ostrożnie, starając się nie uszkodzić delikatnego

pergaminy, rozdzielił kartki. Na jego twarz wypłynął uśmiech, choć jeszcze bał się uwierzyć w to, co widział na własne oczy. Jakiś dawno

zapomniany czarownik zapisał na pożółkłych stronicach Czar na Zdobycie Serca.

Przebiegł wzrokiem instrukcję zaklęcia; nie było w niej nic nadzwyczajnego, nie wymagało żadnych niezwykłych magicznych

ingredencji. Sierść nietoperza... Zaiste, nietrudno będzie ją znaleźć w tym zakazanym miejscu.

Zmielony róg jednorożca... Jeśli się nie mylił, ma

tu gdzieś odrobinę tego bezcennego proszku. I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Strahd na moment przestał wyraźnie widzieć, więc

niecierpliwie przetarł oczy, a kiedy ponownie odczytał treść księgi, lista komponentów uległa zmianie.

- Co to takiego? - mruknął sam do siebie. Na jego oczach litery skręcały się, zmieniały kształty i układały w nowe słowa. Zaniepokojony

rzucił księgę na stół. Uderzyła głośno o blat.

- To bardzo stara księga. Powinieneś ostrożniej się z nią obchodzić - doleciał go głos, od którego włosy zjeżyły mu się na karku.

Zadarł głowę i rozejrzał się po komnacie, ale nie było tu nikogo poza nim samym.

- Kto tam? - zawołał.

- Powinieneś wiedzieć - odparł głos. Pobrzmiwała w nim tłumiona wesołość; zdawał się dobiegać ze wszystkich kątów pokoju,



szeleszcząc w uszach Strahda niczym suche liście, które niesione wiatrem ocierają się o nagrobek. - Wezwałś mnie. Usłyszałam twoją

nienawiść i jestem tu, by pozwolić ci Zdobyć Serce.

- Pokaż mi się - zażądał Strahd.

Głos roześmiał się, basowo, beznamiętnie.

- Nie zniósłbyś tego widoku.

Nagle hrabia uwierzył w szeptane lodowato zimnym głosem słowa. Jakaś cząstka jego istoty krzyczała w nim, żeby natychmiast opuścił

komnatę, zostawił ten głos, sączący się jak trucizna do mózgu i serca, żeby zostawił Tatianę Sergiejowi.

- Nie - wyszeptał. - Ona będzie moja.

- Możemy zacząć?

- ...nawet nie rozpocząłem obrządku - zająknął się Strahd, próbując zebrać myśli.

- Nie musisz. Ten czar znalazł się tam tylko po to, żeby... przyciągnąć twoją uwagę. Jak bez wątpienia zdążyłeś zauważyć, bez przerwy

się zmienia. Zupełnie jak umysł śmiertelnika.

- Czym jesteś?

W odpowiedzi głos przybrał na sile, niczym nocny wiatr niosący burzę, zadudnił śmiechem, a hrabia począł odczuwać, że głos jest

obecny jak fizyczna istota.

- Jestem wszystkimi koszmarami, jakie śniły się wszystkim istotom świata. Jestem mroczną myślą o morderstwie i zdradzie, o strachu,

żądzy, bezwstydie i gwałcie. Jestem słowem, które jak nóż zabija duszę, i okrwawionym nożem, który zabija ciało. Jestem trucizną na dnie

kielicha, pętlą na szyi złodzieja, lamentem skrzywdzonych i wrzaskiem torturowanych. Jestem kłamstwem. Jestem czarną otchłanią szaleństwa.

Jestem Śmiercią i innymi, gorszymi jeszcze rzeczami. Znasz mnie, hrabio Strahdzie von Zarovich. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Strahd zaczął drżeć, ale głos miał opanowany.

- Czy przybywasz... po mnie?

- Przybywam w twoim imieniu - westchnął w odpowiedzi grobowy głos, ponownie przypominający ostatnie tchnienie umierającego

człowieka. - Karmiłeś mnie. Należy ci się nagroda. Pożadasz ukochanej swego brata, pragniesz utraconej młodości. Usunę z twej drogi rywala, a

ty sam nie postarzejesz się już ani o jeden dzień... jeśli uczynisz, co każe.

Przez chwilę hrabia wahał się; to, co oferowała mu owa istota, przechodziło wszelkie wyobrazenie. Tatiana. Skinął głową.

- Co mam zrobić?

DWADZIEŚCIA JEDEN

- Na bogów, jakichż okropieństw i jakich cudów jestem dziś świadkiem! Moje dłonie drżą, kiedy próbuję pisać, lecz nie umiałbym

rzec, ze smutku to czy z radości. Dołożę starań, by dokonać możliwie najdokładniejszych zapisków, żebym miał do czego wrócić w

póź

niejszym czasie, gdy umysł mój spokojniejszym będzie i zdoła co wyrozumieć...

Wkrótce po zmierzchu, na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości, Strahd zapukał cicho do drzwi komnaty Siergieja.

- Wejść - rzucił młodszy z braci.

Uśmiechając się Strahd przeszedł przez próg. Siergiej wyglądał wspaniale, odziany w jasnobłękitny mundur, przyozdobiony epoletami i

odznaczeniami, specjalnie wyczyszczony i odprasowany na tę okazję. Czarne buty lśniły, a zawieszony na szyi platynowy kapłański naszyjnik

przy każdym poruszeniu słał na wszystkie strony odbłyски światła. Siergiej właśnie przypiął do pasa miecz i nerwowo obciągał mundur. Spojrzał

w lustro, ciekaw, kto też go odwiedził i uśmiechnął się szeroko, gdy jego oczy napotkały spojrzenie Strahda.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz! - wykrzyknął, wyciągając do brata ramiona. Hrabia zawahał się przez moment, po czym objął go. -

Myślałem, że może ciągle się złościć z powodu tego zdarzenia z Tatianą i wieśniakiem.

- Nie, braciszku. Postąpiłem pochopnie i okrutnie. Przybywam prosić cię o wybaczenie.

Oczy Siergieja, równie niebieskie jak mundur, zalśniły od wzbierających łez.

- Są w tym kraju tacy, co mówią, że nie ma w tobie dobra - rzekł ochryple. - Ale ja zawsze wiedziałem, że w „diabie Strahdzie” kryje się

dusza anioła.

- Odsuń się kawałek, niech no ci się przyjrzę - odparł hrabia z nagłym zapalem. Czuł się nieswojo ze względu na emocjonalny ton,

jakiego nabrała ich rozmowa. Siergiej posłusznie odstąpił o krok, uśmiechając się z zażenowaniem,

Strahd zaś gwizdnął z udawanym podziwem.

Brat posłał mu przyjacielskiego kuksańca.

Niejedno serce dziś złamiesz - powiedział hrabia. - Założyłbym się, że przez wioskę przetoczy się fala samobójstw. Wszystkie dostojne

matrony w okolicy będą płakać z żalu - oto odchodzi najbardziej pożądanym z kawalerów Barovii.

- Mam jednak nadzieję, że niedługo potem wzniosą toast za najszcześniejszego pana młodego na świecie!

Strahd poczuł wzbierającą w jego żyłach falę zimnej złości. Niewiele brakowało, by postanowił zerwać pakt zawarty z tajemniczą,

mroczną istotą. Nieskrywana miłość, jaką Sergiej żywił do niego, i zadowolenie, z jakim powitał brata, umocniły go w tym postanowieniu. Teraz

jednak, na widok promieniejącego szczęściem młodzieńca, obudziło się w hrabim czarne monstrum zazdrości.

Wyciągnął dłoń i dotknął srebrzystego medalionu na piersi Sergieja. Wisior zakołysał się i zamigotał, a znajdujący się w jego środku

kryształ rozblił tysiącem odblasków.

- Wiesz, że będziesz musiał to porzucić. Sergiej ujął naszyjnik w dłoń.

- Wiem. Nie mogę zarazem być żonaty i pozostać kapłanem, prawda? Chociaż zawsze uważałem, że to trochę nieuczciwe; można

przecież wypełniać należycie obowiązki i wobec rodziny, i wobec boga. Jedna miłość nie musi przyćmić drugiej.

- To świętokradztwo! - wykrzyknął Strahd w udawanym przerażeniu. - Musisz ogłosić własną religię, Sergiej.

Młodszy z braci słysząc to roześmiał się i wypuścił z ręki medalion.

- Może i tak zrobię, jeśli tylko będę mógł go zachować. Mówię ci, Strahdzie, w długie, ciemne noce stanowił dla mnie źródło prawdziwej

pociechy.

Na palecie uczuć hrabiego czerwien gniewu walczyła o lepsze z zielenią zazdrości. A cóż ten dzieciak mógł wiedzieć o długich,

ciemnych nocach? Przez jakież to niby piekło zmuszony był się przedzierać? Nigdy w swoim krótkim życiu nie musiał o nic walczyć! Wychował

się w luksusie, a walczył dla przyjemności, traktując to jako ćwiczenie, nie bił się o życie, o ziemię. Zawsze otaczały go kobiety, a ten idiota za

każdym razem znajdował jakiś pretekst, żeby taktownie im odmówić. Był znakomitym, odważnym, młodym wojownikiem, ale, do diabła,

powinien zostać kapłanem! Co takiego zrobił, że zasłużył sobie na Tatianę? A co takiego uczynił on, Strahd, żeby mu jej odmawiano?

- Mogłeś mieć wszystkie kobiety tego świata. Dlaczego właśnie ona? - spytał nagle Strahd.

Sergiej otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Spojrzał współczująco na brata.

- Strahdzie - odparł, drżącym z emocji głosem. - Czyżbyś nie wiedział?

W głębi serca Strahd doskonale wiedział dlaczego, i wiedział, co Sergiej miał na myśli, zadając mu to pytanie, retoryczne pytanie

człowieka tak bez reszty zakochanego, że sądzi, iż cały świat widzi jego ukochaną tak, jak on.

Zazdrość i ból, jaki odczuwał, kazały Strahdowi wypaczyć znaczenie słów brata. Czyżbyś nie wiedział? Proste pytanie zmieniło się w

skazonym umyśle hrabiego w wyzwanie; przeklęty! Wiedział, że Strahd kocha Tatianę i żenił się z nią, żeby go poniżyć!

Ogromnym wysiłkiem woli hrabia opanował gniew i zdał sobie sprawę, że Sergiej coś mówi.

- Moja radość byłaby pełna, gdybym wiedział, że i ty znalazłeś kogoś takiego, jak Tatiana.

- Mam tu prezent dla pana młodego - rzekł Strahd, ignorując słowa brata i wręczając mu jakiś przedmiot, starannie zawinięty w zdobiony

haftem kawałek materiału. - Magiczny i stary. Nadaje się na prezent w taki dzień.

Z uśmiechem na twarzy Sergiej odwinął prezent - niewielki sztylet, z rękojeścią zdobioną w czerwone, czarne i złote wzory. Pochwę

wykonano z dziwnego rodzaju skóry, o niezwykłym odcieniu. Sergiej, zmieszany, spojrzał pytająco na brata.

- Widzę, że poznajesz - to uświęcona przez czas broń zabójcy z szeregów Baal Verzi. Pochwę sztyletu wykonywano z ludzkiej skóry,

najczęściej z pierwszej jego ofiary. Na rękojęści wyrzeźbiono runy magicznej mocy.

Twarzy młodszego z braci odzwierciedlała szok, jakiego doznał. Spokojnym gestem hrabia sięgnął po broń i udał, że się jej przygląda.

Ostrożnie wy dobył ją z pochwy i jasne ostrze zaślniło w świetle świec.

- Legendy mówią, że dobyte tego sztyletu przynosi nieszczęście, jeśli nie pozwoli mu się zasmakować krwi. Na ogół nie jestem

przesądny, ale wydaje mi się, że tym razem lepiej nie kusić losu. Mam rację?

Zanim Sergiej zdążył zareagować, Strahd wbił mu sztylet w serce. Dłoń hrabiego spłynęła szkarłatem i z dziką rozkoszą wpatrywał się w

brata, który rzucił mu jeszcze ostatnie, pytające spojrzenie; do końca nie rozumiejąc co się stało, młody mężczyzna oddał ducha nie wydając

żadnego dźwięku. Osunął się bezwładnie w objęcia Strahda.

Ten zaś pospiesznie ułożył zwłoki na podłodze, po czym, zgodnie z żądaniem tajemniczej istoty, wyciągnął nóż z rany. Spojrzał na

znaczącą długie ostrze krwawą smugę, nabrał głęboko powietrza i uniósł nóż do warg. Oblizwał go do czysta, starając się zwalczyć wzbierające w

nim mdłości. Skrzywił się, rozdarł mundur na piersi brata, potem bawełnianą koszulę, aż wreszcie odsłonił niewielką ranę, z której, rytmicznie

pulsując, nadal płynęła jasna krew.

- Wypij krew, najpierw z narzędzia, następnie z kielicha, tak brzmiał rozkaz mrocznej istoty. Strahd przyklęknął przy ciepłym jeszcze

ciele ukochanego brata, przytknął usta do rany i zaczął pić.

Zakrztusił się, zakaszlał i uronił nieco bezcennego płynu. Zalała go fala wściekłości, wywołanej własną słabością, toteż odwołując się do

żelaznej samodyscypliny, która pozwoliła mu zostać znakomitym wojownikiem, zmusił się do picia. Ssał mocno, z ustami przyciśniętymi do

otworu jaki pozostał po sztylcie, a przez jego gardło przepływało coraz więcej metalicznie smakującej cieczy. W końcu, prawie niezauważalnie,

wewnętrzny opór zmalował, a po chwili Strahd zaczął rozkoszować się jej smakiem.

Czuł wypełniającą go energię. Nagłe zdał sobie sprawę z delikatności materiału użytego na strój Sergieja pod obdarzonymi nową

wrażliwością palcami; poczuł woń krwi i potu na ciele brata; usłyszał głosy innych gości, mimo iż przebywali wiele pokoi dalej. W

przyływie dobrego humoru podniósł jedną ręką ciało Sergieja - po prostu dlatego, że potrafił to zrobić! To było cudowne! Roześmiał się w głos

i niedbałym gestem odrzucił zwłoki, które rozpląsały się na podłodze - i nagle zdał sobie sprawę, co się stało.

Zaczął drżeć. Uklęknął przy martwym bracie, delikatnie muskając białą, znieruchomiałą twarz. Podniósł ciało w ramionach, a kiedy

krzyknął głośno, w jego głosie brzmiał prawdziwy żal.

- Do diabła z tobą Sergiej. Do diabła! To twoja wina! Miałeś się nie żenić! Byłeś najmłodszym synem, więc miałeś zostać kapłanem...

Czemu nie zrobiłeś tak, jak było ci od urodzenia przeznaczone?!

Strahd wplątał swe mocarne dłonie w poskręcane w loki włosy Sergieja. Przycisnął swą rozplamioną twarz do jego twarzy, zimnej i

bladej. Na korytarzu rozległy się pospieszne kroki i Anton, osobisty sługa Sergieja, z rozmachem otworzywszy drzwi, wszedł do komnaty.

Przerażony wlepił wzrok w krwawą scenę, przenosząc spojrzenie z Sergieja na Strahda, oczekując jakiejś reakcji hrabiego.

Strahd podniósł sztylet Ba'al Verzi. Anton rozpoznał broń i jego oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły.

- Sergiej nie żyje - powiedział Strahd łamiącym się głosem. - To musiało stać się przed chwilą. Każ strażom natychmiast odciąć

wszystkie wyjścia z zamku. Musimy znaleźć zabójcę mojego brata!

Wstrząśnięty służący przytaknął, nie spuszczając oczu z bezwładnych, skrwawionych zwłok Sergieja. Łzy napłynęły mu do oczu - tak,

jak wszyscy w Ravenloft, kochał młodego panicza. Wyszedł z komnaty.

Strahd był zdumiony. Okazało się to takie proste. Nigdy dotąd nie kłamał; jako nie kwestionowany wódz swych oddziałów, a potem pan

całej krainy, nigdy nie musiał kłamać. Wątpił, czy da radę wyłgać się z zamordowania brata, a jednak udało mu się, i to za pomocą jednego,

drobnego kłamstewka. Zastanawiał się, czy łatwość, z jaką przychodziło mu kłamstwo, była kolejną częścią mrocznego daru. Nagle przebiegł go

dreszcz. Pił przecież krew Sergieja. Czy miał ją wciąż na wargach, kiedy Anton wszedł do komnaty? Poderwał się na nogi i podszedł do lustra,

by przyjrzeć się swojej twarzy. Spojrzał w szklaną tafłę i doznał szoku.

Jego odbicie powoli stawało się przezroczyste.

Złapał się za pierś i twardość, jaką poczuł, przyniosła mu ulgę. Musiał się nieźle postarać, by stłumić narastające przerażenie, ale przecież

nie był mięczakiem. Stłumił strach i obmył twarz i ręce. Woda w umywalce zabarwiła się czerwono.

Z kaplicy dobiegł go wysoki krzyk rozpacz, a po nim szloch i dalsze odgłosy żałoby. Drzwi do komnaty Sergieja ponownie otworzyły

się z hukiem i wpadło przez nie czterech zamkowych gwardzistów z dobytymi mieczami.

- Wasza Ekscelencjo - odezwał się kapitan. - Odcięliśmy wszystkie drogi ucieczki, tak jak rozkazałeś. Nie mamy pojęcia, kto mógł to

uczynić, ale nikt nie opuści zamku, dopóki nie będziemy pewni, kto jest mordercą.

Strahd, już na powrót spokojny, skinął głową.

- Doskonale. Zebrać wszystkich w kaplicy i w jadalni, gdzie komu będzie bliżej.

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo - strażnicy skierowali się do wyjścia.

- Jedną chwileczkę - Strahd zapłacił cenę krwi. Czas było upomnieć się o nagrodę. - Gdzie jest Tatiana?

- W ogrodzie, na tyłach kaplicy. Nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć.

- Mnie pozwoli - odparł Strahd, uśmiechając się. - Musi.

Ruszył w stronę kaplicy, nie bacząc na łzy i pytania kłębiących się gości. Samą kaplicę rozświetlały dziesiątki świec, sprawiając, że

witraże w oknach rzucały barwne plamy światła na podobną aniołowi postać młodej dziewczyny, skulonej na wilgotnej trawie w ogrodzie.

Ogromne oczy lśniły w zbielałej pod wpływem bólu twarzy panny młodej. Tatiana zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na ziemię i

trawę, brudzącą jej kunsztownie haftowaną suknię ślubną. Nie podniosła wzroku, kiedy Strahd zbliżył się do niej i ostrożnie przyklęknął obok.

- Chodź, kochanie - rzekł łagodnie, obejmując ją czule. Przez moment pozostała w bezruchu, a po chwili poczuł, jak się odprężyła i wraca

do życia. Zaczęła płakać. Smukłym ciałem wstrząsały kolejne szlochnięcia; niczym osoba tonąca trzymała się kurczowo Strahda. Hrabia

przytulił ją mocniej, świeżo wyczulonymi zmysłami czując dotyk białego jedwabiu, zapach jej skóry i włosów, ciepło młodego ciała. Mruczał

ciche, uspokajające, niosące pociechę słowa.

Wreszcie przestała szlochać i odezwała się rwącym głosem.

- Dla-a-czego? Nie-e rozumie-em. Kto by to... Kto mógł zrobić coś ta-akiego? Strahdzie! - ciałem Tatiany ponownie wstrząsnęły spazmy.

Zacisnęła dłonie na ubraniu Strahda.

- Óóóó. Wiem, jak ci teraz ciężko, kochanie, ale niedługo wszystko będzie dobrze. Z wielkiego bólu rodzi się wielka radość i, z czasem,

zaczнешz uważać się za najszczęśliwszą kobietę na świecie.

Zamarła, po czym nagle szarpnęła się w jego uścisku i uderzyła go w twarz. Rzuciła mu dzikie, pełne bólu spojrzenie.

- Straszny bracie - wyszeptała. - On nie żyje! Jak możesz mówić mi takie rzeczy?

- Bo jesteś wolna. Teraz możesz mnie poślubić. On stał na drodze naszego szczęścia, ale to skończone, najdroższa. Skończone! Tatiano,

kochanie, mogę ci dać...



- Nie! - Jej ból przeszedł w odrazę. Chciała uwolnić się z jego uścisku, ale Strahd jej nie puszczał.

Był wściekły za jej niewdzięczność. Gdyby tylko przestała się szarpać, pozwoliła mu wyjaśnić, jakie to cudowne rzeczy się wydarzyły, a

wszystko to, wszystko, dla niej! Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Miała słodkie usta. Hrabia poczuł jednak, jak wzbiera w nim inny głód,

do którego zaspokojenia trzeba czegoś więcej niż pocałunku.

Jęknął z bólu i rozluźnił uchwyt. Dotknął dłonią ust, a kiedy na nią spojrział, była splamiona czerwienią. Dolna warga pulsowała bólem w

miejscu, gdzie dziewczyna go ugryzła.

Tatiana przez chwilę wpatrywała się w niego z odległości kilku cali. Jej oczy rozszerzyły się w obliczu nowej groźby i rzuciła się do

ucieczki, podkasawszy do kolan sukienkę, pędząc, jakby od tego zależało zbawienie jej duszy.

Może nie myliła się tak bardzo.

Strahd krzyknął z wściekłości, a jego wrzask poniósł się echem po zamku. Hrabia zerwał się z ziemi i w ciszy, z niezwykłą szybkością

ruszył w pogoń za dziewczyną.

Tatiana biegła przez ogród, serce jej łomotało, a pot zalewał twarz, kłując w oczy i rozmazując obraz. Kolce róż szarpały jej suknię, aż

przerażona zaczęła się zastanawiać, czy rośliny także są posłuszne Strahdowi.

Nie miała dokąd uciec, ale w szaleńczym pędzie nie zdawała sobie z tego sprawy; zresztą i tak było jej wszystko jedno, byle dalej od

Strahda, samotnego, starzejącego się wojownika, który jakimś sposobem przeistoczył się w potwora i zamordował Sergieja.

Słyszała go, jak biegnie za nią i wykrzykuje jej imię, rozkazując poczekać. Wiedziała, że stał się straszliwą istotą, widziała jego

zakrwawione kły i nigdy więcej nie pozwoli mu się dotknąć. Nawet nie zwolniła przed niskim, kamiennym murkiem. Strahdowi udało się złapać

rąbek sukni, ale wyrwała się z żelaznego uchwytu z siłą, o jaką nawet by jej nie podejrzewał.

Mgły zawirowały w dole przepaści, gdy Tatiana rzuciła się w dół, przez mur ogrodu, z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby chciała

objąć Sergieja. Krzyk dobywający się z jej piersi, gdy leciała setki stóp w dół ku stromym, ostrym skałom, był bardziej okrzykiem radości, że oto

wyrwała się Strahdowi, niż płaczem rozpacz.

Dłonie hrabiego zamknęły się na pustce, zamłócił rękami w powietrzu, prawie stracił równowagę. Widział biały - kształt spadający w

otchłań na podobieństwo umierającego łabędzia, aż wreszcie mgły i panująca w dole ciemność otuliły dziewczynę, oszczędzając mu widoku

ciała roztrzaskującego się o skały.

Uderzył bezradnie w ścianę i zawył z bólu. Z odległych o parę stóp, spowitych mgłą głębin, odpowiedziało mu szyderczo echo.

Tuż obok jego prawego ucha świsnęła strzała. Odwrócił się gwałtownie i obrzucił zamek wściekłym spojrzeniem. Tożsamość mordercy

Sergieja przestała już być tajemnicą, a strażnicy znali swoje obowiązki, toteż łucznicy zajęli pozycje i teraz wypuszczali strzały przez szczeliny

w murach.

Powietrze nagle wypełniło się śpiewnym dźwiękiem dziesiątek strzał, które trafiły w ciało hrabiego.

Ale Strahd nie zginął.

Spojrzał na sterczące z jego piersi i brzucha drzewca. Usta rozciągnęły się mu w uśmiechu, gdy, w pełni świadom przerażenia, jakie musi

budzić, jedną po drugiej wyrwał strzały z ciała. Złapał je wszystkie w garść i drugą ręką złamał cały pęk. W okrutnych zamiarach ruszył w stronę

zamku.

Strahdowi von Zarovichowi odmówiono jedynej rzeczy, jakiej kiedykolwiek naprawdę pragnął. Teraz zamierzał sprawić, by wszyscy

mieszkańcy zamku Ravenloft, a może nawet całej Barovii, zapłacili mu za to.

DWADZIEŚCIA DWA

Jander poczuł, że cały drży. Nie znajdował słów, które mogłyby wyrazić kipiące w nim uczucia żalu i przerażenia. Cóż za upadek,

coż za rzeź niewiniątek. Zmusił się, by czytać dalej.

Dziesiąty miesiąc, roku 400: Wróciła, wróciła do mnie! Darowano mi jeszcze jedną szansę! Moja ukochana Tatiana odrodziła się

w ciele jednej z mieszkanek wioski, imieniem Marina. Dziewczyna wygląda tak samo, jak wyglądała moja najdroższa, choć jest w niej jakaś

subtelna różnica. Nie potrafię jej dokładniej określić. Zresztą czy to ważne? Rozpocząłem zaloty; tym razem z pewnością będzie moją...

Dwunasty miesiąc, roku 400: Wisi nade mną klątwa. Tatiana, moje kochanie, znów nie żyje. Tym razem zginęła z ręki własnego ojca.

Głupiec; powiedział, że woli widzieć ją martwą niż żeby miała być moją narzeczoną. Oczywiście zabiłem go od razu, podobnie jak całą rodzinę,

po czym wróciłem w mury tego więzienia, by zostać sam na sam ze swym smutkiem. Tatiano, najdroższa, czy nigdy już nie będę mógł cię objąć

i zobaczyć, jak patrzysz na mnie z miłością?

Czwarty miesiąc, roku 475: Tatiana znów powróciła. Wydaje mi się, że ta okrutna kraina sprawdza mnie, chcąc żebym dowiódł swej

miłości. Tym razem dziewczę ma na imię Ola, ale ja znam prawdę. Ma twarz mojej ukochanej; zachowuje się zupełnie inaczej - to trochę tak,

jakby brakowało części Tatiany w idealnym poza tym obrazie, jakby Ola była nie ukończonym dziełem sztuki. Nieważne, i tak nakłonię ją by

mnie pokochała...

Czwarty miesiąc, roku 475: Nie zniosę dłużej tej męki! Znów prawie stała się moją i znów musiałem patrzeć, jak mi się ją odbiera.

Mówią, że zmarła z gorączki; że nic nie można było zrobić. Ale nikt nie przyszedł do mnie, żeby spytać, czy ja nie mógłbym czegoś uczynić!

Jakaś myśl przedarła się do wypełnionego przerażeniem umysłu Jandera. Czwarty miesiąc 475 roku - przecież to mniej więcej wtedy

przybył do Barovii! Imię Oli brzmiało dziwnie znajomo; skupił się i przywołał wspomnienia: dziewczyna, która zmarła z gorączki, tej samej

nocy, kiedy Jander trafił do Barowi; tej nocy, kiedy Anna, również w gorączce, zginęła z jego ręki.

Czy mogło być tak, że coś je łączyło? Czyżby były jedną i tą samą kobietą? Anna po przebytych urazie była w stanie wypowiedzieć

ledwie urywki słów. Anna: Tatiana. „Sir”, tak zwracała się do Jandera: Sergiej. Najwyraźniej tak gorąco pragnęła się uwolnić od zła, którego

wcieleniem był Strahd, że tej nocy, kiedy rzuciła się w mglistą otchłań, jakaś jej część uciekła do innego świata, do Waterdeep. Ciało z

odłamkami duszy, fragmentami wspomnień - to dlatego wszyscy uważali ją za obłąkaną.

Gnany żądzą poznania Jander czytał dalej. Nagle uwagę elfa zwróciło jego własne imię.

Do mojego mrocznego królestwa nieszczęścia przybył obcy. Jest nieumarłym jako i ja; tęskni za życiem, jak ja. Jednak w

przeciwieństwie do mnie nie dąży do realizacji swych marzeń i planów. Jest miękki niczym niemowlę, łatwo urazić jego uczucia, a sumienie nie

pozwała mu nawet do cna wysysać krwi z ofiar. Jak komuś takiemu udało się przeżyć tyle czasu jako nieumarłemu? I skąd bierze się ta jego

niezwykła mądrość? Albowiem w złotowłosej głowie owego Jandera Sunstara, elfiego przybysza z obcej krainy, kryje się wiele wartościowej

wiedzy.

Pożądaj jej. Czemuż nie mogę wyciągnąć z niego wszystkich tajemnic?

Wydaje mu się, że jest tu gościem. Uważa mnie za swego przyjaciela. Ach, jakże łatwo go oszukać i zarazem jak trudno zgłębić. To

najmądrzejszy głupiec, jakiego dane mi było poznać. Zatrzymam go tutaj i dowiem się tak wiele, jak tylko zdołam...

Trzeci miesiąc, roku 500: Wyrosło kolejne pokolenie, dzieci dorosły - czas zacząć poszukiwania Tatiany. Być może nie znajdę jej w tym

roku ani w przyszłym, ale nie mogę ryzykować jej utraty. Muszę szukać.

A więc to dlatego Strahd zniknął na całe tygodnie. Nie szukał bynajmniej człowieka mordującego jego niewolnice, jak przypuszczał

Jander. Władca Barovii próbował odnaleźć swoją ukochaną Tatianę, Annę, by móc dalej ciągnąć ich wieczny taniec wzajemnego udręczenia.

Trzeba to przerwać. Jander przybył do Barovii gnany żądzą zemsty i teraz właśnie zamierzał jej dokonać. Co więcej, zamierzał się

rozkoszować tym uczuciem. Przebiegł go dreszcz i poczuł, jak jego świadomość ogarnia szkarłatna

zasłona wściekłego gniewu.

Sasza znów miał dziesięć lat i wchodził właśnie do domu, w którym dokonano rzezi.

Czerwona ciecz spływała po schodach, wsiąkając w leżący na kamiennej podłodze dywan. Chłopiec zaczął z mozolem wspinać się w

górze po niknących w mroku stopniach, jakby coś ciągnęło go wbrew jego woli. Nawet pod jego niewielkim ciężarem deski skrzypiały

przeraźliwie.

U szczytu schodów czekała na niego matka, a jej długie, kasztanowate włosy rozpuszczone swobodnie opadały na plecy. Spojrzała na

niego z troską w oczach.

- Gdzie byłeś? - zadudnił jej głos, powracając szaleńczym echem. - Tak się martwiłam.

Wyciągnęła do niego ramiona i przytuliła do piersi. W tym samym momencie błysnęły białe kły, a z jej oczu pozostały tylko żółtawe

białka. Mamo! Mamo!

Sasza poderwał się i niemal spadł z siennika. Jego ubranie zupełnie przesiąkło potem; dyszał ciężko, czekając, aż wszystkie zmysły

wrócą do rzeczywistości po sennym koszmarze. Przez okno sączyło się chłodne światło księżyca.

Opadł z powrotem na poduszkę, czując, że serce zaczyna bić w zwykłym rytmie. Często zdarzało mu się, że budził się dręczony takimi

koszmarami, które powracały równie regularnie jak długa, baroviańska noc. Ale częstotliwość ich pojawiania się wcale nie umniejszała strachu,

jakie nieodmiennie w nim wzbudzały. Święty Lathanderze, ile jeszcze wampirów będzie musiał zabić, zanim sny ustąpią i znów zazna spokoju?

Zaczerpnął głęboko powietrza i wstał z łóżka. Boso podszedł do niewielkiego stolika i nalał wody do miski. Obmył twarz, zmuszając się

do opanowania.

Rozległo się ciche stukanie w okno. Sasza natychmiast czujnie nastawił uszu - i znów to usłyszał: łagodny, cichy odgłos, jak najbardziej

rzeczywisty i nie będący częścią jego snu. Za oknem dostrzegł poruszający się kształt Przeniósł wzrok na skąpaną w księżycowym świetle

podłogę - postać nie rzucała cienia. Wiedział, co to oznacza: na zewnątrz czaił się wampir, najwyraźniej czekając na niego.

Kapłan uśmiechnął się ponuro. Ten nieumarły wybrał sobie niewłaściwą ofiarę. A kiedy Sasza już go zabije, będzie miał na swoim

koncie dwadzieścia zgładzonych wampirów. Szybko i cicho zebrał swoje rzeczy: wieniec z czosnku, który zawiesił sobie na szyi; flakonik wody

święconej, tym razem uczciwie zabranej z ołtarza; medalion Lathandera. Zmówił szybką modlitwę, odetchnął głęboko i przygotował się do

walki.

Znów dobiegło go postukiwanie, tym razem głośniejsze, jakby czyhający na zewnątrz stwór zaczynał się niecierpliwić. Ale nieumarli nie

tak łatwo tracili zainteresowanie swoimi ofiarami. Sasza, trzymając się z dala od plamy światła na podłodze, podkradł się bliżej, po czym z

okrzykiem „Lathander!” jednym, płynnym ruchem zerwał zasłonę i otworzył okno na oścież.

Wolną dłoń zaciskał na drewnianym, różowym świętym symbolu, ale kiedy rozpoznał wampira, opuścił ramię. Jander odruchowo

zasłonił się jedną ręką, ale wciąż pozostał uczepiony ścianą kościoła, dzięki butom i rękawiczkom wykorzystując chwyt i stopnie, jakie na nic

zdałyby się śmiertelnikowi.

- Jander! - wściekle syknął Sasza. - Co tu robisz?

Elf przeszył go spojrzeniem, a kapłan zdał sobie sprawę, że twarz wampira jest cała we krwi. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć i cofnął

się ze wstrętem.

- Muszę z tobą pomówić, Sasza. Potrzebuję... twojej pomocy.

Kapłan pokręcił głową.

- Dlaczego sądzisz, że ci pomogę?

Nie potrafił oderwać oczu od straszliwego widoku Jandera. Krew na jego odzieniu pobłyskiwała

czernią w księżycowym świetle; twarz

miął lepka od posoki.

Domyślając się jak wygląda, Jander rzekł pospiesznie:

- To nie jest ludzka krew. Spotkajmy się za dziesięć minut na cmentarzu. Mniejsza szansa, że ktoś nas tam zobaczy. Przynieś miskę z

wodą - po czym ciało Jandera zamigotało, rozmyło się w mgłę, która z kolei zestaliła się w kształt nietoperza. Wampir odfrunął w noc.

Sasza drżał na całym ciele; jakaś jego część chciała po prostu wrócić do łóżka i schować się z głową pod kocem. Co takiego zrobił dla

niego ten potwór, żeby teraz kazać mu włóczyć się nocami po cmentarzach?

Uratował życie jego ojcu.

Sasza westchnął i sięgnął po dzbanek z wodą. Cicho, nie chcąc budzić śpiącej w sąsiednim pokoju Leisl, zszedł po schodach. Jeden ze

stopni zaskrzypiał głośno i Sasza zamarł w bezruchu, nasłuchując. Z komnaty małej złodziejki nie dobiegał jednak żaden odgłos, ruszył więc

dalej.

Kiedy parę minut później dotarł na cmentarz, Jander czekał już na niego przy grobowcu Kartovów. Unoszone jesiennym wiatrem liście

wirowały wokół niego. Księżyc wynurzył się zza chmury i oświetlił smukłą postać elfa. Sasza znów poczuł mieszaninę przerażenia i podziwu -

wysoki, szczupły elfi wampir był piękną istotą ze złotą skórą, przybierającą w świetle księżyca iście magiczny odcień. Co za szkoda, że był

takim złym stworzeniem.

Kapłan podał Janderowi miskę i dzbanek. Ten postawił je na ziemi, uklęknął i zdjął rękawiczki, po czym nalał wody do miednicy i umył

twarz. Sasza wręczył mu również przyniesiony ręcznik i elf zaczął się wycierać drżącymi dłońmi.

Sasza stał bez ruchu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - rzekł głosem wypranym z wszelkich emocji. - Przysięgałem, że cię nie zabiję, ale to wszystko. Nie

powiniennem nawet tu przychodzić - niewiele brakowało, by zrobiło mu się żal tych słów, gdy Jander uniósł twarz znad ręcznika i posłał mu pełne

bólu spojrzenie. - Co się stało?

- Najpierw, proszę cię, zdejmij ten czosnkowy naszyjnik. Zapach przyprawia mnie o mdłości. Obiecałem, że cię nie skrzywdzę.

Sasza nie poruszył się. Szybciej, niż Sasza mógłby podejrzewać, Jander zerwał się na równe nogi i zerwał wieniec z jego szyi, odrzucając

go od siebie. Kapłan uniósł ręce, by osłonić odkryte teraz gardło, ale Jander nie wykonał już żadnego ruchu.

- Przecież nie możesz tego zrobić! - drżącym głosem zaprotestował Sasza.

- Wiele jest rzeczy, które powinny być dla mnie zakazane, ale które mogę tu robić - uśmiechnął się niewesoło Jander. - Pamiętaj o tym,

Sasza. W tym miejscu reguły gry ulegają zmianie - uśmiech zniknął z jego twarzy, która przybrała smutny wyraz, jaki Sasza pamiętał z

poprzedniego ich spotkania. Wampir przysiadł na kępie trawy i ujął głowę w dłonie. Kiedy po chwili przemówił, przez jego głos przebijała się

nuta bólu.

- Prosiłem cię, żebyś poszukał zapisków dotyczących kobiety imieniem Anna. Pamiętasz?

- Tak, Janderze. Przykro mi, szukałem, ale nie...

- Nie mogłeś nic znaleźć. Kochałem ją, jeśli możesz w to uwierzyć. Była obłąkana, ale kochałem ją. Zachorowała, wiedziałem, że umiera,

a nie mogąc znieść myśli o życiu bez niej, chciałem uczynić z niej wampira takiego jak ja - czekał na odpowiedź Saszy.

Zgodnie z jego przewidywaniami kapłan był wstrząśnięty.

- To nie miłość, to najbardziej samolubne... Na Pana Poranka, jesteś potworem!

Elf ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na wybuch Saszy.

- Nie miała krewnych, nikt nie mógł się nią opiekować. Byłem jej potrzebny. Wiesz, jakie to cudowne uczucie - być potrzebnym?

Kochałem ją. Mógłbym troszczyć się o nią całą wieczność. Dlatego właśnie chciałem obdarzyć ją

czymś na kształt nieśmiertelności. Miałem

nadzieję, że upływ czasu i moja miłość ulecą ją - westchnął i smutno pokręcił głową. - Nie chciała pić mojej krwi i dlatego umarła.

Spojrzał spokojnie na Saszę, a w jego głosie zabrzmiał chłód.

- Kiedy przybyłem do Barovii, kiedy mgły mnie tu sprowadziły, moje myśli krążyły wokół jednego: zemsty. Chciałem odnaleźć

człowieka, który zniszczył umysł Anny; dzisiejszej nocy odkryłem, kto nim był - przerwał na moment. - Czasem potrafię się rozgniewać, ale dziś

wpadłem w szal. Krew, którą widziałeś na mojej twarzy, jest krwią owiec, całego stada. Zabiłem je wszystkie, co do jednej. Dobrze, że wasi

ludzie nie wychodzą z domów po zmroku, bo ja z pewnością zabiłbym każdego nieszczęśnika, któremu zdarzyłoby się wejść mi w drogę.

Zanurzył dłoń w sakiewce i wyjął z niej garść drobnych, błyszczących przedmiotów. Podał je Saszy.

- Daj je właścicielowi stada. Powiedz, że to odszkodowanie od bogów, albo wymyśl jakąś inną bzdurę. Łatwiej przyjdzie mu w to

uwierzyć niż w prawdę - uśmiechnął się smutno.

Sasza nie wiedział, co powiedzieć. Jander nagle zmienił temat

- Słyszałeś kiedyś o czymś, co nazywa się szkarłatnym morem? - Sasza pokręcił głową. - Może tu nosi to inną nazwę. To istota gazowa,

ale o ludzkich kształtach; żywi się krwią jak wampir. Przedstawia sobą straszliwy widok. Kiedy się pożywia, zmienia swój naturalny, biały kolor

na coraz czerwieńszy i materializuje się, przybiera stałą formę. Tylko wówczas można ją zabić, a i to jedynie bronią magiczną.

Wyraz twarzy Saszy świadczył o obrzydzeniu, jakie go ogarnęło. Jander ciągnął dalej.

- Jeśli wierzyć plotkom, szkarłatny mór jest duchem wampira; kiedy jeden z nas ginie, staje się takim właśnie duchem - elf z napięciem

wpatrywał się w twarz kapłana. - Zabiłeś wielu z nas. Czy kiedykolwiek widziałeś taką istotę?

- Nigdy.

- Musisz być tego absolutnie pewien.

- Jestem pewien. Janderze, wiem o tych złych istotach chyba więcej niż one same.

- Nie przechwalaj się tak, młodzieńcze - odparł Jander ze słabym uśmiechem na ustach. - Ale możemy sprawdzić, co warte są twoje

przechwałki. Jak już mówiłem, jestem tu, bo potrzebna mi twoja pomoc.

Sasza posłał mu pełne powątpiewania spojrzenia.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Jander odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

- Mam do wyrównania rachunki ze Strahdem.

Sasza zeszywniał.

- Nie darzę władcy tej krainy szczególną miłością, ale nie podniosę przeciw niemu ręki tylko dlatego, że ty tak mówisz

- Sasza, zastanów się! Kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy? Na obchodach święta wiosny, jako szlachetnego gościa hrabiego. Wiesz,

czym jestem. A jak sądzisz, czym on jest? Wampirem!

Sasza zbladł.

- Nie - szepnął. Jander przytaknął.

Wszystkie wampiry w Barovii są mu podległe; wszystkie, oprócz mnie. Poza nim jestem jedynym wampirem w tej krainie obdarzonym

wolną wolą, jedynym wystarczająco silnym, by go pokonać.

- Wobec tego zrób to. Do czego ja miałbym ci być potrzebny?

- On włada magią. Ja nie. Dysponuję tylko zdolnościami, jakie przyniosła mi transformacja. Poza tym - tu jego melodyjny głos stał się

bardziej chrapliwy. - Jestem nieumarłym. Śmiertelnik, a zwłaszcza kapłan, potrafi zrobić wiele rzeczy, których ja nie mogę.

Sasza nerwowo oblizał wargi, strzelając oczami na lewo i prawo, niczym schwyte w pułapkę zwierzę. Pamiętał mdłości, jakie dręczyły

go, kiedy ostatnio wysyłał wampira na wieczny spoczynek.

- Janderze, mam liczne obowiązki wobec mieszkańców wioski. Nie ma Martina i jestem jedynym

przeszkolonym kapłanem. Następnego

lata zamierzamy się pobrać z Katią. Nie mogę tak po prostu...

W srebrzystych oczach elfa błysnął gniew.

- Nie chcę słyszeć o twoich obowiązkach. Nie obchodzi mnie twoja narzeczona. Nie przyszło ci do głowy, że któregoś dnia Strahd może

zechcieć zaspokoić swój głód jej krwią? Krwią waszych dzieci, a potem ich dzieci? Jak można mówić o obowiązkach wobec takiego monstrum?

Na bogów, jak sądzisz, kto kilkanaście lat temu wymordował twoją rodzinę?

Sasza otworzył usta w bezgłośnym krzyku i skrył twarz w dłoniach. Jander podniósł się i zaczął chodzić tam i z powrotem, starając się

opanować złość.

- Musisz to zrozumieć - kontynuował. - Strahd stał się tym, czym jest po zawarciu paktu z jakąś mroczną istotą, paktu, który

przypieczętował krwią własnego brata. Swoją nieokiełznaną żądzą doprowadził dziewczynę do samobójstwa. Tak przynajmniej mu się wydaje,

ale ja nie sądzę, żeby naprawdę zginęła. Nie całkiem.

Niezdolny dłużej powstrzymywać wściekłości chwycił Saszę za koszulę i podniósł go na nogi. Wbił wzrok w twarz kapłana.

- Uważam, że część jej osobowości umknęła, uciekła przez jakąś szczelinę do mojego świata. Zanim ją znalazłem, zanim pokochałem,

była już ledwie odłamkiem duszy. Strahd zniszczył jej umysł. Obaj kochaliśmy to biedne dziecko, które nigdy nikomu nie zrobiło krzywdy.

Pchnął Saszę na ziemię i zacisnął dłonie w pięści. Czuł wzbierającą w swoim wnętrzu złość, zwierzęcą żądzę mordy. Wysiłkiem woli

stłumił ją w sobie. Kiedy ponownie się odezwał, mówił już spokojniej.

Oto, co uczynił władca tej krainy; ale to jeszcze nie koniec. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczyna, Anna, Tatiana, czy jak tam ma

naprawdę na imię, co kilka pokoleń odradza się. Hrabia nie przestaje zaś dręczyć jej i twoich rodaków, tworząc jednego wampira za drugim -

ponownie przerwał dla nabrania oddechu. - Złożę przed tobą przysięgę, Saszo Pietrewiczu. Nigdy nie stworzyłem wampira i przysięgam, że

nigdy tego nie zrobię. Zniszcz Strahda, a zniszczysz wszystkie wampiry w Barovii. Jak mógłbyś odmówić mi pomocy, jeśli przyświeca mi taki

cel?

- Powiedz mi jedno - Sasza zawahał się, spoglądając badawczo Janderowi w oczy. - Jak... Jak to jest?

Jander odwzajemnił jego spojrzenie, po czym zmęczonym głosem odparł:

- Dlaczego chcesz wiedzieć? Jesteś dzieckiem światła i bądź wdzięczny, że tak niewiele wiesz o sekretach, jakie skrywa ciemność!

- Muszę to wiedzieć. Jakie to uczucie, umrzeć, a zarazem nie umrzeć? Jakie to uczucie, gdy...

- Gdy żyjesz kosztem życia innych? - głos Jandera stał się szorstki, rysy jego twarzy stężyły. Czuł, jak walczą w nim rozmaite uczucia,

jak kłębi się mnóstwo słów - słów strachu, gniewu, tęsknoty, obawy; niemal zakrztusił się nimi i dłuższą chwilę musiał milczeć, zanim zdołał się

odezwać.

- Pragnienie krwi nie da się z niczym porównać, to głód, który nie ma swojego odpowiednika. Człowiek, który znajdzie się na pustyni, z

opuchniętym językiem, z gardłem przypominającym wysuszony pergamin, pragnący najmniejszej choćby kropli wilgoci, by zwilżyć wnętrze

smakujących suchym puchem ust - to nic przy moim pragnieniu. Więzień, który od wielu dni nie dostaje pożywienia, czuje pustkę w żołądku,

łakomie przygląda się szczurom dzielącym z nim celę, gnijącej słomie, na której śpi, który wreszcie na własne ciało zaczyna patrzeć, jak na

źródło pożywienia - nie ma pojęcia o głodzie, jaki ja odczuwam. I z tym uczuciem budzimy się każdej nocy.

Machnął ręką, wskazując otaczające ich groby.

- Wypełzamy z naszych trumien, z krypt, z jaskiń, kryjówek pośród umarłych - bo sami jesteśmy martwi, choć zarazem żyjemy. Czaimy

się w cieniach bądź zwodzimy nic nie przeczuwających wędrowców, a potem okradamy ich z czegoś

więcej, niż materialnego bogactwa;

trzymamy obcą kobietę w ramionach i dzielimy z nią przeżycia bardziej intymne, niż te, które stają się udziałem kochanków, pijemy jej krew,

która daje nam życie. Sasza! Czy jesteś w stanie choćby w części ogarnąć to straszliwe zjawisko? A poza tym, niech bogowie mi wybaczą, to jest

cudowne uczucie!

Saszę zmroziło przerażenie zmieszane ze współczuciem, kiedy tak słuchał Jandera, pierwszy raz opowiadającego komuś o miotającej nim

udręce. Elf nie patrzył już na kapłana; jego oczy przybrały nieobecny wyraz, jakby skierował je do wewnątrz swej istoty i oglądał coś, czego

Saszy nigdy nie dane będzie ujrzeć.

- Świeżo poślubiony mężczyzna, który po raz pierwszy idzie do swej ukochanej, odczuwa ledwie cień naszej ekstazy. Radości malarza,

kończącego arcydzieło, daleko do uniesienia, jakie jest naszym udziałem. Krew jest życiem i nie ma nic piękniejszego, niż je odebrać, poczuć,

jak spływa do twojego wnętrza, jakbyś był pustym naczyniem, które wreszcie napełniono. Wiemy - wiemy - że to fałszywe upojenie, ale nie

potrafimy przerwać.

Potem chwila przemija, a wówczas spoglądam na spoczywającą w moich ramionach bezwładną postać i przeklinam sam siebie. Och, ona

jeszcze żyje; uspokajam swoje sumienie odbierając życie tylko wówczas, gdy muszę lub gdy ogarnia mnie szaleństwo nie do opanowania. Ale

oto zbezczęściłem tę kobietę i czuję wstyd.

- Ona zaś odczuwa moje kły jako zimne i gorące zarazem, przesywające i rozkazujące, czuje krew wysączającą się z jej żył, jakby ktoś

wyrywał jej serce. Jest całkowicie, absolutnie bezradna, bardziej nawet niż dziecko, które ledwie opuściło łono matki. Ale na tym polega cała

piekielna równowaga - bo i my jesteśmy bezradni. Potrzebujemy śmiertelników; potrafimy ich wyczuć, wyczuć zapach ich krwi tak samo, jak

niemowlę poznaje mleczną woń matki. Ten zapach woła nas i przybywamy na podobieństwo fal

biegnących do brzegu, równie jak one niezdolni

się sprzeciwić wezwaniu. Nie ma istot bardziej od nas przeklętych.

Elf umilkł i Saszy zdawało się, że skończył. Kiedy Jander ponownie odezwał się, głos miał cichy, łagodny, pełen już nie złości, lecz żalu.

- Kiedy jeszcze oddychałem, nie byłem złą istotą. Byłem wojownikiem, walczącym o dobro i sprawiedliwość. Leśne zwierzęta nie bały

się mnie, czując mą woń. Mężczyźni byli albo moimi przyjaciółmi, albo godnymi wrogami; kobiety zaś istniały po to, by je wielbić i oddawać

im cześć. Nie jest czczą przechwałką, kiedy mówię, że gdziekolwiek przyłożyłem swą dłoń, świat stawał się lepszy.

A teraz cierpię męki, jakich nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić. Koń nie pozwoli mi się dosiąść, jeśli mu tak nie rozkażę;

mieszkańcy lasu uciekają w popłochu, wyczuwając moją obecność; nie mogę cieszyć się towarzystwem innych ludzi - pozostali mi jedynie tacy

nikczemnicy, jak Strahd, którego zresztą niewiele obchodzę i który mnie obchodzi jeszcze mniej. Słońce, od którego pochodzi moje rodowe

nazwisko, jest dla mnie zabójcze; w moim świecie nie ma już piękna. Żyję wśród zniszczenia i ciemności i sam rozsiewam je, niczym zarazę.

Sama ziemia mnie nienawidzi. Patrz, jak działa moje dotknięcie!

Ponownie wściekły, Jander położył gołe dłonie na trawie rosnącej przy nagrobku. Sasza usłyszał słabe trzaski, a kiedy po paru sekundach

elf odsunął ręce, wynurzyła się spod nich martwa, pożółkła trawa.

- A Anna... Och, Anna! - zaszlochał głośno wampir. - Strahd zniszczył Tatianę i nie przestanie tego czynić. Ale to ja ją zabiłem. I



choćbym miał do końca świata płacić za to własnym cierpieniem, nie dość będzie kary. Wiele grzechów mam na sumieniu, Sasza i nigdy nie

twierdziłem inaczej. Wiele również tkwi we mnie ran. A czy ty, synu cygańskiego chłopca, pomożesz mi? Czy pomożesz mi pomścić ją i ocalić

życie i dusze wszystkich, których kochasz?

Błaganie Jandera poruszyłoby najtwardsze serce i Sasza nie mógł pozostać na nie nieczuły. Ponad pół życia strawił na walce ze złem,

które czaiło się w mrokach nocy, w krainie, która była domem dla nieumarłych władców; wbijał kołki w ich serca, odcinał im głowy, a wszystko

po to, by nie powstałi z martwych. Pomoc Leisl trochę ulżyła mu w dźwiganiu tego brzemienia, ale niewiele.

A teraz Jander chciał, żeby zaatakował najpotężniejszego wampira w całej Barovii. Sasza czuł się zmęczony. Czy nie dość zrobił? Czy

doczeka wreszcie chwili wytchnienia? Czy nigdy nie będzie mógł spędzić bezpiecznie nocy z ukochaną Katią, wolny od wspomnień i

koszmarów?

Noce w Ravenloft niosły ze sobą gorsze rzeczy niż wspomnienia i złe sny. Nie mógł, wiedząc o tym, pozostać beczynny. Zamknął oczy.

- Dobrze więc - rzekł. - Od czego mamy zacząć?

DWADZIEŚCIA TRZY

Kiedy Sasza wrócił, Leisl czekała na niego w jego komnacie, siedząc z podkurczonymi nogami na łóżku. Bez słowa wręczyła mu

kubek grzanego wina, pomagającego wypędzić z kości cmentarny chłód. Sasza w milczeniu zaczął pić.

Widziałaś, jak mniemam, tego, mmm... elfa - odezwał się wreszcie zmęczonym głosem, kładąc się wygodniej na łóżku. Wolną

ręką przetarł oczy.

Więc tak wyglądają. Owszem, widziałam go. Widziałam również, że nie rzucał cienia w świetle księżycy i że twarz miał całą we krwi -

starła się mówić opanowanym tonem, ale nie do końca się jej to udawało. - W jaki to zwariowany plan zdołałeś się wplątać, Saszo Pietrowiczu?

Sądziłam, że mamy zabijać te stwory, a nie umawiać się z nimi na pogawędki przy grobach!

Sasza w myśli rozważał, co jej odpowiedzieć, ale Mały Lis i tak już wiedziała zbyt dużo. Gorszą rzeczą byłoby, gdyby zdecydowała się

mu „pomóc” bez jego przyzwolenia. Wtedy rzeczy mogłyby szybko, bardzo szybko przybrać zły obrót.

Wziął głęboki wdech.

- Ten wampir nazywa się Jander Sunstar. Wiele lat temu ocalił życie memu ojcu, teraz jest kimś w rodzaju... przyjaciela rodziny -

uśmiechnął się niewesoło. - Mieszka u hrabiego Strahda, w zamku.

- No, to fantastycznie - Leisl zmarszczyła nosek. - Wampir i zwariowany mag-tyran. Miłych masz przyjaciół, Sasza.

- Leisl! - Sasza usiłował pozostać niewzruszony, ale jej szczerość jak zwykle kazała mu się roześmiać. Poczł przyływ ulgi. Wino to

dokładnie to, czego mi było trzeba, pomyślał, pociągając kolejny łyk z kubka. Leisl była naprawdę niesamowita z tym odgadywaniem jego

życzeń, zanim sam sobie uświadomił, czego właściwie chce.

- To nie tak - ciągnął. - Jander knuje przeciw Strahdowi; wszystko wskazuje na to, że władca Barovii również jest wampirem - spojrzał na

dziewczynę, ciekaw jej reakcji.

Uniosła brwi.

- Jeśli obaj są wampirami, to dlaczego Jander go nienawidzi?

- Nie przeraża cię to?

- A powinno? Prawie co noc wychodzimy zapolować na te przekłete stwory. Wiem, jak radzić sobie z wampirami. Ludzie... - jej głos

spoważniał. - Są mniej przewidywalni. Jeśli o mnie chodzi, to właśnie ludzi uważam za prawdziwe potwory.

- Leisl - zagadnął łagodnie Sasza. Dziewczyna spięła się w sobie, rzuciła mu czujne spojrzenie. - Dlaczego zostałeś złodziejką?

- Nie chcę o tym mówić - odparła krótko, krzyżując ramiona na piersi i zaciskając usta w wąską kreskę. W normalnej sytuacji Sasza nie

naciskałby dalej, tym razem jednak musiał się dowiedzieć, czy może jej zaufać, podejmując niebezpieczną misję.

- Słuchaj, szanuję twoją prywatność, ale nie zamierzam zabrać cię do zamku Ravenloft, jeśli nie będę wiedział, co ci tam w głowie siedzi!

- rzucił.

Mały Lis przyjrzała mu się badawczo.

- Dobrze - odrzekła, wciąż z odcieniem wrogości w głosie. - Powiem ci. Urodziłam się w rodzinie wieśniaka. Mieszkaliśmy na samym

skraju wioski; kiedy miałam siedem lat, stado wilków zrobiło sobie obiad z całej mojej rodziny.

Byłam najmłodsza z czworga dzieci i na poddaszu miałam własny, mały pokój. Schowałam się tam, bezpieczna, poza zasięgiem

zwierząt i śmiertelnie przerażona przesiedziałam całe cztery dni, zanim głód kazał mi zejść na dół.

Nikt z wioski nie chciał mnie wziąć pod swój dach. Całymi tygodniami żywiłam się resztkami, wyrzucanymi przez innych, aż trafił się

pewien mężczyzna, który powiedział, że mnie przygarnie do swojej rodziny. Rodziny, akurat. Nazywał się Lis, a cała ta rodzina składała się z

sierot, takich jak ja, które przyuczał, by dla niego kraść. Byłam w, tym dobra - ciągnęła cicho Leisl; w jej głosie pobrzmiwał teraz lekki ślad

nienawiści i dumy. - Byłam tak dobra, że Lis zaczął nazywać mnie Małym Lisem, tak dobra, że wyrzucił mnie ze swojej bandy. Powiedział, że

jestem już gotowa, żeby radzić sobie sama.

Miałam trzynaście lat, Sasza, ledwie trzynaście lat. Byłam przerażona. Udało mi się przeżyć, bo zawsze oglądałam się za siebie i nigdy

nikomu nie ufałam. Zresztą nadal nie ufam - wyraz jej oczu złagodniał. - Oprócz ciebie. Teraz wiesz, że i ty możesz mi zaufać.

Sasza zapomniał już, jak bardzo potrafiła go czasem złościć ta drobna, chuda dziewczyna, zapomniał, ile kłopotów umiała sprawić.

Wyciągnął ramiona i przytulił ją delikatnie. Początkowo zeszywniała, ale już po chwili odprężyła się i objęła go w odpowiedzi. Długo siedzieli

tak wtuleni w siebie.

Jander zapowiedział, że po tygodniu wróci, żeby dowiedzieć się, co udało im się odkryć. Sasza i Leisl zaczęli szukać informacji, które

pozwołyby im wyrównać szanse w konfrontacji z władcą Barovii. Sasza nie zaniedbywał swych obowiązków, ale dopełniał ich nieobecny

duchem. Po kilka godzin spędzał w swojej komnacie, modląc się na dywaniku: „Lathanderze, potrzebujemy twojej pomocy. Prowadź nas...”

Pan Poranka nie objawił się Saszy; nie zesłał mu również żadnej wizji. Kapłanowi i jego współpracownikom nie pozostało nic, jak skierować

swą uwagę ku skromnie zaopatrzonej kościelnej biblioteczce. Mieściła się ona w małym, ciasnym pokoiku bez okien, w którym wskutek słabego

dopływu powietrza unosiła się woń stęchlizny i kurzu. Znać było po książkach, że już zbyt długo nie dotykała ich ludzka ręka. Wszystkie

kilkadziesiąt woluminów, ściągniętych z półek, na których dotąd pleśniały, leżało otwartych na drewnianym stole.

Leisl kichnęła i wróciła do posiłku, który Katia przygotowała dla nich. Żuła leniwie, splukując jadło łykiem wina. Sasza, z brodą wspartą

na dłoni, przewrócił kolejną kartkę. Jej szelest był jedynym odgłosem mącącym ciszę komnaty. Leisl nudziła się; pierwszy raz w życiu żałowała,

że nie umie czytać. Przynajmniej mogłaby mu jakoś pomóc.

- Masz coś? - spytała z nadzieją w głosie.

Sasza westchnął, przekartkował książkę do końca i zamknął ją delikatnym gestem.

- Nie. Zupełnie nic. To głównie spisy i raporty - plony, narodziny, zgony, śluby, tego typu sprawy. Nic, co miałyby dla nas jakies

znaczenie.

Odchylił się i przeciągnął na krześle w tył, tak że dwie przednie nogi zawisły w powietrzu. Splótł dłonie na karku i przymknął oczy,

pozwalając myślom błąkać się swobodnie. Wampiry były złymi istotami, ale dziś już mało kto w nie wierzył. Należały do legend. Jak się walczy

z legendą?

Leisl wpatrywała się ponuro w stertę ksiąg na stole; niemal podskoczyła, kiedy Sasza nagle usiadł

normalnie i nogi krzesła załomotały o

podłogę. Oczy mu błyszczały.

Paweł Iwanowicz - rzekł podniecony.

- Kto?

- To stara historia. Wiesz, ta o Pawle Iwanowiczu z Vallaki, dziedzicu Słońca. Nie pamiętasz?

- Nie miałam mamy, która opowiadałaby mi bajki do poduszki. Pamiętasz?

- Ależ Leisl, nie o to mi chodziło... - wyglądał tak żałośnie, że Leisl machnęła ręką w odpowiedzi na jego prośby.

- Opowiedz mi o tym Pawle.

- Cóż, był dziedzicem Słońca, którego przeznaczeniem było powstrzymać nadejście ciemności. Jego ojciec dał mu w tym celu część

słońca - wyjaśnił Sasza. - Ciemność wykradła mu tę część i ukryła ją w najmroczniejszej części krainy. Jak sądzisz, co to za miejsce w

Barovii?

Leisl uśmiechnęła się.

- Nie wydaje mi się, żebyś chciał usłyszeć moją odpowiedź.

Sasza zmarszczył brwi.

- Nie czas na żarty, Leisl. Najmroczniejszy zakątek Barovii to zamek Ravenloft, prawda?

- Tak sądzę.

- W swoich poszukiwaniach Paweł stawiał czoła wielu wrogom. Pierwszym z nich i zarazem najstraszniejszym był Nosferatu, czyli

wampir. - Sasza zapalał się coraz bardziej. - Widzisz? To wszystko ma sens. Dalej legenda mówi, że kiedy Paweł odzyskał część słońca,

klątwa rzucona na kraj została zdjęta. A Strahd z pewnością jest przekleństwem Barovii.

- Sasza, przecież to tylko jakaś głupia ludowa opowieść - prychnęła Leisl, na której opowieść nie zrobiła żadnego wrażenia.

- Oczywiście. Ale takie opowieści często niosą w sobie ziarno prawdy. Może w Ravenloft naprawdę coś jest.

- Pewnie, parę wampirów.

Cierpliwość Saszy wyczerpywała się. Spojrzał ze złością na dziewczynę, nie starając się panować nad własnym gniewem.

- Nikt cię nie prosił, żebyś się w to mieszała. Nikt cię nie prosił, żebyś zabijała wampiry. Tak naprawdę, to nikt nie prosił cię, żebyś

cokolwiek tu robiła, do diabła! Jeśli taka jesteś pewna, że to zajęcie dla głupców, to może być wyszła i zostawiła mnie samego?

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale kapłan wyczuwał emocje, kipiące pod tą spokojną maską.

- Zostanę z tobą. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Było to absolutną prawdą, z czego Sasza doskonale zdawał sobie sprawę.

- Przepraszam - wymruczał.

- W porządku - Leisl odgarnęła kilka książek, robiąc sobie miejsce i sadowiając się na stole. - Przypuśćmy, że ta historia jest prawdziwa i że

w zamku Ravenloft rzeczywiście ukryto cząstkę słońca, która pomoże zniszczyć Strahda. Co to dokładnie jest?

Sasza spuścił wzrok.

- Nie wiem.

- No nieźle.

- Leisl, robię, co mogę.

- Ja również. Nie odpowiedział, pochylając się niżej nad trzymanym na kolanach opasłym tomem.

Westchnął pod nosem; miał nadzieję, że prowadzone przez Jandera poszukiwania okazały się bardziej owocne, bo w przeciwnym

wypadku będą musieli stawić czoło władcy Ravenloft bez pomocy magii. A tego, zamyślił się ponuro Sasza, należy się bać.

Nie miał w wiosce nikogo starszego, do kogo mógłby się zwrócić po radę. Po śmierci Martina Sasza został największym uczonym w

Barovii. Rozważał wysłanie Leisl do Vallaki, żeby sprawdzić, czy ktoś stamtąd nie byłby w stanie udzielić im więcej informacji. Mogło się to

okazać najlepszym wyjściem, choć wolałby nie robić niczego, co zabiera cenny czas i przyciąga

uwagę.

- Gdyby tylko ktoś z wioski znał się na magii, albo...

Na jego twarz zaczął wypływać uśmiech. Albo ktoś spoza wioski...

- Cyganie - rzekł.

Następny dzień był dniem targowym, a w takie dni Vistani czasem zajeżdżali do miasteczka na handel. Wymagało to trochę wysiłku, ale

za piętnaście sztuk złota i obietnicę „pomocy, gdyby jej kiedyś potrzebował” Giacomo, mężczyzna o wiecznie rozbieganych oczkach, sprzedał

Saszy i Leisl miksturę, która pozwoli im bezpiecznie przebyć otaczający wioskę pierścień mgły. Pozwolił im również odbyć tę podróż w jego

własnym wozie.

Jesień na dobre zagościła już w okolicy; sylwetki nagich drzew rysowały się wyraźnie na tle szarego, brzemienneo śniegiem nieba. Leisl

i Sasza przytulili się do siebie, żeby się ogrzać. Niebawem dostrzegli ścianę śmiertelnej mgły, kłębiącej się i wirującej niczym żywa istota.

- Wypijcie teraz - polecił im Giacomo, również unosząc do ust flakon, z którego pociągnął łyk. Dwójka pasażerów zrobiła, co im kazano,

niemal krztusząc się gorzką cieczą.

W parę sekund później znaleźli się w samym środku mgły. Gęsty, bliski zstąpienia opar pachniał zgnilizną; tylko mikstura dawała

nadzieję na przeżycie. Sasza i Leisl z trudem dostrzegali nawzajem swoje twarze za to powożącego pojazdem Vistaniego nie widzieli w ogóle.

Ten jednak prowadził swoje kuce przez mgłę, która nagle zrzędła, a za moment zupełnie się rozwiała. Oboje odetchnęli z ulgą.

Jechali dalej drogą prowadzącą do obozowiska Vistameli. Uwagę Leisl zwróciło mnóstwo drobnych, szaro-białych ptaszków, kręcących

się wśród gałęzi pozbawionych liści drzew. Pokazała je Saszy.

- To vista chiri - odparł. - Wędrują razem z Cyganami. Moja matka mówiła, że to dusze zmarłych Vistani.

Mimo swego pochodzenia Sasza nigdy dotąd nie próbował odwiedzić cygańskiego obozu ani odnaleźć ojca. Całkiem możliwe było, że

dziś, w tym miejscu, natknie się na Pietię; ale musiał podjąć to ryzyko. Oswoił się już z tą myślą, ale serce waliło mu jak młotem, do wtóru

stukotu końskich kopyt.

Przenikliwy wiatr zmienił kierunek i do ich nozdrzy doleciał zapach ogniska. Dojeżdżali na miejsce...

Maruszka wpatrywała się w kryształową kulę, dostrzegając w niej rzeczy ukryte przed wzrokiem innych. Bezgłośnie poruszała wargami.

Po chwili westchnęła i przykryła kulę purpurową aksamitną osłoną. Zamrugła parę razy oczami, próbując pozbyć się napływających łez, które

sprawiły, że ostatnia scena widziana w kuli była nieco rozmazana. Wstała i wyszła na zewnątrz, w jesienny poranek.

Dwadzieścia cztery minione lata zostawiły swój ślad na Prorokini. Jej dar Widzenia w pełni objawił się w jej dwudzieste drugie urodziny,

dwa lata po tym, jak złotoskóry elfi wampir ocalił życie jej bratu. Kiedy szła do ogniska, chcąc ogrzać zmarznięte ręce, wpadł na nią jej bratanek,

Michaił i przewrócił ją na brunatną trawę.

- Przepraszam, ciociu Ruszko - powiedział, pomagając jej wstać. Spojrzała rozzłoszczona na chłopca, najmłodszego z synów Pietii i

wróciły wspomnienia wszystkich minionych lat. Michaił liczył sobie ledwie siedem wiosen, ale już aż nadto wyraźnie znać było, że odziedziczył

po ojcu talent do wpadania w tarapaty.

Pietia wraz z żoną Ilianą wylegiwali się jeszcze w swoim vardo. nie mogła ich za to winić; komuż chciałoby się w taki zimny ranek

opuszczać wygrzane miejsce u boku małżonka? Prorokini nie wyszła za mąż. Od urodzenia przeznaczone jej było stanąć na czele plemienia i tak

też się stało. Kiedy cztery lata temu zmarła Eva, Maruszka była należycie przygotowana do zajęcia miejsca babki.

Rozcierała ręce nad ogniem, gdy turkot wozu zmusił ją do podniesienia wzroku. Skrzywiła się w

głębi duszy, choć na zewnątrz nie dała

niczego po sobie poznać. W wozie dostrzegła młodego mężczyznę, jak dwie krople wody podobnego do jej brata; poza tym to właśnie jego

rozpoznała dziś w swojej porannej wizji.

Nie był teraz odziany w kapłańskie, złoto-różowe szaty, w jakich widziała go w kuli. Widać było, że dołożył starań, by jego strój jak

najmniej rzucał się w oczy; chciał wyglądać jak „typowy” mieszkaniec tych okolic, stąd standardowe połączenie bawełnianej koszuli, kamizelki

z owczej skóry i ciemnych, wełnianych spodni. Wraz ze swoją towarzyszką, szczupłą dziewczyną, wygramolili się z wozu Giacomu. Maruszka

wiedziała już, co ich sprowadza i kiedy Giacomo wskazał ją przybyszom, powitała Saszę tajemniczym uśmiechem.

Płynie w tobie nasza krew - rzekła bez zbędnych wstępów, kiedy Sasza zbliżył się na tyle, by ją usłyszeć. Zamrugał, zdziwiony.

To niezupełnie prawda. Jestem przybyszem z dalekiego kraju...

Nazywasz się Sasza Pietrowicz i jesteś synem jednego z Vistanich, imieniem Pietia i córki burmistrza. Zostałeś kapłanem boga, który nie

jest znany wśród naszego ludu. Czemu zwracasz się do mnie o pomoc?

Był kompletnie zaskoczony. Mówił Leisl, że przebranie na nic mu się nie przyda. Dla niej to było może i dobre, przywykła do

przebieranek i odgrywania ról...

- Może młoda dama ma ochotę na filiżankę herbaty? - zaproponowała Maruszka. Umilkła na moment, po czym mówiła dalej.

- Chodźcie więc do mojego vardo - odwróciła się, wskazując im drogę. - Jesteście w stanie zapłacić, jak sądzę? - zagadnęła, choć bardziej

przypominało to stwierdzenie, niż pytanie.

Zamiast odpowiedzi Sasza zanurzył rękę w sakiewce i wydobyl garść złota, które zamigotało w świetle. Leisl skrzywiła się na ten widok,

wiedząc, że zwróca na siebie uwagę.

- Schowaj to - wysyczała. - Bo inaczej może nam się nie udać wrócić stąd cało - nagle zdała sobie sprawę, jak Prorokini musiała odebrać

te słowa i podniosła na nią zawstydzony wzrok.

Maruszka tylko się uśmiechnęła.

- Lepiej znasz się na tym, co dzieje się na tym świecie niż twój przyjaciel, maleńka. Kapłanie, dobrze zrobisz słuchając jej. Chodźcie za

mną, oboje.

W miarę upływu lat vardo Maruszki przybierało coraz bardziej wyszukany wygląd, odzwierciedlając jej rosnące wpływy tak w obrębie

plemienia, jak i na zewnątrz. Wymyślne zdobienia pokrywała świeża farba i złocenia, a przy uprząży jej kucyków podzwaniała taka kolekcja

dzwonków i ozdobnych chwaścików, że każde przenosiny obozu przypominały karnawałową procesję.

W środku cienie tajemnicy walczyły o lepsze z plamami szalonych barw. Sprzęty niezbędne do prowadzenia w miarę wygodnego życia -

rzeźbione skrzynie z jaskrawą odzieżą, barwne przykrycia na łoża i niezliczone haftowane złotą nicią poduszki - kontrastowały z tajemniczymi

przedmiotami, które służyły jej Widzeniu. Księgi leżały na stołach i zalegały kąty, z sufitu zaś zwisały się starannie powiązane pęki ziół,

wypełniając wnętrze wozu niezwykłymi woniami. Karty, owinięte w kawałek białego jedwabiu tak stary, że prawie przezroczysty, spoczywały w

przeznaczonym na nie pudełku obok mosiężnej kadzielnicy, glinianej miseczki do wrózenia i dużej bryły kryształu górskiego, którego ściany

zmuszały wzrok, by ześliznął się do wnętrza kamienia. Nad tym wszystkim płonęła gruba, biała świeca na przysadzistym świeczniku; jej

płomień migotał jak samotne, blade oko. W ogromnej klatce drzemał czarny ptak, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Kiedy Maruszka zapaliła lampy, zwieszające się z belki biegnącej środkiem sufitu, Sasza rozejrzał się dookoła; jest tu całe wyposażenie,

pomyślał. Ale była w tym również moc, a miał wystarczająco dużo cygańskiej krwi w żyłach, żeby rozumieć, iż moc w żaden sposób nie zależy

od zapachu ziół czy wpływu ognia, tańczącego na tajemniczych przedmiotach. Miał nadzieję, że postępuje właściwie.

Maruszka grzebała wśród tego bałaganu. Jej ruchom towarzyszył delikatny szelest spódnic i brzęk licznych bransolet, podzwaniających

na rękach. Niedbale machnęła w ich stronę zdobną w pierścienie dłonią i Leisl z Saszą usiedli na poduszkach na ziemi. Zaraz niemal podskoczyli

na dźwięk pukania do drzwi, ale to tylko Michał przyniósł im herbatę. Maruszka wstrzymała oddech; podobieństwo łączące obu braci było dla

niej oczywiste, jednak żaden z nich nie dał po sobie poznać, czy je zauważył. Wypuściła powietrze z płuc.

- No dobrze - odezwała się, podawszy każdemu z gości filiżankę gorącej, aromatycznej herbaty. - Co chcielibyście wiedzieć?

Sasza przyglądał się jej swymi ciemnymi, poważnymi oczyma. Para z herbaty unosiła się przed jego twarzą, spowijając ją mgiełką.

- Chcę znać swoją przyszłość. Wszyscy tego chcą, prawda?

Maruszka zmartwiała. Przymknęła oczy. A więc wizja już zaczyna się wypełniać. Tak szybko, tak szybko...

- Wypijcie herbatę - poleciła krótko - i oddajcie mi filiżanki.

Zrobili to, posłuszni rozkazowi. Maruszka ustawiła filiżanki przed sobą, na wolnym kawałku podłogi, zamknęła oczy i odetchnęła

głęboko. Powolnym gestem wzięła w dłoń filiżankę Leisl i spojrzała w nią.

- Jest w tobie strach - wymruczała. Leisl prychnęła, ale Prorokini zignorowała to. - Nie czujesz lęku w obliczu dramatycznych wydarzeń,

ale boisz się dwóch rzeczy: szarych pieśniarzy nocy i utraty czegoś, na czym ci zależy.

- Twoja ścieżka wiedzie w Ciemność i w niedalekiej przyszłości będziesz musiała stawić czoło obu tym obawom.

Leisl starała się zachować obojętny wyraz twarzy, choć serce w niej zamarło. Szarzy pieśniarze nocy to wilki, których rzeczywiście bała

się i nienawidziła. Zależało jej zaś tylko na jednym: na Saszy. A oto ta Vistani właśnie powiedziała, że go straci. Zacisnęła mocno oczy i

zamrugnęła nimi parę razy, mając nadzieję, że kapłan niczego nie dostrzeże. Ale niepotrzebnie się martwiła, gdyż Sasza nie spuszczał wzroku z

twarzy Maruszki.



- A ty, w którym płynie cygańska krew - ciągnęła cicho Prorokini - wyznaczyłeś sobie zadanie, które ciąży ci ponad miarę. Czeka cię

wielka strata. Nie widzę wyraźnie, jaką formę przybierze - czy będzie to utrata miłości, czy wiary, czy też czegoś tak namacalnego, jak

przedmiot czy osoba. Szukasz światła na ścieżkach ciemności. Kamienie... - jeszcze bardziej ściszyła głos. - Ten, który najbardziej kocha, ma

serce z kamienia. Kamień powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Czy... - Leisl przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz. - Czy my umrzemy?

Cyganka podniosła wzrok, a na jej obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

- Ależ oczywiście, maleńka. Wszystko umiera. A raczej... - jej uśmiech zbladł nieco. - Prawie wszystko umiera. Zapadło niezręczne

milczenie. Dwoje gości siedziało pogrążonych w myślach, aż wreszcie Sasza przemówił.

- Ile jesteśmy ci winni, pani?

Maruszka już miała podać zwyczajowo obowiązującą stawkę, nagle jednak rozmyśliła się.

- Nic nie płaciecie. Dobrze znam twojego ojca i ze względu na jego krew, niech to będzie mój dar.

Sasza zamierzał zaprotestować, ale zrezygnował.

- Dziękujemy, Madame Maruszka.

Prorokini wstała i otworzyła drzwi, wychylając się na zewnątrz, by wykrzyknąć coś w mowie Vistanich.

- Czas na was, moje dzieci. Nikt nie będzie was niepokoił. Bezpieczna podróż przez mgłę to również podarunek ode mnie.

Sasza i Leisl podeszli do drzwi.

- Żegnaj, Madame - Sasza pokłonił się nisko. Leisl dygnęła szybko i wyszła w ślad za nim. Maruszka patrzyła, jak odchodzą, a potem

zamknęła drzwi i opadła na poduszki. Pika zaskrzeczała donośnie i Prorokini uśmiechnęła się do czarnego ptaka.

Dumna była z siebie, że potrafiła im naprawdę powróżyć, chociaż... Przez krótką chwilę żałowała z całego serca, że obdarzona została

darem Widzenia. Nie musiałyby wówczas dokonywać takich wyborów.

Jej obowiązki wobec plemienia dalece przekraczały zobowiązania rodzinne. Więzy łączyły ją z każdym z Vistanich, z każdym aspektem

ich istoty. Ochrona ich miała zawsze pierwszeństwo przed szczęściem czy bezpieczeństwem obcych. Nie wolno jej uczynić nic, co zagroziłoby

ich istnieniu. Eva pokomplikowała sprawy, wplątując Vistanich w machinacje Strahda, ale Maruszka wiedziała, że byłoby głupotą próbować mu

się przeciwstawić. Nie mogła tego zrobić, nawet gdyby w grę wchodziło życie jej brata czy jego syna... jej bratanka; nie zrobiłaby tego nawet ze

względu na jedyną istotę, dzięki której choć przez moment pomyślała o miłości - obcego, pięknego obcego o złotej skórze. Pochodził z innej rasy

i, co znacznie gorsze, jego udziałem stał się zupełnie inny rodzaj egzystencji. Zła na siebie przypomniawszy sobie, co mu przepowiedziała - że

odniesie sukces za sprawą słońca i dziecka.

Ironia wezbrała w niej niczym żółć. Jak wampir mógł znaleźć szczęście przy pomocy słońca? Jak nieumarły mógł spłodzić dziecko?

Potrząsnęła smutno poznaczoną siwizną głową.

- Och, Janderze - rzekła cicho. - Jeśli w ogóle mnie pamiętasz, wybacz mi mój udział w katastrofie, która nadciąga.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Jander nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy wróci Strahd; za pięć minut czy za pięć miesięcy. Liczyła się teraz każda chwila, bo zdawał

sobie sprawę, że po powrocie hrabiego nie będzie w stanie zapanować nad własną wściekłością.

Musiał jednak jednocześnie zachowywać pozory. Niewolnice Strahda mogły być złe, ale daleko im do przebiegłości elfiego

wa

mpira czy ich własnego stwórcy. Ale miały oczy i umiary patrzeć, więc Jander pilnował się, żeby w obecności innych nieumarłych nie

zdradzić się choćby jednym słowem, spojrzeniem czy czynem. Tylko spotykając pozbawione umysłu szkielety i zombi nie musiał niczego

udawać.

Co innego bystra mała Trina Miał wrażenie, że wyczuwa iż coś jest nie w porządku, kiedy wpadła go odwiedzić dwie noce po spotkaniu z

Saszą. Aby się jej pozbyć, musiał nieźle się wysilić, udając, że całkowicie pochłaniają go freski.

- Mam nadzieję, że uda mi się odtworzyć pierwotny błysk na tym przepięknym wisiorze w kształcie słońca - odezwał się. - Tak, na tym

właśnie. Piękny, prawda? Wydaje mi się, że mieszanka srebra z odrobiną bieli...

Podziałało. Trina westchnieniem wyraziła swoje najwyższe zniecierpliwienie i zbiegła po schodach. Usłyszał, jak w pół drogi tupot nóg

zmienił się w ciche, delikatne kroki wilczych łap, a kiedy podbiegi do najbliższego okna ujrzał, jak przebiega przez brukowany podwórzec

zamku.

Natychmiast porzucił farby i pędzle i pognął do gabinetu. Nawet nie wiedział, czego dokładnie szuka - jakiejś wskazówki, zaklęcia,

czegoś, co mogłoby pomóc pokonać hrabiego Strahda Von Zarovich, plagę Barovii.

Dwie rzeczy, które udało mu się wygrzebać w czasie całego śledzenia ksiąg, uparcie siedziały w jego umyśle. Jedna z nich to rozdział z

historii armii Barovii. Teraz odnalazł ten fragment i przeczytał go ponownie: Najwyższy Z Wysokich Kapłanów Barovii, młody człowiek

imieniem Kir, przewodził modłom. Został obdarzony mocą użycia tajemniczego Świętego Symbolu Kruczego Rodu przeciw królowi goblinów. I

kiedy hrabia walczył, prowadząc swych ludzi do zwycięstwa, w sekrecie użyto również Świętego Symbolu. Po walce Najwyższy z Wysokich

Kapłanów Kir ukrył Symbol.

Nikt nie wie, jak Święty Symbol wygląda, ani gdzie został ukryty. Po dziś dzień żaden kapłan nie zdołał go odnaleźć i użyć. Jednak bez

wątpienia jego potężna magia pomogła szlachetnemu hrabiemu Strahdowi w odniesieniu zasłużonego zwycięstwa.

- Święty Symbol Kruczego Rodu - powtórzył Jander na głos. - Przedmiot obdarzony ogromną, mogącą czynić dobro mocą, i nikt nie wie,

czym ta cholerna rzecz jest!

Roześmiał się niewesoło, uświadamiając sobie ironię tego faktu.

Inna sprawa, która nie dawała mu spokoju, była powtarzana wśród ludu historia nieustraszonego młodzieńca, Pawła Iwanowicza i jego

poszukiwań części słońca Jander przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz usłyszał fragment opowieści od Saszy - było to tej samej nocy, kiedy

Strahd wymordował rodzinę chłopca, teraz elf stłumił w sobie wyrzuty sumienia, które nawet po tylu latach nie przestawały go dręczyć i skupił

się na samej opowieści. Paweł zdołał pokonać Nosferatu. Może w tej legendzie tkwiło ziarno prawdy.

Cały tydzień Jander spędził na szaleńczym przekopywaniu się przez stosy książek z biblioteki Śtrahda. Którejś nocy przechadzał się

niecierpliwie po zamku, w oczekiwaniu zmierzchu, a gdy tylko zapadła ciemność, opuścił twierdzę w wilczej postaci. Za dnia spadły pierwsze w

tym roku drobniutkie płatki śniegu i las pełen był srebrnych kryształków i białych, duchom podobnych śnieżnych czap. Księżyc, prawie w pełni,

świecił jasno w tę pogodną noc.

Jander biegł niespiesznie w kierunku wioski, gdy w nozdrza uderzył go zapach świeżo upolowanej zdobyczy. Przypomniał mu, że i on

powinien się posilić, zanim noc dobiegnie końca. W mieszance piźmowej woni wilka i metalicznego aromatu krwi jelenia rozpoznał

charakterystyczny zapach Triny i ruszył się w jej kierunku.

Znalazł ją na niedużej polance, położonej wystarczająco głęboko w lesie, by nie była widoczna dla

wieśniaków. Docenił spryt Triny,

która w półwilczej formie ostrymi pazurami szarpała mięso na sztuki, plamiąc krwią śnieg dookoła. Zaduch śmierci unosił się w zimnym

powietrzu. W pobliżu hałaśliwie posilały się inne wilki.

Jander przybrał z powrotem postać elfa, żeby móc rozmawiać z Triną.

- Wiesz, kiedy Strahd wraca? - spytał, starając się ukryć obrzydzenie, jakie odczuwał, przyglądając się wilkom pozerającym wspólnie

zabitego jelenia.

Trina spojrzała na niego ludzkimi oczyma wyzierającymi z wilczego pyska. Pokręciła głową i oblizała się.

- Wydaje mi się, że na razie nie. Na krótkie wypadki zabiera mnie ze sobą - jej głos dawało się zrozumieć, choć brzmiał o dobre kilka

oktaw niżej niż zwykle i przypominał gardłowy warkot. Łakomie wbiła zęby w krwawy ochłap, starając się chwycić go jak najlepiej. Jander

odwrócił się i usłyszał trzask kruszonej kości.

Znów zmienił się w wilka i skierował ku wiosce. Wkrótce las się skończył i elf zwiększył czujność, przemykając niczym cień po śniegu.

Niedaleko kościoła podczołgał się do niewielkiej kępy drzew, znaczącej granice cmentarza. Upewniwszy się w ten sposób, że nie dostrzegą go

wrogie oczy, przybrał kształty elfa i dopiero wówczas ruszył przez cmentarz do kościoła.

Sasza czekał na niego; nie był sam: na niezgrabnie ciosanej drewnianej ławce pod ścianą kuliły się dwie sylwetki. Wstały, gdy elf

podszedł bliżej.

- Myślałem, że będzie nas tylko dwóch - zaczął Jander podejrzliwie.

- Tak miało być, ale jej można zaufać. Janderze Sunstar, przedstawiam ci Leisl, moją... partnerkę w nocnych łowach - przerwał na chwilę,

po czym ciągnął dalej. - Wie o tobie.

Leisl wpatrywała się w Jandera.

- Nie wiedziałam, że elfy mogą być wampirami. Pewnie, nie znam zbyt wielu elfów. Ani wampirów.

- Więc oboje już wiecie - odparł Jander sarkastycznym tonem, pochylając się w parodii ukłonu. - Powiedz mi jedno, Leisl. Co cię tu

sprowadza? Wiem, co kieruje Saszą, ale ty?

- Przecież nie mogę pozwolić, żeby Sasza sam stawiał czoło Strahdowi, prawda?

Na ustach elfa błąkał się uśmiech. Wyglądał na usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią. Zwrócił się do kapłana.

- Niewiele udało mi się znaleźć w zamku, ale cały czas mam przeczucie, że odpowiedzi, których poszukujemy, kryją się gdzieś w

Strahdowej bibliotece. Sądzę, że powinniśmy skupić się na dwóch rzeczach. Po pierwsze Święty Symbol Kruczego Rodu: wiesz coś na ten

temat?

Sasza pokręcił głową.

- Nie znalazłem zbyt dużo informacji dotyczących dawnych religii Barovii. W kościele nic o tym nie ma.

- To ciekawe.

- Tak samo sobie pomyślałem. Zastanawiam się, czy dokumenty nie zostały umyślnie zniszczone.

- Albo przeniesione. No cóż, dość o tym.

- Co to jest, ten Święty Symbol Kruczego Rodu? - spytała Leisl, czując, że nie nadąża za rozmową. Elf skierował na nią spojrzenie

srebrzystych oczu.

Z tego, co wiem, był to potężny święty przedmiot. Kiedy armia Strahda walczyła w obronie Barovii, użyto Symbolu przeciw goblinom

armiom. Niestety - ciągnął Jander. - Jego istnienie trzymano w sekrecie i tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak wygląda. Wydaje mi się, że

informację tę każdy kapłan przekazywał swemu następcy, ale gdzieś po drodze zabrakło ogniwa w tym łańcuszku. Miałem nadzieję, że może

Sasza wie coś więcej, ale... - smutno zawiesił głos.

- A ta druga rzecz? - nalegał Sasza.

- Pomyślisz pewnie, że tonący brzytwy się chwyta, ale jest taka stara legenda, jakieś bzdury o cząstce słońca i młodym bohaterze. Ale -

uśmiechnął się. - Czasem z legend można wygrzebać prawdę. Pytanie tylko jak tego dokonać.

Ku jego zaskoczeniu Sasza i Leisl wymienili porozumie wawcze uśmiechy.

- Leisl i ja doszliśmy do tego samego wniosku. Zresztą owa legenda to jedyna wskazówka, na jaką natrafiliśmy. Ach - może ty coś z tego

zrozumiesz - usłyszeliśmy również parę tajemniczych refleksji, które mogą coś znaczyć. Czy mówi ci coś zdanie „ten, który najbardziej kocha,

ma serce z kamienia”?

Jander zmarszczył brwi.

- Nie, raczej nie. Zwykle ktoś, kto ma serce z kamienia, w ogóle nie jest zdolny do kochania. Macie jeszcze jakieś zagadki? Kiedyś byłem

w tym naprawdę niezły.

- Dobrze, co w takim razie powiesz na „Kamień powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć”?

- Mówiłam Saszy, że moim zdaniem to się odnosi do rzeźb - zasugerowała Leisl. - Jakiś posąg czy może napis na ścianie, wiesz, takie

rzeczy. No bo jak inaczej kamień mógłby ci coś powiedzieć?

Jander przytaknął, ale mars na jego czole tylko się pogłębił. Elf zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Założenie Leisl brzmiało

logicznie, ale coś podpowiadało mu, że wnioski były niesłuszne. Odpowiedzi, przynajmniej część z nich, leżały tuż, tuż, dokładnie tutaj, na

samym skraju jego zdolne ści pojmowania. Jeśli tylko się skupi... Nagle zrozumiał.

- Jest taki czar, który sprawia, że kamienie mówią - rzekł. - Znasz go?

Sasza pokręcił przecząco głową.

- Naprawdę sądzisz, że to takie ważne?

- Zastanówmy się. Czy są w Barovii jakieś kamienie, mogą być mury, budynki, które były świadkami jakichś wydarzeń, które teraz

mogłyby być nam pomocne?

- Zamek Ravenloft - podsunęła Leisl.

- Jasne - odparł Sasza. - Ale to zbyt niebezpieczne. - Popatrzył dookoła na szare, lodowato zimne kształty, przykryte warstewką bieli,

znaczące miejsca spoczynku zmarłych. - Nagrobki?

Jander potrząsnął złotowłosą głową.

- Nie. Wydaje mi się, że na cmentarzu niewiele dzieje się rzeczy, które miałyby teraz dla nas znaczenie. Wiemy, gdzie szukać wampira.

- Rynek? - kolejna sugestia Leisl. - Założę się, że mnóstwo ludzi przemierzyło ten bruk.

- Za duży ruch, nawet w nocy - mruknął Sasza. - Nie możemy ryzykować, że ktoś nas zobaczy. Kościół zaś, niestety, jest drewniany.

Nagle Jander, który cały czas chodził wkoło, słuchając jednym uchem, odwrócił się do nich.

- Kamienny krąg! - wykrzyknął. - To na pewno święte miejsce. Od jak dawna ten krąg tam jest, Sasza?

- Nie wiem. Pewnie od wieków - na twarz kapłana wypłynął uśmiech. - Jander, o to chodziło. Ty musi być to!

- Możemy spotkać się tu jutro, żebyście mieli czas się przygotować? - zapytał elf.

- Możemy sobie pozwolić na taką stratę czasu? Jander wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Strahda może nie być jeszcze przez miesiąc, ale równie dobrze mógł właśnie wrócić do zamku.

- Wobec tego nie mamy czasu - Sasza zacisnął usta w wąską kreskę. - To słuszna sprawa i Lathander z pewnością jej pobłogosławi,

zsyłając mi moc władania magią, jakiej potrzebujemy. Pójdę się pomodlić przed ołtarzem. Możecie wejść do środka i... och.

Na twarzy Jandera odbił się smutek. Sasza przeklinał się za własną głupotę: przecież wampir nie może wejść do świątyni.

- Leisl, ty może wejdź do środka, żeby nie marznąć - zaproponował Jander. - Nam, nieumarłym, zimno nie dokucza tak, jak

śmiertelnikom.

Orzechowe oczy dziewczyny zwięziły się, kiedy badawczo przyjrzała się elfowi.

- Nie, nie trzeba, Sasza. Obiecuję, że wejdę do środka, jeśli zrobi mi się zimno.

- Dobrze. Nie wiem, ile mi to zajmie - Sasza przeniósł wzrok z wampira na złodziejkę i nagle dotarł do niego komizm sytuacji, mimo

całej cechującej ją powagi.

- Dziwni współnicy - mruknął pod nosem i poszedł do kościoła.

Przez chwilę żadne z dwojga pozostałych się nie odzywało. Zerwał się wiatr, burząc kasztanowe włosy Leisl. Dziewczyna skrzywiła się,

czując jak zimno przeszywa ją na wylot i ciasniej otuliła się płaszczem.

- To musi być wygodne, tak nie czuć zimna - odezwała się, próbując wypełnić dzielącą ich ciszę.

- Tak mi się wydaje - odparł Jander. - Chociaż gdybym mógł na powrót stać się istotą śmiertelną, byłbym szczęśliwy wędrując nago przez

śnieżną zadymkę.

Odwróciła się w jego kierunku. Jej twarz rysowała się białym owalem w świetle księżyca.

- Nie podoba ci się to, że jesteś wampirem? Zaskoczenie zmieszane z przerażeniem odbiło się na twarzy Jandera.

- Nie! - rzucił w odpowiedzi. - Czemu tak sądzisz?

- Nie wiem, po prostu... Przepraszam - i znów zapadło niezręczne milczenie. - Czemu chcesz zniszczyć Strahda?

Jander nie od razu odpowiedział, ale po chwili rzekł:

- Zranił kogoś, kogo kochałem.

- Zabił ją?

- Nie. Strahd złamał jej serce i umysł. Zabił jej narzeczonego, a ją samą doprowadził do obłądki.

- Och, Janderze, tak mi przykro - szczerze powiedziała Leisl. - Nic dziwnego, że pałaszą żądzą zemsty.

- Chcę zemsty i końca udręk mojej ukochanej - wbił w dziewczynę spojrzenie srebrzystych oczu. - Bo widzisz, co kilka pokoleń ona

powraca do życia. A za każdym razem, kiedy się pojawia, hrabia próbuje ją znaleźć i zmusić, by go pokochała - teraz w jego wzroku błysnęła

nienawiść. - To się musi skończyć.

- Rozumiem cię. Miłość potrafi pchnąć człowieka do rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił.

Wampir uśmiechnął się; jego zęby błysnęły lekko w słabym świetle. Dziwne, ale Leisl nie czuła już strachu.

- Wierzę, że rozumiesz. Czy Sasza wie, co czujesz? - Mały Lis próbowała wyjąkać słowa protestu, ale Jander zbył ją machnięciem ręki. -

Masz to wypisane na twarzy, kiedy na niego patrzysz.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Nie, chyba nie wie. Jest za bardzo zadurzony w Katii, żeby zwrócić na mnie uwagę. Nie mów mu nic, proszę.

- Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Po raz trzeci umilkli, tym razem jednak cisza była miłym towarzyszem.

- A oto i Sasza - rzekł po chwili Jander i oboje wstali. Kapłan zbliżył się szybkim, pewnym krokiem. Kiedy był wystarczająco blisko, by

mogli rozpoznać rysy twarzy dostrzegli, że się uśmiecha, a w oczach płąsa mu wesoły ogień.

- Z łaski Lathandera nawet kamienie przemówią - rzekł drżącym głosem. - Mam wszystko, co niezbędne. Idziemy?

Kamienie stały na wzgórzu niczym milczący wartownicy. Nic się tu zmieniło od czasu, gdy Jander i Sasza odwiedzili to miejsce

piętnaście lat temu, a spokojna solidność głazów zdawała się świadczyć, że nigdy się nie zmieni. Każdy z kamieni przykrywała biała, śnieżna

czapeczka, na której nie znaczyły się jeszcze ślady zwierząt lub innych istot. Sasza i Leisl skierowali się ku środkowi kręgu, gdzie kapłan

rozłożył koc. Jander nie poszedł w ich ślady; mógłby wejść do uświęconego miejsca tylko wówczas, gdyby z rozmysłem przełamał jego

ochronną barierę. Nie chcąc tak marnować swojej mocy, czekał na zewnątrz.

Przez dłuższą chwilę Sasza stał nieruchomo, czując przepelniającą go moc płynącą z kręgu.. Spojrzał w niebo, określając strony świata i

zaczął przygotowywać nieduży ołtarz przed największym z głazów. Jander przyglądał mu się

uważnie, Leisl zaś niespokojnie przestępowała z

nogi na nogę.

Wreszcie Sasza usiadł i gestem nakazał dziewczynie, by zrobiła to samo. Obok rozmaitych świętych symboli kapłan umieścił buteleczkę

srebrzystej cieczy i niewielką bryłkę gliny, którą teraz pracowicie ugniatał, nadając jej kształt głazu, przed którym siedzieli. Zaczął nucić,

łagodnym, kojącym głosem, który stopniowo przybierał na sile, aż przeszedł w głośny śpiew.

Jander poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, kiedy czar zaczął działać. Niektóre z wypowiedzianych przez Saszę słów brzmiały dla niego

znajomo. Ileż to już lat minęło, odkąd przyglądał się klerykowi, wyspiewującemu uświęcone zaklęcia?

Kapłan wylał płyn z flakonu na śnieg przed glinianą repliką głazu; Jander rozpoznał rtęć. Głos Saszy wzniósł się gwałtownie, po czym

nagle umilkł. Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza, a cała trójka nasłuchiwała, niepewna, co się wydarzy. Na odpowiedź nie musieli długo

czekać.

Kamień przed Saszą rozbłysł słabą poświatą. Uszy Jandera pochwyciły niski pomruk, do którego przyłączały się kolejne, narastając i

łącząc się w pieśń - mnóstwo różnych nie ludzkich głosów. Dźwięk przybrał na sile i elf ujrzał strach na twarzach towarzyszy, gdy i do nich

dotarła pieśń:

- Słyszcie pieśń kamieni, której dawno już nie śpiewano.

W dawnych wiekach za ledwie kamieniami byliśmy. Stałyśmy na straży ukrytych w głębi ziemi skarbów. Przybyli ludzie i wydobyte tu

dobrze wykorzystywali w słusznych celach. Kamienie i metale, kości ziemi; uwalniali je i przekształcali w dzieła piękne i święte.

W wiekach średnich zapomniano, żeśmy strażnikami bogactw. Przeniesiono nas, ukształtowano w święte głazy i strześliśmy ludzkich

dusz. Tu miały miejsce akty połączenia, początki i końce.



W wiekach późnych zapomniano o naszej świętości. Niewielu przychodzi tu się modlić w Czasie Ciemności. Strach rządzi tą ziemią. Ale

tego, co raz było święte, nie sposób całkiem zbezczęścić. W wiekach późnych stałyśmy się ucieczką zagubionych, którzy nie mają schronienia;

samotnych, którym brak miłości. Chronimy ich, by nie zostali odkryci i nie stała im się krzywda. I takie będzie nasze zadanie, aż czas nas

skruszy, a wiatr rozwieje proch.

- Pytajcie o co chcecie, a my wam odpowiemy.

Sasza oblizał wyschnięte wargi i drżącym głosem spytał.

- Głazy wielkie, szukamy dwóch przedmiotów: Świętego Symbolu Kruczego Rodu i czegoś, co w legendach nazwano „częstką słońca”.

Co możecie nam o nich powiedzieć?

- Myśmy widziały to, czego szukacie.

Zanim nadeszły wieki późne, podczas Dziewięciu Nocy Strachu, pobłogosławiono tu wielki oręż. Stworzony, a zarazem nie będący

dziełem świętego męża. On to resztką sił przyniósł go tutaj, a myśmy go pobłogosławiły.

Zaginęła, zaginęła częśćka słońca, która zarazem była Świętym Symbolem chroniącym Kruczy Ród. Spoczywa niedaleko od tych,

których miała strzec. Więcej rzec wam nie możemy.

Oto pieśń kamieni, której dawno już nie śpiewano. Nie zaśpiewamy już więcej.

Zaśpiew stał się niezrozumiały i umilkł stopniowo w czystym, spokojnym powietrzu. Znikła poświata głazu. Jander poczuł dziwny

spokój; nawet nocna cisza zdawała się rozbrzmiewać nieprzyjemnie po kojącej pieśni.

Twarz Saszy rozświetlało prawdziwe uniesienie.

- Dzięki ci, błogosławiony Lathanderze - wyszeptał. Nawet oblicze sceptycznej z natury Leisl zdradzało niedowierzanie i zadziwienie.

Przez chwilę zachowywali pełną szacunku ciszę, aż wreszcie odezwała się Leisl.

- Czyli w obydwu wypadkach jest to jedna i ta sama rzecz - przerwała, by po chwili dodać ponuro: - Ale wciąż nie wiemy, gdzie ją

ukryto.

- Ależ wiemy - poprawił ją Jander. - Święty Symbol stworzono, by chronił członków Kruczego Rodu - czyli rodzinę Strahda. Mają kruka

w herbie, ich zamek nazywa się Ravenloft. A to oznacza, że ukryto go w zamku, w pobliżu tych, których miał chronić.

Spojrzał na Saszę.

- A może... - zachichotał - powinniśmy dać ci na imię Paweł? Gotów jesteś, by wkroczyć do krainy ciemności?

Sasza uśmiechnął się w odpowiedzi, z twarzą wciąż rozjaśnioną magią tego miejsca.

- Jestem gotów, jeśli i ty jesteś, Nosferatu.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Sasza wyrwał przez okno domku Katii. Zwodnicza jasność poranka wywołana była świeżą warstwą śniegu pokrywającą uliczki,

skrywającą przed wzrokiem nieczystości. Ledwie parę ludzkich i końskich tropów świadczyło o tym, że są tacy, którzy już nie śpią.

Ka

plan z westchnieniem zamknął okiennice.

Odwrócił się ku Katii. Przeciągnęła się i ziewnęła, mrużąc oczy, wciąż z sennym rumieńcem na twarzy. Serce Saszy przepęłniała miłość

tak wielka, że odczuwał ją niemal jak fizyczny ból. Podeszedł do ukochanej i pocałował ją w czoło.

- Czemu nie wyszedłeś, żeby odprawić poranny rytuał? - mruknęła. - Twoje ubranie... Gdzie masz szatę?

Sasza nie spuszczał z niej oczu; była taka piękna, taka delikatna.

- Mam dziś coś ważnego do zrobienia. Przez jakiś czas może mnie nie być. Chcę, żebyś to przeczytała, gdyby... gdybym nie wrócił przez

najbliższe parę dni - położył zapieczętowany liścik na jej nocnym stoliku. - Kocham cię, Katiu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wrócić

do ciebie. Obiecuję.

Rozbudziła się do reszty na dźwięk podenerwowania w jego głosie. Zmarszczyła brwi.

- Sasza...

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi, zanim jego postanowienie osłabło.

- Sasza!

Nie zwracał uwagi na błagalny krzyk. Nie mógł, dla ich własnego dobra.

Leisl wyczekiwała go niecierpliwie w kościele. Jak zwykle miała na sobie funkcjonalny, męski strój. Szarobrunatne włosy związała

ciasno, żeby jej nie przeszkadzały.

Na zewnątrz czekały osiodłane wierzchowce. Dziewczyna zebrała wszystkie przybory, jakich mogli potrzebować i umocowała je na

grzbiecie jednego z koni.

- Czas już, żebyś się zjawił - mruknęła spoglądając spode łba na Saszę. - Słońce wstało godzinę temu. Tracimy czas.

- Tak samo, jak kłócąc się - odparował, z łatwością wskakując na grzbiet szarej klaczy. - Jedźmy - i ścisnął udami boki konia, który

ruszył cwałem. Leisl, przeklinając, dosiadła swojego rumaka i podążyła za kapłanem.

Przejechali ulicą Kościelną na rynek, gdzie więcej było widać oznak życia, niż z domu Katii. Sasza, pogrążony w niezbyt miłych

rozmyślaniach, nie zauważył, że Leisl została w tyle. Dopiero parę chwil później, kiedy dojeżdżał już do skraju wioski, zastanowiła go panująca

za plecami cisza. Wstrzymał konia. Dziesięć minut minęło, nim ujrzał Leisl, niespiesznie jadącą w jego kierunku.

- Co robiłaś? - spytał. - Zdawało mi się, że się niecierpliwisz.

- Wzięłam coś do jedzenia, gdybyśmy zgłodnieli - odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie zabawimy tam tak długo.

- Ale gdyby tak, to jeszcze będziesz mi dziękował.

- Więcej myślisz o jedzeniu niż wszystkie znane mi osoby!

Leisl zmrużyła orzechowe oczy.

- To dlatego, że zdarzało mi się być tak głodną, że teraz nie potrafię takich myśli powstrzymać - odparła zjadliwie. Sasza przyjął

reprimendę i spuścił wzrok, po czym zawrócił klacz z powrotem na trakt Jechali dalej w milczeniu, pozwalając koniom na wybór

odpowiedniego tempa.

Sasza rozmyślał o czarach, jakimi dysponował. Lathander okazał prawdziwą hojność, w zamian za długie godziny modłów wypełniając

jego umysł licznymi przydatnymi zaklęciami. Jeśli zaś chodzi o bardziej przyziemne przygotowania, Sasza i Leisl zaopatrzyli się w rozmaity

oręż - święte symbole, kołki, młotki, wodę święconą i czosnek. Poza tym wieźli również kilka nie pobłogosławionych przedmiotów,

wykonanych z czystego srebra; Jander ostrzegał ich, że nietrudno spotkać w Ravenloft wilkołaka.

Przejechali przez most na Ivlis i w niewielkiej odległości Sasza dostrzegł krąg zabójczej mgły. Znow zatrzymał wierzchowca, tym razem

by sięgnąć po magiczną miksturę. Leisl uczyniła to samo i oboje, przełknawszy, otrząsnęli się czując jej gorycz. Przygotowując się wewnętrznie

na nieodmiennie niemiłą przeprawę przez mgłę zmusili konie do ruszenia stępa.

Objęła ich lodowata wilgoć, odcinając dopływ światła i dźwięków. Kapłan mógł mieć tylko nadzieję, że Mały Lis podąży tuż zanim, nie

mógł jednak tego sprawdzić. Kilkaset stóp dalej opar zrzędł, a po chwili rozwiął się do reszty. Leisl czekała już na niego, szczerząc zęby.

- Ślamazara - rzuciła zaczepnie, ale w jej głosie pobrzmiwała szczerą sympatią. Odpowiedział jej niepewnym uśmiechem.

Podróż do zamku zajęła im więcej czasu, niż planowali. Droga wiła się wśród gór; w pewnym

momencie zastanawiali się nawet, czy nie

zjechać z traktu i nie podążyć ścieżką odchodzącą w prawo, jednak ryzyko zabłądzenia było zbyt wielkie. Lepiej jechać dłuższą drogą, niż

zgubić się w lesie.

W miarę, jak wjeżdżali w góry, konie zwalniały kroku z wysiłku. Sasza poklepał swoją klacz po szyi, a zwierzę zarżało i zastrzygło w

jego kierunku uszami.

- Co to jest? - spytała Leisl, wskazując w lewo, gdzie odchodziła ciągnąca się w dal droga. Zamykająca ten trakt ogromna brama nawet w

pełnym świetle dnia sprawiała na dziewczynie przygnębiające wrażenie. Uczucie to potęgował fakt że gigantyczne posągi wartowników

pozbawione były głów.

- Wrota Barovii - odparł Sasza poważnym głosem. - Mówią, że Strahd potrafi je otworzyć i zamknąć siłą własnych myśli.

Leisl ponownie spojrzała ku bramie i nie udało jej się powstrzymać dreszczy. Sasza również robił się coraz bardziej nerwowy w miarę

zbliżania się do celu i teraz uderzył konia nogą silniej, niż było to potrzebne. Klacz ruszyła galopem.

Po kilku pełnych napięcia chwilach zamajaczył w oddali zamek Ravenloft Wysoki, czarny na tle czystego, zimowego nieba,

reprezentował sobą wszystko, co złe w Barovii. Tu kryło się źródło obaw mieszkańców wioski; tu zamieszkiwał potwór odpowiedzialny za

wymordowanie jego rodziny; tu był dom władcy krainy, istoty rodem z sennych koszmarów. A on, Sasza Pietrowicz, przybywał tu z własnej

woli. Na pozór nie miało to sensu, ale kapłan wiedział, że obrał słuszną drogę.

Kiedy podjechali bliżej, Sasza dojrzał dwie wieże strażnicze i rozsypujący się most zwodzony przerzucony ponad przepaścią. Nie sądził,

żeby udało się zmusić konie do przejścia po nim.

- Prrrr - mruknął, wstrzymał wierzchowca i zamyślił się. Większość drewnianych belek mostu przegniła, a żelazne części wyglądały na

przerdzewiałe.

- Co robimy? - zapytała Leisl, zatrzymując się obok. Spojrzała w górę na wartownie; obie świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kamiennych

gargulców, z paskudnym uśmiechem przyglądających się podróżnym.

Sasza westchnął i zsiadł z klaczy, po czym zaczął rozpakowywać juki.

- Przeprowadzenie koni byłoby zbyt niebezpieczne - wyjaśnił. - Musimy je tu wypuścić.

- Wypuścić?

- Jeśli zostawimy je spętane, staną się łatwą zdobyczą dla każdej istoty, która się tu przybłąka. Jeśli puścimy je wolno, mają szansę

wrócić do wioski. A poza tym - dodał ponurym głosem, ściągając z końskiego grzbietu kolejny pakunek - jeśli uda nam się wydostać stąd po

wykonaniu zadania, całkowicie bezpiecznie wrócimy do domu. A jeśli na się nie uda, to, cóż, konie i tak nie będą nam potrzebne.

Leisl nic nie odpowiedziała, również rozładowując bagaże. Sasza włożył niezbędny sprzęt do jednej torby, z niechęcią pozbywając się

niektórych przyborów; nie na wiele by mu się przydały, gdyby ich ciężar pociągnął go w objęcia śmierci. Wyprostował się i ponownie obrzucił

spojrzeniem most, który jednak nie wyglądał ani trochę solidniej, niż przed chwilą. Kapłan pokręcił głową i zarzucił sobie pakunek na ramię.

- Chodźmy więc - rzucił zdecydowanie, choć wcale nie czuł się tak pewnie.

- Powinnam pójść pierwsza - zasugerowała Leisl. - Jestem lżejsza i całkiem zwinna. Może będę mogła ci pomóc.

Sasza zawahał się. Nie podobał mu się ten pomysł, ale dziewczyna miała rację.

- Dobrze. Idź przodem.

Mały Lis ostrożnie weszła na pierwszą deskę, która skrzypnęła, ale wytrzymała. Leisl złapała mocno żelazny łańcuch, wolno przenosząc

ciężar na następną deskę, potem na kolejną wymacując drogę przed sobą i balansując ciałem w razie potrzeby. W miarę możliwości trzymała się

blisko krawędzi, które lepiej się trzymały. Uważnie przyglądała się każdej z desek, zanim

zdecydowała się ją obciążyć.

- Stawiaj stopy tam, gdzie ja - poleciła.

- Na Pana Poranka, ależ to niebezpiecznie wygląda, rzekł sobie w duchu Sasza. Jedną dłoń zacisnął mocniej na pakunku, drugą zaś

chwycił zardzewiały łańcuch. Delikatnie stanął na pierwszej belce. Nic się nie stało, więc zmówił szybką modlitwę dziękczynną, którą potem

powtarzał po każdym udanym kroku.

Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył Leisl już w trzech czwartych drogi, ale zdekoncentrował się. Zmarszczył brwi patrząc na następną

deskę: gdzie stanęła Leisl, tu czy po drugiej stronie?

Stąpnął ostrożnie, ale deska pękła pod jego ciężarem i prawa noga wpadła mu w szparę po biodro. Młóćąc opętańczo rękoma pochwycił

zwisające po obu stronach łańcuchy. Niesiony przez niego pakunek spadł ku szczytującym kilkaset metrów niżej kły skałom. Nie zdawał sobie

sprawy, że krzyczy, aż poczuł ból w gardle. Leisl już była przy nim, trzymając go mocno. Wbił w nią przerażone spojrzenie i wczepił palce w

upstrzone piegami przedramiona dziewczyny.

- Wszystko w porządku. Odpręż się - powiedziała złodziejka spokojnym, opanowanym głosem. - Złap się tej belki, jest dość mocna -

poleciła ostrzej.

Puścił jej ręce i posłusznie chwycił wskazaną deskę. Cały czas mówiąc do niego, pomogła mu wstać na nogi; dopiero teraz zauważył, że

zgubił torbę.

- Lepiej stracić bagaż, niż kapłana - rzekła Leisl. - Twoja moc jest znacznie ważniejsza od wszystkich świętych symboli. Chodź.

Sasza niepewnie stawiał kolejne kroki, ale zdołał przejść.

- Leisl, dzięk...

- Nieważne - odparła, choć ucieszyło ją widoczne w jego oczach uznanie.

Przeszli przez sklepiony tunel, docierając do brukowanego dziedzińca. Przed nimi widniały główne odrzwia zamku Ravenloft, pokryte

przepięknymi płaskorzeźbami.

- Spójrz na te drzwi - jęknęła Leisl. - W życiu nie widziałam czegoś równie wspaniałego!

- Piękne, to prawda - przyznał Sasza, przyglądając się zdobieniom. - Ale nie zapominaj, co się za nimi kryje. - Podeszedł bliżej i wyciągnął

rękę ku klamce.

Jander uprzedzał, że ze względu na światło słoneczne nie może czekać na nich przy drzwiach, ale obiecał, że będą stały otworem. Tak też

się stało; drzwi z łatwością otworzyły się i oboje wpadli pospiesznie do środka, a Sasza je zamknął. Wnętrze wydawało się bardzo ciemne,

zwłaszcza w porównaniu ze światłem dnia na zewnątrz.

- Cieszę się, że dotarliście tutaj bezpiecznie - rozległ się melodyjny głos Jandera, który teraz stanął w przejściu. Wzrok Saszy oswoił się

już na tyle z mrokiem, że zorientował się, iż znajdują się w niewielkim pomieszczeniu, rozświetlanym błyskami pochodni. - Mieliście problemy?

Bo spóźniliście się - ciągnął elf.

Sasza posłał mu ponure, udręczone spojrzenie.

- Myślałeś, że nie przyjdziemy?

Wampir nie odpowiedział, unosząc tylko pytająco brwi.

Sasza przygarbił się i odparł:

- Musiałem pożegnać się z Katią.

- Martwiłem się, to wszystko - wyjaśnił Jander. - Szpiedzy Strahda są wszędzie.

Leisl, która dotąd tylko rozglądała się dookoła, wciągnęła gwałtownie dech na widok czterech smoczycy figur, przycupniętych nad

wejściem. Smoki wpatrywały się w nią złowrogo pałającymi oczami.

- Są z kamienia - zapewnił ją Jander, choć i u niego lśniące klejnoty smoczycy oczu wywoływały niepokój. - Jak jesteście wyposażeni? -

zagadnął.

- Mieliliśmy mnóstwo świętych przedmiotów, ale na moście straciłem pakunek - odrzekł Sasza. - Musi nam wystarczyć to, co ma Leisl.

Jander uśmiechnął się.

- Cały ranek strugałem kołki - rzekł z zadowoleniem. - A co z bronią?

Sasza pokręcił przecząco głową.

- Tylko młotek i topór, gdyby przyszło mi walczyć. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. A ty, Leisl?

Złodziejka wyszczerzyła zęby i poklepała się po cholewce buta Jander dostrzegł zatknięty za nią niewielki sztylecik.

- To wszystko, czego trzeba mi do walki.

- No to mam dla ciebie prezent - powiedział elf i podał jej nieduży, paskudnie wyglądający sztylet Jego ostrze lśniło nawet w świetle

pochodni; miał dziwną pochwę. Leisl wzięła go ciekawie do ręki.

- Jander, to sztylet Baal Verzi! - wykrzyknął z obrzydzeniem Sasza. - Czemu dajesz jej takie paskudztwo?

Jander zwrócił ku kapłanowi spojrzenie srebrzystych oczu.

- Ponieważ jego ostrze jest z czystego srebra - odparł chłodno. - Ja też mam broń... tak na wszelki wypadek - dodał, wskazując

zawieszony u boku krótki miecz.

- Magiczny? - zapytała Leisl.

- Nie - odparł krótko elf. - Po prostu funkcjonalny. Magię zostawiam tobie, Sasza. Mam do ciebie jedną prośbę: czy mógłbyś znaleźć

Strahda, gdyby teraz przebywał w zamku?

Leisl otworzyła szeroko oczy; otworzyła zdziwiona usta. Jander powstrzymał potop pytań, dodając:

- Powiedziałem „gdyby”. Nie sądzę, żeby w tej chwili tu był, ale dobrze byłoby sprawdzić.

Sasza zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie jestem pewien - odpowiedział z wahaniem. - Ale mógłbym spróbować.

Usiadł wygodnie na podłodze i zamknął oczy. Zaczął cicho nucić, po czym nagle zamilkł. Gałki oczne poruszały mu się gwałtownie pod

zamkniętymi powiekami. Wreszcie otworzył oczy i napotkał pytające spojrzenie Jandera.

- Nic nie znalazłem, ale nie mam pewności.

- Dziękuję, że spróbowałeś. Będzie musiało nam to wystarczyć.

Podszedł do rzędu pochodni na ścianie i wyjął dwie z nich z uchwytów. Sasza zapalił niesioną przez Leisl lampę naftową.

- Najpierw powinniśmy odwiedzić katakumby - rzekł wampir, podając Leisl pochodnię. - Zanim zapadnie zmierzch, musimy zabić

niewolnice. Chodźmy - poszedł pierwszy, a Sasza i Leisl ruszyli za nim.

Jander narzucił szybkie tempo i śmiertelnikom niełatwo było dotrzymać mu kroku. Leisl odczuwała ulgę, że nie zdążyła się wszystkiemu

dokładnie przyjrzeć; wystarczająco zaniepokoiło ją to, co dostrzegła na wpół idąc, na wpół biegnąc cichymi, kamiennymi korytarzami.

Powtarzała sobie, że czające się u góry gargulce są tylko kamiennymi rzeźbami, a piękne, lodowate posągi nie mogą przecież śledzić jej

wzrokiem.

W żadnym wypadku nie można było nazwać jej tchórzem, ale nigdy dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji. Ukraść coś do jedzenia,

pchnąć kogoś nożem w bójce, nawet zabijać wampiry w lesie - to jedna sprawa. Ale być tu, we wnętrzu tej mrocznej, przygniatającej ogromem

kamiennej budowli, wypełnionej migotliwym światłem pochodni i niespokojnymi cieniami, to zupełnie co innego. Nie mogła otrząsnąć się z

dziwnych, przypominających mrowienie, złych przeczuć. Nie spuszczała oczu z Saszy i elfa-wampira, ale uszy miała wyczulone na

najdrobniejszy hałas.

Sasza też czuł się nieswojo w mrokach zamczyska. Przywykł do uliczek i ścieżek w rodzimej wiosce. Kościół mógł być zaniedbany, ale

nigdy nie miało się w nim za dnia wrażenia, że na zewnątrz właśnie panuje noc, które nie opuszczało go tutaj, w siedzibie Strahda. Dworek

burmistrza przypominał zaś zaciszny domek w porównaniu z rozrośniętym nad miarę, choć podupadającym w swej wspaniałości zamkiem

Ravenloft.

Jednak najbardziej go uderzyło, gdy tak we troje przemierzali ciemne korytarze, że Jander zupełnie tu nie pasuje. Jego pełna barw postać

- złota skóra, niebieska szata, czerwone spodnie - ostro odcinała się od napierającej zewsząd monotonnej, kamiennej masy. Wydawał się bardziej

na miejscu w lesie czy nawet tam, w pobliżu kościoła, niż tutaj. I nagle Sasza przypomniał sobie gorzkie słowa Jandera o tym, jak żalosna jest

natura wampira; zrozumiał teraz, jak wielkim ciosem był taki los dla elfa, któremu przeznaczono lasy i złote światło słońca, nie zaś mrok i cienie

życia w śmierci.

Zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami zdobionymi równie bogato, jak wejściowe.

- To wejście do kaplicy - oznajmił Jander. - Ostrzegam was, Strahd ma tu wiele sług. Większość z nich to bezmyślne stwory, którym

zakazano krzywdzić mnie i wszystkich, którzy mi towarzyszą. Nie sądzę, żebyśmy natknęli się na coś groźniejszego od szkieletu czy zombi.

Przynajmniej za dnia - poprawił się.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi.

Ledwie ich dotknął, usłyszał dobiegające zza pleców ciche grzechotanie. Tak jak czynił to już tysiące razy przedtem, strażnik kaplicy

zamierzał sprawdzić, czy przybysze mają prawo tam wejść. Zbliżał się wolno w stronę wampira i dwójki ludzi, powłócząc nogami w

zniszczonych, skórzanych butach. Jander uważał go już niemal za przyjaciela, a przynajmniej jego pojawienie się wcale mu nie przeszkadzało.

Próba zagrozenia im wejścia nie stanowiła żadnej groźby.

Po chwili, jakby chciał udowodnić, że Jander miał rację, szkielet usunął się na bok. Medalion na jego piersi zakołysał się przy tym

poruszeniu. Jander przeszedł obok, Leisl i Sasza poszli za nim, choć nie powstrzymali się od spojrzenia przez ramię. Kapłan rozmyślał smutno

nad zniszczeniem świętego miejsca, przyglądając się połamanym ławkom.

- Jesteśmy - rzucił elf, kiedy przeszli przez alkowę. Przed sobą mieli wejście prowadzące na spiralnie skręcone schody, z którego

dochodził chłodny powiew. Powietrze zdawało się nieświeże, jak gdyby przebywało tam uwięzione przez całe stulecia. - Tędy zejdziemy do

katakumb. Leisl, zgaś pochodnię. Musimy oszczędzać światło; nie wiem, ile czasu nam to zajmie.

Początkowo w ciszy schodzili do spowitego pajęczynami serca zamczyska. Robiło się coraz zimniej i dwójka ludzi zaczęła drżeć. Leisl

wsluchiwała się w echo ich kroków na stopniach.

- Hej! - szepnęła nagle. Głos zabrzmiał niezwykle donośnie.

- Co? - syknął Sasza, zatrzymując się kilka stopni poniżej.

- Jander, szedłeś już kiedyś tymi schodami?

Elf przystanął i spojrzał na dziewczynę. W pomarańczowym, ruchomym świetle pochodni, jego twarzy zdawała się zmieniać rysy.

- Nie, ale wiem dokąd prowadzą.

- A skąd wiesz, czy nie ma tu pułapek?

Zapadła całkowita cisza. Jander nie miał pojęcia, czy Strahd nie zabezpieczył jakoś tego dogodnego zejścia. To byłoby do niego podobne.

Uśmiechnął się krzywo sam do siebie.

- Nie wiem, Leisl. Poruszyłaś niezwykle ważną kwestię. Czy nie zechciałabyś pójść przodem, żeby uruchamiać wszystkie pułapki, które

uda ci się dojrzeć?

- Założę się, że... Ejże! - zmarszczyła brwi, gdy dotarł do niej sens ponurego żartu elfa. Sasza, ku własnemu zaskoczeniu, parsknął

gwałtownie; nawet Mały Lis zaczęła chichotać, choć potrząsała głową, udając rozzłoszczoną. Jander uśmiechnął się do niej. Światło pochodni

odbijało się od jego złocistej skóry, a w oczach lśnił mu wesoły ogień. Leisl nagle zdała sobie sprawę, że chociaż to dziwne, ale zaczyna lubić

tego wampira. - A tak poważnie - dorzuciła. - Jeśli chcesz, żebym sprawdzała, kiedy będziemy szli...

- Nie - odparł Jander. - Dalej ja będę prowadził. Wszystkie pułapki byłyby dla was znacznie bardziej niebezpieczne - odwrócił się i zaczął

schodzić. - To tylko jedna z zalet bycia martwym.

Nie sposób było stwierdzić, ile czasu upłynęło, zanim zeszli na sam dół, ale pochodnia w ręku elfa wypaliła się niemal zupełnie. Zanim

weszli do katakumb wziął pochodnię od Leisl o zapalił ją od własnej, dogasającej.

- Patrzcie, oto sale zmarłych - oznajmił ponurym głosem. Położył dłoń na ramieniu Saszy. - Nie jest to miejsce dla słabych duchem.

Kapłan spojrział na elfa. Niespokojne cienie wywołane światłem lampy migotały na twarzy młodego człowieka. Długie zejście pozwoliło

mu uspokoić nerwy i odnowić wiarę w cel zadania i teraz czuł płonący w duszy płomień, który rozświetlał jego rysy. Jander znał ten wyraz

tworzy; kiedyś, dawno, dawno temu, jego też rozpalał taki ogień.

- Nie boję się - odparł spokojnie kapłan. - Gdzie śpią wampiry?

Elf niemal się roześmiał.

- Wszędzie - odparł bez emocji. W każdej z tych trumien może spoczywać jedna ze Strahdowych niewolnic.

Sasza nie potrafił powstrzymać grymasu, jaki wypłynął mu na twarz. Zamknął oczy.

- Jest nas troje, a na zewnątrz panuje dzień - przypomniał Jander.

Zeszli do pierwszej krypty.

- Spójrzcie na nich - odezwała się Leisl z niesmakiem. Spoglądała ku pogrążonemu w cieniu sufitowi. Sasza podążył wzrokiem za jej

spojrzeniem i przełknął ślinę. Z sufitu wilgotnej pieczary zwieszały się setki, jeśli nie tysiące, nie toperzy. Mimo, iż zdawał sobie sprawę, że są

niegroźne, poczuł napływającą falę paniki, kiedy zwierzęta trzepotały skrzydłami i przemieszczały się z miejsca na miejsce.

- Musimy zaczynać - ponaglił ich Jander.

Sasza i Leisl sięgnęli po narzędzia, a on wszedł do krypty. Niewiele trudu sprawiło mu odsunięcie kamiennej pokrywy. Zajrzał do środka,

gdzie wolny od życia w śmierci leżał szkielet, ciągle w resztkach świetnego stroju. Ruszył ku następnej krypcie, czując, jak mięśnie tężeją mu

pod wpływem napięcia.

Kilka wieków wcześniej młody i niewinny elf, jakim był wówczas Jander, nie umiałby sobie wyobrazić, że okropieństwo śmierci może

stać się czymś całkiem dla niego zwyczajnym. Ale wszystko się zmienia, pomyślał ponuro, przytrzymując wijące się ciało wampirzycy, kiedy

Sasza wbijał kołek w jej serce. Dotychczas popełnili dwadzieścia takich „morderstw”, zgładzili dwadzieścia pięknych, śmiertcionośnych, złych

do szpiku kości istot o ustach koloru krwi, która tryskała z ich przebitych serc. Jander przypomniał sobie Dolinę Sztyletów i na krótką chwilę

ponownie stał się śmiertelnikiem, poczuł dławiący w gardle strach, kiedy do spółki z Gideonem wyszukiwali i unicestwiali przeklęte stwory;



mniej więcej tak, jak teraz czynili to z Saszą.

Śmierć nie powinna tak spowszednieć, nawet śmierć wampira.

Elf-wampir, szczupła, mała złodziejka i kapłan pół-Cygan uzgodnili sobie system współpracy. Jander, wykorzystując niezwykłą siłę,

odsuwał kamienne wieka sarkofagów i przytrzymywał wampiry, kiedy Sasza przebijał ich piersi kołkiem. Leisl pozostawili niezbyt miłe, ale

mniej niebezpieczne zadanie, polegające na odcinaniu głów i wypychaniu ust zabitych czosnkiem.

- Ręce będą mi cuchnęły przez najbliższe dziesięć lat - mruknęła pod nosem Mały Lis, wypychając kolejną główkę czosnku do ust świeżo

odciętej głowy wampirzycy. Skupiona na tym cokolwiek upiornym zajęciu, zdołała zapomnieć o przerażeniu, choć tylko częściowo. Wciąż miała

wrażenie, jakby ktoś ich obserwował i od czasu do czasu rozglądała się gwałtownie dookoła. - Robisz się nerwowa, dziewczyno - rzekła sobie. -

A to źle wróży twojej karierze zawodowej. Uspokój się.

Skończyła, co miała do zrobienia, i dogoniła towarzyszy. Dotarli już do ostatniej trumny i leżący w niej potwór właśnie konał w

drgawkach, gdy Leisl zbliżyła się do nich. Twarz wampirzycy zbladła, po czym pojawił się na niej wyraz ukojenia, kiedy jej dusza ulatywała z

ciała, odnalazłszy pokój. Sasza i Jander cofnęli się, a Leisl kilkoma ciosami oddzieliła głowę od tułowia i dopełniła rytuału.

Elf spojrział na Saszę. Ubranie kapłana przesiąkło potem; oddychał z trudem. Po policzku spływała mu, znacząc kręty ślad, czerwona

kropla przypominająca krwawą łzę. Jander wyciągnął rękę, żeby ją otrzeć.

Sasza odskoczył, po czym spojrział na niego rozdrażniony.

- Przepraszam. Wystraszyłeś mnie.

Jander przytaknął, udając, że wierzy słowom kapłana, ale zniechęcony zdał sobie sprawę, jak wygląda prawda. Sasza wciąż nie do końca

mu ufał. Nie mógł go za to winić, ale i tak było mu przykro. Rozejrzał się dookoła. Niewyraźne kształty kamiennych trumien majaczyły w cieniu

niczym rozleniwione potwory, które zdają się poruszać w migoczącym blasku pochodni. Ludzie mniej odważni niż Leisl i Sasza mogliby już

dawno zwariować w tym dziwnym miejscu.

- Dobrze się spisaliśmy - odezwał się. - Wyeliminowaliśmy większość nieprzyjaciół. Teraz musimy znaleźć trumnę Strahda i poświęcić

ją, żeby nie mógł znaleźć w niej schronienia.

Sasza kiwnął z wolną głową, zmęczony wysiłkiem. Od zaciskania w dłoni młotka i kołków zaczynały go łąpać kurcze. Spróbował

rozruszać ręce. Gdyby tylko mogli sobie na to pozwolić, Jander zaproponowałby odpoczynek, jednak czas był ich wrogiem w większym nawet

stopniu niż sam władca Ravenloft.

We trójkę sprawdzili już wszystkie kilkanaście krypt pośrodku sali. Elf nie miał pewności, gdzie znajduje się trumna Strahda, ale mógł

zgadywać, że znajdujące się z boków pomieszczenia alkowy przeznaczono specjalnie dla najbliższej rodziny hrabiego.

Pierwsza komora, do której zajrzeli, okazała się miejscem spoczynku rodziców Strahda, Barova i Ravenovii, której zamek zawdzięczał

swą nazwę. Schody prowadziły w dół, do niewielkiej, spokojnej komnaty. Dwa stojące tu sarkofagi wyglądały na solidnie zapieczętowane i

nietknięte. Jander ruszył dalej, nie zakłócając wiecznego odpoczynku szlachetnym przodkom. Oboje umarli zanim Strahd zawarł pakt z mroczną

istotą, więc najprawdopodobniej dosięgła ich prawdziwa śmierć.

Drugie pomieszczenie poświęcono Sturmowi i Giselli von Zarovich. Jander pamiętał, że Sturm był drugim bratem hrabiego. Ale ta

komnata była zupełnie pusta, nie stały tu nawet sarkofagi. Sturm najwyraźniej miał szczęście i przeżył zwyczajny żywot gdzieś z dala od zamku

Ravenloft i je go diabelskiego pana.

Trzecia komnata zmarłych również świeciła pustkami, aczkolwiek znać było ślady przygotowań. Ma jednej z otwartych, pustych trumien

widniało wyraźnie wyryte imię: „Sergiej von Zarovich”. Elf pokręcił ze smutkiem głową. Po bestialskim zamordowaniu brata Strahd nawet nie

zadał sobie trudu, by złożyć tu jego ciało. Bez wątpienia zwłoki pozostawiono by zgniły tam, gdzie Sergiej padł ofiarą targających bratem żąd.

Jander poczuł ból w sercu na widok drugiego z sarkofagów; przymknął oczy. Gdyby wszystko potoczyło się swoim torem, dziś na grobowcu

widniałby napis: „Tatiana Fiedorowna von Zarovich”.

Annie nie dane było spocząć w takim miejscu. Jej ciało spłonęło w przytułku dla obłąkanych, a popioły rozrzucił wiatr. A Tatiana była

skazana na wieczne wracanie do Ba-rovii...

Delikatne dotknięcie przywróciło go do rzeczywistości. Sasza przyglądał mu się z troską.

- Nic tu po nas - rzekł Jander, zmienionym, szorstkim głosem.

Ostatnia komnata musiała należeć do Strahda. Podobnie, jak w miejscu spoczynku Barova i Ravenovii, schody prowadziły w dół, do

piętnastometrowej krypty, gdzie dostrzegli trumnę hrabiego. Nic nie zagrażało im do niej dostępu.

- Musimy działać ostrożnie - cicho rzekł elf. - Wygląda to aż nazbyt łatwo.

Wolno i uważnie Jander zaczął schodzić do krypty Strahda von Zarovicha.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

W powietrzu rozległ się przenikliwy świst, gdy z ukrytych w ścianach, napiętych łuków wystrzeliły strzały, wbijając się w ciało Jandera.

W okamgnieniu Leisl dobyła sztyletu i przywarła ciasno do ściany. Sasza chwycił święty symbol w dłoń.

- Jander! - wykrzyknął.

Tułów elfa najeżony był kilkunastoma strzałami niczym krawiecka poduszka szpilkami. Jander niewzruszony zaczął je wyjmować, jedna

po drugiej. Nie krwawił; na dobrą sprawę nie wyglądał nawet na zranionego.

- Nic mi nie jest - zapewnił kapłana. - Mówiłem, że bycie martwym ma swoje zalety.

Leisl pokręciła z uśmiechem głową. Wampir wydobył już wszystkie groty z ciała i schodził dalej sam.

- Nic się nie stało. Stał na podłodze krypty i rozejrzał się dookoła. W infrawizji dostrzegł kilka czerwonych kształtów, czających się w

kątach komnaty. Zanim zdążył uprzedzić Leisl i Saszę by nie szli za nim, w rzucany przez pochodnie krąg światła weszły wilki.

Ogromnych, poruszających się ze złowrogą powolnością bestii było przynajmniej tuzin. Sierść zjeżyła im się na karkach, uszy przylegały

płasko do czaszki. Z każdego kąta dobiegał głęboki warkot; nietrudno było dostrzec błysk ostrych, białych kłów i lśniące czerwienią nienawiści

ślepie. Komnatę wypełnił ostry zapach pizma.

- Na bogów! - wyszeptała Leisl, czując lodowaty chłód w trzewiach. Szarzy pieśniarze nocy. Niewiele myśląc przysunęła się bliżej do

Saszy.

Jander zaklął pod nosem. Wilki słuchały teraz Strahda, ale musiał spróbować nakłonić je do odejścia, zanim zacznie rąbać je mieczem.

Spokojnie, przyjaciele. Nie wyrządzimy wam krzywdy. Tak jak i wy nie chcecie nas skrzywdzić...

Wilki na sztywnych łapach podeszły bliżej, gotowe do ataku Ręka Jandera podążyła ku rękojeści miecza. Zostawcie nas w spokoju.

Rozkazy, które wydał wasz pan, nie dotyczą nas!

Jedna z wilczyc przystanęła, zastrzygła uszami i pochyliła łeb. Elf czekał w napięciu, mając złudną nadzieję, że siła jego woli przeważy

moc Strahda. Drugi wilk, wyglądający na zmieszanego, przysiadł na zadzie i zaskomlił. Odejdźcie. Dobrze pełniłyście straż Teraz czas odejść...

Trzeci wilk odprężył się, potem czwarty. Jedna po drugiej bestie przestawały zagrażać intruzom. Nagle pierwsza wilczyca pobiegła po

schodach na górę, a reszta watahy podążyła za nią opuszczając stanowiska.

Wampir przymknął z ulgą oczy, a Sasza i Leisl przyglądali się całej scenie nic nie rozumiejąc.

- Właśnie tak kiedyś uratowałem twemu ojcu życie - wyjaśnił młodzieńcowi elf. Sasza uśmiechnęła się, przypominając sobie matczyne

opowieści. - Tb bardzo zachęcające - ciągnął Jander. - Sądziłem, że Strahd całkowicie panuje nad wilkami. Tymczasem zdołałem zmusić je

odejścia, a to oznacza, że hrabia nie jest taki wszechpotężny, za jakiego chciałby, żebym go uważał. Leisl nabrała powietrza głęboko w płuca i

zmusiła się do rozluźnienia mięśni ramion.

Jander oczekiwał kolejnego ataku, kiedy podeszli do kamiennej trumny, nic jednak się nie wydarzyło. Sasza zaczął przygotowywać

niezbędne wyposażenie: święty symbol, flakonik wody święconej, pęki specjalnie pobłogosławionych ziół.

- Myślisz, że on tu jest? - szeptem spytała Leisl. Jander pokręcił głową.

- Nie - po czym ostrożnie odsunął wieko. Wlepił wzrok w leżącą postać. A więc mylił się.

W obitej atłasem trumnie leżał Strahd, z zamkniętymi oczami, z bladą, przypominającą woskową maskę kościstą twarzą. Ręce miał

skrzyżowane na piersi; emanował spokojem. Wyglądał, zresztą zgodnie ze stanem faktycznym, na martwego.

- Dzięki niech będą Panu Poranka, że wciąż mamy dzień - mruknął kapłan. Jander przytaknął i odsunął ręce Strahda na boki, ułatwiając

Saszy przyłożenie zaostzonego kołka dokładnie nad sercem hrabiego. Kapłan zamierzył się młotkiem.

- „Teraz cię mamy, draniu” pomyślał z satysfakcją Jander w nagłym przypiływie nienawiści.

Hrabia usiadł nagle w trumnie, z jego gardła wydobył się istic zwierzęcy ryk, a białe ręce wyciągnęły się, by pochwycić szyję Saszy.

Kapłan wypuścił narzędzia i wbił palce w zaciśnięte na gardle dłonie. Odskoczył, ale udało mu się zyskać tylko tyle, że wraz z hrabią runęli na

podłogę. Jander z krzykiem rzucił się na Strahda, wymierzając mu potężny cios. Uchwyt palców na gardle Saszy zelżał nagle i mężczyzna zdołał

się uwolnić, po czym odturlał się kawałek, krztusząc się i łapczywie wciągając powietrze.

Jander własnym ciężarem przygniótł hrabiego do ziemi. Oczy Strahda błyszczały czerwienią, a uzbrojone w ostre zęby szczęki zamknęły

się gwałtownie dosłownie o cal od twarzy elfa. Jander nie musiał nic mówić - Leisl już była przy nim i z całej siły uderzała młotkiem, celując

kołkiem wprost w czarne serce wampira. Kiedy przebiła je, Strahd zawył z bólu. Młotek opadł ponownie, wbijając drewno głębiej. Białe płótno

koszuli hrabiego przesiąkło krwią, on sam zaś zadygotał gwałtownie i opadł bezwładnie na ziemię.

Jander bez sił osunął się na jego ciało. Tak szybko - i już po wszystkim. Po przebiegłym władcy Ravenloft spodziewał się trudniejszej

walki; teraz zaś, ku własnemu zaskoczeniu, czuł dziwny niedosyt.

Ktoś delikatnie dotknął jego ramienia.

- Jander - odezwała się cicho Leisl. - Myślę, że powinienesz to zobaczyć.

Elf zmęczonym ruchem uniósł głowę. Dziewczyna, wciąż drżąc po niedawnym wysiłku, wskazało ciało hrabiego. Jander przyjrzał mu się

uważnie. Miał przed sobą niebrzydką wampirzycę z kołkiem w sercu.

- Do diabła, Strahdzie - wyszeptał. Zamknął oczy i odsunął się od ciała. - Powiniennem był się domyślić.

- Iluzja? - kaszlnął Sasza, wciąż masując obolałe gardło. Zmartwiony Jander skinął głową.

Kapłan uszanował milczenie przyjaciela i zajął się poświęceniem trumny. Leisl tymczasem odcięła głowę zwłokom.

Sasza posmarował obicie trumny świętym olejem, pomodlił się, po czym obficie skropił ją wodą święconą. Westchnął i podniósł wzrok

na elfa.

- Zrobione. Co dalej? Jander otrząsnął się z letargu.

- Idziemy szukać cząstki słońca.

Następne parę godzin należało do najprzykrzejszych, najbardziej wypełnionych napięciem i poczuciem beznadziejności, jakie trafiły im

się w życiu. Elf sądził z początku, że może Saszy uda się zlokalizować Święty Symbol przy pomocy magii. Niestety, próba się nie powiodła i

Jander przyznał niechętnie, że pozostało im już tylko przeszukanie zamku.

- Całe to przekłete zamczysko? - jęknęła z niedowierzaniem Leisl. Jander przytaknął i, przygnębieni obeszwałniającym ogromem

zadania, rozpoczęli poszukiwania.

Opuścili ohydne katakumby drogą prowadzącą przez gorsze jeszcze lochy.

- Niektórzy z byłych więźniów zostawili w celach prawdziwe skarby - rzekł Jander. - Dlaczego nie mielibyśmy stąd zacząć?

Pamiętał, jak żałosne krzyki i jęki działały mu na nerwy podczas pierwszej wizyty w lochach, teraz jednak było tu znacznie ciszej.

Niewolnice Strahda posilały się łakomie, niecierpliwie i nie znały umiaru, toteż więźniów pozostało niewielu. Wytrychem zabranym sprzed

drzwi głównej celi otwierał kolejno każdą z mniejszych i wspólnie z Leisl dokonywali szybkiej, ostrożnej inspekcji każdego pomieszczenia.

Sasza przyglądał im się w przerażeniu.

- Wcale was to nie rusza, prawda? - zapytał z niesmakiem.

- Mnie tak - odparł Jander, grzebiący w spróchniałej skrzyni złotych monet. Starał się powstrzymać gniew. - Zwłaszcza to, co znajduje się

w ostatniej z cel.

Zaciekawiony Sasza podszedł do wspomnianych przez Jandera drzwi i zajrzał do środka. Na stercie gnijącej słomy spał skulony mały

chłopczyk.

- Nie budź go - szepnął kapłanowi na ucho elf. - Jedni bogowie wiedzą, jak bardzo potrzeba mu wytchnienia od tego straszego miejsca.

- Czemu go nie wypuściłeś? - również szeptem zapytał ze złością Sasza.

- Bo nie ja tu rządzę, tylko Strahd. Robię, co mogę i kiedy mogę. Ciągle za mało. W przeszłości uwalniałem więźniów, ale on zawsze

chwycił nowych, i to coraz więcej - warknął w odpowiedzi elf. - Dopiero gdy go zabijemy, można będzie wypuścić uwięzionych, nie wcześniej.

Chodź już

- Ale...

- Zostaw go, Sasza - wtrąciła się Leisl. - Zróbmy to, po co tu przyszliśmy, potem zajmijmy się zbawianiem świata, dobrze?

Sasza miał na końcu języka gniewną ripostę, ale zrezygnował z niej, kiedy spojrzał najpierw na dziewczynę, później na elfa. Miała rację.

Jander również odczuwał ból na widok tego, co ich otaczało, ale miał plan, dzięki któremu mogli osiągnąć wszystko, co było ich celem; nie było

sensu narażać tego planu na niepowodzenie.

Ostatni raz rzucił okiem na skulone dziecko i podążył za wampirem. Leisl, wciąż spiętą zamykała pochód. Odór zgnilizny, który uderzył

ich w nozdrza, gdy weszli do sali tortur, przyprawił Saszę o mdłości, ale ich przewodnik, klucząc wśród instrumentów przemocy, pewnie

zmierzał ku balkonowi. Kapłan nie mógł oderwać wzroku od gromady wolno poruszających się zombi, na nowo przeżywających własną śmierć i

wyszczерzonych w uśmiechu szkieletów, bawiących się narzędziami służącymi do zadawania bólu.

Poczuł delikatne szturchnięcie w plecy, a kiedy odwrócił się, napotkał spokojne spojrzenie Leisl.

- Nie patrz - powiedziała łagodnym głosem. - Po prostu cały czas idź. - Oszołomiony, wstrząśnięty Sasza, zrobił co mu kazała.

Jander przystanął i spojrzała na zawieszony jakieś trzy metry nad nimi balkon.

- Złapcie mnie oboje za szyję - polecił, a kiedy posłuchali, dodał - Trzymajcie się.

Złapał równowagę, przykucnął, po czym wskoczył na balkon.

We troje ruszyli do kaplicy, sprawdzając mijane po drodze komnaty i alkowy. Niczego nie udało im się znaleźć. Kiedy zaczęli

przeszukiwać samą kaplicę, ostrożnie opędzając się od wszędobylskiego szkieletu-straznika, sił dodawała im świadomość nadchodzącego już

zmierzchu.

- Święty przedmiot powinien znajdować się w uświęconym miejscu - w głosie Saszy słychać było nadzieję.

Ale znów nic nie odkryli. Sasza i Leisl byli już bardzo zmęczeni; nawet wampirowi wysiłek powoli dawał się we znaki. Kapłan napełnił

lampę olejem, zapalił ją ponownie i położył się na jednej z ław, trąc kułakiem oczy. Leisl leniwie żuła wygrzebany z plecaka kawałek chleba, nie

przystając rozglądać się dookoła bystrymi, orzechowymi oczyma. Zdawało się, że nie czuje się tu najlepiej.

- No dobra, co teraz robimy? - zagadnęła z pełnymi ustami. Jander obrzucił ich oboje spojrzeniem, ale nie odpowiedział, przygnębiony

porażką. Jego myśli bez przerwy krążyły wokół sytuacji, w której się znaleźli. W podziemiach wciąż cierpieli więźniowie, w większości dzieci,

Anna nie została pomszczona, a Strahd wróci tu niebawem. Odważna misja przeciw arystokracji-wampirowi przyniosła w efekcie ledwie kilka

unicestwionych niewolnic i zniszczonych trumien.

Zaklął cicho. W uszach wciąż dźwięczało mu pytanie Leisl: co teraz robimy?

Nie umiał odpowiedzieć.

Usłyszał znajomy, stłumiony grzechot, obwieszczający zbliżanie się szkieletu-strażnika. „Czyżby pora już była zamykać kościół?”,

pomyślał żartem. Zmęczony i zniechęcony podniósł wzrok na stróża kaplicy.

To, co dostrzegł, sprawiło, że podskoczył, napinając wszystkie mięśnie.

Tysiące razy oglądał tę żalospną postać; potrafiłby ze szczegółami opisać chodzącą kupę kości. Jednak nigdy tak naprawdę nie widział

tego, co od dziesięcioleci znajdowało się w zasięgu jego rąk. Ramiona kościotrupa wciąż przyozdobione były resztkami oficjalnego stroju. Pas,

jeśli takowy był, dawno opadł na ziemię, ale wysokie, skórzane buty wciąż trzymały się na nogach i spowalniały jego kroki. Na kościstej szyi od

setek lat wisiał medalion.

Wykonany z platyny naszyjnik miał kształt słońca wysyłającego na wszystkie strony swoje promienie. W samym środku osadzono

kryształ kwarcu. Medalion kołysał się w takt poruszeń szkieletu i głucho stukotał o żebra, migocząc w świetle pochodni.

Nagle Jander przypomniał sobie okładki ksiąg z gabinetu, na których wytłoczono ten sam wzór, rozświetlające słońce; potem pomyślał o

fresku i inskrypcji, którą udało mu się odsłonić KRÓL GOBLINÓW UCIEKA PRZED POTĘGĄ ŚWIĘTEGO SYMBOLU KRUCZEGO

RODU. Wszystko zaczynało układać się w spójną całość - napastliwa uwaga w dzienniku Strahda, dotycząca kapłaństwa Sergieja:... ale

dostojnicy kościoła zezwolili mu na noszenie Kapłańskiego Naszyjnika, nawet niebrzydkiego cacka, które ma dla chłopaka ogromne - może

nawet zbyt duże - znaczenie emocjonalne; bezgłowy posąg w Sali Bohaterów, na którego piersi wyrzeźbiono ten sam wisior; portret trójki braci,

z których najmłodszy nosił go na szyi; krzyk Strahda, pochylającego się nad ciałem zamordowanego brata: Miałeś zostać kapłanem.

Ten, który najbardziej kocha, ma serce z kamienia - cicho rzekł Jander. Prawda olśniła go niczym jasność słonecznego blasku: kryształ

kwarcu w medalionie był częścią słońca, zaś szkielet, który stał teraz przed nim, to wszystko, co pozostało ze szlachetnego, kochającego

Sergieja.

- Jander? - niepewnym głosem zagadnął Sasza.

Elf gwałtownie zaczął działać. Krzyknął i z gołymi rękoma rzucił się na szkielet, łapiąc pojedyncze kości i rozrzucając je wokół jak

szalenięc. Żebra zaklekotały o posadzkę, ramiona potoczyły się do kątów, czaszka odbiła się i roztrzaskała o kamienną podłogę.

Nagły atak Jandera wyzwolił uwięzioną w szkielecie duszę. W pewnym sensie byli z Sergiejem braćmi - mógł tylko kochać kogoś, kto

tak głęboko umiłował Tatianę, Annę. Szał minął równie nagle, jak przedtem się pojawił i elf przyglądał się rozrzuconym po podłodze kaplicy

kościom. Wiedział, że kiedy następnym razem ktoś zbliży się do posągu najmłodszego z von Zarovichow w Sali Bohaterów, znajdzie tam

zwykły posąg i nic poza tym.

Sergiej nareszcie zazna pokoju, pozostawiając po sobie to, czego Jander poszukiwał - sposób, aby zemścić się za nich obu na Strahdzie,

czyli na potworze, który zniszczył ukochaną przez obydwóch kobietę.

- Mamy to - rzucił chrapliwie elf, wskazując drżącym palcem migoczący na ziemi medalion. - Tb jest cząstka słońca.

Zdumiony Sasza wyciągnął równie drżącą rękę i podniósł naszyjnik. Czuł, jak zimny metal leżącego mu spokojnie na dłoni medalionu

rozgrzewa się od jego dotyku. Leisl zaglądała mu przez ramię, gdy wodził palcem wzdłuż zdobiących klejnot runów. Niektóre rozpoznawał:

Prawda, Współczucie, Wybaczenie, Sprawiedliwość, Światło... Święty Symbol Kruczego Rodu rzeczywiście zdawał się kryć w sobie kawałek

słońca. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział.

- Hej, to jest warte całkiem niezły grosz - skomentowała Leisl, choć i w jej głosie pobrzmiwał szacunek. Sasza uśmiechnął się lekko, po

czym odwrócił się do elfa z oczyma pełnymi łez. Wiedział, że Jander kocha piękno i nagle zapragnął podzielić się cudownością Symbolu z tą

umęczoną duszą.

- Janderze, dotknij go. Musisz go dotknąć.

Elf był równie zachwycony i, niczym przyciągany do medalionu, wyciągnął dłoń w rękawiczce, by delikatnie go dotknąć. Natychmiast

szarpnął ją z powrotem i przycisnął, poczerniałą i dymiącą, do piersi. Jęk bólu wyrwał mu się z usL

- Och, Jander, przepraszam! Chciałem się tylko nim z tobą podzielić! - na twarzy Saszy widać było szczyry żal.

- Nic się nie stało - odrzekł Jander. - Najwyraźniej nie jest przeznaczony dla takich, jak ja - uśmiechnął się, ale pod wpływem bólu

uśmiech przeszedł w grymas. - Teraz wiesz, dlaczego chciałem, żebyś przyszedł tu ze mną. Jeśli medalion wyrządził mi taką krzywdę, a ja tylko

ledwie go dotknąłem, pomyśl, co się stanie, jeśli użyjesz go przeciw Strahdowi.

- Serce z kamienia - rzekł Sasza spoglądając na klejnot - Tak, jak mówiła Maruszka.

Jander podniósł głowę.

- Maruszka?



Sasza kiwnął głową, zbyt pochłonięty pięknem medalionu, by zwrócić uwagę na napięcie w zwykle spokojnym głosie elfa. Jednak Leisl

wbiła w wampira baczne spojrzenie.

- Poszliśmy z Leisl do Vistanich, żeby przepowiedzieli nam przyszłość - wyjaśnił Sasza. - Tb ona dała nam wskazówki.

- Kiedy tam byliście?

Kapłan podniósł wzrok na spotkanie wzroku Jandera; strach, który dostrzegł w jego oczach, przygnębił go.

- Parę tygodni po tym, jak poprosiłeś mnie, żebym pomógł ci pokonać Strahda. Coś nie tak? Wiem, że większość Cyganów to oszuści, ale

ta...

Jander poderwał się na nogi i czujnym spojrzeniem obrzucił kaplicę.

- Chodźmy - ponaglił. - Musimy się stąd wydostać. Leisl nie trzeba było dalszej zachęty, czekała już na nich, gotowa do odejścia. Cały

czas miała rację; coś tu nie grało.

- O co chodzi?

- Sasza, jesteś głupcem! - wykrzyknął Jander. - Vistani szpiegują dla Strahda! Jeśli poszliście do Maruszki, a ona powiedziała ci to

wszystko, to wie, że tu jesteśmy. A to oznacza...

- Ze Strahd też wie, że tu jesteśmy - dokończyła Leisl, na której twarzy malowało się rosnące przerażenie.

Nawet w migotliwym, pomarańczowym świetle pochodni Jander widział wyraźnie, że krew odpłynęła Saszy z twarzy.

Nagle pochodnia i lampa zgasły. Nagły podmuch zimnego powietrza przeleciał przez kaplicę, niemal zwalając z nóg trójkę przyjaciół.

Jander widział w infrawizji dokładnie tyłą co Sasza i Leisl normalnym wzrokiem, ale czuł obecność złej istoty w tym niegdyś uświęconym

miejscu. Rozległ się głęboki, pełen satysfakcji śmiech, przechodzący w pełen radości jęk, który harmonijnie współgrał z wyciem wichru. Przez

całą tę kakofonię przebijał się skowyt wilków, od którego włosy jeżyły się na głowie.

- Za późno - dobiegł ich miękki głos Strahda.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Wilki przybyły na wezwanie, tak jak o całe pokolenie wcześniej przybyły do wioski, ze wspólnym, morderczym zamiarem.

Wpadły do zamkowej kaplicy z korytarza, z alkowy, przez drzwi do ogrodu; niektóre wdarły się przez witrażowe okna, rozpryskując

tęcze szklanych kryształków. Jander w myśli nakazał kilku zwierzętom odejść.

Wilki całkowicie zignorowały jego rozkaz. Nie potrafił nawet wyczuć ich umysłów.

- Kiedyś już upokorzyłeś mnie tą sztuczką - w głosie Strahda pobrzmiwała nuta zadowolenia. - Tym

razem ci się nie uda.

Pierwszy otrząsnął się Sasza. Czystym, spokojnym, choć wysokim ze strachu głosem rozpoczął inkantację, wodą święconą znacząc krąg

wokół siebie i Leisl. Wilki zaszarżowały, ale zmuszone były gwałtownie zatrzymać się tuż przy granicy tego okręgu i tylko powarkiwały

zaskoczone.

Jander dostrzegł Strahda, siedzącego wysoko na balkonie, piętnaście metrów ponad nimi - był ledwie przypominającą cień sylwetką z

bladą plamą w miejscu twarzy. Hrabia wstał i podszedł do skraju balkonu.

Najgorętszym pragnieniem Jandera było doskoczyć do znenawidzonego wroga i rzucić się na niego z gołymi rękami i zębami. Wiedział

jednak, że jeśli uczyni choć jeden ruch, Strahd zniszczy go, taki jest los nauczycieli, którzy przestawali być użyteczni. Przywołał więc na pomoc

całe swe pięćsetletnie zapasy cierpliwości umarłego i nie poruszył się, czekając, aż będzie miał pewność, że hrabia poświęcił mu całą swą uwagę.

Kiedy spojrzeli sobie w oczy, elf uśmiechnął się i rozplynał w obłok delikatnej mgiełki, który po chwili stał się praktycznie niewidzialny.

W tej postaci nie miał wprawdzie żadnych cielesnych organów, ale mógł „widzieć” i „słyszeć” wszystko, co się dzieje. Hrabia,

zaskoczony i rozdrażniony, wychylił się przez skraj balkonu.

- Janderze! Nie umkniesz mi tak łatwo! - ryknął. W jego oczach rozpalał się czerwony ogień. Nagle jednak uspokoił się i zwrócił uwagę

na Saszę i Leisl. Oboje nadal stali w ochronnym kole, wyznaczonym przez kapłana. Tuż za linią święconej wody kręciły się, powarkując,

zaskoczone wilki.

Sasza Pietrowicz, kapłan Lathandera - odezwał się hrabia pozbawionym emocji tonem, godnym rozmowy towarzyskiej. - Jesteś

odważnym klerykiem, trzeba ci to przyznać, jeśli przychodzisz ot, tak sobie wprost do kryjówki wampira. Jeszcze większej odwagi trzeba było,

by się z wampirem zaprzyjaźnić. Ale próżne twoje wysiłki! Ty i twoja przyjaciółka-złodziejka

zginiecie, a wasza śmierć na nic się nie zda.

Jander opuścił was; teraz widzicie, jak postępuje, kiedy tylko zaczną się jakieś kłopoty.

Sasza nie chciał w to uwierzyć, ale rzeczywiście wszystko na to wskazywało. W jednej ręce ścisnął mocniej Święty Symbol Kruczego

Rodu, drugą zaś przycisnął mocniej do siebie Leisl, wciąż drżącą na widok szarych pieśniarzy.

- Prawda to czy nie - odparł młodzieńczym, pewnym głosem. - Wciąż jesteś moim wrogiem, hrabio Strahdzie. Oto jak pomszczę śmierć

mojej rodziny!

Już chciał podnieść medalion wysoko w górę, lecz hrabia nagle zniknął.

Zmieszany kapłan zawahał się, a po chwili Strahd zmaterializował się zniemacka na samej krawędzi ochronnego kręgu. Uśmiechał się

triumfalnie, lodowatymi dłońmi przytrzymując przerażoną, młodą kobietę.

Sasza wydał dźwięk, jakby się krztusił. W wielkich, sarnich oczach dziewczyny czaił się lęk.

- Katia! - wyszeptał, porażony strachem.

Mgła zawieszona w powietrzu parę kroków dalej zareagowała podobnym przerażeniem. Katia? Narzeczona Saszy była w istocie Trina,

wilkołaczka szpiegująca dla Strahda! Jander przez moment chciał się zmaterializować i ostrzec Saszę, powstrzymać go przed tym, co

młodzieniec zamierzał uczynić. Zwalczył w sobie tę pokusę; tylko cierpliwość mogła przynieść mu zwycięstwo w tej walce, nic więcej. Na

bogów, jakże trudno było mu jednak tak stać i patrzeć, jak Strahd bawi się kosztem jego przyjaciół, zupełnie jakby rozgrywał partyjkę „Jastrzębi

i zajęcy”...

Sasza stał bez ruchu, na jego twarzy malował się niewysłowiony ból. Do tej pory trwał niewzruszony, bezpieczny w swym przekonaniu o

słuszności misji i wierze we wszechmoc swego boga. Teraz stracił zupełnie ducha i poddał bitwę, zanim się rozpoczęła.

- Nie rób jej krzywdy - rzekł cicho. - Proszę, cokolwiek mi zrobisz, nie krzywdź jej.

- Wszystko w twoich rękach, Saszo Pietrowiczu. Rzuć amulet, a będzie żyła - wymruczał Strahd. -
Zrób choć jeden ruch w moim

kierunku, a zginie natychmiast.

Jakby na potwierdzenie tych słów, odgarnął z gardła dziewczyny kasztanowe włosy, obnażył kły i
przysunął je do pulsującej w szyi

tętnicy... bliżej... jeszcze bliżej...

- Sasza, nie rób tego, on nas wszystkich pozabija - zaczęła Leisl. Strahd zatrzymał się,
przygważdżając ją spojrzeniem płonących oczu.

- Nie waż się nawet drgnąć, złodziejko - rozkazał. Leisl nie odezwała się, czując, że znika jej brak
zaufania. Wampir patrzył jej wprost w

oczy i poczuła, jak jej wola słabnie.

- Dobrze - wtrącił złamanym głosem Sasza. - Na litość boską, puść ją. Ona nigdy nikogo nie
skrzywdziła.

Gorzka ironia tych słów aż targnęła Janderem. Cierpliwości, przypomniał sobie.

Święty Symbol Kruczego Rodu wypadł ze zmartwiałych palców Saszy na kamienną posadzkę.

- Znakomicie, Sasza. Tak się cieszę, że jesteś rozsądny. Proszę, zrób to dla mnie i kopnij go teraz tak,
żeby wyleciał na zewnątrz kręgu -

poleciał Strahd. Kiedy Sasza, otępiąły z bólu, nie poruszył się, hrabia szarpnął dziewczynę za ramię.
Trina, do końca grając swą rolę - a może

Strahd naprawdę zrobił jej krzywdę - syknęła z bólu. Tym razem Sasza pospiesznie wykopał piękny
medalion poza obręb koła. Klejnot

chrobocząc przejechał po podłodze.

- Dziękuję ci, dziękuję bardzo. Za wszystko. Widzisz, pozwoliłem wam znaleźć tę błyskotkę, gdyż
sam chciałem ją odszukać. Teraz,

kiedy już ją mam, będę ją mógł przechowywać w bezpiecznym miejscu, prawda?

Jander tracił „wzrok”. Nigdy dotąd nie próbował tak długo pozostać mgłą; zwykle wystarczyła
chwila - by uciec przed pościgiem bądź

przemknąć pod drzwiami. Nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma. Wolno spłynął ku rozgrywającej się
scenie.

Wiedziałem o słynnym Świętym Symbolu Kruczego Rodu - ciągnął Strahd. - Ale nie wiedziałem dokładnie, jak ta przeklęta rzecz

wygląda! Najwyższy z Wysokich Kapłanów imieniem Kir zmarł zanim zdążył przekazać sekret Sergiejowi. Muszę przyznać, że nie miałem

pojęcia, iż naszyjnik mojego ukochanego brata jest owym budzącym grozę Symbolem. Przeceniałem kapłanów sądząc, że będą go bacznie

strzegli.

- Ale dzięki wam, drodzy przyjaciele - tu pokłonił się obłudnie Saszy i Leisl - mam tę błyskotkę w garści. Podnieś to, moja droga - dodał,

tym razem kierując swe słowa do Katriny.

Trina w okamgnieniu porzuciła rolę wielkookiej chodzącej delikatności, jakby pozbywała się przebrania. Jej śmiech odbił się echem od

ścian korytarza, kiedy zarzuciła Strahdowi ramiona na szyję i pocałowała go w błądy policzek.

- Jejku, jesteś taki mądry!

Niczym dziecko zbierające kwiatki poskoczyła radośnie ku porzuconemu symbolowi i podniosła go ciekawie. Sasza nie spuszczał z niej

wzroku; jego zmartwiały umysł odtajał akurat na tyle, by zrobić miejsce nowemu okropieństwu, jakiego był świadkiem.

- Katiu, nie!

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, bardziej złowrogo.

- Zaczynasz rozumieć, kochanie. Och, jakże łatwo, jak łatwo dałeś się oszukiwać!

Sasza otrząsnął się z szoku, jaki wywołała w nim ta zdrada. Cygańska krew zagotowała się w nim na myśl o oszustwie. Ściągnął brwi, a

oczy zapowiadały wybuch wściekłości, jakiego nie powstydzilby się czystej krwi Vistani. Z wściekłym warknięciem sięgnął po różowy,

drewniany dysk, święty symbol Lathandera.

- Głupi klecho! - ryknął Strahd. - Jak śmiesz grozić mi w moim własnym domu! Chciałbyś tak po prostu zniszczyć tę krainę?

Nagle u stóp Saszy i Leisl rozległ się syk i święcona woda zaczęła gwałtownie parować,

przemieniając się w smużki pary. Trzymany

przez Saszę dysk wybuchnął płomieniem; kapłan krzyknął z bólu. Siódemka wilków, podenerwowana, zaczęła podskakiwać.

- Nie. Siedźcie i pilnujcie - przemówił do nich Strahd, głównie z myślą o Saszy. - Dopilnujcie, żeby ten kapłan przyglądał się, co dzieje

się z jego przyjaciółką. Przynajmniej przez jakiś czas.

Odwrócił się do Katriny.

- Zajmij się nim, jak będziesz gotowa - rozkazał. Katrina spojrzała na Saszę, nie wypuszczając symbolu z rąk. Na jej śliczną, dziką twarz

powoli wypełził szeroki uśmiech.

- Chodź, Sasza, najdroższy. Pocałuj mnie. Nie chcesz mnie pocałować? - odrzuciła głowę w tył i zawyla niehumanym głosem. Skóra na jej

ciele pomarszczyła się, sztywne włosy pojawiały się i znikaly.

- Katia! - Sasza nie mógł uwierzyć w koszmar, który się przed nim rozgrywał. Oczy Triny pozostały bez zmian, ale przednia część jej

tworzy wydłużyła się, przypominając groteskowy wilczy pysk. Przez skórę przebiły się szare włosy.

Leisl nie poruszyła się, wpatrzona w wampira.

- Chodź do mnie, najdroższa - rzekł Strahd swoim zachęcającym, aksamitnym głosem. - Chodź.

Mały Lis ruszyła powoli w jego kierunku.

- Odpowiadasz za śmierć moich niewolnic, więc to chyba słusze, że staniesz się pierwszą z nowych zastępów, prawda?

- Nie! - wykrzyknął Sasza, oderwawszy się na moment od przerażającego widoku Katriny, stojącej parę kroków od niego i przesuwającej

językiem po wilczych szczękach. - Zostaw ją!

Katrina znieruchomiała, po czym odwróciła zwierzęcy łeb ku Strahdowi.

- Co takiego? - warknęła. - Zamierzasz zrobić z niej wampira?

- Tak sądzę - odparł Strahd, nie zwracając na nią uwagi. Przesunął palcem wzdłuż linii dolnej szczęki Leisl. - Nie wydaje mi się, żeby

Jander Sunstar naprawdę nas opuścił. Ten głupiec ma zbyt szlachetną naturę, by uciec. Zranię go, robiąc temu dziecku krzywdę. Kapłanowi też

zrobi się przykro, kiedy będzie patrzył. Poza tym mam wrażenie, że to materiał na interesującą towarzyszkę.

- Nie zrobisz tego! - wściekle warknęła wilkołaczycza, odwracając się i stając twarzą w twarz ze Strahdem. Ręce miała wciąż

wystarczająco ludzkie, by na podobieństwo broni ścisnąć w nich Święty Symbol Kruczego Rodu.

W oczach Strahda jej wybuch wywołał cień zaskoczenia, ale hrabia nie wykonał najmniejszego ruchu. Jeszcze nie. Katrina zacisnęła

dłonie na Symbolu.

- To wszystko twoja wina - wywarczała. - Wyszukiwałeś sobie wciąż nowe i nowe kobiety, przez które nie miałeś czasu dla mnie.

Zastanawiałeś się, jakim cudem tyle z nich zginęło. Pozbywałam się ich, zmieniałam się w wilka i prowadziłam je do Saszy, który zabijał je dla

mnie. A teraz słyszę, jak mówisz mi, że uczynisz ją wampirem i wszystko zacznie się od nowa? Nie chcę o tym słyszeć!

- Katrina, kochanie - wykrzyknął Strahd, odwracając się od Leisl. - Nie sądzisz chyba, że ta żałosna istota mogłaby kiedykolwiek zająć

twoje miejsce w moim sercu! To tylko zabawa i sposób na dokonanie zemsty, nic więcej. Jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, to zwyczajnie zabiję

ją.

- Zrób to - zażądała. Łzy zazdrości wezbrały w jej wciąż ludzkich oczach i zaczęły spływać po kudłatych policzkach. Jej ramiona opadły,

rozluźniła uchwyt na Świętym Symbolu.

- Nie! - wrzasnął Sasza.

Teraz, pomyślał Jander.

Bez najmniejszego ostrzeżenia smukły, złotobrzowy wilk wyskoczył spomiędzy reszty gromady i chwycił w zęby medalion, po czym

szybciej niż kiedykolwiek przedtem zmienił się najpierw w mgłę, a potem przybrał elfią postać, trzymając w ręce Święty Symbol Kruczego

Rodu. Symbol palił go żywym ogniem, zadając, jak poprzednio, wściekły ból. Z przypalonej dłoni uniósł się swąd przypalonego mięsa. Jander

nie zwracał na to uwagi.

Wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Rozwścieczona Katrina uległa całkowitej transformacji i zmieniła się w potężną, szarobrunatną wilczycę. Skoczyła na Leisl, uderzając ją

mocno w tułów i przewracając na ziemię. Mały Lis zdołała jednak sięgnąć po sztylet, który dał jej Jander. Lewą dłonią zasłoniła gardło, a prawą

wbiła broń Baal Verzi głęboko w bark Katriny.

Wilkołaczyca zawyła z bólu i wykręciła całe ciało; zatopiła zęby w ramieniu Leisl i sztylet upadł na podłogę, kiedy dziewczyna wydała z

siebie przenikliwy krzyk. Nigdy dotąd nie czuła takiego bólu, a w dodatku ta kobieta-wilk, z którą się mocowała, zdawała się być wszędzie

naraz. Pazury darły twarz dziewczyny, sierść dusiła ją, ostre zęby trafiały na odsłonięte ciało, kłusząc, rozszarpując.

Mały Lis miała zginąć i zdawała sobie z tego sprawę.

Nie poddawała się jednak, krzesząc z siebie resztki gwałtownie ubywających sił w walce z przerażającą bestią. Walczyła jak zwierzę,

paznokciami i zębami, nie o własne życie, lecz o życie Saszy.

Tylne łapy wilczycy rozorały jej brzuch. Leisl jęknęła, czując tryskającą fontannę krwi. Poczwała przy twarzy gorący, cuchnący padliną

oddech i jej wzrok zmętniał.

Sasza sprawnie i skutecznie radził sobie z pozostałymi wilkami. Skoczył w kierunku lampy naftowej i ze słowami modlitwy na ustach

cisnął ją pomiędzy zwierzęta. Dymiący knot ożył nagle i kałuża nafty buchnęła płomieniem. Rozbłysło światło, rozpędzając ciemności po kątach

niczym tchórzliwe szczury. Dwa z wilków trafiły w sam środek ognia i teraz uciekając wyły z bólu, dwa następne, lżej poparzone, również

zmykały z podwiniętymi ogonami. Pozostałe dwa skoczyły na Saszę, który bronił się przed nimi młotkiem, służącym mu przedtem do zabijania

wampirów. Szczęśliwym trafem zdołał zgładzić jedno ze zwierząt, druzgocząc mu czaszkę udanym ciosem, a wówczas ostatni z przeciwników

uznał, że ma dość i Sasza został sam.

Niczym anioł zemsty rzucił się na pomoc Leisl; jego twarz, zwykle miła i łagodną, wykrzywił grymas słusznego gniewu. Tracąc

przytomność Leisl usłyszała jeszcze jego okrzyk i ujrzała, jak jakimś błyszczącym przedmiotem uderza w grzbiet Katriny.

Wilkołaczycza zawyła, długo, przeciągle, aż wydawało się, że dźwięk nigdy nie umilknie. Kiedy wreszcie ucichł, Trina uciekła, z lewym

bokiem przypalonym przez srebro jednego ze świętych symboli Saszy. Mały Lis pozostała przytomna akurat tak długo, by ujrzeć malującą się na

ukochanej twarzy kapłana troskę, po czym jej głowa bezwładnie opadła na jego ramię.

Tymczasem Jander stanął wreszcie twarzą w twarz ze swym wrogiem. Mimo bólu czuł rozpalający go płomień satysfakcji. Wzniósł

Święty Symbol, gotów uderzyć nim Strahda w twarz.

- Głupcze! Nie możesz użyć go przeciwko mnie!

- Czyżby? Byłem wyznawcą Lathandera, Strahdzie! Lathandera, Pana Poranka! A to - poruszył medalionem - jest cząstka słońca.

Coś na kształt strachu przemknęło po ostrych rysach oblicza hrabiego. Zniknął wściekły mars z czoła, twarz przybrała bardziej ugodowy

wyraz.

- Co próbujesz osiągnąć, przyjacielu? - spytał łagodnie, słodkim niczym miód głosem. - Tb, co robisz, z pewnością zniszczyłoby również

ciebie. Przyjrzyj się swojej dłoni!

Głos brzmiał kojąco, ale Jander nie ustępował. Powodował nim rozpalony do białości ogień nienawiści.

- Nie wiesz o wszystkim - rzucił. - Pozwól więc, zanim umrzemy, że opowiem ci o Annie.

- Tak, tak, pamiętam tę biedną, obłąkaną dziewczynę, na której krzywdzicielu przybyłeś się... - Strahd urwał. - Czyżbyś sądził, że to ja

jestem tym, który ją wtedy skrzywdził?

- Wiem, że to ty. Nie miała na imię Anna. Po tym, jak zniszczyłeś jej umysł, tyle tylko umiała powiedzieć, ledwie fragment własnego

imienia; tak jak i ona sama była ledwie częścią własnej istoty - Tatiany.

Na bladej twarzy hrabiego zagrały gwałtowne emocje.

- Nie - wyszeptał zbolalym tonem. - Kłamiesz, elfie. Przedostała się przez mgły...

- Ależ tak, spadła poprzez mgły - ciągnął Jander, wolno zbliżając się do drugiego wampira. Coraz trudniej przychodziło mu ignorować

narastający ból w dłoni. - Przynajmniej jakaś jej część. Ale nie cała Tatiana. Jakaś część tak bardzo chciała się uwolnić, że udało się jej to

sprawić i trafiła do mojego świata. Tylko że na skutek okropieństw, jakich musiała doświadczyć, straciła rozum. Okropieństw, które były twoim

dziełem!

- Nie! Kochałem ją! Chciałem tylko...

- Zniszczyłeś ją, draniu. Zanim ją znalazłem, została z niej niemal sama cielesna powłoka, ale resztki duszy, jakie dawało się w niej

dostrzec, wystarczyły, bym ją pokochał - zdradzieckie łzy zaczęły napływać mu do oczu, grożąc pogorszeniem widzenia. Rozzłoszczony

zamrugał oczami, żeby je odpędzić. - Nic by mnie to nie obchodziło, gdyby kochała Sergieja; on uczynił ją szczęśliwą, uczynił ją całością. Ty

miałeś ją taką i zniszczyłeś ją. Bądź przeklęty!

Elf podniósł głos, wypełniając kaplicę, gdy Jander dawała upust swej wściekłości.

- Jander... Gotów byłbyś za to umrzeć? - Strahd był wstrząśnięty.

Elf odpowiedział czynem. W milczeniu pomodlił się do Lathandera, Pana Poranka, nieprzyjaciela wampirów. Tylko ta jedna rzecz, prosił.

Ześlij mnie w otchłań, jaka mnie czeka, ale pozwól na ten jeden dobry uczynek.

Z ręki, w której ścisnął Symbol, zostały tylko zwęglone kości, ale udało mu się go nie upuścić, kiedy wznosił ramię i skierował naszyjnik

w stronę Strahda.

Poczuł, jak przez jego ciało przepływa moc, tak jak przez naczynie; czuł, jak niemal rozsadza mu serce i płynie wzdłuż ramion, by skupić

się w platynowym medalionie. Z kryształu trysnął snop światła. Z ust Jandera wyrwał się bolesny jęk. Jasny, złoty promień trafił Strahda w sam

środek klatki piersiowej.

Wampir krzyknął w męce, jego ciało napięło się całe i wygięło do tyłu, a twarz wykrzywił mu grymas cierpienia. Jander patrzył, a jego

serce przepełniała szalona, ogromna radość. Nigdy przedtem cierpienie innych nie sprawiało mu przyjemności, ale tym razem zadowolenie

przyćmiło nawet rozdzierający ból w ręce.

Elegancki strój zaczął się tlić, by w chwilę potem buchnąć płomieniem w miejscu, gdzie trafiło święte światło, przepalając sobie drogę

coraz głębiej, wywołując pęcherze i zwęglając skórę. Hrabia zachwiał się z bólu, stracił równowagę i przewrócił się za jedną z ławek.

To poruszenie przerwało na moment działanie strumienia światła, więc Jander przesunął się szybko, ponownie ogniskując promień



tryskający z kryształu. Ale ten moment był wszystkim, czego Strahd potrzebował. Zanim światło padło na niego powtórnie, hrabia zdążył

wypowiedzieć słowa zaklęcia i, ku przerażeniu Jandera, na jego twarz wypłynął uśmiech przemieszanego z bólem triumfu.

Strahd zniknął.

- Nie! - jęknął Jander. Tak blisko, tak niewiele mu brakowało. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i elf upadł na podłogę.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Jander z trudem otworzył oczy. Nadal leżał na podłodze w kaplicy, zupełnie bez sił. Spróbował się podnieść, ale udało mu się

ledwie słabo poruszyć palcami, a i tak jęknął z wysiłku.

Ktoś stanął przy nim.

- Witamy - rozległ się łagodny głos Saszy. - Był moment, kiedy myślałem, że już cię straciliśmy.

Elf nie odpowiedział. W zamian za moc posłużenia się Świętym Symbolem ofiarował Lathanderowi wszystko, co miał. Bóg przyjął jego

ofiary i Jander wiedział, że musi umrzeć.

Umrzeć gorzką śmiercią, z poczuciem niespełnienia. Na myśl o tym, jak został oszukany, poczuł złość. Jeśli odnajdziesz swoją

sprawiedliwość, stanie się to za sprawą słońca. Fałszywa Prorokini! Zaklął. Postawił wszystko na szali i przegrał, a Strahda nie udało mu się

zniszczyć; zranił go, to prawda, ale nie unicestwił.

Jander leżał twarzą w dół w kaplicy. Nie było całkiem ciemno, bowiem świt zbliżał się już. Czuł, jak resztką żywotności opuszcza go i

wsiąka w kamienie Ravenloft.

- Co... - zaczął, ale nie miał siły, by skończyć zdanie. Sasza popatrzył mu w oczy i domyślił się, co chce usłyszeć.

- Strahd zniknął. Wydaje mi się, że w ostatniej chwili zdołał rzucić zaklęcie. Leisl jest ciężko ranna, ale udało mi się wyleczyć

najpoważniejsze rany. Ty natomiast prawie całą noc byłeś nieprzytomny. Wyrysowałem wokół nas trojga ochronny krąg i przez noc stałem na

straży - uśmiechnął się. - Bogom niech będą dzięki za jedzenie, które Leisl zabrała ze sobą. Cały czas jadłem i czuję się teraz o wiele lepiej.

- Całą noc, tutaj?

- Tak. Nie wiem, co może nas spotkać na zewnątrz, a bałem się odejść, zanim Leisl nie będzie w stanie choć trochę chodzić. Bylibyśmy

zbyt łatwym celem.

Jander usiłował zebrać rozproszone myśli. Czuł, że pomału wracają mu siły, przynajmniej na tyle,

żeby mógł mówić.

- Myślę, że za dnia będziecie bezpieczni. Strahd jest ranny, chociaż nie zginął - elf starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała gorycz, ale

nie udało mu się. - Leisl... Została pokąsana. Kiedy będziecie się zbierać, idź do gabinetu Strahda. Weź wszystko, co może ci się przydać, ale

zwróć szczególną uwagę na jedną z tamtych ksiąg, z której dowiesz się, jak wyleczyć Leisl.

- Wyleczyć? Jander, nic jej nie będzie.

- Niezupełnie. Pogryzł ją wilkołak i przy najbliższej pełni księżyca ona też przejdzie przemianę.

Sasza zmartwiał. Likantropia, śmiertelnie groźna choroba, była bardzo zaraźliwa i Mały Lis właśnie najprawdopodobniej została

zakażona. Nagle zaparło mu dech w piersi. Co by się z nim stało, gdyby Leisl, kochana, dzielna, uparta Leisl zginęła? Zaskoczyło go uczucie,

jakim darzył tę dziewczynę.

- Natychmiast pójdę po tę księgę - rzekł i wstał z ziemi.

Jander jęknął z wysiłku i wyciągnął w jego stronę zdrowe ramię.

- Nie odchodź. Jeszcze nie. Mogę nie dożyć twojego powrotu.

Kapłan powtórnie przyklęknął przy nim.

- Przestań, Jander, wszystko będzie dobrze. To dobry znak, że udało ci się przeżyć tę noc. Spróbujemy... eeee... dostarczyć ci pożywienie

- urwał, czując się niezręcznie, choć gotów do pomocy. Popatrzył dookoła, zauważając, że elf leży tuż pod jednym z rozbitych przez kogoś

wilka witraży. Dzień był blisko; niebo całkiem już poszarzało.

Sasza wsunął ręce pod ramiona leżącego, próbując odciągnąć go w bezpieczne miejsce. Z ust wampira dobył się głośny krzyk.

- Przepraszam, Jander. Nie chciałem zrobić ci nic złego, tylko odsunąć cię stąd, gdzie padnie światło słońca.

Elf pokręcił głową. Z chaosu myśli powoli wyłaniał się spokój.

Czy naprawdę zawiódł Annę? Osłabiony, wolny od żądzy zemsty, przypominał sobie swoje „sny”,

zarazem pełne bólu i szczęścia i nagle

dostrzegł w nich coś niewłaściwego.

Wiedział sporo o naturze Tatiany: obdarowała biedaka klejnotami, zakochała się nie we wspaniałym bohaterze wojen, lecz w spokojnym,

cichym kapłanie; nawet w Waterdeep, będąc ledwie częścią samej siebie, dzieliła się żywnością z innymi, odbierając sobie od ust Czy taka

światlista duszyczka naprawdę mogła nakłaniać go do zemsty? A kiedy się wahał, karać go kozmarami?

To niemożliwe. Zdał sobie sprawę, że gdyby to rzeczywiście dusza Anny nawiedzała go w snach, domagałaby się od niego wybaczenia

Strahdowi wszystkich grzechów. Przecież jemu, Janderowi, wybaczyła, że ją zabił. Pierwsza odpowiedziały na zło dobrem, taka była bowiem

prawdziwa natura jej szczerego serca.

Wreszcie dostrzegł piękno starannie plecionych, okrutnych pajęczych sieci, którymi sama kraina próbowała go omotać i uwięzić. To jej

ciemne moce starały się zapanować nad jego duszą, od czasu wielokroć wspomnianego ze smutkiem mordu w przytułku w Waterdeep. To

Barovia dodawała mu sił, rozpalając na nowo płomień zemsty w jego sercu, kiedy zdawał się już przygasać. To przez nią nieukojonny ból i

tęsknota za słońcem targały wciąż jego duszą. Dostarczała mu ohydnej strawy, dzięki której rozkwitała jego nienawiść.

Ale Barovia nigdy nie pozwoliłaby mu zniszczyć Strahda. Jander został tu sprowadzony wyłącznie jako zabawka dla jej ulubionego

dziecka, nigdy nie był niczym więcej.

Przez te wszystkie lata Strahd wiele się od niego nauczył, a kraina karmiła się rozpaczą elfa. Idealne rozwiązanie. Cały czas nim

manipulowano, podsuwając to jakieś drobne zwycięstwo, to drobny powód do zadowolenia.

Moce ciemności nie pragnęły jego unicestwienia; wołały utrzymywać go przy życiu, rozpalać żądzą zemsty i napawać się jego bólem.

Starały się również pokonać Saszę, jeśli nie zabijając go, to skazując na miłość, zbyt

wszechogarniającą, by mógł dalej tropić nieumarłych. Zaś

jeśli chodzi o Tatianę, to nic, co uczyniłby Jander, nie mogło przynieść jej duchowi ukojenia. Musiała powracać tu przez wieki, bo Barovia tak

chciała.

Moce ciemności wolały utrzymywać przy życiu obu wampirzych władców. Nawet w tej chwili elf czuł, jak w jego ciało wsącza się nowa

energia, czuł, że jakaś jego część chciałaby się za wszelką cenę skryć przed zabójczymi promieniami słońca. Troska Saszy służyła idealnie

wypełnieniu zamiarów tego miejsca, ale Jander zrozumiał, że czekająca go tu zagłada może mu przynieść pociechę i stać się namiastką

zwycięstwa. Za sprawą słońca i dzieci, przepowiedziała mu Maruszka. A więc nie była fałszywą Prorokinią.

- Nie - odrzekł stanowczo dziecku, które zostało poczęte tej nocy, gdy przybył do Barovii. - Pozwól mi zobaczyć światło.

- Nie możesz! Umrzesz...

- Posłuchaj, co mówisz, Sasza - roześmiał się Jander i spojrzał zdenerwowanemu kapłanowi w twarz. - Przecież już jestem martwy.

Nigdy nie uda mi się zniszczyć Strahda. Jesteśmy skazani na to, by na wieki pozostać wrogami, a ja stawałbym się coraz bardziej zły i

zgorzkniały, pragnąc zwycięstwa, którego odnieść nie mogę.

- Chcesz się poddać?

Jander pokręcił przecząco głową.

- Nie. Z własnej woli wybieram śmierć - spojrzał w kierunku, skąd nadchodził dzień. - Teraz posłuchaj mnie. Kiedy odejdę, kontynuuj

naszą misję. Ze względu na własną duszę i dusze wszystkich, których kochasz, kieruj się słusznymi motywami. Jeśli ci się uda, zniszcz Strahda,

pamiętaj, że jego dusza zazna ukojenia i że wielu innym oszczędzisz podobnego losu. Nie pozwól, żeby powodowała tobą zemsta.

- Ale...

- Strzeż się samej krainy, która będzie usiłowała zniszczyć cię, wykorzystując przeciw tobie twoje najlepsze cechy. Bądź pewien tego, co

czynisz, przyjacielu. Kiedy nadejdzie dzień i wszystko tu już się dokona, zejdź do lochów i uwolnij więźniów. Potem będziecie musieli z Leisl

się ukrywać.

Sasza zaprzeczył ruchem głowy.

- W wiosce są ludzie, którzy ufają Panu Poranka.

Lathander wciąż tam będzie, tak jak zawsze był, a oni znajdą własną drogę ku światłu. Ty zaś i Leisl jesteście dla Strahda zagrożeniem i

gdy tylko będzie mógł, spróbuje was zgładzić. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale w końcu jego rana zaleczy się i zacznie was ścigać. Tb jedno jest

pewne - zamknął oczy.

Przez moment obaj trwali nieruchomo. Głowa Jandera spoczywała na kolanach kapłana, który nieświadomie zaczął gładzić jego złote

włosy. Tb nieuczciwe, myślał. Jander nie chciał tego; jasność i światło były częścią jego natury, bardziej nawet, niż w przypadku Saszy i Leisl.

Nie zasługiwał na to, by zginąć w taki sposób, spalony na popiół przez promienie słońca.

- Nie! - nawet samego Saszę zaskoczyła gwałtowność tego zaprzeczenia. - Nie umieraj! Jander, nie rób tego!

Zdziwił się, czemu nie widzi ostro i co to za ciepła wilgoć spływa mu po policzkach. Jander wyciągnął dłoń i otarł słońną łzę z twarzy

kapłana, rozcierając ją między kciukiem i palcem wskazującym.

- Wiesz jak dawno nikt już nade mną nie płakał? - rzekł cicho, głosem drżącym z emocji. W ten sposób powinien umrzeć. Nie z kołkiem

przebijającym mu serce, nie tonąc w otchłani ciemności, nie spalając się w ogniu, namiastce czekającego go piekła. Znów usiąść na słońcu,

poczuć ciepłe, miłośnie muskające go promienie, na moment przed tym, gdy pojawi się ból - tak właśnie chciał umierać. Przypomniał sobie

słowa Lyrii: „Lepiej zginąć z ręki przyjaciela”. Teraz zrozumiał; nie miał lepszych przyjaciół, niż ten odważny półkrwi Vistani i wspianiałe

słońce.

- Nie płaczcie po mnie. Od wieków z utęsknieniem czekałem na coś takiego. Proszę tylko, żebyś został tu, ze mną, kiedy... Sasza, zostaniesz?



- Nie opuszczę cię - odparł ochryple kapłan. Jander uśmiechnął się i odprężył.

- Pomóż mi usiąść - poprosił, a kiedy Sasza zrobił to, niepewnymi palcami odczepił od pasa flet. Z wysiłkiem podniósł go do ust, wziął wdech i zaczął grać, zapraszając świt, by nadszedł.

Nie dbał już o to, co stanie się z nim, kiedy oświetlą go promienie słońca. Miał jednak pewność, że wszystko będzie lepsze od żalostnej egzystencji, jaką wiódł przez ostatnie pięćset lat. Wreszcie skończą się ciemności, skończy się życie w śmierci. Nieważne, czym się stanie:

popiołem, kawałkiem zwęglonego ciała, a może jeszcze czym innym, zgoła nieoczekiwanym, a kto wie, czy nie pięknym - nie będzie już stworzeniem nocy.

Niebo jaśniało, a muzyka elfa płynęła niczym woda. Jander przejrzał na wylot oszustwo, jakie zgotowała mu Barovia, wzniosł Święty

Symbol przeciw innemu wampirowi, on, który miał być złem wcielonym. Może Pan Poranka znalazł sposób na to, by wlać odrobinę własnego

piękna w tę krainę rodem z koszmarów; może świt przyniesie Janderowi nowe życie, zamiast po prostu zakończyć jego nieumarły byt.

Jander wpatrywał się wyczekująco w jaśniejący horyzont, czekając na cud, a jego pieśń była równie świetlista, jak brzask. Kiedy wreszcie

słońce wspięło się ponad widnokrąg i opromieniło go niczym błogosławieństwem, zamknął oczy i chłonął je chciwie.

Epilog

Wiele mil od zamku Ravenloft, daleko w górach, smukła szarobrunatna wilczyca przekroczyła próg ukrytej jaskini. Kulejąc na jedną łapę

przemierzyła istny labirynt zakrętów, docierając w końcu do trumny, którą przebiegły wampir schował tu na szczególną okazję. Bark wciąż

miała zeszywniały w miejscu, gdzie zranił ją sztylet, bliżej zadu zaś, na lewym boku, na zawsze już miała nosić wypalone srebrem znamię.

Powęszyła przy trumnie, machając niepewnie ogonem, ale zaraz uspokoiła się, rozczarowana. Pan nie obudzi się dzisiaj. Wskoczyła na

wieko ciemnej, mahoniowej skrzyni, ziewnęła, zakręciła się w miejscu i zwinęła w kłębek. Kiedy pan już się zbudzi, na pewno jej przebaczy;

gdy wstanie, czując szarpiący jego wnętrznościami głód, ona zadba o to, by miał świeżą ofiarę dla ugaszenia pragnienia.

Zraniony wampir śnił.

Strahd był ranny - poważnie ranny. Światło słońcaomal go nie zabiło, czuł rozdzierający, przypominający prawdziwą agonię ból. Będzie

musiał odpoczywać wiele tygodni, może miesięcy, a może nawet lat. Cóż jednak znaczy czas dla wampira?

Jander niemal go zniszczył, ale Strahd wzbogacił się o wiedzę, którą przekazał mu starszy wampir; nauczył się nowych rzeczy i wiedział

już, kto jest jego najgroźniejszym wrogiem.

Jeszcze się spotkają z Saszą Pietrowiczem, a wówczas chłopakowi nie uda się zwyciężyć.

A Tatiana? Jej dusza mogła cieszyć się krótkim okresem spokoju, ale dziewczyna była na swój smutny i uroczy zarazem sposób równie

mocno związana z Ravenloft, jak sam Strahd. On został skazany na wieczną miłość do niej, ona zaś na wieczne odradzanie się, pod innym

imieniem, ale z tą samą, piękną twarzą i udręczoną duszą, tylko po to, by być jego ukochaną.

Kiedys znów zobaczy Tatianę, a pewnego dnia i ona go pokocha. Strahd von Zarovich był pewien, że to nastąpi, a miał dość czasu, by

okazać cierpliwość. Miał również moc, dzięki której niemal wszystko, czego zapragnął, stawało się

prawdą kraina była mu posłuszna.

Wampir leżał i śnił, a nad Ravenloft wstawał świt.

„KB”